

DANIELLE
Steel



DUŻA
DZIEW-
CZYN-
KA

Świat Książki

Steel Danielle

Duża dziewczynka

Wiktoria, nieładna i pulchna, rozczarowywała rodziców od urodzenia. Miała być chłopcem, a gdy urodziła się jej siostra, śliczna Christine, ojciec oświadczył Wiktorii, że była „ciastem na próbę”. Zestresowana, wciąż porównywana z Christine, „duża dziewczynka” ucieka w jedzenie. Czy decyzja o wyprowadzeniu się z domu i życiu na własny rachunek pomoże jej pozbyć się kompleksów? Historia o poszukiwaniu ciepła i pewności siebie, o tym, jak wiele zależy od nas samych i oczywiście o wielkiej miłości.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jim Dawson był przystojny, od chwili urodzenia. Był jedynakiem, wysokim jak na swój wiek chłopcem o doskonałej sylwetce, z biegiem lat coraz bardziej wysportowanym, oczkiem w głowie rodziców. Rodzice przekroczyli już czterdziestkę i starali się o dziecko od bardzo wielu lat, dlatego ciąża była dla nich zaskoczeniem i prawdziwym błogosławieństwem. Stracili już nadzieję i nagle na świat przyszedł mały chłopiec, chłopczyk wprost idealny. Matka z czułością brała go w ramiona. Ojciec uwielbiał grać z nim piłkę. Był czempionem Małej Ligi, a kiedy podrośł i poszedł do szkoły, na jego widok mdlały wszystkie dziewczyny. Miał ciemne włosy, aksamitnie brązowe oczy i głęboki dołeczek w podbródku, jak gwiazdor filmowy. W college'u był kapitanem drużyny futbolowej, dlatego nikt się nie dziwił, kiedy zaczął chodzić z prawdziwą królową, prześliczną dziewczyną z pierwszego roku, której rodzice przeprowadzili się z Atlanty do południowej Kalifornii. Dziewczyna była drobniutka i szczuplutka, o oczach i włosach tak ciemnych jak jego i o cerze Królowej Śnieżki. Delikatna, subtelna, o łagodnym głosie darzyła go pełnym szacunku podziwem. Zaręczyli się w dniu ukończenia studiów i pobrali w Boże Narodzenie tego samego roku.

W tym czasie Jim pracował już w agencji reklamowej, a ona, Christine, przez pół roku przygotowywała się do ślubu. Co prawda zrobiła licencjat, ale przez cztery lata studiów jej głównym celem było znalezienie odpowiedniego chłopaka i wyjście za mąż. Byli oszałamiającą, nieskazitelnie piękną, typowo amerykańską parą. Doskonale się wzajemnie uzupełniali i każdemu, kto ich widział, kojarzyli się ze zdjęciem z okładki kolorowego czasopisma.

Po ślubie Christine chciała zostać modelką, ale Jim natychmiast wybił jej to z głowy. Miał dobrą posadę, dobrze zarabiał i nie chciał, żeby żona pracowała. Bo co by ludzie o nim pomyśleli? Że nie potrafi jej utrzymać? Chciał, żeby siedziała w domu i codziennie czekała na niego z kolacją, co też posłusznie robiła. A ich znajomi ciągle powtarzali, że są najpiękniejszą parą, jaką kiedykolwiek widzieli.

Nie było żadnych wątpliwości, kto jest panem ich domu. Jim ustanawiał zasady, a Christine chętnie ich przestrzegała. Straciła matkę, kiedy była małą dziewczynką. A matka Jima, którą nazywała Mamą Dawson, nieustannie wychwalała syna pod niebiosa. Dlatego Christine szybko nauczyła się czcić go tak, jak kiedyś czcili go rodzice. Był dobrym żywicielem rodziny, zabawnym, kochającym mężem, doskonałym sportowcem. Systematycznie też awansował w pracy na coraz ważniejsze stanowisko. Był również przyjacielski i czarujący, choć tylko dla tych, którzy go podziwiali i nigdy nie krytykowali. Ale większość ludzi nie miała powodu go krytykować. Był miłym w obyciu młodym człowiekiem, łatwo zdobywał nowych przyjaciół, zawsze stawiał żonę na piedestale i bardzo o nią dbał. Oczekiwał od niej tylko jednego, tego, żeby robiła to, co chciał, żeby go uwielbiała, adrowała i pozwalala mu wszystkim kierować. A ponieważ jej ojciec był taki sam, wychowano ją na żonę doskonałą dla męża takiego jak Jim. Ich wspólne życie było spełnieniem jej marzeń, a nawet czymś więcej.

Z Jimem u boku nie czekały ją żadne nieprzyjemne niespodzianki, żadne rozczarowania czy wybryki. Mąż chronił ją, dobrze się nią opiekował i zapewniał jej dostanie życia. Był to związek idealny dla nich obojga. Obydwoje znali swoją rolę i odgrywali ją wedle ustalonych zasad. On był tym uwielbianym, a ona jego wielbicielek.

Przez pierwszych kilka lat nie spieszyli się z dziećmi i pewnie czekali by dłużej, gdyby znajomi nie zaczęli się dziwić, że ich jeszcze nie mają. Jim poczuł się tak, jakby ich krytykowano albo sugerowano, że nie mogą mieć, gdy tymczasem obydwójce cenili sobie pełną niezależność i swobodę. Prawie w każdy weekend jeździli razem na wycieczki, razem spędzali urlopy, kilka razy w tygodniu Jim zabierał Christine na kolację, chociaż była dobrą kucharką i nauczyła się przyrządzać jego ulubione potrawy. Nie cierpieli z powodu braku dzieci, ani on, ani ona, choć uzgodnili, że kiedyś będą je mieli. Ale pięć lat po ślubie nawet jego rodzice zaczęli się martwić, że młodzi mają takie same kłopoty jak oni kiedyś, kłopoty, które przez niemal dwadzieścia lat uniemożliwiały im założenie prawdziwej rodziny. Jim zapewnił ich, że nie, że nic takiego się nie dzieje, że po prostu im się nie spieszy. Skończyli dopiero dwadzieścia siedem lat i wciąż cieszyli się niczym nieskrępowaną wolnością.

Ale Jim miał w końcu dość tych nieustannych pytań i oświadczył, że pora powiększyć rodzinę. Christine jak zwykle się z nim zgodziła. To, co mąż uważał za słuszne, zawsze było słuszne i dla niej. Niemal natychmiast zaszła w ciążę, o wiele szybciej, niż się spodziewali. Poszło łatwiej, niż myśleli, bo myśleli, że potrwa to co najmniej pół roku, a nawet rok. I wbrew obawom teściowej, odmienny stan bardzo Christine służył.

Kiedy zaczęła rodzić, Jim odwiózł ją do szpitala, ale postanowił nie wchodzić na salę porodową. Oczywiście Chris-

tine natychmiast poparła jego decyzję. Nie chciała robić niczego, co mogłoby go kępować. Miał nadzieję, że urodzi się chłopiec, ona też, żeby go zadowolić. Nie przyszło im do głowy, że dziecko może być dziewczynką i pewni siebie nie sprawdzili nawet jego płci. Jim był bardzo męski i dawał głowę, że urodzi mu się syn, dlatego Christine urządziła dziecięcy pokój na niebiesko. Ona też nie miała najmniejszych wątpliwości co do płci ich pierwszego potomka.

Dziecko ułożyło się w pozycji pośladkowej i czekało ją cesarskie cięcie; Jim dowiedział się o tym w poczekalni, kiedy już ją znieczulono. A kiedy pielęgniarka pokazała mu przez szybkę noworodka, przez długą, bardzo długą chwilę myślał, że dziecko zostało podmienione. Miało idealnie okrągłą twarzą, pulchne policzki, aureolę jaśniutkich włosów na głowie i było zupełnie do nich niepodobne, ani do niego, ani do Christine. Ale jeszcze bardziej zaszokowało go to, że noworodek jest... dziewczynką. Nie tego się spodziewał i kiedy tak stał, patrząc na córkę, jedyną myślą, jaka przyszła mu do głowy, było to, że jest podobna do starej brytyjskiej królowej, do królowej Wiktorii. Powiedział to pielęgniarce, a ta zbeształa go, mówiąc, że dziecko jest prześliczne. Jim nie znał się na niemowlęcych minach i się z nią nie zgodził. Dziewczynka wyglądała jak zupełnie obce dziecko, nie miała nic ani z niego, ani z Christine, dlatego ponury i zawiedziony siedział w poczekalni, aż poproszono go do żony. Christine spojrzała na niego i od razu domyśliła się, że urodziła córkę i że go zawiodła.

- To dziewczynka? - szepnęła wciąż otumaniona środkiem znieczulającym.

Jim bez słowa kiwnął głową. I co teraz? Jak powie znajomym, że jego syn okazał się córką? Jego wizerunkiem, jego rozbuchanym ego wstrząsnął silny cios, bo oto coś wymknęło mu się nagle spod kontroli, a tego bardzo nie lubił.

Zawsze wszystko dokładnie reżyserował, a żona zawsze się do niego dostosowywała.

- Tak - odparł w końcu i Christine uroniła łzę. - Wygląda jak królowa Wiktoria. Nie wiem, kto jest jej ojcem -zakupił - bo ma niebieskie oczy i jasne włosy.

Nie mieli w rodzinie blondynów, ani on, ani ona, nie licząc jego babki, ale żeby po babce? Trochę to mało prawdopodobne. Nie, nie podejrzewał żony o zdradę. Dziecko było najwyraźniej osobnikiem wykazującym cechy dalekich przodków, dziwaczną genetyczną mieszanką, bo nie wyglądało na ich potomka, i to definitywnie. Pielęgniarki wciąż powtarzały, że jest śliczne, ale go nie przekonały. Minęło kilka godzin, zanim przyniesiono dziecko Christine, która przytuliła je w zadziwieniu i dotknęła malutkich rączek. Było szczelnie opatulone różowym kocykiem. Christine dano już zastrzyk na powstrzymanie laktacji, ponieważ postanowiła nie karmić. Jim nie chciał, żeby karmiła, więc ona też nie chciała. Pragnęła jak najszybciej odzyskać dawną figurę, bo mąż wołał, kiedy była drobna i szczupła, dlatego nie podobała mu się w ciąży, chociaż bardzo pilnowała wagi. Podobnie jak jemu, jej też trudno było uwierzyć, że ta pulchna, jasnowłosa dziewczynka jest ich dzieckiem. Miała długie, proste i silne nogi, tak jak on. Ale w jej twarzy nie mogli dopatrzeć się choćby jednej wspólnej dla nich cechy. Zobaczywszy niemowlę, Mama Dawson natychmiast zgodziła się z synem, że dziecko jest bardzo podobne do jego babki ze strony ojca i wyraziła nadzieję, że nie będzie tak wyglądało w przyszłości. Babka Jima była przez całe życie kobietą tęgą i przysadzistą, znaną bynajmniej nie z urody, tylko z tego, że umiała dobrze gotować.

Dzień po porodzie Jim się trochę otrząsnął, chociaż koledzy z agencji dogryzali mu, że musi spróbować jeszcze raz i tym razem zafundować żonie syna. Christine bała się, że

jest na nią zły, ale on zapewnił ją czule, iż bardzo się cieszy, że obydwie są zdrowe i dodał, że trudno, trzeba żyć dalej. Powiedział to tak, jakby żona mogła sprawić się lepiej, a Mama Dawson natychmiast utwierdziła ją w tym przekonaniu. Nie było tajemnicą, że Jim zawsze chciał mieć syna, namacalnego potwierdzenia swej męskości i tego, że potrafi spłodzić godnego siebie dziedzica. A ponieważ nie przyszło im do głowy, że mogą spłodzić córkę, nie mieli nawet imienia dla pulchnej, jasnowłosej dziewczynki, która leżała w ramionach Christine.

W szpitalu Jim zażartował, że mała wygląda jak królowa Wiktoria, ale ponieważ obydwójce uznali, że to ładne imię, Jim poszedł krok dalej i zaproponował, żeby na drugie dać jej Regina. Wiktoria Regina Dawson. Królowa Wiktoria. Wiktoria. Imię to dziwnie do niej pasowało, więc Christine się zgodziła. Wiedziała, że mąż wolałby mieć syna i chciała, żeby był zadowolony przynajmniej z imienia. Wciąż czuła, że go zawiodła. Ale gdy pięć dni później wypisano ją ze szpitala, Jim zachowywał się tak, jakby już jej wybaczył.

Wiktoria okazała się dzieckiem spokojnym, łagodnym, wesołym i niewymagającym. Wcześniej zaczęła chodzić i mówić, i wszyscy znajomi uważali, że jest uroczą dziewczynką. Pozostała blondynką, a biały meszek, z którym przyszła na świat, zmienił się w gęstwinę drobnych loczków. Miała duże, niebieskie oczy, jasne włosy i jasną cerę. Niektórzy mówili, że ma bardzo angielską urodę, a Jim odpowiadał im, że córka nie bez powodu nosi imię królowej Wiktorii i wybuchał serdecznym śmiechem. Lubił tak żartować i często żartował, podczas gdy Christine powściągliwie chichotała. Kochała córeczkę, ale miłością jej życia był mąż i nic się pod tym względem nie zmieniło. W przeciwieństwie do innych kobiet, które całą uwagę skupiały na dzieciach, ona na pierwszym miejscu zawsze stawiała jego,

a dopiero potem Wiktorię. Była doskonałą towarzyszką dla mężczyzny tak narcystycznego jak Jim. Oprócz niego nie istniał dla niej nikt. I chociaż Jim wciąż pragnął mieć syna, z którym mógłby porzucać piłkę, nie spieszyli się z drugim dzieckiem. Wiktoria w zupełności im wystarczała, przynajmniej na razie. Zakłóciła im życie tylko w niewielkim stopniu, a ponieważ bali się, że nad dwojgiem dzieci -zwłaszcza dzieci o małej różnicy wieku - trudno im będzie zapanować, poprzestali na jednym. Tylko mama Dawson nieustannie dolewała oliwy do ognia, powtarzając, jaka to wielka szkoda, że nie mają syna. Gdyby mieli, nie musieliby myśleć o drugim dziecku, bo jedynacy są zawsze najbystrzejsi. Jej syn był oczywiście jedynakiem.

Wiktoria okazała się dziewczynką bardzo inteligentną. Gadatliwa i sympatyczna, w wieku trzech lat prowadziła z nimi niemal dorosłe rozmowy. Była zabawna, umiała żartować i interesowała się wszystkim i wszystkimi. Kiedy skończyła cztery lata, Christine nauczyła ją czytać. Kiedy skończyła pięć, ojciec powiedział jej, że nosi imię brytyjskiej królowej. Wiktoria uśmiechała się radośnie, ilekroć to mówił. Wiedziała, jak wyglądają królowe. W bajkach, które czytała, zawsze były piękne i pięknie ubrane. A niektóre znały się na czarach. Wiedziała, że dano jej imię wielkiej królowej, ale nie miała pojęcia, jak ta królowa wygląda. Ojciec zawsze powtarzał, że nazwał ją tak, bo jest do niej podobna. Wiedziała również, że jest podobna do jego babci, ale ponieważ zdjęcia babci nigdy nie widziała, zastanawiała się, czy ona też była kiedyś wielką królową.

W wieku sześciu lat wciąż była dziewczynką okrągłą i pulchną. Miała małe, dobrze umięśnione nóżki i często słyszała, że jest duża jak na swój wiek. Kiedy poszła do pierwszej klasy, okazało się, że jest wyższa niż pozostałe dzieci. Wyższa i tęższa. Nazywano ją „dużą dziewczynką” i zawsze myślała, że to komplement. Wciąż była w pierw-

szej klasie, kiedy przeglądając z mamą jakąś książkę, zobaczyła zdjęcie królowej, której imię nosiła. Imię widniało tuż pod zdjęciem, imię, a właściwie dwa imiona. Wiktoria Regina.

Królowa trzymała na rękach mopsa, który był do niej bardzo podobny, a zdjęcie zrobiono pod koniec jej życia. Wiktoria długo wpatrywała się w nie bez słowa.

- Czy to ona? - spytała w końcu, podnosząc na matkę duże, niebieskie oczy.

Christine z uśmiechem kiwnęła głową. Ostatecznie Jim tylko tak żartował. Córka była podobna do jego babki i do nikogo innego.

- Była wielką królową - odparła. - Dawno temu.

- Ona nie ma nawet pięknej sukni ani korony, a jej pies jest brzydki. - Wiktoria była zdruzgotana.

- Na tym zdjęciu jest już bardzo stara - odrzekła Christine, próbując załagodzić sytuację. Widziała, że córka jest zdenerwowana i poczuła w sercu lekkie ukłucie bólu. Zdawała sobie sprawę, że Jim nie chciał sprawić córce przykrości, ale jego niewinny żart przyniósł odwrotny skutek i Wiktoria przeżyła silny wstrząs. Patrzyła na zdjęcie w nieskończoność, a po jej policzkach spływały powoli dwie łzy. Christine bez słowa przewróciła kartkę z nadzieją, że córka o tym zapomni. Ale Wiktoria nie zapomniała. A jej obraz w oczach ojca, obraz pięknej królowej, uległ nieodwracalnej zmianie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rok po tym, kiedy zobaczyła zdjęcie, które na zawsze odmieniło jej obraz samej siebie, rodzice poinformowali ją, że będzie miała braciszka albo siostrzyczkę. Wiktoria była zachwycona. Jej szkolne koleżanki też miały braciszków i siostrzyczki - należała do nielicznych jedynaczek - dlatego ucieszyła się, że będzie mogła bawić się nim lub nią jak dużą, żywą lalką. Była wtedy w drugiej klasie. I kiedy pewnego wieczoru podsłuchiwała niechęć rodziców - którzy myśleli, że Wiktoria już śpi - doszły ją przerażające słowa, że nowe dziecko jest „wypadkiem przy pracy”. Nie wiedziała, co to znaczy i bała się, że maluch urodzi się bez rączek czy nóżek i że nigdy nie nauczy się chodzić. Nie wiedziała, jak poważny był to wypadek i nie chciała ich o to pytać. Mama bardzo płakała, a tato był bardzo zdenerwowany. Obydwoje mówili, że dobrze im jest tak jak teraz, tylko z nią, Wiktorią. Była spokojnym dzieckiem, które nie zwracało im głowy i zawsze się ich słuchało. Miała siedem lat, nie sprawiała żadnych kłopotów, a tato przez całą ciążę powtarzał, że ma nadzieję, iż tym razem urodzi się chłopiec. Mama też tego chciała, ale na wszelki wypadek zamiast na niebiesko, urządziła pokój na biało, bo biel pasowała do chłopca i do dziewczynki. Raz już dostała na-

uczkę i wołała nie zapeszać. Tylko Mama Dawson uparcie przepowiadała, że znowu urodzi się dziewczynka i Wiktoria trzymała kciuki, żeby tak było. Rodzice i tym razem nie chcieli znać płci nowego dziecka. Mama bała się złych nowin i dopóki mogła, kurczowo trzymała się nadziei, że nosi pod sercem syna.

Wiktoria nie rozumiała dlaczego, ale rodzice cieszyli się dużo mniej niż ona. Mama ciągle narzekała, że bardzo przytyła, a tato żartował, że ma nadzieję, iż dziecko nie będzie podobne do niej, do Wiktorii. I przy każdej okazji przypominał jej, że jest podobna do jego babci, czyli jej prababci. Zdjęć prababci zachowało się niewiele, ale te, które w końcu obejrzała, pokazywały tęą kobietę w fartuchu, straszdyło zupełnie bez talii, czarownicę o szerokich biodrach i nosie jak kartofel. Nie wiedziała, która jest brzydsza, prababcia czy królowa z mopsem. I natychmiast dostała obsesji na punkcie swego nosa. Był mały i okrągły, i wyglądał jak cebula posadzona na środku twarzy. Miała nadzieję, że jej braciszek czy siostrzyczka odziedziczy inny, ładniejszy. Ale ponieważ dziecko było „wypadkiem przy pracy”, groziło mu o wiele poważniejsze niebezpieczeństwo niż głupi nos. Rodzice nie wytłumaczyli jej, na czym ten wypadek polegał, ale wciąż pamiętała, o czym wtedy rozmawiali. Dlatego postanowiła poświęcić się nowemu braciszкови czy siostrzyczce i zrobić wszystko, żeby mu pomóc. Jemu albo jej. Miała nadzieję, że wypadek nie był groźny i że dziecko ucierpiało tylko trochę. Że miało co najwyżej złamaną rączkę albo guza na głowie.

Cesarskie cięcie było tym razem zaplanowane i rodzice wyjaśnili jej, że mama zostanie w szpitalu przez tydzień i że Wiktoria zobaczy ją wraz z dzidziusiem dopiero po powrocie. Powiedzieli, że takie są zasady i Wiktoria zastanawiała się, czy zdążą przez ten czas wyleczyć dziecko po tajemniczym wypadku, o którym nie chcieli nic mówić.

Tego dnia tato wrócił do domu o szóstej wieczorem, kiedy babcia przygotowywała dla niej kolację. Obydwie spojrzały na niego wyczekująco, a on z wyraźną nutką zawodu w głosie powiedział, że to dziewczynka. A potem uśmiechnął się i dodał, że jest śliczna i tym razem podobna do mamy. Było widać, że bardzo mu ulżyło, mimo że zamiast syna znowu urodziła się córka. Powiedział, że dali jej na imię Grace, bo jest taka piękna i pełna gracji. Mama Dawson też się uśmiechnęła, dumna, że udało jej się trafnie przewidzieć płeć dziecka. Była pewna, że urodzi się dziewczynka. Tato powiedział, że ma ciemne włoski, wielkie, brązowe oczy, jasną cerę i malutkie, idealnie ukształtowane różowe usteczka. Że jest tak śliczna, że mogłaby występować w reklamach produktów dla niemowląt. I że jej uroda w pełni rekompensuje im to, że nie jest chłopcem. Ani słowem nie wspomniał o ranach odniesionych w tym strasznym wypadku, którym Wiktoria martwiła się przez osiem miesięcy, więc ona też odczuła wielką ulgę. Miała nadzieję, że dzidzia czuje się dobrze, a ze słów taty wynikało, że była urocza.

Nazajutrz zadzwonili do szpitala i mama rozmawiała z nią słabym, zmęczonym głosem. To jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że musi zrobić wszystko, by pomóc im, kiedy wrócą do domu.

Tato mówił, że siostrzyczka jest naprawdę śliczna, ale kiedy Wiktoria zobaczyła ją pierwszy raz, okazało się, że jest jeszcze piękniejsza. Była po prostu cudowna. Wyglądała jak dziecko z kolorowej książeczki albo z reklamy, tak jak mówił tato. Babcia natychmiast czule zacmokała i odebrała mamie zawiniątko, a tato pomógł jej usiąść w fotelu. Wiktoria próbowała przyjrzeć się siostrzyczce. Dałaby wszystko, żeby móc ją potrzymać, pocałować w policzek, zagruchać do niej, dotknąć paluszków u nóżek. Ani przez chwilę nie była zazdrosna, tylko dumna i szczęśliwa.

- Jest cudowna, prawda? - spytał tato, a mama od razu powiedziała, że tak.

Tym razem nie wspomnieli o jego babce, i nic dziwnego. Grace wyglądała jak porcelanowa laleczka i wszyscy zgodnie uznali, że jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widzieli. Zupełnie nie przypominała swojej starszej siostry, która miała duże, niebieskie oczy i pszeniczne włosy. Rodzice byli ciemnoocy i ciemnowłosi, więc nikomu do głowy by nawet nie przyszło, że dziewczynki są siostrami i że Wiktoria w ogóle należy do ich rodziny. No i była pyzata, przysadzista. Nowego dziecka nikt nie porównywał do królowej Wiktorii ani nie wypominał jej nosa. Grace miała nosek jak psotny chochlik albo jak kamea, tak jak mama. Kiedy przyszła na świat, od razu było oczywiste, że jest jedną z nich, podczas gdy Wiktoria wyglądała jak podrzutek. Jej siostrzyczka była absolutnie doskonała i patrząc na nią w ramionach babci, Wiktoria odczuwała tylko wielką miłość. Nie mogła się doczekać, kiedy babcia ją położy, żeby ona też mogła ją podnieść i przytulić. Ta długo oczekiwana siostrzyczka należała do niej. Wiktoria pokochała ją na długo przed jej narodzinami i oto Grace nareszcie do nich zawitała.

Tato nie mógł się powstrzymać i znowu zaczął żartobliwie się z niej naśmiewać, jak to on. Po prostu taki już był, uwielbiał robić żarty czymś kosztem. Jego przyjaciele uważali, że jest bardzo zabawny, a on bez skrupułów z nich szydził. Podczas gdy Wiktoria patrzyła z uwielbieniem na siostrzyczkę, on spojrzał na nią z lekko drwiącym uśmiechem, czule potargał jej włosy i powiedział:

- Pierwsze koty za płoty. Wygląda na to, że byłaś naszym ciastem na próbę. Ale tym razem przepis okazał się dobry.

Babcia Dawson wytłumaczyła jej potem, że ciasto na

próbę piecze się po to, żeby sprawdzić dobór składników i temperaturę w piekarniku. Powiedziała, że za pierwszym razem ciasto nigdy nie wychodzi, więc wyrzuca się je i próbuje jeszcze raz. Wiktoria przestraszyła się, że ją wyrzucą, bo przecież Grace, to drugie ciasto, wyszła doskonale. Ale nie, nic o wyrzucaniu nie mówili i mama, babcia i nowa siostrzyczka poszły na górę. Wiktoria też. Z pełnym szacunku podziwem stała dyskretnie z boku i uważnie obserwowała wszystko, co robiły. Chciała się tego nauczyć i robić to tak jak one. Była pewna, że kiedy babcia pójdzie do domu, mama jej pozwoli. Pytała ją o to jeszcze przed narodzinami Grace i mama powiedziała, że tak.

Przebrały dziecko w malutkie, różowe śpioszki, owinęły je kocykiem i mama zaczęła karmić je mieszanką dla niemowląt, którą dostała w szpitalu. Potem zaczekały, żeby małej się odbiło, położyły ją do łóżeczka i Wiktoria po raz pierwszy mogła jej się spokojnie przyjrzeć. Grace była najpiękniejszym dzieckiem w świecie, ale nawet gdyby nie była, gdyby miała nos ich prababki albo wyglądała jak królowa Wiktoria, Wiktoria i tak by ją kochała. W przeciwieństwie do mamy, taty i babci, jej uroda nie miała dla niej najmniejszego znaczenia.

Podczas gdy mama i babcia rozmawiały, ona ostrożnie wsunęła palec między pręty łóżeczka i dotknęła małej rączki. Grace spojrzała na nią i natychmiast zacisnęła na nim swoje malutkie paluszki. Była to najbardziej podniecająca chwila w życiu Wiktorii, która natychmiast poczuła, że łączy je silna więź. Wiedziała, że z czasem więź ta będzie jeszcze silniejsza i że nigdy nie zaniknie. Poprzysięgła sobie, że będzie opiekować się siostrzyczką do końca swych dni, że nie pozwoli nikomu jej skrzywdzić ani zasmucić. Chciała, żeby Grace żyło się jak w bajce i gotowa była zrobić wszystko, żeby pragnienie to się ziściło.

Siostrzyczka

zamknęła oczy i zasnęła, a ona stała przy łóżeczku i patrzyła na nią. Cieszyła się, że wypadek okazał się niegroźny i że Grace nareszcie z nią jest.

Myślała o tym, co powiedział tato, o tym cieście na próbę, i zastanawiała się, czy to prawda. Może mama urodziła ją tylko po to, żeby sprawdzić, jak wyjdzie im z Grace. Jeśli tak, to wyszło doskonale. Grace była najśłodszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała; uważała tak nie tylko ona, ale i jej rodzice, no i babcia też. Przez jedną krótką chwilę żałowała, że to właśnie ona jest tym nieszczęsnym ciastem i że nikt nie okazuje jej tyle uczucia. Żałowała, że rodzice źle dobrali składniki albo temperaturę w piekarniku i że wyszedł im zakalec. I bez względu na to, jakie kierowały nimi intencje, miała nadzieję, że nigdy jej nie wyrzucą. Bo teraz pragnęła tylko dzielić życie z Grace i być dla niej najlepszą siostrą w świecie. I cieszyła się, że Grace nie odziedziczyła nosa po prababce.

Kiedy przebrane i nakarmione niemowlę spokojnie zasnęło, zeszła na dół, żeby zjeść lunch z rodzicami i babcią. Mama uprzedziła ją, że przez pierwsze tygodnie dziecko będzie głównie spało. Podczas lunchu dużo mówiła o tym, że musi jak najszybciej wrócić do dawnej figury, a tato dolewał im szampana i się uśmiechał. Do niej też, ale tak jakoś ironicznie, znacząco, jakby chciał z czegoś zażartować albo jakby to ona była jednym wielkim żartem. Wiktoria nie była tego pewna, ale lubiła, kiedy tak się uśmiechał. A teraz była szczęśliwa, że ma Grace. Grace była siostrzyczką, o jakiej marzyła przez całe życie, była kimś, kogo mogła pokochać i kto na pewno pokocha ją.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mama wszystkiego ją nauczyła. Zanim Grace skończyła trzy miesiące, Wiktoria umiała już zmieniać jej pieluszki, kąpać ją, ubierać, karmić i się z nią bawić. A bawiły się razem godzinami, były dosłownie nierozłączne. Dzięki temu matka mogła odpocząć. Mogła wreszcie pójść na brydża do przyjaciół, chodzić na golfa i cztery razy w tygodniu trenować ze swoim osobistym trenerem. Zapomniała już, ile pracy wymaga małe dziecko. Ale Wiktoria chętnie jej pomagała. Wracała ze szkoły, myła ręce, wyjmowała siostrzyczkę z łóżeczka i się nią zajmowała. I to właśnie do niej Grace uśmiechnęła się pierwszym uśmiechem. Było oczywiste, że uwielbia z nią być.

I wciąż była dzieckiem jak z obrazka. Skończyła już roczek i ilekroć matka zabierała je na zakupy do supermarketu, zawsze ktoś ich zaczepiał. Mieszkały w Los Angeles, a w Los Angeles roiło się od łowców talentów. Kusili, namawiali, chcieli, żeby Grace zagrała w filmie, w serialu, w reklamie telewizyjnej, proponowali jej pracę. Jimowi też -ilekroć pokazywał komuś ich zdjęcia. Ludzie podchodzili do nich i na oczach zafascynowanej Wiktorii próbowali nakłonić mamę, żeby pozwoliła Grace zagrać w filmie czy serialu, ale mama zawsze grzecznie odmawiała. Ani ona,

ani tato nie chcieli jej wykorzystywać, ale bardzo im to schlebiało i potem opowiadali o tym znajomym. Ilekroć ktoś ich zaczepiał albo ilekroć komuś o tym opowiadali, Wiktora czuła się niewidzialna. Jakby po prostu nie istniała. Bo tamci widzieli tylko Grace. Nie miała nic przeciwko temu, i to wcale, ale zastanawiała się czasem, jak by to było, gdyby ona zagrała w jakimś filmie albo serialu. Cieszyła się, że siostrzyczka jest taka ładna i uwielbiała ubierać ją jak laleczkę, wplatać kolorowe wstążki w jej kędzierzawe ciemne włoski. Ze ślicznego niemowlęcia wyrósł równie śliczny mały szkrab. I Wiktoria zupełnie się rozkleiła, kiedy Grace po raz pierwszy wypowiedziała jej imię. Mała zawsze śmiała się radośnie na jej widok i była do niej bardzo przywiązana.

Kiedy Grace skończyła dwa lata, po krótkiej chorobie zmarła ich babcia i jedyną pomocnicą Christine została dziewięcioletnia naonczas Wiktoria. Ponieważ rodzice nie korzystali przedtem z pomocy opiekunek, po śmierci babci Dawson musieli znaleźć kogoś, kto pilnowałby Grace, kiedy ich nie będzie. I tak przez dom przeszła długa procesja nastolatek, które zgłaszały się do pracy tylko po to, żeby godzinami gadać przez telefon i oglądać telewizję, podczas gdy dziecka pilnowała ona, Wiktoria, z czego obydwie siostry były zresztą bardzo zadowolone. Z każdym mijającym rokiem Wiktoria stawała się dziewczynką coraz bardziej odpowiedzialną, a Grace piękniejszą. Miała wesołe usposobienie, nieustannie śmiała się i uśmiechała, głównie dzięki siostrze, jedynej osobie, która umiała ją pocieszyć czy przerwać napad złości. Z Grace Christine radziła sobie o wiele gorzej niż ze starszą córką. Dlatego chętnie powierzała ją opiece starszej córki. A ojciec wciąż nazywał ją żartobliwie ciastem na próbę. Wiktoria dobrze wiedziała, co to znaczy, wiedziała, że Grace jest piękna, a ona nie i że za drugim razem im się udało. Kiedy wytłumaczyła to kole-

żance, ta spojrzała na nią przerażona - przerażona o wiele bardziej niż Wiktoria, która zdążyła już do tego przywyknąć, bo ojciec często jej to powtarzał. Mama kilka razy zaprotestowała, ale on zapewnił ją, że córka zna się na żartach. Rzecz w tym, że Wiktoria głęboko w to wierzyła. Wierzyła, że ona jest błędem, a Grace ich najwspanialszym sukcesem. Przekonanie to umacniał każdy, kto podziwiał jej siostrę. Coraz bardziej i bardziej zakorzeniało się w niej wrażenie, że jest niewidzialna. Prawiąc komplementy ślicznej Grace, ludzie nie mieli pojęcia, co powiedzieć o niej, nie mówili więc nic i po prostu ją ignorowali.

Wiktoria nie była brzydka, była po prostu nijaka. Miała wdzięczną, naturalną urodę i w przeciwieństwie do ciemnych loczków Grace, proste, jasne włosy, które matka zaplatała w warkoczyki. Miała również duże niebieskie oczy koloru letniego nieba, podczas gdy oczy siostry i rodziców były ciemne, dużo ładniejsze i bardziej egzotyczne, przynajmniej zdaniem Wiktorii. Poza tym ich oczy miały ten sam kolor co włosy. Zarówno rodzice jak i siostra byli drobnej postury, ojciec wysoki, a mama i Grace bardzo delikatne, kruche i drobne. Byli swoim wzajemnym odbiciem. Wiktoria bardzo się od nich różniła. Duża i kanciasta miała szerokie jak na dziecko ramiona i mocno zarysowane różowe policzki. Wyglądała krzepko i zdrowo. Niezwykłe było tylko to, że miała bardzo długie nogi, jak młodziutkie źrebię. Babcia powiedziała kiedyś, że Wiktoria jest krępa, a nawet przysadzista i że tak długie nogi do niej nie pasują. Miała krótki tułów, dlatego nogi zdawały się jeszcze dłuższe. Mimo cięższej postury poruszała się szybko i z wdziękiem. I chociaż była duża jak na swój wiek, nie można było powiedzieć, że jest gruba, ale nie miała też w sobie nic lekkiego. Ojciec ciągle powtarzał, że jest dla niego za ciężka, za to Grace podrzucał w powietrze jak piórko. Matka zawsze była szczupła i dzięki trenerowi, tudzież

zajęciom na siłowni, po porodzie szybko wróciła do dawnej figury. Ojciec też był szczupły, a Grace nie miała na sobie ani grama zbędnego tłuszczu.

Wiktoria bardzo się od nich różniła. Różniła się tak bardzo, że wszyscy to zauważali. Wiele razy słyszała, jak ludzie pytają rodziców, czy jest adoptowana. Czuła się jak jedna z kart, które pokazywano im w szkole, kart z obrazkiem jabłka, pomarańczy, banana i kaloszy. Nauczyciel pytał ich, który obrazek nie pasuje do pozostałych. W jej rodzinie to ona zawsze była kaloszami. Przez całe życie towarzyszyło jej dziwne uczucie, że jest inna i że nie pasuje do rodziny. Gdyby była podobna chociaż do jednego z rodziców, czułaby, że do nich przynależy. Ale nie przynależała, bo była zupełnie inna i nikt nie powiedział jej nigdy, że jest ładna, tak jak mówili to Grace. Grace zawsze była siostrą śliczną jak z obrazka, a ona tą brzydką i niepasującą.

No i miała dobry apetyt, przez co nabierała ciała. Jadła dużo i do ostatniej okruszynki. Lubiła ciastka, cukierki, lody i chleb, zwłaszcza taki prosto z pieca. W szkole zjadała duży lunch. Nigdy nie potrafiła odmówić sobie torebki świeżych frytek, gorącego hot doga czy porcji lodów bananowych z gorącym karmelem. Jim też lubił dobrze zjeść, ale był mężczyzną wysokim i atletycznie zbudowanym i nigdy nie tył. Natomiast Christine jadła głównie ryby z rusztu, gotowane na parze warzywa i sałatki, a więc wszystko to, czego Wiktoria nie znosiła. Bo ona zawsze wolała cheeseburgera, spaghetti czy klopsiki i już jako dziecko brała sobie dokładkę, chociaż ojciec patrzył na to niechętnym okiem, a nawet drwił i śmiał się z niej. W rodzinie nie tył nikt oprócz niej. Nigdy nie opuściła żadnego posiłku. Poczucie sytości zawsze ją pocieszało.

- Pewnego dnia pożałujesz tego apetytu, moja panno -ostrzegał ją ojciec. - Chyba nie chcesz iść na studia gruba.

Od początku studiów dzieliły ją całe wieki, a talerz z tłuczonymi ziemniakami stał przed nią, w zasięgu ręki, obok talerza z porcją pieczonego kurczaka. Ale mama zawsze uważała, czym karmi małą Grace. Mówiła, że Grace ma inną konstrukcję fizyczną i że jest zbudowana tak jak ona -co nie przeszkadzało Wiktorii przemycać do pokoju siostry lizaki i batoniki, które siostrzyczka uwielbiała. Krzyczała z radości na widok każdego marsa czy roli popa, który wychynął z kieszeni Wiktorii. A kiedy był tylko jeden, Wiktorii zawsze dawała go siostrzyczce.

W szkole nie cieszyła się zbyt dużą popularnością, a ponieważ rodzice rzadko kiedy pozwalali jej zapraszać kogoś do domu, jej życie towarzyskie było dość ograniczone. Mama powtarzała, że wystarczy bałagan, jaki robią we dwie, i że więcej dzieci jej nie potrzeba. Zresztą nigdy nie przepadała za jej koleżankami. Zawsze wynajdowała w nich jakieś wady, dlatego Wiktorii przestała je zapraszać, skutkiem czego one przestały zapraszać ją, bo nigdy się nie odwzajemniała. Poza tym zaraz po lekcjach pędziła do domu, żeby pomóc przy siostrzyczce. Owszem, miała przyjaciółki, ale przyjaźń nie wykraczała poza szkolne mury. Jej największym dramatem w tym okresie było to, że w czwartej klasie jako jedyne dziecko nie dostała kartki na walentynki. Kiedy zapłakana wróciła do domu, mama powiedziała, żeby przestała się wygłupiać. Jej Walentynką była Grace. Rok później wmówiła sobie, że ma to gdzieś, wzięła się w garść i przygotowana na kolejny zawód poszła do szkoły. Kartkę dostała - od dziewczynki wysokiej jak ona. Wszyscy chłopcy byli niżsi. Dziewczynka wyglądała jak tyczka i tak naprawdę była od niej wyższa, ale Wiktorii biła ją na głowę tuszą.

Kolejnym dramatem było to, że kiedy skończyła jedenaście lat, zaczęły jej rosnać piersi. Robiła wszystko, żeby je ukryć: nosiła szerokie bluzy, grube, obszerne koszule, rze-

czy o dwa numery za duże. Ale ku jej rozpaczy piersi wciąż rosły i rosły. W siódmej klasie miała figurę kobiety. Często myślała o swojej prababce, o jej szerokich biodrach, grubej talii, wielkim biuście i pełnej figurze. Modliła się, żeby nigdy tak nie wyglądać. Miała tylko inne nogi, długie i szczupłe, nogi, które nie przestawały rosnać i robiły się coraz dłuższe. Jeszcze tego nie wiedziała, ale były jej największym atutem. Znajomi rodziców zawsze mówili o niej „duża dziewczynka” i nigdy nie była pewna, o co im chodzi, o nogi, piersi czy o coraz pulchniejsze ciało. Ale zanim mogła do tego dojść, oni patrzyli już na drobniutką, do chochlika podobną Grace. Wiktoria czuła się przy niej jak potwór, jak olbrzymka. A ponieważ była wysoka i miała kobiecą figurę, wyglądała na dziewczynkę dużo starszą. W ósmej klasie nauczyciel rysunków powiedział jej, że ma rubensowskie kształty, ale nie śmiała go spytać, co to znaczy, zresztą nie chciała tego wiedzieć. Była przekonana, że to kolejne, bardziej artystyczne określenie na „gruba”. Nienawidziła tego słowa. Nie chciała być gruba. Chciała być szczupła i drobna, jak mama i siostra. Miała metr sześćdziesiąt osiem wzrostu - w ósmej klasie przestała rosnać -i chociaż to niby niedużo, należała do najwyższych dziewczynek w klasie i była zdecydowanie wyższa od wszystkich chłopców. Czuła się jak dziwoląg.

Kiedy była w siódmej klasie, Grace poszła do zerówki, a ona odprowadziła ją na pierwszą lekcję. Mama zawiozła je do szkoły i dumna jak paw Wiktoria przedstawiła siostrzyczkę nauczycielce, a potem patrzyła, jak wchodząc ostrożnie do klasy, Grace odwraca się i posyła jej całusa na pożegnanie. Przez cały rok odwiedzała ją podczas wszystkich przerw, a po lekcjach zabierała do domu. Tak samo było w klasie ósmej, kiedy Grace była w pierwszej. Ale na jesieni Wiktoria miała pójść do ogólniaka, do innej szkoły w zupełnie innym miejscu, i wiedziała, że nie będzie już

mogła do niej przychodzić ani przez szybę w drzwiach zaglądać do klasy. Wiedziała również, że będzie za nią tęskniła, i to bardzo. A Grace za nią, bo uwielbiała, kiedy starsza siostra zerknęła na nią zza drzwi. W dniu rozdania świadectw obie bardzo płakały i Grace powiedziała, że po wakacjach nie chce wracać do szkoły bez siostry. Ale Wiktoria odparła, że musi, że tak trzeba. Ósma klasa była dla niej końcem pewnej ery, ery wprost cudownej. Świadomość, że Grace jest w pobliżu, zawsze napawała ją szczęściem i radością.

Tego lata pierwszy raz w życiu zaczęła się odchudzać. Na okładce jakiegoś czasopisma zobaczyła reklamę herbaty ziołowej i kupiła ją za kieszonkowe. Reklama gwarantowała, że każdy, kto będzie tę herbatę pił, zrzuci co najmniej cztery i pół kilo, a ona chciała pójść do ogólniaka szczuplejsza i drobniejsza niż była w gimnazjum. Zaczęła dojrzewać, poza tym była pulchna i lekarz oświadczył, że waży cztery i pół kilo więcej, niż powinna. Herbata okazała się nadszpiewanie skuteczna i przez kilka tygodni Wiktoria strasznie chorowała. Miała zieloną twarz, źle wyglądała i Grace pytała ją ciągle, dlaczego pije herbatę, która tak brzydko pachnie. Rodzice nie mieli pojęcia, co jej jest, bo nic im nie powiedziała. Paskudna mikstura wywołała tak silną biegunkę, że Wiktoria przez kilka tygodni nie wychodziła z domu, mówiąc, że ma grypę żołądkową. Mama powiedziała tacie, że to tylko nerwy, że córka idzie do nowej szkoły i ma po prostu tremę. Ale w końcu, dzięki biegunce, Wiktoria schudła trzy i pół kilo i stwierdziła, że wygląda całkiem nieźle.

Dawsonowie mieszkali w ładnej okolicy, na przedmieściach Beverly Hills. Kupili ten dom jeszcze przed narodzinami Wiktorii. Jim był już dyrektorem agencji reklamowej, pracował, bardzo dobrze zarabiał, a Christine zajmowała się córkami. Uważali, że tworzą doskonałą rodzinę i nie

chcieli więcej dzieci. Mieli po czterdzieści dwa lata, byli małżeństwem od lat dwudziestu i wiedli wygodne, dostatnie życie. Cieszyli się, że jest ich tylko czworo i już dawno doszli do wniosku, że dwie córki z powodzeniem im wystarczą. Jim zawsze powtarzał, że Grace jest piękna, a Wiktoria mądra. I że na świecie jest miejsce dla jednych i drugich. Chciał, żeby Wiktoria poszła na studia i zrobiła karierę.

- Musisz wykorzystać swój umysł i wiedzę - mówił, jakby nie miała do zaoferowania nic innego.

- Nie tylko - dodawała mama; martwiło ją czasem, że Wiktoria jest taka bystra i rozgarnięta. - Chłopcy nie lubią zbyt mądrych dziewcząt. Musisz być mądra i ładna.

Przez cały rok wypominała jej nadmierną wagę i ucieszyła się, że córka zrzuciła trzy i pół kilo, nie mając pojęcia, jak to zrobiła i jakim kosztem. Pragnęła, żeby Wiktoria była szczupłą, nie tylko inteligentną. O wiele mniej martwili się o śliczną i czarującą Grace, która już w wieku siedmiu lat mogłaby podbić świat. Jim był jej niewolnikiem.

Pod koniec lata całą rodziną pojechali na dwa tygodnie do Santa Barbara i dobrze się tam bawili. Tak jak zwykle, Jim wynajął dom w Montecito i codziennie chodzili na plażę. Któregoś dnia Jim powiedział coś niepochlebnego o jej figurze i od tej pory Wiktoria wkładała na kostium bluzkę i za nic nie chciała jej zdjąć. Ojciec ciągle powtarzał, że córka ma za duży biust i łagodził to, dodając, że ma również zabójcze nogi. O wiele częściej mówił o jej ciele, niż o znakomitych stopniach. Dobrych stopni po prostu oczekiwał, ale nigdy nie omieszkał podkreślić, że jest rozczarowany jej wyglądem, jakby w jakiś sposób zawiodła i jakby odbijało się to na nim. Wiktoria słyszała te słowa już przedtem, i to wiele razy. On i mama chodzili razem na długie spacerunki brzegiem morza, podczas gdy ona pomagała Grace budować zamki z piasku, kamieni, kwiatów i patyczków od

lizaków. Grace uwielbiła się z nią bawić i Wiktoria była szczęśliwa. Uwagi ojca zawsze ją przygnębiały. Mama udawała, że ich nie słyszy, nigdy jej nie pocieszała, nigdy nie stanęła w jej obronie. Wiktoria czuła, że mama też jest zawiedziona jej urodą.

W domu po drugiej stronie ulicy mieszkał chłopiec, który się jej podobał, Jake. Byli rówieśnikami i na jesieni Jake wyjeżdżał do szkoły z internatem na południu Kalifornii. Spytał, czy może do niej napisać, zgodziła się i dała mu swój adres. Do późnej nocy rozmawiali o tym, co ich czeka i jak bardzo są zdenerwowani. Pijąc piwo, które Jake wykradł z barku rodziców, i paląc papierosa, Wiktoria przyznała mu się po ciemku, że w gimnazjum nie była za bardzo lubiana. Jake nie rozumiał dlaczego. Uważał, że jest dziewczyną bystrą, zabawną i miłą. Bardzo lubił z nią rozmawiać. Wiktoria nigdy przedtem nie piła piwa ani nie paliła i po powrocie do domu zwymiotowała. Ale nikt tego nie zauważył. Rodzice leżeli już w łóżku, Grace spała w sąsiednim pokoju. A nazajutrz Jake wyjechał. Przed rozpoczęciem nauki chciał odwiedzić dziadków w Lake Tahoe. Ona nie miała już dziadków i czasami myślała, że to dobrze, bo teraz tylko rodzice krytykowali ją za wygląd. Mama uważała, że Wiktoria powinna ściąć włosy i zacząć się odchudzać. Chciała, żeby córka poszła na gimnastykę artystyczną albo na balet, i ani jej w głowie powstało, jak koszmarnie Wiktoria by się czuła, stojąc w trykotach przed innymi dziewczętami. Prędzej by umarła. Wolą być gruba, niż próbować schudnąć w ten sposób. Łatwiej już było pochorować się po tej paskudnej herbacie ziołowej.

Po wyjeździe Jake'a w Montecito zrobiło się nudno. Wiktoria zastanawiała się, czy chłopak napisze do niej ze szkoły. Do końca pobytu bawiła się z siostrą. Nie przeszkadzało jej, że Grace jest siedem lat młodsza, i świetnie się z nią czuła. A rodzice mówili znajomym, że w ich przypadku

siedem lat różnicy nie ma najmniejszego znaczenia. Wiktoria ani przez sekundę nie była zazdrosna o siostrę, a ponieważ miała już czternaście lat, uznano, że może zostawać z nią sama. I rzeczywiście, oni coraz częściej wychodzili, a ona coraz częściej zostawała z Grace w domu.

Raz porządnie najedli się strachu, bo któregoś popołudnia Grace za daleko weszła do wody, a akurat był odpływ. Wiktoria, która jej pilnowała, wróciła na chwilę na brzeg po krem dla siostry. Właśnie wtedy rozpoczął się odpływ i wzmogły się prądy wodne. Fala przewróciła Grace, w ułamku sekundy pociągnęła ją za sobą i wepchnęła pod wodę. Wiktoria zobaczyła to, z przeraźliwym krzykiem rzuciła się na pomoc, zanurkowała i kiedy, krztusząc się i prychając, wychyłała z wody z siostrą w ramionach, zalała je kolejna fala. Wtedy nadbiegli rodzice. Nie zważając na fale, ojciec chwycił obie dziewczynki silnymi rękami i wyniósł je na brzeg, podczas gdy mama zamarła i zaniemówiła z przerażenia.

Tato zwrócił się najpierw do Grace.

- Nigdy więcej tego nie rób! Nie baw się sama w wodzie!

Potem surowym wzrokiem spojrzął na Wiktorię.

- Jak mogłaś zostawić ją samą?

Wiktoria trzęsła się i płakała. Mokra bluzka przywarła do jej ciała jak druga skóra.

- Poszłam po krem - wyszłochała. - Żeby nie spiekło jej słońce.

Mama bez słowa owinięła ręcznikiem Grace, której posiniały usta. Dziewczynka za długo była w wodzie.

- Omal się nie utopiła! - krzyknął ojciec, trzęsąc się z gniewu i strachu. Rzadko kiedy gniewał się na córki, ale teraz był naprawdę wstrząśnięty. Nie obeszło go to, że Wiktoria rzuciła się siostrze na ratunek i wyciągnęła ją z wody, zanim nadbiegł. Był za bardzo zdenerwowany, ona też.

Grace schroniła się w ramionach mamy, która owineła ją ręcznikiem. Mokre włoski okleiły jej głowę.

- Przepraszam, tatusiu - szepnęła Wiktoria.

Ojciec odwrócił się i odszedł. Mama wciąż pocieszała jej młodszą siostrę, Wiktoria wierzchem dłoni wytarła łzy.

- Przepraszam, mamusiu.

Mama kiwnęła głową i podała jej ręcznik. Wymowa tego gestu była aż nadto oczywista.

W ogólniaku szło jej dużo lepiej, niż się spodziewała. Zajęcia były dobrze zorganizowane, nauczyciele mili, a przedmioty ciekawsze niż w gimnazjum. Pod względem naukowym uwielbiała nową szkołę i była nią podekscytowana. Ale towarzysko czuła się jak wyrzucona na brzeg ryba i kiedy pierwszego dnia zobaczyła swoje nowe koleżanki, przeżyła wstrząs. Wszystkie wyglądały o wiele ładniej i modniej niż te, które znała dotychczas. Niektóre były prowokacyjnie ubrane i wydawały się dużo starsze. Wszystkie się malowały i było wśród nich wiele szczupłych, a nawet chudych. Najwyraźniej wiedziały już co to anoreksja i bulimia. Tego pierwszego dnia Wiktoria czuła się tam jak wielka, brzydka kłępa, a przecież pragnęła wyglądać „coolowo”, tak jak one. Uważnie przypatrywała się ich strojom, choć wiedziała, że w większości wyglądałyby fatalnie, nie licząc może miniówek. Żeby ukryć swoje kształty, włożyła džinsy i luźną bluzkę. Miała długie, jasne włosy, świeżą, rumianą twarz i była w adidasach, które kupiła z mamą poprzedniego dnia. I znowu nie trafiła. Źle się ubrała i rzucała się w oczy. Dziewczyny, które zobaczyła przed szkołą, były tak odstawione, jakby przyjechały tu na konkurs piękności. Wyglądały na osiemnaście lat i niektóre pewnie tyle miały. Ale nawet te w jej wieku robiły wrażenie starszych. Miała przed sobą stadko szczuplutkich, seksownie ubranych nastolatek. Chciało jej się płakać.

- Powodzenia - rzuciła z uśmiechem mama. - Miłego dnia.

Wiktoria miała ochotę schować się w samochodzie. W trzęsącej się ręce ścisnęła plan lekcji i plan szkoły. Dałaby wszystko, żeby nie musieć pytać nikogo o drogę. Nagle ogarnął ją strach, strach tak wielki, że bała się, iż zaraz wybuchnie płaczem.

- Wszystko będzie dobrze - dodała mama.

Wiktoria w końcu wysiadła i wzięwszy się w garść, wbiegła na schody, na nikogo nie patrząc, nie przystając i nie mówiąc nikomu „cześć”. Stała oko w oko z armią pięknych, odłotowo ubranych dziewcząt, z pełną świadomością, że ona taka nie jest.

Kilka z nich zobaczyła potem w stołówce i obesła szerokim łukiem. Wziąwszy torebkę chipsów, dużą kanapkę, jogurt i paczkę czekoladowych ciasteczek, usiadła samotnie przy stoliku, ale po chwili podeszła do niej jakaś dziewczyna. Była od niej wyższa i chuda jak patyk. Wyglądała na taką, która potrafiłaby ograć w kosza większość chłopaków i spytała, czy może się przysiąść.

- Można?

- Oczywiście - odrzekła Wiktoria, otwierając chipsy. Dziewczyna miała na tacy dwie kanapki, ale pewnie

mogłaby zjeść wszystko i nie przytyć ani grama. Gdyby nie długie, brązowe włosy, wyglądałaby jak chłopak. Ona też nie miała makijażu i tak jak Wiktoria, była w dżinsach i adidasach.

- Pierwszaczka? - spytała, odwijając kanapkę. Sparaliżowana nieśmiałością Wiktoria tylko kiwnęła głową. - Mam na imię Connie. Jak się pewnie domyślasz, jestem kapitanem naszej drużyny koszykarskiej. Mam sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Chodzę do trzeciej klasy. Witaj w szkole. Jak ci tu? Dobrze?

- Nieźle - odparła Wiktoria, siląc się na obojętność. Nie

chciała mówić, że jest śmiertelnie przerażona i czuje się jak dziwadło. Zastanawiała się, czy Connie też się tak początkowo czuła. Była opanowana i swobodna i wyglądało na to, że zdążyła już siebie polubić, ale z drugiej strony, dosiadła się do pierwszaczki, więc może nie miała przyjaciół. Bo jeśli miała, to gdzie się podziali? Była wyższa prawie od wszystkich chłopców w stołówce.

- Przestałam rosnać w wieku dwunastu lat - rzuciła dla podtrzymania rozmowy. - Mój brat jest dziesięć centymetrów wyższy. Dostał stypendium sportowe i gra teraz na uniwerku. Uprawiasz jakiś sport?

Wiktoria odchrząknęła.

- Gram trochę w siatkę, ale nie za dobrze. - Zawsze wolała się uczyć, niż biegać za piłką.

- Jest tu kilka dobrych drużyn. Może zagrasz kiedyś i w kosza. Mamy dużo dziewczyn twojego wzrostu.

„Ale nie mojej wagi”, chciała dodać Wiktoria. Doskonale wiedziała, jak te dziewczyny wyglądają i wchodząc do szkoły, miała wrażenie, że jest dwa razy grubsza od nich. Dlatego przy kimś, kto nie był anorektycznie wychudzony albo wystrojony jak na randkę, poczuła się trochę lepiej. Tak, Connie była przyjacielska i miła.

- Trochę to potrwa, ale przywykniesz - ciągnęła Connie. - Pierwszego dnia czułam się naprawdę dziwnie. Wszyscy chłopcy sięgali mi do ramienia. A wszystkie dziewczyny były ładniejsze ode mnie. Ale każdy znajdzie tu coś dla siebie. Sportowcy, strojnisi, modnisi, pięknisi, geje, lesbijki - możesz wybierać i przebierać, i z czasem na pewno się z kimś zaprzyjaźnisz.

Wiktoria cieszyła się, że Connie się do niej przysiadła. Czuła, że znalazła nową przyjaciółkę. Connie skończyła już drugą kanapkę, a ona z zakłopotaniem spostrzegła, że ze zdenerwowania zjadła tylko chipsy i ciasteczka. Postanowiła wypić jogurt, a resztę zostawić na potem.

- Gdzie mieszkasz? - spytała z zainteresowaniem Connie.
- W Los Angeles.
- Ja codziennie dojeżdżam z hrabstwa Orange. Mieszkam z tatą.

Mama umarła w zeszłym roku.

- Bardzo mi przykro - powiedziała współczująco Wiktoria.

Connie wstała, wyprostowała się na całą wysokość, a ona poczuła się przy niej jak karlica. Connie podała jej kartkę z numerem telefonu. Wiktoria podziękowała i schowała kartkę do kieszeni.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Pierwsze dni zawsze są ciężkie. Ale potem jest lepiej. I koniecznie zapisz się na kosza.

Wiktoria nie widziała siebie na boisku, ale było jej bardzo miło, że uczennica trzeciej klasy podeszła do niej tylko po to, żeby ciepło ją powitać i ułatwić pierwsze chwile w nowej szkole. Bo nie miała już wątpliwości, że Connie przysiadła się do niej celowo. Kiedy rozmawiały, tuż obok przeszedł szybko wysoki, przystojny chłopak.

- Cześć - rzucił z uśmiechem, śmigając przejściem z książkami w ręku. - Znowu werbujesz?

- Pewnie! - Connie roześmiała się wesoło. - To kapitan naszej drużyny pływackiej - dodała, kiedy chłopak odszedł. - Pływanie też by ci się spodobało. Spróbuj.

- Pewnie bym się utopiła - odrzekła zmieszana Wiktoria. - Słabo pływam.

- Nie musisz być od razu mistrzynią. Nauczysz się. Po to są trenerzy. W pierwszej klasie też pływałam, ale nie lubię wczesnie wstawać. Treningi są o szóstej rano, a przed zawodami nawet o piątej.

- Chyba sobie odpuszczę - odparła z uśmiechem Wiktoria.

Ale widać było, że ma jakiś wybór. Otwierał się przed nią zupełnie inny świat. I wszystkim się tu chyba podo-

bało, wszyscy znaleźli coś dla siebie. Miała nadzieje, że ona też znajdzie. Connie powiedziała, że przed stołówką wiszą listy wszystkich klubów i kół zainteresowań i że można się na nie wpisać. Kiedy wychodziły, pokazała jej tablicę i Wiktoria przystanąła, żeby popatrzeć. Klub szachowy, klub miłośników horrorów filmowych, klub literacki, klub łacinników, klub miłośników romansów, klub archeologiczny, klub narciarski, tenisowy i podróżniczy. Dziesiątki klubów i kół. Najbardziej zainteresowała ją łacina i film. Ale za bardzo się wstydziła, żeby wpisać się na listę. Łaciny uczyła się w gimnazjum i bardzo lubiła ten język. Klub filmowy też brzmiał zachęcająco. No i ani w jednym, ani w drugim nie musiałyby się rozbierać czy nosić stroju, w którym wyglądałyby jak spaślaczka. Z tego właśnie powodu nigdy nie wstąpiłyby do klubu pływackiego, chociaż wbrew temu, co powiedziała Connie, pływała całkiem dobrze; koszykówka też jej nie pociągała, bo musiałyby biegać w szortach. Fajnie mogłoby być w klubie narciarskim. Co roku jeździła na narty z rodzicami. Ojciec był kiedyś prawdziwym mistrzem, mama też. Grace jeździła na nartach od trzeciego roku życia, tak jak ona.

- Na razie - rzuciła Connie i odeszła na swoich żyrafich nogach.

- Dziękuję! - zawołała Wiktoria i pobiegła na lekcję. Gdy o trzeciej spod szkoły odebrała ją mama, Wiktoria była w dobrym humorze.

- Jak poszło? - spytała Christine z ulgą, widząc, że córka jest zadowolona i uśmiechnięta. Nie mogło być aż tak źle.

- Całkiem dobrze - odparła wesoło Wiktoria. - Podobało mi się. Jest o niebo, o całe niebo lepiej niż w gimnazjum. Rano miałam biologię i chemię, po południu angielski i hiszpański. Nauczyciel hiszpańskiego jest trochę dziwny, bo nie pozwala nam mówić w klasie po angielsku, ale pozostali są spoko. I przejrzałam listę kół zaintereso-

wań. Jeszcze nie wiem, ale zapiszę się chyba do klubu narciarskiego i filmowego, a może i na łacinę.

- Bardzo dobrze - powiedziała mama. - Widzę, że jak na pierwszy dzień świetnie sobie poradziłaś.

Wiktoria też tak uważała. Pojechały po Grace, do jej starej szkoły. Kiedy zaparkowały, poczuła się nagle tak, jakby od czerwca minęło tysiąc lat. Nagle dojrzała i wydoroślała - ostatecznie chodziła teraz do ogólniaka i nie było jej tam źle. Wbiegła do szkoły.

Mała Grace tonęła we łzach.

- Co się stało? - spytała Wiktoria, biorąc ją na rękę. Siostra miała już siedem lat, ale wciąż była drobniutka i lekka jak piórko.

- Miałam okropny dzień. Dawid rzucił we mnie jaszczurką, Lizzie zabrała mi kanapkę z masłem orzechowym, a Janie mnie uderzyła! - Grace była zła i oburzona. - Przez cały dzień płakałam.

- Ja też bym płakała, gdyby to wszystko przydarzyło się mnie - zapewniła ją Wiktoria, kierując się do samochodu.

Grace odeła wargi.

- Chcę, żebyś wróciła. Bez ciebie jest smutno.

- Chciałabym - odparła Wiktoria, ale nagle uświadomiła sobie, że nie jest tego pewna. W ogólniaku było całkiem nieźle, przynajmniej tego dnia, lepiej, niż się spodziewała. Czuła, że otwiera się przed nią szereg nowych możliwości i chciała je zbadać. Kto wie, może jednak będzie tam pasowała. - Ja też za tobą tęsknię. - Ze smutkiem pomyślała, że już nigdy nie będą chodziły do jednej szkoły. Dzieliła je zbyt duża różnica wieku.

Posadziła siostrę na tylnym siedzeniu i Grace opowiedziała o swoich nieszczęściach matce, która oczywiście bardzo jej współczuła. Wiktoria nie omieszkała zauważyć -który to już raz? - że mama okazuje Grace dużo więcej czułości niż jej. Ich związek był inny, dla rodziców dużo

prostszy. Dzięki temu, że Grace była do nich podobna, łatwiej nawiązywali z nią kontakt. Siostra należała do ich „klanu”, a Wiktoria nie. Zastanawiała się czasem, czy kiedy była mała, mama nie umiała być mamą i nauczyła się tego dopiero przy Grace. A może po prostu lepiej się z nią czuła. Trudno było powiedzieć, ale bez względu na powody mama wobec Wiktorii zawsze była bardziej oschła, krytyczna, bardziej zdystansowana i wymagająca, tak jak tato. A Grace? Uważali, że Grace jest chodzącym ideałem. Może oboje z wiekiem zmiękli. W każdym razie nie bez znaczenia było to, że mała była ich lustrzanym odbiciem. Kiedy urodziła się ona, Wiktoria, mieli po dwadzieścia kilka lat, teraz przekroczyli już czterdziestkę. Może właśnie dlatego lubili ją mniej niż Grace. Bo z Grace nigdy nie żartowali i to nie ją nazwali imieniem brzydkiej angielskiej królowej.

Wieczorem ojciec też spytał ją o pierwszy dzień szkoły, a ona opowiedziała mu o lekcjach i kółkach zainteresowań, tak jak przedtem mamie. Tato uważał, że bardzo dobrze wybrała, zwłaszcza łacinę, że w klubie narciarskim będzie miała świetną zabawę i na pewno pozna jakiegoś chłopca. Natomiast mama była zdania, że łacina brzmi za mądrze i żeby znaleźć nowych przyjaciół, Wiktoria powinna zapisać się gdzieś, gdzie chodzi dużo osób. Oboje zdawali sobie sprawę, że w gimnazjum prawie z nikim się nie spotykała. Ale teraz, w ogólniaku, miała znacznie więcej możliwości, a gdyby w trzeciej klasie zrobiła prawo jazdy, nie musieliby nigdzie jej wozić. Nie mogli się już doczekać, ona też. Nie lubiła, kiedy ojciec dogryzał jej w obecności znajomych, a robił to, ilekroć gdzieś ich odwoził, uważając, że to bardzo zabawne. Ona nigdy tak nie uważała.

Nazajutrz zapisała się do trzech klubów, które zainteresowały ją poprzedniego dnia, ale zrezygnowała z tych sportowych. Wychowanie fizyczne postanowiła zaliczyć,

chodząc na zwykły wf., chociaż mogłaby pójść i na balet, ale bieganie po sali w trykotach, spódniczkach i baletkach, byłoby prawdziwym koszmarem. Aż się wzdrygnęła, kiedy jej to zaproponowano.

Trochę to trwało, ale z czasem poznała sporo osób. Z klubu filmowego się wypisała, bo nie podobały jej się filmy, które im puszczano. Z klubem narciarskim wybrała się na stok do Niedźwiedziej Doliny, ale koledzy i koleżanki, z którymi pojechała, byli bardzo zarozumiali i nie chcieli z nią rozmawiać. Dlatego rzuciła narty i wstąpiła do klubu podróżniczego. Uwielbiała też zajęcia w klubie łacinników, chociaż przychodziły tam same dziewczyny, i uczyła się łaciny przez cały rok. Owszem, miała nowych znajomych, ale nawiązywanie przyjaźni, takich prawdziwych, wcale nie było łatwiejsze niż w gimnazjum. Dziewczyny podobierały się w hermetycznie zamknięte grupki, wyglądały jak królowe piękności i były zupełnie nie w jej stylu. Natomiast te, z którymi chodziła na łacinę, były nieśmiałe i praktycznie nie ruszały się z domu. Przez dwa lata przyjaźniła się z Connie, ale Connie dostała stypendium do Duke i wyjechała. Do tej pory Wiktoria zdążyła już zadomowić się w szkole. Od czasu do czasu pisał do niej Jake, ten, którego poznała w Montecito, ale ani razu się nie spotkali. Ciągłe powtarzali, że tak, że na pewno się spotkają, ale nic z tego nie wychodziło.

Na pierwszą randkę poszła w drugiej klasie, kiedy chłopak, z którym chodziła na hiszpański, zaprosił ją na bal na koniec roku. To było naprawdę wielkie wydarzenie. Connie mówiła, że jest fajny i naprawdę był, dopóki nie upił się w toalecie z kumplami i dopóki go nie wyrzucano. Musiała zadzwonić do ojca, żeby po nią przyjechał.

Swój pierwszy samochód dostała w wakacje po drugiej klasie, a ponieważ egzamin na prawo jazdy zdała rok wcześniej, mogła już prowadzić. Od tej pory jeździła do

szkoły sama. Ojciec kupił jej starą hondę i bardzo się z tego cieszyła.

Nikomu o tym nie mówiła, ale po drugiej klasie znowu przytyła. Latem. I to aż cztery i pół kilo. Pracowała w lodziarni i podczas wszystkich przerw jadła lody. Mama bardzo się denerwowała, mówiła, że to nie jest praca dla niej. Że Wiktoria nie może oprzeć się pokusie, czego najlepszym dowodem jest jej tusza.

- Z dnia na dzień coraz bardziej przypominasz swoją prababkę. - Ojciec powiedział to tylko raz, ale uwaga była nader celna. Wiktoria codziennie przynosiła dla Grace lody w kształcie małych klaunów. Siostra je uwielbiała, ale bez względu na to, ile ich zjadła, nigdy nie przytyła ani grama. Miała już dziewięć lat, a ona szesnaście.

Ale największą korzyścią z pracy w lodziarni było to, że zarobiła na wyjazd do Nowego Jorku z klubem podróżniczym. Pojechali podczas przerwy bożonarodzeniowej i wyjazd ten na zawsze odmienił jej życie. Nigdy przedtem nie była w mieście tak podniecającym jak to, i podobało jej się tam dużo bardziej niż w Los Angeles. Mieszkali w Marriotcie niedaleko Times Square i codziennie chodzili na długie spacery. Byli w teatrze, w operze, na balecie, jeździli metrem, byli na szczycie Empire State Building, w Metropolitan Museum, w Muzeum Sztuki Współczesnej, w gmachu ONZ - bawiła się jak nigdy w życiu. Przeżyli nawet śnieżycę i po powrocie do domu długo nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. Nowy Jork był najcudowniejszym miastem, jakie widziała, i chciała tam kiedyś zamieszkać. Gdyby udało jej się dostać na tamtejszy uniwersytet albo do college'u Barnarda, mogłaby tam nawet studiować. Chociaż miała bardzo dobre stopnie, wiedziała, że to mało prawdopodobne, ale myślała o tym przez wiele miesięcy.

Swego pierwszego poważnego chłopaka poznała tuż po Nowym Roku. Mike też był członkiem klubu podróżni-

czego, ale nie pojechał z nimi do Nowego Jorku. Latem zamierzał zwiedzić Londyn, Ateny i Rzym. Jej rodzice nie pozwolili jechać, powiedzieli, że jest za młoda, chociaż niedługo kończyła siedemnaście lat. Mike był w ostatniej klasie i miał rozwiedzionych rodziców, więc zgodę na jego wyjazd musiał podpisać ojciec. Wiktoria uważała, że jest bardzo dorosły i obyty, i była w nim do szaleństwa zakochana. Przy nim pierwszy raz w życiu czuła się ładna. Bardzo mu się podobała, tak mówił. Po wakacjach szedł na uniwersytet metodystów i spędzali razem dużo czasu, chociaż jej rodzice tego nie pochwalali. Uważali, że jest dla niej za głupi. Ale ona miała to gdzieś. Podobała mu się i czuła się przy nim szczęśliwa. Często pieścili się w samochodzie, ale nie chciała pójść na całość. Za bardzo bała się tego kroku. Powiedziała mu, że nie jest jeszcze gotowa. No i w kwietniu rzucił ją dla dziewczyny, która była. Tamtą zabrał na bal maturalny, a ona siedziała sama w domu, próbując ukoić złamane serce. W ciągu całego roku był jedynym chłopcem, który gdzieś ją zaprosił.

Rzadko kiedy umawiała się na randki i miała niewielu przyjaciół. Latem przeszła na specjalną dietę. Pilnie jej przestrzegała i schudła ponad trzy kilo. Ale kiedy tylko skończyła dietę, od razu „odbiła”, wróciła do dawnej wagi, a zaraz potem, na domiar złego, przytyła prawie półtora kilo. Do końca wakacji chciała zrzucić jak najwięcej, bo nauczycielka wf. powiedziała, że waży prawie siedem kilo za dużo. Na początku czwartej klasy zrzuciła ponad dwa, jedząc mniejsze porcje mniej kalorycznego jedzenia i przyrzekła sobie, że do rozdania dyplomów zrzuci jeszcze więcej. I pewnie by tak było, gdyby w listopadzie nie zachorowała na mononukleozę i nie jadła lodów, żeby mniej bolało ją gardło. Los sprzysiągł się przeciwko niej. Była jedyną dziewczyną w klasie, która, chorując na mononukleozę, przytyła ponad trzy i pół kilo. Zdawało się, że nigdy w ży-

ciu nie wygra ze swoją tuszą. Ale postanowiła dać z siebie wszystko i dużo pływała, przez całą przerwę bożonarodzeniową i długo potem, bo aż do końca stycznia. I codziennie przed lekcjami biegała na stadionie szkolnym. Schudła cztery i pół kilo i mama była z niej dumna.

Chciała zrzucić jeszcze trzy i pół, ale pewnego ranka ojciec spojrzął na nią i spytał, kiedy wreszcie zacznie ćwiczyć, żeby choć trochę schudnąć. Nawet nie zauważył, że zrzuciła prawie pięć kilo. Zaraz potem przestała pływać i biegać, i zaczęła jeść lody po szkole, chipsy na lunch i większe porcje na kolację. Bo co to za różnica? Po co miała się odchudzać? Nikt tego nie zauważał, nikt jej nigdzie nie zapraszał. Ojciec zaproponował, że zabierze ją na swoją siłownię, ale powiedziała, że ma dużo nauki i nie musiała nawet kłamać, bo rzeczywiście miała.

Intensywnie pracowała nad stopniami i złożyła podanie na siedem uczelni: na Uniwersytet Nowojorski, do college'u Barnarda, na Uniwersytet Bostoński, do college'u Weinberga w Northwestern, na Uniwersytet Jerzego Waszyngtona w stolicy, na Uniwersytet New Hampshire i do Trinity College. Wszystkie były albo na wchodzie, albo na środkowym wschodzie kraju. Zrezygnowała z college'ów w Kalifornii i rodzice bardzo się zdenerwowali. Nie bardzo wiedziała dlaczego, ale czuła, że musi wyjechać. Czuła, że jest inna, że nigdy do nich nie pasowała i chociaż wiedziała, że będzie za nimi tęsknić, zwłaszcza za małą Grace, chciała rozpocząć nowe życie. Teraz miała szansę i zamierzała ją wykorzystać, póki jeszcze mogła. Miała dość rywalizowania i chodzenia do szkoły z dziewczynami, które wyglądały jak gwiazdeczki filmowe i modelki, i miała nadzieję, że się jej uda. Ojciec chciał, żeby poszła na Uniwersytet Południowej Kalifornii albo na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles, ale ona zdecydowanie odmówiła. Wiedziała, że tam będzie tak samo jak w ogólniaku albo

jeszcze gorzej. Chciała pójść gdzieś, gdzie byli prawdziwi ludzie, ludzie, którzy nie mieli obsesji na punkcie swego wyglądu. Chciała pójść do college'u, gdzie studiują ci, dla których najważniejszy jest umysł i myślenie.

Nie dostała się do Nowego Jorku ani do Bostonu, do uczelni swego pierwszego wyboru, nie dostała się również do Waszyngtonu. Pozostał jej college Weinberga w Northwestern, New Hampshire i Trinity. Trinity College bardzo się jej podobał, ale wolała coś większego. W New Hampshire można było fajnie pojeździć na nartach, lecz po namyśle zdecydowała się Northwestern. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że uczelnia mieściła się daleko od domu, a po drugie, uchodziła za bardzo dobrą. Rodzice byli dumni z jej wyboru, ale i zdenerwowani, bo córka miała wyjechać z Kalifornii, a oni nie rozumieli po co i dlaczego. Nie mieli pojęcia, jak bardzo niechciana czuła się w domu i od jak dawna. Ich jedynym dzieckiem była Grace, a ją traktowali jak domowego psa przybłądę. Nie była nawet do nich podobna i nie mogła już tego znieść. Wrócić do Los Angeles? Może po studiach, ale teraz musiała wyjechać.

Ponieważ była jedną z trzech najlepszych uczennic w klasie, poproszono ją o wygłoszenie mowy pożegnalnej na uroczystości wręczenia dyplomów, i zadziwiła wszystkich swoją powagą i dojrzałością. Mówiła o tym, jak bardzo inna czuła się przez całe życie, jak bardzo niedostosowana i jak bardzo starała się być taka jak jej koledzy i koleżanki. Nie była sportsmenką i nigdy nie chciała nią być. Nie była „cool”, nie lasnowała się, w pierwszej klasie ubierała się inaczej niż większość dziewcząt. Zaczęła się malować dopiero w drugiej, ale nawet teraz nie malowała się codziennie. Uwielbiała łacinę, chociaż wszyscy uważali ją za dziwaczkę. Przedstawiła długą listę rzeczy, które sprawiały, że była inna, ani słowem nie wspominając, że jeszcze bardziej obco czuła się w domu.

A potem podziękowała szkole za to, że pomogła jej stać się tym, kim się stała, że pomogła jej odnaleźć samą siebie. Powiedziała, że teraz wszyscy wejdą w świat, gdzie wszystko i każdy będzie inny, gdzie nikt nie będzie nigdzie pasował, gdzie będą musieli być sobą, że jeśli nie pójdą własną drogą, nigdy nie odniosą sukcesu. Koleżankom i kolegom z rocznika życzyła powodzenia w tej wielkiej podróży w poszukiwaniu samego siebie. Wyraziła nadzieję, że kiedy się wreszcie odnajdą, kiedy odkryją, kim tak naprawdę są, kiedy już się tym kimś staną, któregoś dnia spotkają się znowu.

- A tymczasem - zakończyła, widząc łzy w oczach koleżanek i swoich rodziców - życzę wam wszystkim powodzenia.

Po tej przemowie wielu obecnych na sali żałowało, że nie znali jej lepiej. Rodzicom zaimponowała elokwencją. I jeszcze bardziej uzmysłowiła im, że już niedługo wyjedzie, dlatego gratulując jej, byli bardzo wzruszeni. Mama zdała sobie sprawę, że traci córkę, być może na zawsze. Ojciec też posmutniał, kiedy spotkali się po uroczystości, kiedy uczniowie podrzucili już czapki, zachowując na pamiątkę frędzle do kompletu z dyplomem. Klepnął ją lekko w plecy.

- Piękne przemówienie - pochwalił. - Wszystkie szkolne dziwolągi od razu poczuły się lepiej - dodał szczerze.

Popatrzyła na niego. Czasem zastanawiała się, czy jest złośliwy, czy może po prostu głupi. Nigdy nic nie rozumiał. Teraz wyraźnie to widziała.

- Tak, tatusiu - odrzekła spokojnie. - Dziwolągi takie jak na przykład ja. Bo ja też do nich należę. Do tych wszystkich zwariowanych dziwaków. Chodziło mi o to, że inność nie jest zła, że jeśli chcemy coś osiągnąć, od tej pory powinniśmy być inni. To jedna z najważniejszych rzeczy, jakich tu się nauczyłam. Inność jest dobra.

- Inność - powtórzył nerwowo ojciec. - Mam nadzieję, że niezbyt rzucająca się w oczy.

Jim Dawson przez całe życie był konformistą i bardzo zależało mu na dobrym wizerunku. Nigdy w życiu nie wymyślił niczego oryginalnego. Do cna przesiąknięty duchem korporacyjnej jednomyślności, nie zgadzał się z filozofią córki, chociaż szczerze podziwiał jej przemówienie i to, że tak ładnie je wygłosiła. Nareszcie zrozumiał, że coś po nim odziedziczyła. On też słyszał kiedyś ze znakomitych przemówień. Ale nigdy nie lubił się wyróżniać, nie lubił być innym. To nie leżało w jego naturze. Wiktoria dobrze o tym wiedziała, dlatego nie czuła się przy nim swobodnie, a teraz było jeszcze gorzej, bo uświadomiła sobie w pełni, jak bardzo różni się i od niego, i od mamy. To właśnie dlatego, rozpoczynając przygodę swego życia, musiała wyjechać z domu. Jeśli miała kiedykolwiek odnaleźć siebie i swoje miejsce w świecie, musiała opuścić tę bezpieczną przystań. Na razie wiedziała tylko, że miejsce to jest gdzie indziej, na pewno nie tutaj, nie w Los Angeles, nie przy rodzicach. Mogłaby starać się i próbować dalej, ale niczego by to nie zmieniło.

Uświadomiła sobie również, że Grace powoli staje się taka jak oni, że ona do nich pasuje, i to doskonale. Była identyczna, była ich klonem. Miała nadzieję, że pewnego dnia siostrzyczka rozwinie skrzydła i odleci. Tymczasem odlecieć musiała ona. Nie mogła się już doczekać, chociaż czasem bardzo się tego bała. Tak, wyjazd z domu, wyjazd być może na zawsze, był czymś przerażającym, ale i podniecającym. Dziewczynka, której przez całe życie wmawiano, że wygląda jak królowa Wiktoria, nareszcie wyruszała w swoją najpiękniejszą podróż.

Wychodząc ze szkoły ostatni raz, uśmiechnęła się do siebie i szepnęła:

- Uważaj, świecie. Nadchodzę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ostatnie lato przed studiami miało gorzko-słodki smak. Rodzice nigdy dotąd nie byli dla niej tak mili, chociaż przedstawiając ją swemu współpracownikowi, ojciec nie omieszkał wspomnieć, że była ich ciastem na próbę. Ale kilka razy powiedział również, że jest z niej dumny, co bardzo ją zaskoczyło, bo zupełnie o tym nie wiedziała. Mama była smutna z powodu jej wyjazdu, chociaż ani razu się do tego nie przyznała. Wyglądało to tak, jakby spóźnili się na ostatni pociąg. Dzieciństwo i lata spędzone w szkole średniej dobiegły końca i Wiktoria zastanawiała się, dlaczego stracili tyle czasu, skupiając się na nie tych rzeczach, co trzeba: na jej wyglądzie, na jej przyjaciółkach i na ich braku, na jej tuszy i podobieństwie do prababki, której nikt nie znał, która nikogo nie obchodziła i po której podobno odziedziczyła nos. Dlaczego? Dlaczego akurat na tym? Dlaczego nie próbowali się do niej zbliżyć, bardziej pokochać ją i wesprzeć? Teraz nie było już czasu na budowę nowych mostów, bo mosty te powinny były istnieć przez cały czas. Byli sobie zupełnie obcy i nie przypuszczała, żeby kiedykolwiek miało się to zmienić. Opuszczała dom i mogła już tu nigdy nie wrócić.

Wciąż marzyła, żeby po studiach zamieszkać w Nowym

Jorku. Wiedziała, że będzie przyjeżdżała do Los Angeles na Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia, że rodzice też będą ją odwiedzać, ale nie było już czasu na zdeponowanie w banku miłości, którą powinni byli oszczędzać od dnia jej narodzin. Pewnie ją kochali - ostatecznie byli jej rodzicami i mieszkała z nimi przez osiemnaście lat, ale ojciec przez całe życie się z niej naśmiewał, a zawiedziona jej urodą mama wiecznie narzekała, że córka jest za mądra, twierdząc, że mężczyźni wolą głupsze. Jej całe dzieciństwo było prawdziwym przekleństwem. A teraz, kiedy wyjeżdżała, mówili, że będą za nią tęsknić. Słyszając te słowa, zastanawiała się, dlaczego tak długo ignorowali ją, zamiast doceniać. Teraz było już za późno. Czy naprawdę ją kochali? Nie była tego pewna. Kochali Grace. A ją?

Grace, jej mała siostrzyczka. Tylko jej żałowała, tylko z nią nie chciała się rozstawać, z aniołkiem jej życia, który sfrunął z nieba, kiedy miała siedem lat i kochał ją bezwarunkowo, oczywiście z wzajemnością. Nie mogła znieść myśli, że będzie musiała ją zostawić, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Grace skończyła jedenaście lat i rozumiała już, że Wiktoria jest inna i że ojciec bywa wobec niej złośliwy. Nie lubiła, kiedy tak boleśnie z niej szydził, kiedy się z niej wyśmiewał, czy wytykał, jak bardzo się od nich różni. Wiktoria była dla niej piękna i nie obchodziło jej, czy jest gruba, czy chuda. Uważała, że ma najpiękniejszą siostrę w świecie i kochała ją jak nikt inny.

Wiktoria nie chciała jej zostawiać i cieszyła się każdym spędzonym z nią dniem. Chodziła z nią na lunch i na plażę, zabrała ją na piknik i do Disneylandu, dzieliła z nią cały swój czas. Pewnego popołudnia, gdy leżały obok siebie na plaży w Malibu, patrząc na słońce, Grace odwróciła się do niej i z niewinnością dziecka zadała jej pytanie, które ona też zadawała sobie w jej wieku.

- Myślisz, że cię adoptowali i nic ci nie powiedzieli?

Wiktoria się uśmiechnęła. Była - jak zwykle - w obszernym podkoszulku, który włożyła na kostium kąpielowy, żeby ukryć niedoskonałości ciała.

- Też się nad tym zastanawiałam - przyznała. - Tak bardzo się od nich różnię... Ale nie sędzę. Pewnie odziedziczyłam wygląd po jakichś przodkach, po babce ojca czy po kimś. Tak, są moimi rodzicami, chociaż nie jesteśmy do siebie podobni.

Nie była podobna i do siostry, ale one zawsze były bratnimi duszami i dobrze o tym wiedziały. Miała tylko nadzieję, że Grace nie będzie taka jak oni. Bardzo by tego nie chciała, ale zdawała sobie sprawę, że rodzice mają na nią silny wpływ, że po jej wyjeździe staną się jeszcze bardziej zaborczy i spróbują urobić ją na swój obraz.

- Cieszę się, że jesteś moją siostrą - powiedziała Grace. - Szkoda, że wyjeżdżasz. Będzie mi smutno.

- Mnie też, bo nie chce cię zostawiać. Ale będę przyjeżdżała na Boże Narodzenie i na Święto Dziękczynienia, a ty zawsze możesz przyjechać do mnie.

- Ale nie będzie już tak samo - szepnęła Grace i po jej policzku spłynęła łza.

Obie wiedziały, że to prawda.

Kiedy Wiktoria zaczęła się pakować, cała rodzina wyglądała jak w żałobie. A dzień przed wyjazdem ojciec zabrał je wszystkie na kolację do hotelu Beverly Hills i spędzili tam miły wieczór. Tym razem nikt z nikogo nie żartował ani nie szydził. Nazajutrz odwieźli ją we troje na lotnisko. Gdy tylko wysiedli z samochodu, Grace wybuchnęła płaczem i mocno objęła siostrę.

Ojciec poszedł nadać bagaż, a one stały na chodniku i płakały. Mama spojrzała ze smutkiem na starszą córkę.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała - powiedziała cicho. Chciałaby spróbować jeszcze raz, chciałaby dostać jeszcze jedną szansę. Czowała, że Wiktoria wyślizguje jej się z rąk, że już

nigdy do niej nie wróci. Nie przypuszczała, że tak bardzo to przeżyje. Ból rozstania bardzo ją zaskoczył.

- Niedługo przyjadę. - Wciąż płacząc, Wiktoria objęła ją, a potem znowu przytuliła młodszą siostrę. - Zadzwoń - obiecała. - Wieczorem. Jak tylko wejdę do pokoju.

Grace kiwnęła głową. Nie mogła przestać płakać. Ojciec też miał łzy w oczach i zęgnął się z córką zdławionym głosem.

- Uważaj na siebie. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. I pamiętaj, że jeśli ci się tam nie spodoba, zawsze możesz przenieść się tutaj. - Miał nadzieję, że tak będzie. Czuł, że wyjeżdżając, Wiktoria go odrzuca. Wolałby, żeby została w Los Angeles, w Kalifornii, ale ona ani tego nie chciała, ani nie potrzebowała.

Wycalowała ich jeszcze raz, przeszła przez bramkę bezpieczeństwa i długo machała na pożegnanie. Nie wyszli z hali, dopóki nie zniknęła im z oczu. Ostatnie, co widziała, to Grace, która szła między rodzicami. Szczupli i ciemnowłosi, wyglądali niemal identycznie, cała trójka. Mama trzymała za rękę Grace, która wciąż płakała.

Myślała o nich, wchodząc na pokład samolotu, a kiedy maszyna wystartowała, spojrzała przez okno na miasto, z którego uciekała, aby poszukać w Chicago narzędzi potrzebnych do nowego, samodzielnego życia gdzieś indziej. Nie wiedziała gdzie, wiedziała jednak, że na pewno nie tutaj, nie z nimi.

Lata studenckie były spełnieniem jej marzeń i nadziei. Uczelnia, wielka i rozrośnięta, okazała się jeszcze lepsza, niż myślała, a zajęcia, które wybrała i które bez kłopotu zaliczała, były jej biletem do wolności i niezależności. Chciała zdobyć wiedzę niezbędną w przyszłej pracy i życiu z dala od Los Angeles. Tęskniła za siostrą, czasem nawet za rodzicami, ale na myśl, że znowu miałyby z nimi zamiesz-

kać, wszystko się w niej buntowało. Uwielbiała jeździć do Chicago, zwiedzać to miasto i je odkrywać. Było żywe i egzotyczne, i mimo okropnego zimna, bardzo jej się podobało.

Gdy jako studentka pierwszego roku pojechała do domu na Święto Dziękczynienia, natychmiast zauważyła, że Grace urosła i - chociaż trudno w to uwierzyć - stała się jeszcze piękniejsza. Mama w końcu ustąpiła i pozwoliła jej wystąpić w reklamie Gap Kids. Jej zdjęcia były dosłownie wszędzie i mogłaby zostać modelką, ale ojciec chciał dla niej czegoś lepszego. Poza tym poprzysiął sobie, że jego drugie dziecko nigdzie nie wyjedzie, że będzie studiowało na Uniwersytecie Kalifornijskim, w Peperdine, Pomonie, Scripps, Pitzer albo na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Nie zamierzał wypuszczać jej z Los Angeles. Na swój sposób szczerze tęsknił za Wiktoria. Kiedy dzwoniła, nie miał jej zbyt wiele do powiedzenia i przekazywał telefon matce, która pytała, jak jej idzie nauka i czy schudła. Czy schudła - tego pytania Wiktoria nienawidziła najbardziej. Przed powrotem do domu przez dwa tygodnie rozpaczliwie głodowała.

I kiedy przyjechała na przerwę bożonarodzeniową, mama rzeczywiście zauważyła rezultaty, choć były niewielkie. Wiktoria powiedziała, że ćwiczyła na siłowni, przyznała również, że nie ma chłopaka; przez cały ten czas ani razu nie umówiła się z żadnym na randkę. Ale za ciężko pracowała, żeby się tym przejmować. Oznajmiła, że postanowiła zostać nauczycielką i ojciec natychmiast zaprotestował. Dało im to nowy temat do rozmowy i odwróciło uwagę od jej wagi i braku chłopaka.

- Jako nauczycielka nigdy nie zarobisz porządnych pieniędzy. Powinnaś iść na public relations i pracować w reklamie. Załatwię ci pracę.

Wiedziała, że ojciec chce dobrze, ale nie to pragnęła robić. Zawód nauczycielki bardzo ją pociągał, podobała jej

się praca z dziećmi. Znowu zmieniła temat i zaczęli rozmawiać o pogodzie, o tym, jak zimno jest na Środkowym Wschodzie - nie wyobrażała sobie jak bardzo, dopóki się tam nie znalazła. Przez cały ostatni tydzień przed wyjazdem do domu w Chicago panował silny mróz. I podobał jej się hokej, mecze hokejowe. Jej koleżanka z pokoju była taka sobie, ale Wiktoria starała się nie narzekać i jakoś sobie radziła. Poznała kilka osób w akademiku, próbowała przyzwycząić się do nowej szkoły i do tego, że mieszka tak daleko od domu. Brakowało jej dobrego jedzenia, więc tym razem nikt nic nie powiedział, kiedy wzięła aż trzy dokładki duszonej wołowiny z warzywami. Była rada, że chociaż na kilka dni może zapomnieć o siłowni. I pierwszy raz w życiu cieszyła się, że w Kalifornii jest tak ciepło.

Ojciec dał jej na gwiazdkę nowy komputer, a mama ciepłe palto. Od Grace dostała zdjęcia, montaż ich wspólnych fotek, poczynając od dnia jej narodzin, taki na tablicy korkowej, żeby mogła powiesić u siebie w pokoju. Wracając na uczelnię, nie była pewna, czy przyjedzie do domu na przerwę wiosenną. Rodziców uprzedziła, że może wyjechać gdzieś z przyjaciółmi. Ale tak naprawdę chciała wybrać się do Nowego Jorku i poszukać tam pracy na lato. Ojciec zapowiedział, że jeśli nie odwiedzi ich w marcu, przyjadą do Chicago na weekend. Tym razem jeszcze trudniej jej było rozstać się z siostrą. Bardzo za sobą tęskniły. Rodzice za nią też - tak przynajmniej mówili.

Drugi semestr pierwszego roku dał jej porządnie w kość. Zima była mroźna i ponura, dokuczała jej samotność. Nie poznała prawie nikogo nowego, nie miała bliskich przyjaciół, a na domiar złego w styczniu złapała paskudną gripę. Kiedy zachorowała, znowu przestała chodzić na siłownię i zaczęła jadać w fast foodach. Do końca semestru przytyła prawie siedem kilo - na pierwszym roku tyło większość dziewcząt, wszystkie się tego bały - i nie mogła

wejść w żadne ubranie. Miała ponad jedenastokilową nadwagę i czuła się jak olbrzymka. Kiedy więc wyzdrowiała, znowu zaczęła ćwiczyć i codziennie chodziła na pływalnię. Pierwsze pięć kilo zrzuciła bardzo szybko, dzięki diecie oczyszczającej i tabletkom od koleżanki, po których bardzo chorowała. Teraz mogła już przynajmniej wbić się w swoje stare ciuchy i zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie przystąpić do programu żywieniowego Weight Watchers, żeby zrzucić kolejne siedem. Niestety, zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Była zajęta, było za zimno, miała do napisania długi esej - zdawało się, że walka z tuszą nigdy się nie skończy. I nawet bez wiecznie narzekającej mamy i uszczypliwego ojca była niezadowolona ze swojej figury. Przez cały rok nie umówiła się z ani jednym chłopakiem.

Podczas przerwy wiosennej pojechała do Nowego Jorku i udało jej się zapewnić sobie latem pracę recepcjonistki w firmie prawniczej. Płacili całkiem nieźle i już nie mogła doczekać się wakacji. Rodzinie powiedziała o tym dopiero w maju i natychmiast zadzwoniła do niej rozszlochana Grace. Skończyła dwanaście lat, a ona dziewiętnaście.

- Przyjeźdź! - prosiła. - Nie chcę, żebyś jechała do Nowego Jorku.

- Przyjadę w sierpniu, kochanie - obiecała Wiktoria, ale Grace wciąż była smutna i nie dawała się pocieszyć. Znowu wystąpiła w jakiejś reklamie, tym razem w kampanii krajowej. Rodzice założyli dla niej fundusz powierniczy i odkładali tam zarobione przez nią pieniądze. Siostrze podobała się praca modelki. Dobrze się bawiła, ale wciąż tęskniła za Wiktoria. Życie bez niej było dużo smutniejsze.

Kiedy, zgodnie z zapowiedzią, w kwietniu rodzice przyjechali do Chicago na długi weekend, zaczął padać śnieg. Padał i padał, zdawało się, że zima nigdy się nie skończy. Zaliczywszy w końcu sesję, na tydzień przed Dniem Pamięci, podekscytowana Wiktoria poleciała wreszcie do No-

wego Jorku. Dzień Pamięci był w poniedziałek, a ona zaczynała pracę we wtorek.

Kupiła kilka spódniczek, bluzek i letnich sukienek stosownych do pracy w firmie prawniczej. I zdołała zapanować nad swoją wagą, bo zrezygnowała z deserów, chleba i makaronu. Skuteczna okazała się dieta węglowodanowa. Nareszcie szła w dobrym kierunku i przez cały miesiąc nie jadła lodów. Mama byłaby z niej dumna. I wtedy przyszło jej do głowy, że chociaż mama ciągle ją strofowała, zawsze trzymała w lodówce duży zapas lodów. I zawsze serwowała na kolację tuczące potrawy, które tak bardzo Wiktorii smakowały. Zawsze ją czymś kusila, zawsze podsuwała pod nos coś pysznego. Ale koniec z tym. Cała wina za to, co zjadła albo czego nie zjadła, spadała teraz wyłącznie na nią, na Wiktorię. Dlatego starała się być systematyczna i podchodzić do tego sensownie, bez żadnych zwariowanych diet czy tabletek przeczyszczających od koleżanek. Jak dotąd nie miała czasu, żeby zapisać się na program Weight Watchers, ale przyrzekła sobie, że w Nowym Jorku będzie dużo chodzić, i to codziennie. Firma prawnicza mieściła się na rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Trzeciej Wschodniej, a ona miała mieszkać trzydzieści ulic dalej, w małym hoteliku w Gramercy Park na Manhattanie. Trzydzieści ulic to dwa i pół kilometra w jedną stronę. A w dwie aż pięć. Pięć kilometrów piechotą. Codziennie.

Praca bardzo się jej podobała. Wszyscy okazywali jej dużo sympatii. Była kompetentna, rozsądna i wydajna. Głównie odbierała telefony i zajmowała się korespondencją, przekazując ją kurierom. Przyjmowała również wiadomości, kierowała klientów do gabinetów i witała ich w recepcji. Praca była łatwa, ale absorbująca, dlatego Wiktoria często zostawała do późna. A kiedy w upalne popołudnie wreszcie wychodziła do domu, była zbyt zmęczona, żeby wracać piechotą i jechała metrem. Ale jeśli tylko nie była

spóźniona, jeśli zdołała ubrać się szybko, nie siedzieć za długo przed lustrem, do firmy chodziła piechotą, prawie codziennie.

Była dużo młodsza od większości sekretarek, więc się z nimi nie zaprzyjaźniła. W firmie panował duży ruch i nie było czasu na towarzyskie pogawędki. Czasem rozmawiała z kimś w stołówce podczas przerwy na lunch, ale wszyscy byli bardzo zajęci i zawsze się gdzieś spieszyli. W Nowym Jorku nie znała dosłownie nikogo. I zupełnie jej to nie przeszkadzało. W weekendy chodziła na długie spacery do Central Parku, gdzie często kładła się na kocu i słuchała jakiegoś koncertu. Zwiedziła chyba wszystkie muzea, była w Cloisters, w SoHo, w Chelsea i w Village, była na uniwersyteckim kampusie. Wciąż marzyła, żeby tu studiować, ale bała się, że straci część zaliczeń, no i nie wiedziała, czy ma wystarczająco dobre stopnie. Dlatego postanowiła zostać w Northwestern do końca studiów, albo skończyć je wcześniej na kursach letnich, i dopiero potem się przenieść. Po miesiącu w Nowym Jorku wyzbyła się ostatnich wątpliwości i wiedziała już na pewno, że chce tu pracować. Podczas przerwy na lunch przeglądała czasem listy nowojorskich szkół średnich. Bardzo chciałyby w którejś uczyć, najchętniej w prywatnej. I nic nie mogło ją od tego odwieść.

Kiedy zakończyła pracę, poleciała do Los Angeles na ostatnie trzy tygodnie wakacji i gdy tylko weszła do domu, natychmiast rzuciła się w ramiona Grace. Zaskoczyło ją, że dom jest jakby mniejszy, rodzice starsi, a siostra doroślej-sza niż przed czterema miesiącami. Była doroślejsza i bardziej rozwinięta, i zupełnie nie przypominała Wiktorii w jej wieku. Ona, Wiktorii, miała wtedy pulchne ciało i wielkie piersi, natomiast Grace była drobniutka i szczuplutka, tak jak mama, i miała twarzyczkę w kształcie serca. Mimo to wyglądała dojrzalej, i to zdecydowanie. I już

pierwszego wieczoru wyznała siostrze, że podkochuje się w pewnym chłopcu. Poznała go w klubie sportowym, gdzie mama codziennie woziła ją na tenisa i pływalnię. Miał czternaście lat. Tymczasem Wiktoria za bardzo się wstydziła, by powiedzieć rodzicom, że od ponad roku nie była na randce. Ponieważ ciągle ją o to wypytywali, wymyśliła w końcu fikcyjnego chłopaka, studenta pierwszego roku. Powiedziała, że gra w hokeja i studiuje inżynierię. Ojciec natychmiast odparł, że wszyscy inżynierzy to nudziarze. Ale trochę się przynajmniej uspokoili. Lato spędzał z rodziną w Maine, tak im powiedziała. Dodała, że w Nowym Jorku z nikim się nie spotykała, ale wyraźnie ulżyło im, że ma kogoś na uczelni. Gdyby wiedzieli o tych wszystkich samotnych wieczorach, jakie spędzała, ucząc się w akademiku, uznaliby pewnie, że jest nienormalna.

Mama wzięła ją na bok i powiedziała, że w Nowym Jorku znowu trochę przytyła, dlatego kiedy pojechali do klubu, żeby Grace mogła zobaczyć się ze swoim „chłopakiem”, zamiast włożyć kostium kąpielowy, Wiktoria jak zwykle została w bluzce i szortach. A w drodze do domu codziennie zajadała się z siostrą lodami. Ale lodów, które mama trzymała w zamrażalniku, nie tknęła, ani razu. Nie chciała, żeby ktoś ją na tym przyłapał.

Trzy tygodnie zleciały, jak z bicza strzelił, i wszyscy znowu posmutnieli, bo musiała wyjechać. Tym razem Grace była bardziej opanowana, chociaż miały się zobaczyć dopiero za trzy miesiące, na Święto Dziękczynienia. Ale Wiktorię czekało mnóstwo zajęć na uczelni, a Grace szła już do siódmej klasy. Trudno było uwierzyć, że za dwa lata pójdzie do ogólniaka.

Na drugim roku Wiktoria dzieliła pokój ze znerwicowaną dziewczyną z Nowego Jorku. Biedaczka miała wyraźnie zaburzenia: prawie nie jadła i była przeraźliwie chuda, a po kilku dniach przyznała jej się, że całe lato przeleżała

w szpitalu. Szpital nie pomógł, bo dalej chudła. Codziennie wydzwaniali do niej rodzice, podobno miała też chłopaka w Nowym Jorku. Coraz gorzej się uczyła i Wiktoria próbowała nie zwracać na nią uwagi, bo atmosfera w pokoju była naprawdę nie do zniesienia. Dziewczyna przechodziła ciężki kryzys, każdy to widział. Już od samego tylko patrzenia na nią chciało się jeść. Kilka dni przed Świętem Dziękczynienia postanowiła rzucić studia i wrócić do Nowego Jorku. Wiktoria przyjęła to z ulgą. Dobrze było wiedzieć, że po przerwie już jej nie zobaczy. Napięcie, jakie dziewczyna wytwarzała w pokoju, coraz bardziej ją dobijało.

I to właśnie wtedy, między Świętem Dziękczynienia i Bożym Narodzeniem, poznała pierwszego chłopca, który się nią zainteresował. Był na trzecim roku, po ukończeniu studiów chciał iść na prawo i chodził z nią na zajęcia z literatury angielskiej. Wysoki i przystojny, miał rude włosy, pochodził z Louisville w Kentucky i gdy mówił, śmiesznie przeciągał samogłoski. Uwielbiała go słuchać. Na warsztatach literackich byli w jednej grupie, zaprosił ją potem na kawę. Jego ojciec miał kilka koni wyścigowych, a matka mieszkała w Paryżu. Zamierzał spędzić z nią Boże Narodzenie. Mówił płynnie po francusku, długo mieszkał w Londynie i Hongkongu. Wszystko w nim było takie egzotyczne. Wiktoria uważała, że jest chłopcem miłym i uprzejmym.

Dużo rozmawiali i powiedział, że po rozwodzie rodziców jego życie stanęło na głowie, bo matka zaczęła jeździć po całym świecie, nigdzie nie zagrzewając miejsca. Wyszła za mąż i znowu się rozwiodła. Uważał, że życie Wiktorii jest bardziej ustabilizowane i w istocie takie było, chociaż ona też nie miała szczęśliwego dzieciństwa. Od urodzenia była autsajderką w swoim własnym domu. A on zawsze był tym „nowym”. Po ukończeniu podstawówki pięć razy zmieniał szkołę. Jego ojciec ożenił się z dwudziestotrzylet-

nią dziewczyną. On skończył lat dwadzieścia jeden. Powiedział, że kiedyś macocha się na niego napaliła i omal się z nią nie przespał. Obydwoje byli pijani i nie uległ pokusie tylko dzięki jakiemuś cudownemu przeblyskowi trzeźwości, ale od tamtej pory czuł się przy niej nieswojo. Boże Narodzenie zamierzał spędzić w Paryżu, z matką, chociaż miała francuskiego kochanka, za którym też nie przepadał.

Opowiadał przezabawne historyjki, ale był w nich jakiś smutek, smutek młodego chłopca rozdartego między zwariowanych, irracjonalnych rodziców. Mówił, że jest żywym dowodem na to, iż dzieci ludzi bogatych są kompletnie porabane. Od dwunastego roku życia chodził do psychiatrii. Miał na imię Beau i nie licząc kilku romantycznych chwil, tudzież intensywnych pieszczot w przeddzień jej wyjazdu do Kalifornii na święta, nie doszło między nimi do niczego poważniejszego. Obiecał zadzwonić z Paryża. Był tak cudownie romantyczny, taki wyrobiony i wyrafinowany. Oczarował ją i zafascynował. Tym razem, gdyby rodzice ją spytali, z kim się spotyka, mogłaby śmiało powiedzieć, że z przyszłym prawnikiem. Na pewno by to pochwalili, chociaż wątpiła, żeby się im spodobał. Był dla nich zbyt ekscentryczny.

Kiedy zadzwonił, okazało się, że jest w Gstaad, z matką i jej przyjacielem. Był znudzony i jakby trochę zagubiony. I ciągle przysyłał jej śmieszne SMS-y. Grace spytała, czy jest przystojny i od razu zaznaczyła, że nie lubi rudzielców. Tym razem Wiktoria przestrzegła diety. Konsekwentnie odmawiała sobie deserów i ojciec dziwił się, że jego „duża dziewczynka” mówi „nie”. Dla niego ciągle była tą, która jadła wszystko to, co najbardziej tuczące, i zawsze miała nadwagę.

W ciągu dziesięciodniowego pobytu w Los Angeles zrzuciła ponad dwa kilo. Na uczelnię wrócili tego samego

dnia, niemal o tej samej godzinie. Przez cały czas Wiktorcia myślała tylko o nim, zastanawiając się, kiedy wylądują razem w łóżku. Cieszyła się, że na niego zaczekała. Że Beau, ten delikatny, łagodny, czuły i zmysłowy Beau, będzie tym pierwszym. Kiedy do niej przyszedł, długo rozmawiali, śmiali się, tulili do siebie i całowali, ale był tak zmęczony podróżą, tak bardzo dobiła go różnica czasu, że tego wieczoru do niczego nie doszło. Ani przez wiele kolejnych. Nie odstępowali siebie na krok, razem uczyli się w bibliotece, a ponieważ Wiktorcia nie miała już współlokatorki, Beau czasem u niej nocował. Często całowali się i pieścili -uwielbiał jej piersi - ale nie posunęli się ani odrobinę dalej. Mówił, że powinna nosić krótkie spódniczki, bo ma najpiękniejsze nogi, jakie kiedykolwiek widział. Zdawało się, że jest nią oczarowany, a nawet zafascynowany, a ona pierwszy raz w życiu zaczęła naprawdę chudnąć. Chciała ładnie wyglądać. Dla niego. I nareszcie podobała się samej sobie.

Rzucali się śnieżkami, chodzili razem na łyżwy, na mecze hokejowe, do restauracji i barów. Beau przedstawił ją swoim kolegom. Byli nierozłączni i cudownie się bawili. Ale bez względu na to, jak bardzo byli blisko, nigdy tego nie robili, nigdy się nie kochali. Nie bardzo wiedziała dlaczego i bała się go spytać. Może uważał, że jest za gruba, za bardzo ją szanował albo się bał, może miał jakiś uraz po przygodzie ze swoją dwudziestotrzyletnią macochą albo po rozwodzie rodziców? Coś go wyraźnie blokowało, ale nie miała pojęcia co. Było widać, że jej pragnie, bo ich pieśczoły stawały się coraz bardziej intensywne, ale ani razu nie zaznali spełnienia, co doprowadzało ją do szaleństwa. Pewnego wieczoru, gdy w samej tylko białźnie całowali się na łóżku, Beau nagle objął ją, mocno przytulił i znieruchomiał. Potem wstał.

- Co się stało? - spytała cicho, przekonana, że zrobiła

coś nie tak. Że to przez nią. Przez jej tuszę. Znowu powróciły złe myśli, znowu powróciła znajoma pewność, że nikt jej nie chce i nigdy nie zechce. Beau usiadł na brzegu łóżka.

- Zakochałem się w tobie - powiedział żałośnie, obejmując głowę rękami.

- A ja w tobie - odparła z uśmiechem. - Co w tym złego?

- Nie mogę ci tego zrobić - odparł cicho i odgarnął z czoła rude włosy. Wyglądał jak Huck Finn albo Tom Sawyer. Jak mały chłopiec.

- Możesz. Ja też tego chcę. - Próbowała go uspokoić, dodać mu otuchy.

- Nie, nie mogę. Ty... Ty nic nie rozumiesz. Nigdy dotąd mi się to nie przydarzyło, nie... z kobietą. Jestem gejem. I chociaż cię kocham, prędzej czy później rzucę cię dla jakiegoś faceta. Bardzo cię pragnę, ale nie chcę ci tego robić, nie chcę. Ten układ nie przetrwa.

Przez długą chwilę Wiktoria nie wiedziała, co powiedzieć. Wykraczało to daleko poza sferę jej dotychczasowych doświadczeń, było bardziej skomplikowane niż jakikolwiek związek, o jakim słyszała. Beau był wobec niej szczery, uczciwy. Wiedział, że kiedyś znowu może zapragnąć mężczyzny. Tak jak zawsze.

- Nie powinienem był tego zaczynać, ale zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

- Dlaczego uważasz, że to nie wypali? - spytała, głęboko zraniona, a jednocześnie wdzięczna mu za szczerość.

- Bo nie wypali. Znam siebie. To jest jak dzika, cudowna fantazja. Ale tylko fantazja, bo dla mnie to nie dzieje się naprawdę. I nigdy nie będzie. Myślałem, że może się zmienić, ale nie, to niemożliwe. Skrzywdziłbym cię, zranił. Nie chcę tego. Musimy to przerwać. - Spojrzał na nią dużymi, zielonymi oczami. - Pozostańmy przyjaciółmi.

Ale ona nie chciała być jego przyjaciółką. Zakochała się w nim, od miesiąca pragnęła go całą duszą i ciałem. Patrzył na nią zboląły i zakłopotany. Miał wyrzuty sumienia, że omal się z nią nie przespał, że tak długo ją zwodził.

- Myślałem, że wszystko się jakoś ułoży - ciągnął. - Ale to nieprawda. Rzucę cię dla pierwszego faceta, którego zapragnę. Nie zasługujesz na to. Zasługujesz na coś o wiele lepszego.

- Dlaczego to musi być takie skomplikowane? Skoro mnie kochasz, dlaczego miałbyś mnie rzucić? - Omal się nie rozplakała. Była zawiedziona i sfrustrowana.

- Bo nie jesteś mężczyzną. Masz zmysłowe ciało i cudowne piersi, jesteś dla mnie najpełniejszym uosobieniem kobiecości. Jesteś tą, której powinienem pragnąć, ale której tak naprawdę nie pragnę. Pragnę mężczyzny.

Był wobec niej aż do bólu szczery, a „zmysłowe ciało” było najpiękniejszym komplementem, jaki kiedykolwiek ktoś jej powiedział. Ale bez względu na jej zmysłowość i cudowne piersi, Beau nie chciał z nią być. To było zerwanie, zerwanie ubrane w ładne słówka, ale przecież zerwanie.

- Lepiej już pójde.

Patrzyła, jak się ubiera. Ubrał się szybko i spojrzał na nią. Wciąż leżała na łóżku. Nie poruszyła się, milczała.

- Jutro zadzwonię - rzucił.

Zastanawiała się, czy to zrobi, a jeśli tak, to co jej powie? Wszystko powiedział już teraz. Nie chciała być tylko przyjaciółką. Chciała, żeby łączyło ich coś więcej. Przecież był nią zauroczony, był w niej zakochany, na to przynajmniej wyglądało.

- Żałuję, że cię nie uprzedziłem. Ale naprawdę chciałem, żeby coś z tego wyszło i bałem się, że się wystraszysz.

Kiwnęła głową, bo brakowało jej słów i nie chciała się rozplakać. To byłoby takie upokarzające, zwłaszcza że leżała na łóżku w samej bieliźnie. Popatrzył na nią od drzwi

i wyszedł, a ona naciągnęła na siebie koc i wybuchnęła płaczem. Była przybita i zdenerwowana, ale wiedziała, że Beau ma rację. Gdyby się z nią przespał, gdyby zapragnął czegoś, czego nie mogłaby mu dać, byłoby jeszcze gorzej. Tak było lepiej. Mimo to, odrzucona i upokorzona, czuła się koszmarnie.

Długo nie mogła zasnąć, wspominając spędzone razem chwile, tajemnice i sekrety, z których się sobie zwierzali, to, jak leżała w jego ramionach, cudowne pieszczoty, które podniecały ich, do niczego nie prowadząc. Wszystko zdawało się teraz takie puste i bezsensowne. Zgasiła światło i w końcu zasnęła. Rano nie zadzwonił, zadzwoniła za to Grace. Wiktoria była zupełnie wypluta. Na wspomnienie poprzedniego wieczoru poczuła się tak, jakby zamiast serca miała w piersi cegłę.

- Jak tam Beau? - spytała wesoło siostra swoim dwunastoletnim głosem.

- Zerwaliśmy ze sobą - wychrypiała ponuro Wiktoria.

- Ojej... Szkoda. Był chyba miły.

- Tak. Wciąż jest.

- Pokłóciliście się? Może wróci? - Grace chciała ją pocieszyć, dać jej nadzieję. Nie znosiła, kiedy siostra była smutna.

- Nie, nie wróci. Ale to nic. Powiedz lepiej, co u ciebie? - Wiktoria szybko zmieniła temat i Grace zdała jej szczegółowe sprawozdanie na temat wszystkich chłopców z klasy. Kiedy wreszcie skończyła, jej starsza siostra mogła w spokoju opłakiwać swoją stratę.

Beau nie zadzwonił ani tego dnia, ani przez kilka następnych. Wiktoria uświadomiła sobie, że będzie musiała spotkać się z nim na uczelni. Najpierw trochę spanikowała, ale potem wzięła się w garść i poszła na zajęcia, a na zajęciach wykładowca mimochodem wspomniał, że Beau zrezygnował z kursu. Wiktorię znowu ścisnęło w sercu.

Wychodząc z sali, zastanawiała się, czy kiedykolwiek go zobaczy. Pewnie nie. Ale gdy podniosła głowę, dostrzegła go na końcu korytarza. Stał tam i patrzył na nią, a potem powoli się zbliżył. Czekala bez słowa. Delikatnie dotknął ręką jej twarzy i spojrzał na nią, jakby chciał ją pocałować. Ale nie pocałował.

- Przepraszam - szepnął, chyba szczerze. - Przepraszam, że byłem taki głupi i samolubny. Pomyślałem, że będzie nam łatwiej, jeśli zrezygnuję z zajęć. Pewnie cię to nie pocieszy, ale mnie też nie jest łatwo. Po prostu nie chciałem, żeby potem było jeszcze gorzej.

- Wiem, rozumiem - odrzekła z uśmiechem. - Wszystko w porządku. Pewnie nie ma to już żadnego znaczenia, ale wiedz, że cię kocham.

- Ma, i to duże.

Musnął ustami jej policzek i odszedł. Samotnie wróciła do akademika. Padał śnieg i było bardzo zimno, a ona szła oblodzonym chodnikiem, wspominając i mając nadzieję, że ich drogi już nigdy się nie przetną. Było tak mroźno, że nie czuła nawet łez spływających powoli po policzkach. Teraz mogła tylko o nim zapomnieć, wymazać go z pamięci i spróbować przezwyciężyć poczucie klęski. Bo bez względu na powody, wszystko sprowadzało się do jednego: Beau jej nie chciał. Poczucie odrzucenia znała aż za dobrze. Ich niespełniony romans był potwierdzeniem tego, czego bała się przez całe życie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ostatnie dwa lata przeleciały nie wiadomo jak i kiedy. Po drugim roku znowu załatwiła sobie pracę w Nowym Jorku. Tym razem w agencji modelek i o ile praca w firmie prawniczej była cicha i spokojna, o tyle ta była zupełnie odjechana. Wiktoria świetnie się bawiła. Zaprzyjaźniła się z kilkoma modelkami w jej wieku, a rozmowy z klientami też były zabawne. Kiedy powiedziała im, że chce zostać nauczycielką, myśleli, że zwariowała, a ona też musiała przyznać, że praca w agencji jest o wiele bardziej ekscytująca.

Dwie dziewczyny zaproponowały, żeby z nimi zamieszkała, więc wyprowadziła się ze swego ponurego hotelowego pokoiku. I bez względu na imprezy, na jakie chodziły, na stroje, jakie nosiły, bez względu na mężczyzn, z jakimi się spotykały, modelki zaimponowały jej swoją ciężką pracą. Te najbardziej wzięte ciężko harowały, były bardzo pilne i skrupulatne. Po pracy szły się wyszaleć, ale nigdy nie spóźniały się na zdjęcia i pracowały bez wytchnienia, czasem nawet po dwanaście, czternaście godzin na dobę. Ich życie wcale nie było takie lekkie.

Nieodmiennie szokowało ją, że są takie szczupłe. Te, z którymi mieszkała na dolnym Manhattanie, prawie nic

nie jadły. Miała wyrzuty sumienia na wspomnienie własnych żarłocznych wyczynów i próbowała je naśladować, ale pod koniec dnia zawsze umierała z głodu. Tymczasem one albo nie jadły wcale, albo stosowały agresywną dietę i skubały jedzenie niczym wróbelek. Zdawało się, że żyją powietrzem i żeby zbić wagę, stosowały każdą dostępną dietę przeczyszczającą i oczyszczającą. Ona miała inny organizm, inaczej reagowała na głód. Nie przeżyłaby na takich okruszynkach. Ale słuchała ich rad, przynajmniej tych rozsądniejszych, unikała węglowodanów, jadła mniej, za to częściej i kiedy pojechała do Los Angeles na ostatni miesiąc wakaq'i, wyglądała całkiem nieźle. Nie chciała wyjeżdżać, świetnie bawiła się tu, w Nowym Jorku. Szefowa agencji powiedziała, że jeśli kiedykolwiek zechce do nich wrócić, natychmiast da jej pracę. A Grace uwielbiała słuchać jej opowieści. Zdała do ósmej klasy, a ona na trzeci rok. Była w połowie studiów i wciąż marzyła o szkole, o pracy w Nowym Jorku. Nie miała żadnych wątpliwości, że to właśnie tam chce zamieszkać. Rodzice stracili już nadzieję, że kiedykolwiek do nich wróci. Grace też.

Spędziły razem cudowny miesiąc. Ale czas płynął i Wiktoria znowu musiała wyjechać. Grace jeszcze bardziej wypiękniała i w przeciwieństwie do większości swoich rówieśniczek, była pełna wdzięku, zgrabna i powabna. No i oczywiście szczuplutka. Miała idealną cerę i chodziła na balet. Rodzice pozwalali jej czasem występować w reklamach. Otwarcie przyznawała, że nie znosi szkoły. Prowadziła bogate życie towarzyskie, miała masę przyjaciół i kilku chłopców, którzy bez końca do niej wydzwaniali -rodzice kupili jej w końcu komórkę. Tak bardzo różniło się to od pustelniczego trybu życia, jaki prowadziła Wiktoria na uczelni, chociaż na trzecim roku trochę się poprawiło.

Miała dwóch chłopców, jednego po drugim. Niby nic poważnego, ale w weekend mogła przynajmniej gdzieś

wyść, co w porównaniu z poprzednimi latami było nie lada postępek. I z jednym z nich straciła w końcu dziewictwo, chociaż go nie kochała. Beau już nie spotkała. Nawet nie wiedziała, czy wciąż u nich studiuje. Czasem widywała jego znajomych, ale tylko z daleka; nigdy do nich nie podeszła ani nie zagadnęła. To było dziwne przeżycie i wciąż się denerwowała, kiedy o tym myślała. Z Beau czuła się jak w pięknym śnie. Chłopcy, z którymi chodziła potem, byli realni, bardziej namacalni. Jeden grał w hokeja, jak ten fikcyjny, którego wymyśliła sobie na pierwszym roku. I podobała mu się bardziej, niż on jej. Pochodził z Bostonu, ale był trochę nieokrzesany, za dużo pił i zawsze robił się wtedy agresywny, więc go rzuciła. Z tym drugim prawie od razu poszła do łóżka. Ten z kolei był miły, ale nudny. Studiował biochemię i fizykę nuklearną, i nie miała mu nic do powiedzenia. Jedyne, co ich łączyło i co sprawiało im przyjemność, to seks. Dlatego skupiła się na nauce i po kilku miesiącach przestała się z nim spotykać.

W wakacje po trzecim roku poszła na kurs letni. Zamierzała zaliczyć część zajęć z czwartego roku i skupić się na pracy w szkole. Nie mogła uwierzyć, że czas tak szybko płynie. Został jej tylko rok studiów, więc chciała jak najszybciej załatwić sobie pracę w Nowym Jorku. Jesienią zaczęła wysyłać podania. Miała listę prywatnych szkół, w których chciałaby uczyć po uzyskaniu dyplomu. Wiedziała, że pensja nie będzie tak wysoka jak w szkołach państwowych, ale uważała, że jej to wystarczy. Do Bożego Narodzenia wysłała podania do dziewięciu ogólniaków. Gdyby nie dostała całego etatu i musiała zaczekać, gotowa była uczyć w kilku szkołach na godziny.

W styczniu zaczęły nadchodzić odpowiedzi, jedna po drugiej, jakby wypadały z automatu. Osiem szkół jej podziękowało. Jedna nie odpowiedziała. Wiktoria czekała, ale wraz z nadejściem wiosny straciła nadzieję. Zastanawiała

się już, czy nie zadzwonić do agencji modelek, w której pracowała, bo może odczekałaby rok i spróbowała ponownie. W agencji zarobiłaby dużo więcej niż w szkole i mogłaby zamieszkać z którąś z dawnych koleżanek.

I wtedy nadeszła odpowiedź. Wiktoria siedziała, patrząc na list. Podobnie patrzyła na listy z college'ów, kiedy starała się o przyjęcie na studia - otwierała je zwykle nieufnie, próbując zgadnąć, co zawierają. Uważała, że to bardziej niż nieprawdopodobne, żeby dostała pracę akurat w tym ogólniaku. Była to jedna z najbardziej elitarnych prywatnych szkół w Nowym Jorku, więc trudno było sobie wyobrazić, żeby zatrudnili kogoś prosto po studiach. Zjadła batonik, który zachomikowała w biurku, i wreszcie otworzyła kopertę. Wzięła się w garść, wyjęła pojedynczą kartkę, rozłożyła ją i głęboko odetchnęła. „Szanowna Pani, bardzo dziękujemy za list, ale niestety, w tym roku nie przewidujemy...” - знаła tę odpowiedź na pamięć, czuła, że i tym razem będzie taka sama, ale spojrzała na kartkę i osłupiała. Pracy jej nie zaproponowano, ale zapraszano ją do Nowego Jorku na rozmowę kwalifikacyjną. Jedna z ich nauczycielek poszła na przedłużony urlop macierzyński. Chociaż nie mogli zaoferować Wiktorii stałego etatu, to gdyby rozmowa przebiegła pomyślnie, podpisałiby z nią roczną umowę. Wiktoria nie wierzyła własnym oczom. Krzyknęła z radości i z batonikiem w ręku tańczyła po pokoju. Prosilili, żeby dała im znać, czy będzie mogła przyjechać do szkoły w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Podbiegła do komputera i napisała, że z przyjemnością przyjedzie. Wydrukowała list, włożyła go do koperty, ubrała się i popędziła do skrzynki. Podała im numer swojej komórki i adres e-mail. Nie mogła się już doczekać wyjazdu. Gdyby dostała tę pracę, spełniłoby się jej największe pragnienie. Bo tego właśnie chciała. Chciała mieszkać i pracować w Nowym Jorku, a nie w Los Angeles. Marzyła

o tym przez całe studia. Była wdzięczna nauczycielce, tej na urlopie macierzyńskim, i miała nadzieję, że ją zatrudnią. Musiała jakoś uczcić już samo to, że się odezwali, więc wracając do akademika, kupiła pizzę, a zaraz potem zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak do nich zadzwonić. Ale nie, przecież mieli jej numer, więc kiedy tylko ustalą termin, na pewno dadzą znać, a ona już następnego dnia wsiądzie do samolotu. W pokoju usiadła i jedząc pizzę, z uśmiechem spoglądała na list. Uczyć w prywatnej szkole w Nowym Jorku, a nawet tylko spróbować - to był najszcześniejszy dzień w jej życiu.

Zadzwonili trzy dni później: chcieli się z nią spotkać już w przyszły poniedziałek. Powiedziała, że na pewno przyjedzie i postanowiła spędzić tam cały weekend. Nagle uzmysłowiła sobie, że w poniedziałek są walentynki, dzień, w którym od czwartej klasy szkoły podstawowej zawsze doznawała jakiejś porażki. Ale gdyby dostała pracę, wszystko by się zmieniło, i to na zawsze. Miała nadzieję, że to jakiś znak. Kiedy tylko skończyła rozmawiać, natychmiast zarezerwowała bilet na samolot, padła na łóżko i uszczęśliwiona, zaczęła się zastanawiać, w czym pójdzie na rozmowę. W spódnicy, swetrze i szpilkach czy w luźnych spodniach, swetrze i butach na płaskim obcasie? Nie wiedziała, co się w takiej szkole nosi, i nie miała kogo spytać. Będzie musiała improwizować. Chciało jej się krzyczeć z radości, wybiec na korytarz i krzyczeć. Leżała na łóżku, uśmiechając się jak kot z Cheshire.

ROZDZIAŁ SZOSTY

Madison School przy Siedemdziesiątej Szóstej Wschodniej, niedaleko East River, jedna z najbardziej ekskluzywnych prywatnych szkół średnich w Nowym Jorku, prowadziła klasy dziewięć-dwanaście, przygotowując młodzież do studiów. Cieszyła się doskonałą opinią i była bardzo kosztowna, dlatego chodzili do niej córki i synowie miejscowej elity oraz garść stypendystów, którzy mieli szczęście tam trafić. Zapewniała uczniom kadre pedagogiczną o najwyższych kwalifikacjach i wszystkie możliwe zajęcia pozaszkolne. Uchodziła za najlepszą szkołę prywatną w mieście, a jej absolwenci dostawali się do najlepszych college'ów w kraju. Była tak dobrze wyposażona, że jej laboratoria i pracownie komputerowe nie ustępowały w niczym pracowniom i laboratoriom uniwersyteckim. Miała szeroko rozbudowany wydział języków obcych - uczono tu mandaryńskiego, rosyjskiego, japońskiego i niemal wszystkich języków europejskich - a wydział anglistyki słynął z bardzo wysokiego poziomu; kilkunastu absolwentów Madison School to znani pisarze. Kadra pedagogiczna też była wyjątkowa, ponieważ większość nauczycieli miała dyplomy z najślynniejszych uniwersytetów w kraju - wyjątkowa i, co typowe dla amerykańskich szkół prywatnych,

bardzo nisko opłacana. Ale praca w Madison School zawsze uchodziła za wielkie wyróżnienie i przywilej. Dlatego już samo to, że zaproszono ją na rozmowę kwalifikacyjną, było dla Wiktorii olbrzymim osiągnięciem, a gdyby ją jeszcze zatrudniono, nie posiadałaby się z radości. Spełniłaby swoje najśmielsze marzenia, bo gdyby miała wybrać jedną, jedyną szkołę, gdzie chciałaby pracować do końca życia, bez wahania wybrałaby tę. Dałaby wszystko, żeby w niej uczyć.

Po ostatnich piątkowych zajęciach wsiadła do samolotu i późnym wieczorem była już w Nowym Jorku. Padał śnieg, wszystkie loty miały wielogodzinne opóźnienie i ledwo wylądowała, zamknięto lotnisko; cieszyła się, że nie skierowano ich gdzie indziej. Przed lotniskiem dziki tłum bił się o taksówki. Miała zarezerwowany pokój w Gramercy Park, w tym samym hotelu, co przedtem. Był mały i brzydki, ale tani, i dotarła tam dopiero o drugiej nad ranem. Nawet nie rozpakowując walizki, od razu włożyła koszulę nocną, położyła się, zasnęła i spała aż do południa.

Kiedy się obudziła, świeciło piękne słońce, a na ulicy leżało sześćdziesiąt centymetrów śniegu, który padał przez całą noc. Miasto wyglądało jak obrazek z pocztówki. Matki ciągnęły na sankach ciepło opatulone dzieci, te starsze rzucały się śnieżkami, biegając i kryjąc się za samochodami, na których odkopanie trzeba by poświęcić wiele godzin. Pługi śnieżne próbowały oczyścić jezdnie, posypywały je solą. Wiktoria uznała, że dzień jest idealny, wprost cudowny. Na szczęście zabrała ze sobą zimowe buty, które prawie codziennie nosiła w Northwestern. O pierwszej ruszyła w stronę stacji metra, którym dojeżdżała do pracy, kiedy tu mieszkała. Wsiadła na Siedemdziesiątej Siódmej Wschodniej i poszła w kierunku rzeki. Najpierw chciała popatrzeć na szkołę.

Mieściła się w wielkim, pięknie utrzymanym gmachu

z kilkoma wejściami i mogła uchodzić za ambasadę albo siedzibę jakiejś ważnej instytucji. Niedawno przebudowano ją i wyremontowano, była w idealnym stanie. Na dyskretnej mosiężnej tabliczce widniał napis: Madison School. Nic więcej. Wiedziała, że uczy się tu prawie czterystu uczniów, którzy latem mogli wyjść na dach, gdzie był ogród i gdzie mogli odpocząć podczas przerwy albo zjeść lunch. Po drugiej stronie ulicy, na miejscu dawnego parkingu, zbudowano ostatnio wspaniale wyposażoną salę gimnastyczną. Szkoła zapewniała dzieciom wszelkie możliwe udogodnienia i możliwości rozwoju. Masywna i milcząca, stała godnie w słońcu. Dozorca przekopywał właśnie ścieżkę w śniegu do głównych drzwi. Wiktoria uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział jej tym samym. Miałaby dużo szczęścia, gdyby ją przyjęto. Pracować w takiej szkole, w dodatku tutaj, w Nowym Jorku, w jej ulubionym mieście - nie mogła sobie tego wyobrazić. Była w grubym białym palcie od mamy i wyglądała jak śnieżny bałwanek. Palto nie było zbyt twarzowe, za to ciepłe. Czowała się w nim jak ludek Michelina albo jak Pillsbury Doughboy, ale dobrze jej służyło, bo Chicago często nawiedzała arktyczna zima. Na głowie miała białą wełnianą czapkę, spod której sterczał kosmyk jasnych włosów.

Stała tam bardzo długo, wreszcie odeszła i wróciła metrem do centrum. Zamierzała kupić sobie coś na poniedziałek. Nie była zadowolona z ubrań, które z sobą przywiozła, poza tym jedna z sukienek była za ciasna. Podczas rozmowy chciała wyglądać idealnie, chociaż zdawała sobie sprawę, jak mało prawdopodobne jest to, żeby przyjęli kogoś prosto po studiach. Na pewno dostali mnóstwo podań od innych kandydatów, ale z drugiej strony, miała dobre stopnie i rekomendacje, tryskała młodzieńczym zapałem i entuzjazmem i aż rwała się do swojej pierwszej pracy w szkole. Rodzicom nic o tym nie powiedziała, bo ojciec

wciąż chciał, żeby poszukała czegoś innego, zajęcia lepiej płatnego i umożliwiającego zrobienie kariery. Jej marzenia nie spełniały ich oczekiwań i nie mogliby się nimi pochwalić dla podniesienia wartości własnej. „Moja córka jest nauczycielką” - to by im nie wystarczyło, ale dla niej praca w Madison School była upragniona. Kiedy zaczęła wysyłać podania do najlepszych prywatnych szkół, to właśnie Madison School spełniała wszystkie kryteria szkoły jej marzeń, bez względu na niską pensję. Gdyby ją przyjęto, żyłaby oszczędnie i na pewno by sobie poradziła.

Zaśnieżonym chodnikiem doszła do metra, wysiadła na Pięćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej, ruchomymi schodami wjechała do Bloomington'a i zaczęła szukać czegoś dla siebie. Bywało, i to często, że nie mogła znaleźć odpowiedniego rozmiaru, zwłaszcza wśród najładniejszych ubrań. Nosila czternastkę, ale nawet czternastka była trochę przyciasna. Zimą zwykle tyła, zupełnie niechęć, wtedy kupowała szesnastkę. To że latem ubierała się lżej, że musiała pokazywać się czasem w kostiumie kąpielowym czy w szortach, mobilizowało ją zwykle do walki z tuszą. Żałowała, że ostatnio nie była bardziej zdyscyplinowana. Obiecała sobie, że schudnie do rozdania dyplomów, zwłaszcza gdyby dostała tę pracę. Nie chciała pokazywać się w szkole w swoim najpulchniejszym wydaniu.

Po długich, zniechęcających i denerwujących poszukiwaniach znalazła szare spodnie, długi granatowy blezer i bladoniebieski golf pasujący kolorem do jej oczu. I kozaczki na wysokim obcasie, które trochę ją odmładzały. Wyglądała porządnie, dostojnie i elegancko, co świadczyło, że myśli o tej pracy bardzo poważnie. Założyła, że tak właśnie ubierają się nauczycielki w Madison School. Zadowolona z wyboru, wsiadła do metra i wróciła do hotelu. Na ulicach wciąż pełno było pługów śnieżnych i zakopanych samochodów, a wszędzie jak grzyby po deszczu po-

wyrastały wysokie pryzmy odgarniętego śniegu. W mieście panował chaos. Ale ona była w dobrym humorze. Postanowiła na rozmowę ozdobić uszy małymi perłowymi kolczykami, które dostała od mamy. Granatowy, dobrze skrojony blezer, powinien ukryć skutki jej kulinarnych grzeszków. Miała w nim niezłą figurę, wyglądała młodo i profesjonalnie.

Rankiem w dniu rozmowy obudziła się ze ściśniętym żołądkiem. Umyła głowę, wysuszyła włosy, ściągnęła je w elegancki kucyk i przewiązała czarną aksamitką. Starannie się ubrała, włożyła palto i wyszła na lutowe słońce. Trochę się ociepliło, śnieg zaczął topnieć i rynsztokami płynęły strumienie lodowatej wody. Idąc do metra, musiała uważać, żeby nie ochlapały ją samochody. Zastanawiała się nawet, czy nie wziąć taksówki, ale metrem było szybciej. Dojechała na miejsce za dziesięć dziewiąta i zobaczyła, jak do szkoły wchodzi setki uczniów. Prawie wszyscy byli w dżinsach, a kilka dziewcząt w krótkich spódniczkach i kozakach. Wszyscy rozmawiali, śmiali się, nieśli książki i zeszyty - miała przed sobą morze zwariowanych fryzur i kolorowych włosów. Wyglądali zwyczajnie, tak jak młodzież z każdej innej szkoły, a nie jak dzieci bogaczy. Stojący w drzwiach nauczyciele, kobieta i mężczyzna, byli ubrani podobnie, w dżinsy, marynarkę, adidas i botki. Biło z nich wszystkich zdrowe poczucie swobody i jedności. Kobieta miała długi warkocz, a mężczyzna ogoloną na łyso głowę; Wiktoria zauważyła, że z tyłu głowy ma wytatuowanego ptaszka. Prowadząc ożywioną rozmowę, weszli do środka za ostatnimi maruderami, a ona podążyła tuż za nimi z nadzieją, że zrobi dobre wrażenie w swoim nowym stroju. Była umówiona z Erykiem Walkerem, dyrektorem, chcieli również, żeby porozmawiała z jego zastępcą do spraw uczniowskich. W recepcji podała swoje nazwisko, kazano jej zaczekać. Pięć minut później wyszedł

do niej czterdziestokilkuletni mężczyzna w dżinsach, tweedowej marynarce i traktorach. Uśmiechnął się ciepło, zaprosił ją do gabinetu i wskazał wysłużony skórzany fotel naprzeciwko biurka.

- Dziękuję, że zechciała pani przyjechać - powiedział, kiedy zdjęła palto, żeby mógł zobaczyć jej nowy blezer. Miała nadzieję, że nie uzna, iż jest zbyt drętwa i za bardzo oficjalna jak na szkołę, w której panował większy luz, niż myślała. - Bałem się, że pani nie dojedzie przez tę śnieżycę. A przy okazji: wszystkiego najlepszego na walentynki - dodał z uśmiechem. - W sobotę dzieciaki chciały urządzić jakąś imprezę, ale musieliśmy ją odwołać. Nie wszyscy by dojechali, zwłaszcza ci z przedmieść i z Connecticut, a dojeżdża aż jedna piąta. Przełożyliśmy zabawę na przyszły weekend.

Wiktorina zauważyła, że na biurku leży jej życiorys. Dyrektor był dobrze przygotowany do rozmowy, miał również odpis jej stopni, który mu wysłała. Przed wyjazdem poszperała w Internecie i dowiedziała się, że studiował w Yale i że w Harvardzie zrobił magisterium i doktorat. Tak, był doktorem, chociaż w liście nie użył tego tytułu. I miał imponujący dorobek naukowy. Napisał dwie książki na temat nauczania w szkołach średnich i przewodnik dla rodziców, których dzieci ubiegały się o przyjęcie na studia. W jego obecności czuła się nikim, ale był bardzo przyjacielski i skupiał na niej całą uwagę.

- A więc dobrze - zaczął, odchylając się do tyłu w starym skórzanym fotelu, który stał za wielkim, imponującym angielskim biurkiem; dyrektor wspominał, że należało do jego ojca. Wszystkie meble w gabinecie były stare, kosztowne i zużyte do granic możliwości. No i te książki. Były nimi zapchane wszystkie półki. - Wiktorio, dlaczego chce pani zostać nauczycielką? I dlaczego akurat tutaj? Nie

wolałaby pani uczyć w Los Angeles, gdzie nie musiałaby pani dojeżdżać do szkoły pługiem śnieżnym?

Powiedział to z uśmiechem, więc ona też się uśmiechnęła. Podobał się jej. Chciała zrobić na nim dobre wrażenie, ale nie bardzo wiedziała jak. Mogła postawić tylko na entuzjazm i szczerść.

- Lubię dzieci. Już jako mała dziewczynka mówiłam, że kiedy dorosnę zostanę nauczycielką. Nie interesuje mnie robienie interesów ani kariera w jakiejś korporacji, chociaż rodzice uważają, że właśnie tym powinnam się zająć i bardzo by to pochwalali. Myślę, że gdyby udało mi się wpłynąć na życie chociaż jednego ucznia, znaczyłoby to dla mnie dużo więcej niż cokolwiek innego. - Mówiła szczerze i otwarcie, i po jego oczach z zadowoleniem poznała, że takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał.

- Nawet jeśli będzie pani zarabiała mniej niż gdzie indziej?

- Tak. Nie zależy mi na pieniądzach. Nie mam zbyt dużych potrzeb i na pewno sobie poradzę.

Nie spytał, czy liczy na pomoc rodziców. To był jej problem, nie jego.

- W szkolnictwie państwowym mogłaby pani zarobić dużo więcej.

Dobrze o tym wiedziała. On też był z nią szczerzy.

- Tak, ale nie chcę. Nie chcę wracać do Los Angeles. Od liceum chciałam mieszkać w Nowym Jorku. Gdyby przyjęto mnie na uniwersytet albo do college'u Barnarda, studiowałabym tutaj. Wiem, że to moje miasto. A Madison School była szkołą mojego pierwszego wyboru.

- Dlaczego? Uczyć dzieci bogatych rodziców wcale nie jest łatwo. Są inteligentne, ale mają duże oczekiwania. Mamy tu również słabych uczniów, ale wszyscy są bardzo sprytni i spostrzegawczy, i nie da się wcisnąć im ciemnoty.

Jeśli wyczują, że nauczyciel jest nieprzygotowany, natychmiast to wykorzystają. Są dużo pewniejsi siebie i odważniejsi niż dzieci rodziców przeciętnie uposażonych i mogą sprawiać kłopoty. Ich rodzice też. Są bardzo wymagający, żądają wszystkiego, co najlepsze. A my robimy wszystko, żeby temu sprostać. Nie przeszkadzałoby pani, że jest pani tylko o cztery czy pięć lat starsza od niektórych uczniów? Uczyłaby pani w trzecich i czwartych klasach, niewykluczone, że i w drugich. W tym wieku dzieciaki bywają trudne, zwłaszcza że niektóre są bardzo dojrzałe jak na swój wiek. W dodatku nasze są przyzwyczajone do bogatego stylu życia i wszystkiego, co za tym stoi. Poradzi pani sobie? - spytał bez owijania w bawełnę, a ona spojrzała na niego poważnymi niebieskimi oczami i kiwnęła głową.

- Tak. Myślę, że tak. Jeśli tylko dostanę szansę.

- Nauczycielki, którą by pani zastępowała, nie będzie tylko przez rok. Dlatego bez względu na to, jak dobrze pani pójdzie, nie mogę obiecać pani dłuższego angażu. Musielibyśmy poczekać i zobaczyć, czy ktoś inny nie wybierze się na urlop albo nie odejdzie ze szkoły. Tak więc, jeśli szuka pani czegoś na stałe, powinna pani spróbować gdzie indziej.

Nie mogła mu powiedzieć, że pozostałe szkoły ją odrzuciły.

- Z radością pouczyłabym nawet tylko rok - odparła szczerze.

Nie mogła tego wiedzieć, ale dokładnie sprawdzili jej referencje. Dzwonili do firmy prawniczej i do agencji modelek i zrobiła na nich duże wrażenie swoim profesjonalizmem, sumiennością, odpowiedzialnością, pracowitością i uczciwością. Zaliczyła również praktykę nauczycielską, i to z wyróżnieniem. Eryk Walker musiał tylko zdecydować, czy Wiktoria Dawson nadaje się do ich szkoły. Robiła

wrażenie uroczej, inteligentnej dziewczyny. Poza tym poruszyło go, że tak bardzo chce u nich pracować.

Po czterdziestopięciominutowej rozmowie przekazał ją swojej zastępczyni, która oprowadziła ją po szkole. Imponujący gmach, doskonale utrzymane pracownie, skupieni uczniowie przy nowiutkim, kosztownym sprzęcie - każdy nauczyciel dałby wszystko, żeby pracować w takiej atmosferze i w takich warunkach. Potem przedstawiono ją zastępcy dyrektora do spraw uczniowskich, który opowiedział jej o swoich podopiecznych. Uczniowie uczęszczający do Madison School nie różnili się niczym od innych, byli tylko bogatsi i mieli więcej możliwości, a wielu z nich musiało radzić sobie z bardzo skomplikowaną sytuacją rodzinną. Ale takie sytuacje zdarzały się przecież i w biedniejszych rodzinach.

Po tej drugiej rozmowie podziękowali jej za przyjazd i powiedzieli, że dadzą jej znać po rozmowach z pozostałymi kandydatami. Wiktoria też im podziękowała i znalazłszy się na ulicy, jeszcze raz spojrzała na szkołę, modląc się, żeby ją przyjęli. Nie wiedziała, czy byli tylko grzeczni i uprzejmi, czy naprawdę się nią zainteresowali.

Doszła do Piątej Alei i skręciła na północ. Pięć ulic dalej było Metropolitan Museum, kupiła więc bilet, obejrzała nowe skrzydło z egipskimi starożytnościami, potem zjadła samotnie lunch i żeby zrobić sobie przyjemność, postanowiła wrócić do hotelu taksówką.

Siedziała na tylnym siedzeniu, patrząc na śmigające za szybą miasto i na ludzi rojących się na ulicy jak mrówki. Miała nadzieję, że kiedyś będzie to jej miasto. Dyrektor obiecał odezwać się już za kilka tygodni. Zdała sobie sprawę, że jeśli nie dostanie tej pracy, będzie musiała poszukać gdzie indziej, w Chicago, może nawet w Los Angeles, chociaż powrót do Kalifornii był ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Ale gdyby niczego nie znalazła, nie miałaby wyboru.

Wzdrygała się na myśl o powrocie, a jeszcze bardziej na myśl o tym, że mogłaby znowu zamieszkać w domu. Życie z rodzicami zupełnie by ją dobiło.

Spakowała walizkę i pojechała na lotnisko. Do odlotu miała godzinę, ale po rozmowie w szkole była tak podekscytowana, tak bardzo się tym wszystkim przejęła, że poszła do najbliższej restauracji, zamówiła cheeseburgera i duże lody waniliowe z karmelem, i wszystko to łączywie zjadła. I poczuła się głupio. Nie musiała jeść ani tego, ani frytek do cheeseburgera. Ale umierała z głodu i ze zdenerwowania, a jedzenie pocieszyło ją i przyniosło ulgę. Co będzie, jeśli jej nie zatrudnią? Musiałaby poszukać pracy gdzie indziej, rzecz w tym, że chciała pracować właśnie tam. Gdyby tylko dali jej szansę. Czuła, że pewnie nie dadzą, nie komuś prosto po studiach.

Kiedy wywołano jej lot, wstała, wzięła walizkę i ruszyła do wyjścia. Teraz mogła tylko wrócić na uczelnię i czekać. Ale jakby na to patrzeć, tegoroczne walentynki wcale nie były takie złe. A gdyby dostała pracę, byłyby najlepszymi walentynkami w jej życiu. Wciąż się denerwowała, mimo cheeseburgera i lodów. Jedzenie nie pomogło. Zapinając pas, postanowiła poważnie pomyśleć o dziecie i znowu zacząć biegać - już za trzy miesiące kończyła studia. Ale kiedy stewardessa zaproponowała jej torebkę orzeszków i precelków, nie potrafiła odmówić. Jadła je machinalnie, myśląc o rozmowie z dyrektorem. Miała nadzieję, że niczego nie zepsuła i modliła się, żeby ją przyjął.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Eryk Walker, dyrektor Madison School, zadzwonił do niej osobiście w pierwszym tygodniu marca. Powiedział, że mieli bardzo dużo kandydatów i wybór był trudny, ale z radością może jej zakomunikować, że dostała pracę. Dodał, że umowę przyślą pocztą. Wiktoria była w siódmym niebie.

Miała być najmłodszą nauczycielką zespołu anglistycznego i uczyć w klasach drugich, trzecich i czwartych. Pierwszego września musiała stawić się na pierwszą po wakacjach radę pedagogiczną, a tydzień później zaczynały się lekcje. Dokładnie za pół roku będzie pracować jako nauczycielka w Madison School - nie mogła w to uwierzyć. I chcąc podzielić się z kimś tą wspaniałą nowiną, jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniła do rodziców.

- Bałem się, że coś takiego zrobisz - fuknął ojciec. Zawiedziony i rozczarowany powiedział to tak, jakby aresztowano ją za publiczne obnażanie się w supermarkecie. Równie dobrze mógłby spytać: Co ci, do cholery, odbiło? -Zarobisz tyle, co kot napłakał. Powinnaś poszukać prawdziwej pracy, w reklamie, public relations czy komunikacji społecznej. Możesz robić dużo rzeczy. Możesz pracować w każdej firmie PR-owskiej. Pójść do McDonalda i zarobić

tam więcej niż w szkole. To kompletna strata czasu. I dlaczego w Nowym Jorku? Dlaczego nie tutaj?

Nie spytał nawet, co to za szkoła, nie pochwalił jej, że mimo silnej konkurencji, udało jej się zdobyć pierwszą pracę, w dodatku w tak dobrej szkole. To praca dla nędzarzy, zupełnie do kitu i daleko od domu - tylko tyle miał jej do powiedzenia.

- Przykro mi, tato - odrzekła, jakby zrobiła coś złego. -To naprawdę dobra szkoła.

- Tak? A ile ci tam płacą? - spytał bez ogródek.

Nie chciała kłamać, więc powiedziała prawdę. Zdawała sobie sprawę, że trudno jej będzie za to wyżyć, ale uważała, że warto się poświęcić i nie zamierzała brać od niego ani centa.

- To żalosne - mruknął zde gustowany i oddał słuchawkę mamie, która natychmiast się zaniepokoiła.

- To ty, kochanie? Co się stało?

- Nic. Właśnie dostałam wspaniałą pracę w cudownej szkole w Nowym Jorku. Tato uważa, że za mało mi płacą, to wszystko. Przyjęli mnie, to cud, prawdziwe osiągnięcie...

- To wielka szkoda, że postanowiłaś zostać nauczycielką, Wiktorio. - Mama trzymała się oczywiście obowiązującej linii partyjnej i tak jak zawsze nie omieszkała dać jej do zrozumienia, że spotkał ją wielki zawód. Nigdy nie pozwalali jej z niczego się cieszyć, zawsze ją usadzali, dołowali, odbierali radość z tego, co osiągnęła. - W innej pracy zarobiłabyś dużo więcej.

- Myślę, że będzie mi tam dobrze, mamó. To naprawdę cudowna szkoła. - Próbowała powiedzieć to z młodzieńczym zapałem i nadzieją, nie chcąc stracić entuzjazmu, z jakim do nich zadzwoniła.

- To bardzo miło, kochanie, ale nie możesz uczyć do końca życia. Kiedyś musisz znaleźć prawdziwą pracę.

Odkąd to nauczanie nie było „prawdziwą pracą”? Zawsze chodziło im tylko o pieniądze, o to, ile ktoś zarabia.

- Twoja siostra zarobiła właśnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dwa dni zdjęć do kampanii krajowej.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów było kwotą większą niż jej roczne zarobki. I Grace robiła to dla zabawy, zasilając przy okazji fundusz powierniczy, którzy rodzice dla niej założyli. Praca modelki zawsze była dla niej ekscytująca, bardzo dobrze płatną grą i grała w tę grę od czasu do czasu. Tymczasem Wiktoria będzie musiała ciężko pracować za o wiele mniejsze pieniądze. Ta rozbieżność i dychotomia zawsze ją zdumiewały. Ale nie było tajemnicą, że nauczanie nie należy do zajęć wysoko płatnych i decydując się na pracę w szkole, doskonale o tym wiedziała. Przecież nie mogła pracować jako modelka, nie miała warunków. Nigdy. A nauczanie było jej powołaniem, nie tylko zwykłą pracą. Miała nadzieję, że będzie w tym dobra.

- I gdzie będziesz mieszkać? - spytała coraz bardziej zmartwiona mama. - Stać cię na mieszkanie? Z nauczycielską pensją? Nowy Jork to bardzo drogie miasto.

- Wynajmę coś z koleżankami. Pojadę tam w sierpniu i coś znajdę.

- Kiedy przyjedziesz do domu?

- Zaraz po rozdaniu dyplomów. Chcę spędzić z wami lato.

W tym roku nie zamierzała pracować w wakacje. Przed przeprowadzką do Nowego Jorku chciała trochę pojeździć z Grace, pobyc z nimi. Wiedziała, że to ostatnia okazja. Chociaż pracując w szkole, będzie miała wolne wakacje, mogła już nigdy nie wrócić do Los Angeles na stałe. Bo niewykluczone, że w wakacje zacznie dorabiać do marnej pensji. To było jej ostatnie, prawdziwie studenckie lato i rodzice nie zaprotestowali.

Nie pojechała do domu na przerwę wiosenną - żeby

odłożyć trochę pieniędzy kelnerowała w jadłodajni niedaleko kampusu. Wiedziała, że w Nowym Jorku przyda jej się każdy cent. Ale przez posiłki, które miała tam za darmo, znowu zapomniała od diecie, przez dwa tygodnie zajadając się klopsikami, tłuczonymi ziemniakami z sosem, cytrynowymi bezami i szarlotką. Trudno było oprzeć się pokusie, zwłaszcza naleśnikom z jagodami na śniadanie o szóstej rano, kiedy zaczynała pracę. Marzenie o szczupłej sylwetce na rozdanie dyplomów szybko odpływało w dal. Przygnębiało ją, że przez całe życie musi uważać na to, co je, ciągle głodować, a na dodatek spędzać wiele godzin na bieżniku, nieustannie pokutując za grzechy.

Przez cały kwiecień katowała się na siłowni, jadła tyle, co nic, i w końcu zrzuciła cztery i pół kilo. Była z siebie dumna. A pierwszego maja poszła wypożyczyć togę i czapkę. W wypożyczalni była kilometrowa kolejka i kiedy wreszcie doszła do lady, stojący za nią facet otaksował ją spojrzeniem, żeby ocenić rozmiar.

- Duża dziewczynka, co? - rzucił z szerokim uśmiechem, a ona omal nie wybuchnęła płaczem.

Nie odpowiedziała, nie zaprotestowała, kiedy dał jej togę w największym rozmiarze, chociaż mogłaby włożyć mniejszą. Ale była wysoka, więc nie narzekała, choć toga wyglądała jak namiot, przynajmniej na niej. Pod spód zamierzała włożyć czerwoną spódniczkę, do tego sandały na wysokich obcasach i białą bluzkę. Spódniczka była krótka, ale wszyscy mieli ją w niej zobaczyć dopiero po zdjęciu togi. Podobał jej się odcień czerwieni, no i miała świetne nogi.

Spakowała swoje rzeczy i wysłała je do domu dwa dni przed rozdaniem dyplomów, dzień przed przyjazdem rodziców. Oczywiście przyjechała z nimi Grace. W białym podkoszulku i szortach wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Miała piętnaście lat i chociaż była bardzo drobna,

wyglądała na osiemnaście. Wciąż mogła występować w reklamach dziecięcych ubrań i często występowała. Stojąc obok nich, obok niej i mamy, Wiktoria czuła się jak słońca, ale niezmiennie bardzo kochała siostrę. Kiedy spotkały się w akademiku, ścisnęły się tak długo i mocno, że niemal zabrakło im tchu.

Tego wieczoru zabrali ją na koloq'ę do bardzo ładnej restauracji, gdzie spotkała kilku innych absolwentów. Spytała rodziców, czy może zaprosić znajomych, ale ojciec powiedział, że woleliby pobyć z nią sami. Z uroczystym lunchem nazajutrz było podobnie. Oświadczył, że chcą ją mieć tylko dla siebie, ale tak naprawdę mówił to samo co zwykle, że nie ma ochoty poznawać jej przyjaciół. Dobrze to знаła. Mimo to cieszyła się, że przyjechali. Grace ciągle się do niej tuliła. Ilekroć się spotykały, były nierozłączne. Siostra zaczynała już myśleć o studiach. Chciała iść na uniwersytet, oczywiście w Los Angeles. Rodzice cieszyli się, że córka będzie w zasięgu ręki. Zamiast pogratulować jej odwagi i tego, że chce pracować w tak wymagającej szkole, ojciec powiedział, że Grace jest prawdziwą Kalifornijką i Wiktoria poczuła się jak zdrajczyni.

Uroczystość wręczenia dyplomów w college'u Weinberga w Northwestern była ceremonią pompatyczną i wzruszającą. Mama zaczęła płakać, kiedy tylko ruszyła procesja, ojciec patrzył na córkę z dumą i łzami w oczach, a kiedy Wiktoria uśmiechnęła się do nich, próbując zachować powagę, siostra pstryknęła jej zdjęcie.

Tego dnia dyplom w porządku alfabetycznym odebrało ponad tysiąc absolwentów. Dziekan uściskał jej rękę, a parę godzin później, wraz z tłumem innych, głośno krzycząc, Wiktoria podrzuciła do góry czapkę i wyściskała się z przyjaciółmi. Prawie przez całe studia była sama, ale miała sporo znajomych, więc wymienili się adresami, numerami telefonu i obiecali, że będą w kontakcie, w pełni

świadomi, że to mało prawdopodobne. Bo od razu po studiach odchodzili w świat w poszukiwaniu swego miejsca w życiu.

Tego wieczoru znowu poszli na rodzinną kolację i było tym fajniej, że przy sąsiednich stolikach świętowali jej koledzy. A nazajutrz rano polecili do Los Angeles. Ostatnią noc w Northwestern spędzili w hotelu Orrington, ona w dwójkę z Grace. Do późna rozmawiały, wreszcie zasnęły, leżąc obok siebie. Nie mogły się już doczekać wspólnych wakacji. Wiktoria nikomu o tym nie mówiła, ale przez najbliższe trzy miesiące zamierzała przestrzegać surowej diety, żeby wyglądać jak najlepiej we wrześniu. Kiedy zdjęła togę, ojciec powiedział, że znowu jest jej więcej niż przedtem. Jak zwykle z szerokim uśmiechem. A potem, też jak zwykle, pochwalił ją za nogi, ale jego pierwsza uwaga stłumiła miły wydzźwięk tej drugiej. Kiedy jej dogryzał, komplementy zawsze odbijały się od niej jak groch od ściany.

W samolocie siedziała między nim i Grace, mama czytała czasopismo po drugiej stronie przejścia. Chciały siedzieć razem. Nie wyglądały jak siostry. W miarę upływu lat Grace była coraz bardziej podobna do mamy. A ona coraz bardziej niepodobna.

Zaraz po starcie ojciec nachylił się do niej. Akurat rozmawiała cicho z Grace, zamierzały obejrzeć film.

- W domu - zaczął - będziesz miała czas spokojnie pomyśleć o porządnej pracy. W szkole możesz powiedzieć, że zmieniłaś zdanie. Przemyśl to sobie - dodał konspiracyjnym szeptem.

- Ale to jest wspaniała praca, tatusiu - odparła. - Szkoła też, i gdybym się teraz wycofała, trafiłabym na czarna listę i już nikt by mnie nigdy nie zatrudnił, a już na pewno nie w szkolnictwie. Chcę tam pracować.

Spojrzał na nią z pogardą.

- I być biedna do końca życia? Szkoła? Nie możesz so-

bie na to pozwolić, a ja nie zamierzam wspomagać cię finansowo.

- Wcale tego nie oczekuję, ani teraz, ani potem. Inni jakoś żyją z nauczycielskiej pensji, więc ja też dam sobie radę.

- Ale po co? W przyszłym tygodniu mogę umówić cię na rozmowę. - Kompletnie lekceważył to, że udało jej się osiągnąć coś tak wspaniałego. Dla niego nie była to nawet praca. Ciągłe powtarzał, żeby znalazła „porządną”, za „prawdziwe” pieniądze.

- Bardzo dziękuję - odparła grzecznie - ale pozwól, że nie skorzystam z twojej propozycji. Jeśli nie zdołam się utrzymać, na pewno się za czymś rozejrzę. No i zawsze mogę dorobić latem.

- To żalosne. Kiedy ma się dwadzieścia dwa lata, tak, wtedy może się to wydawać ciekawe, ale wierz mi, nie kiedy ma się trzydzieści czy czterdzieści. Mogłabyś pójść na rozmowę do agencji reklamowej...

- Nie chcę pracować w reklamie - przerwała mu stanowczo. - Chcę uczyć.

Mówiła mu to tysiąc razy, ale on, zdenerwowany, tylko wzruszył ramionami. Włożyły z Grace słuchawki i zaczęły oglądać film.

Ulżyło jej, że nie musi już z nim o tym rozmawiać. Rodziców interesowały tylko dwie rzeczy, jej waga i jej pensja. Trzecim tematem, który podnosili od czasu do czasu, był brak chłopaka, i obydwójce zgadzali się co do tego, że jest to rezultat jej tuszy. Ojciec zawsze wtedy mówił, że gdyby zrzuciła kilka kilogramów, na pewno by jakiegoś znalazła. Wiedziała, że to nieprawda, bo wiele jej koleżanek o szczuplej, doskonalej wprost figurze też nie miało nikogo na stałe. A inne, te otyłe, miały mężów, były zaręczone albo poważnie zaangażowane. Życie miłosne nie zależało tylko od tuszy, w grę wchodziło wiele innych czyn-

ników. Poza tym nie pomagał jej również brak poczucia wartości własnej ani to, że rodzice ciągle z niej drwili i ją krytykowali. Nigdy nie byli z niej dumni, ani z niej, ani z tego, co robiła, chociaż po rozdaniu dyplomów powiedzieli, że są. Woleliby tylko, żeby studiowała na Uniwersytecie Kalifornijskim albo na Uniwersytecie Południowej Kalifornii i żeby poszukała sobie innej pracy, najlepiej gdzieś blisko, w Los Angeles. To, co zrobiła czy osiągnęła nigdy im nie wystarczało. I chyba nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo bołą ją ich docinki i ciągła krytyka, i że to właśnie dlatego nie chce z nimi mieszkać. Pragnęła uciec od nich na drugą stronę kontynentu. I bywać w domu tylko na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, chociaż przypuszczała, że z czasem w ogóle przestanie przyjeżdżać. Ale na razie chciała pobycć jak najdłużej z siostrą. Czuła, że kiedy Grace pójdzie na studia, odwiedziny w domu staną się dużo rzadsze.

W drodze z lotniska do domu usiadły razem na tylnym siedzeniu. Rodzice rozmawiali o tym, co będzie na kolację. Ojciec zaproponował steki z grilla w ogrodzie. Odwrócił się, puścił do niej oko i powiedział:

- Wiem, że jesteś głodna, nie muszę nawet pytać. A ty, Grace? Zjesz stek?

Wiktoria drgnęła i spojrzała w okno. Czuła się tak, jakby oberwała pięścią w brzuch. Oto, jaką opinią się u nich cieszyła, oto ich wiecznie głodna córka.

- Czemu nie? - odparła niepewnie Grace. - Ale jeśli nie chce ci się robić grilla, możemy wziąć chińszczyznę na wynos albo pojedę na kolację z Wiktoria. Bo może jesteście zmęczeni?

Wolałyby pojechać gdzieś same, ale nie chciały ich urazić. W dodatku ojciec powiedział, że chętnie zrobi grilla, ale tylko pod warunkiem, że będą jedli wszyscy, nie tylko Wiktoria. Drugi przytyk w ciągu pięciu minut - zanosilo

się na bardzo długie lato. Uświadomiła sobie, że jednak nic się nie zmieniło. Cztery lata studiów i dyplom, a oni wciąż traktowali ją jak nieodpowiedzialnego żarłoka.

No więc był grill w ogrodzie. Mama zrezygnowała ze steku i poprzestała na sałatce. Powiedziała, że za dużo zjadła w samolocie. Ale one chętnie sięgnęły po stek. Grace nałożyła sobie pieczonych ziemniaków, Wiktoria wzięła tylko sałatkę.

- Źle się czujesz? - Tym razem ojciec z niej nie żartował, pytał zupełnie poważnie. - Zawsze ci smakowały.

- Nie, nic mi nie jest - odrzekła cicho. Nie spodobała jej się ta uwaga, ale postanowiła zacząć dietę zaraz po przyjeździe do domu. Nie skusili jej nawet lodami na deser, bo gdyby je zjadła, znowu powiedzieliby coś uszczypliwego.

Po kolacji poszły do Grace posłuchać muzyki. Chociaż siostra wolała kawałki nowsze i ostrzejsze, miały wiele takich, których chętnie wspólnie słuchały. Wiktoria cieszyła się, że nareszcie się spotkały.

Kilka tygodni później skończył się rok szkolny i od tej chwili spędzały razem całe dni. Na długi weekend po Dniu Pamięci pojechały z rodzicami do Santa Barbara. A po powrocie Wiktoria zaczęła zabierać siostrę na przejażdżki. Stała się jej osobistym szoferem i towarzyszką podróży, i przez dwa miesiące były nierozłączne. Spotkała się z koleżankami i kolegami z ogólniaka, którzy wrócili po studiach do Los Angeles albo w ogóle stąd nie wyjeżdżali. Nie miała w szkole bliskich przyjaciół, ale miło było zobaczyć znajome twarze, zwłaszcza przed ponownym wyjazdem. Dwoje z nich zamierzało robić magisterkę i pomyślała, że z czasem ona też zrobi, ale na Uniwersytecie Nowojorskim albo w Columbii. Widziała się również z kilkoma chłopakami, którzy w ogólniaku nigdy nie zwracali na nią uwagi. Jeden zaprosił ją nawet na kolację i do kina, ale nie mieli sobie nic do powiedzenia, bo robił teraz

w handlu nieruchomościami i miał szmergla na punkcie pieniędzy. Nie zaimponowała mu swoją nową pracą. Jediną osobą, która szczerze ją podziwiała, była jej siostra, bo siostra zawsze powtarzała, że uczenie w szkole jest zajęciem bardzo szlachetnym. Wszyscy pozostali uważali, że Wiktoria jest głupia i skończy w przytułku.

Letnie wakacje były dla niej okazją do gromadzenia wspomnień, które miała pielęgnować aż do końca życia. Dzielły się z Grace swoimi marzeniami, obawami, nadziejami i prywatnymi urazami, jakie żywiły do rodziców. Siostra uważała, że za bardzo ją niańczyła i nie znosiła, kiedy się nią chwalili. Natomiast Wiktoria miała do nich żal, że nie zaznała ani jednego, ani drugiego. Ich doświadczenia, zdobyte przecież w tej samej rodzinie, były zupełnie różne. Czasem sama nie wierzyła, że spłodzili je ci sami rodzice. I chociaż to przez siostrę stała się dla nich niewidzialna i niepotrzebna, nigdy nie miała do niej pretensji i bardzo ją kochała, teraz i kiedyś, swego małego aniołka, który sfrunął do niej prosto z nieba, kiedy miała siedem lat.

Dla Grace lato po ukończeniu studiów było ostatnią okazją do rozmów i zabawy ze starszą siostrą. Co rano jadły razem śniadanie. Dużo się śmiały. Wiktoria woziła ją i jej przyjaciół na pływalnię. Grała z nimi w tenisa i zawsze przegrywała, bo była dużo wolniejsza. Grace pomogła jej kupić nowe ubrania do szkoły, zdecydować, które są modne, a które nie. Przeglądały razem żurnale, wymieniały uwagi o najnowszych trendach. Jeździły do Malibu i na inne plaże, a czasem po prostu leżały w ogrodzie, ciesząc się w milczeniu swoją bliskością.

Ponieważ zajmowała się nią Wiktoria, tego lata mama miała bardzo dużo wolnego czasu - ale nie dla córek, tylko na brydża z przyjaciółmi, bo gra ta wciąż była jej ulubioną rozrywką. Mimo protestów Wiktorii, ojciec umówił ją na kilka rozmów, żeby znalazła „lepszą pracę” niż ta, która

czekała na nią w Nowym Jorku. Podziękowała mu i dyskretnie wszystkie odwołała. Nie chciała tracić czasu, ani swego, ani czyjegoś. Ojciec się zdenerwował i znowu powtórzył, że córka podejmuje złe decyzje, które odbiją się na jej przyszłości, i że jako nauczycielka nigdy do niczego nie dojdzie. Przywykła już do tego i oczywiście nie zmieniła zdania. Była dzieckiem, z którego nigdy nie byli dumni, ani on, ani mama, które zawsze ignorowali i wyśmiewali.

Pewnego dnia wyznała siostrze, że gdyby miała pieniądze, zrobiłaby sobie operację nosa i może kiedyś zrobi. Powiedziała, że chciałaby mieć jej nosek, malutki i zgrabny. Grace była wzruszona i odrzekła, że Wiktoria i ze swoim naturalnym nosem jest piękna. Że wcale nie potrzebuje nowego, że wygląda doskonale tak, jak wygląda. To właśnie ta wzajemna bezwarunkowa miłość dodawała im sił, to właśnie dzięki niej obydwie kwitły. Miłość rodziców zawsze od czegoś zależała, a to od urody córek, a to od tego, czy spełniały ich oczekiwania i stawiały ich w dobrym świetle. Grace zawsze była dla nich ozdobą, pięknym dodatkiem, dlatego przez całe życie zasypywali ją pochwałami. A ponieważ Wiktoria była inna, ponieważ do nich nie pasowała, zagłodzili ją emocjonalnie, ale tylko oni, ojciec i mama. Bo Grace nigdy nie szczędziła jej miłości i zawsze ją uwielbiała. Wiktoria kochała ją całym sercem, dlatego pragnęła chronić siostrę, żeby nie stała się taka jak oni. Żałowała, że nie może zabrać jej do Nowego Jorku. Obie bardzo bały się rozstania.

Grace pomogła jej wybrać ciuchy, w których we wrześniu miała wystąpić w nowej szkole. Tym razem Wiktoria wytrzymała i ściśle przestrzegając surowej diety, pod koniec lipca mogła wbić się w sukienkę o rozmiarze dwanaście. Ledwo, ledwo, ale mogła. Zrzuciła sporo kilogramów, chociaż ojciec ciągle ją pytał, czy przed wyjazdem do Nowego Jorku nie chce schudnąć. Nie zauważył żadnej różni-

cy, mama też nie, bo żeby nie wiem jak bardzo córka schudła, dla niej zawsze ważyła za dużo. Etykieta, którą jej przykleili, kiedy była jeszcze niemowlęciem, przyłgnęła do niej na zawsze, niczym tatuaż. Dla nich zawsze była „dużą dziewczynką” - „dużą”, czyli grubą. Wiktoria doskonale wiedziała, że myśleliby tak, nawet gdyby ważyła czterdzieści pięć kilo i była chuda jak szczapa. Zawsze byli lustrem, w którym odbijały się jej niedoskonałości i porażki, nigdy zwycięstwa. Dostrzegali jedynie osiągnięcia i zwycięstwa Grace. Tacy już byli.

Tydzień przed wyjazdem Wiktorii całą rodziną pojechali do Lake Tahoe. Świetnie się tam bawili. Wynajęty przez ojca dom był duży i ładny. On siedział za sterem łodzi, a one pomykały na nartach wodnych po zimnym jak lód jeziorze. Grace uważała, że w nowej pracy Wiktorii najlepsze jest to, że nauczyciele mają wolne wakacje i będą mogli spędzać je razem, a Wiktoria już teraz zaprosiła ją w odwiedziny do Nowego Jorku. Chciała, żeby siostra zobaczyła jej nową szkołę, może nawet przyszła na lekcję, gdyby dyrektor się zgodził. Miała nadzieję, że się zgodzi.

W końcu nadszedł dzień wyjazdu. Obie się go bały, bały się chwili pożegnania. W drodze na lotnisko wszyscy byli dziwnie cisi i milczący. One przez całą noc nie spały -leżały obok siebie i rozmawiały aż do świtu. Wiktoria powiedziała Grace, że może wprowadzić się do jej pokoju, bo zawsze się jej podobał, ale siostra nie chciała. Chciała, żeby to był jej pokój, żeby miała dokąd wracać. Na lotnisku obie się rozplakały i długo stały, obejmując się i ściskając. Mimo wzajemnych zapewnień, dobrze wiedziały, że już nigdy nie będzie tak samo. Wiktoria rozpoczynała dorosłe życie w innym mieście. Obie doszły do wniosku, że tak będzie dla niej lepiej. Pewne były tylko jednego, tego, że nie przestaną się kochać. Wszystko inne miało się teraz zmienić. Zdawały sobie sprawę, że w chwili, kiedy Wiktoria posta-

wi nogę na pokładzie samolotu, stanie się dorosłą kobietą. A kiedy przyjedzie do domu, będą to tylko odwiedziny. Nie miała tu już niczego oprócz bolesnych wspomnień i swojej siostrzyczki. Rodzice porzucili ją emocjonalnie w dniu jej narodzin, bo nie wyglądała tak, jak chcieli, bo nie była do nich podobna. Nie mogli się z tym pogodzić. Ich córka popełniła ciężkie przestępstwo, którego nie próbowali jej nawet wybaczyć. Zamiast tego naśmiewali się z niej, lekceważyli ją i pomniejszali jej osiągnięcia. Utwierdzili w niej przekonanie, że jest niechciana i nie spełnia ich oczekiwań.

- Uważaj na siebie, kochanie - powiedziała mama, obejmując ją ostrożnie, jakby bała się zarazić jej tuszą. - I daj nam znać, jak ci tam jest. - Nie miała jej nic do dania, żadnych uczuć, bo wszystkie przelała na męża. Dała mu wszystko ich kosztem, nawet kosztem Grace. Dlatego cieszyła się, że Wiktoria zastępuje ją latem przy siostrze.

Potem objął ją ojciec.

- Kiedy będziesz miała dość uczenia - powiedział - znajdę ci pracę. Czyli już niedługo - dodał z uśmiechem. - Nie wytrzymasz, umrzesz z głodu. - Mimo to wcisnął jej do ręki czek. Na tysiąc dolarów. Był to hojny dar i Wiktoria bardzo się ucieszyła. Wiedziała, że dzięki temu łatwiej jej będzie łączyć na czynsz albo na depozyt za wynajęcie mieszkania, które dopiero miała znaleźć.

Po raz ostatni przytuliła na pożegnanie Grace i z trudem wyrwała się z jej objęć, aby stanąć w kolejce do bramki bezpieczeństwa. Kiedy odwróciła się zapłakana, zobaczyła, że siostra też płacze i że ojciec czule obejmuje matkę. Grace stała samotnie z boku. Spojrzenia, jakie wymieniły, mówiły wszystko. Będą się zawsze wspierać, do końca życia pozostaną sojuszniczkami. Dotknęła swego serca, posłała jej pocałunek i odeszła, by rozpocząć nowe życie. To w Los Angeles przeszło już do historii.

ROZDZIAŁ OSMY

Mieszkania szukała przez dwa tygodnie. Już pod koniec pierwszego wpadła w panikę. Nie mogła mieszkać w hotelu w nieskończoność, chociaż czek od ojca bardzo jej pomógł. Trochę zarobiła również poprzedniego lata i podczas przerwy wiosennej, no i miała dostać pensję. Zadzwoiła do szkoły i spytała, czy któraś z nauczycielek nie szuka współlokatorki, niestety, żadna nie szukała. Zadzwoiła więc do swoich modelek i okazało się, że jeden z agentów ma znajomą, która szuka współlokatorki, i że szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieszkanie to mieści się w kamienicy gdzieś w pobliżu Osiemdziesiątej Wschodniej, a więc dość blisko szkoły. Dał jej numer telefonu i Wiktoria natychmiast zadzwoniła. Mieszkało ich tam już troje i szukali czwartej osoby. Uprzedzono ją, że pokój jest mały i że pozostałe są zajęte przez dwóch mężczyzn i kobietę. Cena była do przyjęcia, więc umówiła się z nimi na następny dzień, a właściwie na wieczór, kiedy wrócą z pracy. To prawdziwy cud, bo gdyby się z nimi dogadała, do szkoły miałyby ledwie sześć ulic. Była bardzo podekscytowana, ale najpierw chciała zobaczyć mieszkanie. Brzmiało to nazbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe.

Kamienica była stara, ale w przyzwoitym stanie, chociaż

dni świetności miała już za sobą. Stała przy Osiemdziesiątej Drugiej Wschodniej, niedaleko rzeki. Frontowe drzwi były zamknięte. Zabrzęczał elektryczny zamek i Wiktoria wjechała windą na górę. Korytarz był ciemny, ale czysty, a w progu czekała na nią młoda kobieta. Była w dresach; właśnie szła na siłownię. Ładna figura, na oko trzydzieści lat - powiedziała, że ma na imię Bunny, zdrobnienie od Berenice, że nienawidzi tego imienia i pracuje w galerii sztuki w śródmieściu. Mężczyźni też byli w domu, obydwaj. Bill studiował z Bunny w Tulane i był analitykiem na Wall Street. Niedawno się zaręczył, w przyszłym roku zamierzał się wyprowadzić i większość czasu spędzał u narzeczonej, zwłaszcza w weekendy. Natomiast Harlan był gejem. Niedawno ukończył studia i pracował w Instytucie Kostiumologicznym w Metropolitan Museum. Wszyscy wyglądali na ludzi poważnych, miłych i otwartych. Powiedziała im, że za kilka dni rozpoczyna pracę w Madison School. Bill zaproponował jej kieliszek wina. Zaraz potem Bunny wyszła. Miała świetną figurę, a Bill i Harlan byli całkiem przystojni. Harlan - urodził się w Missisipi - miał fantastyczne poczucie humoru i mówił z południowym akcentem, prawie identycznym jak Beau, którego po ich niespełnionym romansie już nigdy nie spotkała. Dodała, że pochodzi z Los Angeles i rozpaczliwie szuka mieszkania, bo już za tydzień idzie do pracy.

Mieszkanie, duże i słoneczne, składało się z podwójnego salonu, małego pokoju do odpoczynku, jadalni, trochę zapuszczonej kuchni i z czterech skromnych rozmiarów sypialni. Tak jak ją uprzedzali, jej pokój był mały, za to pozostałe pomieszczenia ładne i całkiem spore. Powiedzieli, że może przyjmować gości, chociaż oni imprezowali w domu rzadko i zwykle gdzieś wybywali. Żadne z nich nie pochodziło z Nowego Jorku. W jej pokoju nie było mebli. Harlan zasugerował, żeby kupiła je w IKEI, tak jak on; mieszkał tu

od roku. A ponieważ czynsz był narzucony przez miasto, płaciłaby stosunkowo mało i poradziłaby sobie nawet przy skromnej pensji. Okolica uchodziła za bezpieczną, w pobliżu było mnóstwo sklepów i restauracji. Dla kogoś młodego i pracującego mieszkanie było wprost idealne - okazało się, że w kamienicy mieszkają albo ludzie bardzo młodzi, albo bardzo starzy, i to od zawsze. Wiktoria uznała, że dla niej jest idealne i kiedy spytała, czy mogłaby z nimi zamieszkać, Harlan i Bill natychmiast się zgodzili; Bunny zrobiła to już przed wyjściem na siłownię. Ich wspólny znajomy z agencji modelek, ten, który ją polecił, wychwalał ją pod niebiosa, mówiąc, jaka to wspaniała i miła z niej dziewczyna. Tak więc miała już gdzie mieszkać i z szerokim uśmiechem ucisnęła im ręce. Nie zażądali depozytu i powiedzieli, że może się od razu wprowadzić, musi tylko kupić łóżko. Harlan znał pewną firmę. Wystarczyło do nich zadzwonić, podać numer karty kredytowej i jeszcze tego samego dnia przywozili materac. Witaj w Nowym Jorku, Wiktorio!

Zapłaciła czekiem za pierwszy miesiąc, dostała klucze i kiedy wyszła na ulicę, z radości zakreśliło jej się w głowie. Miała pracę i mieszkanie, zaczynała nowe życie. Musiała tylko kupić meble i mogła się wprowadzać. Wieczorem zadzwoniła do domu i Grace bardzo się ucieszyła. Ojciec natychmiast zaczął wypytywać ją o lokalizację i o współlokatorów. Mama nie była zachwycona, że dwóch z nich to mężczyźni. Wiktoria uspokoiła ją, mówiąc, że jeden jest zaręczony, a drugi nie interesuje się kobietami i że wszyscy troje wyglądają na wspaniałych ludzi. Rodzice mieli co do tego wątpliwości. Woleliby, żeby mieszkała sama niż z obcymi, wiedzieli jednak, że jej na to nie stać, a ojciec nie chciał płacić za czynsz. Musiała radzić sobie sama.

Nazajutrz wynajęła furgonetkę i pojechała do IKEI. Wy-

brała podstawowe meble i była zdumiona, że tak mało kosztowały. Kupiła dwie lampy, dywanik, firanki, dwa lustra ścienne, pościel, wygodny fotel, dwa stoliki nocne, ładną komódkę, małą szafę z lustrem - w pokoju była tylko jedna, wnękowa - i miała nadzieję, że zmieści w nich wszystkie swoje rzeczy. Niestety, meble trzeba było zmontować. Bała się, że sobie nie poradzi, ale Harlan powiedział, że wystarczy zadzwonić do dozorca i dać mu przyzwoity napiwek.

Już godzinę później zaczęła wyładowywać to wszystko przed domem. Kolejną godzinę wozili je na górę i tak jak powiedział Harlan, zaraz potem przyszedł dozorca ze skrzynką z narzędziami i zaczął skręcać meble. Tymczasem ona wykonała jeden telefon i jeszcze zanim dozorca skończył, do mieszkania wniesiono materac na sprężynach i skrzynię na pościel. Gdy o szóstej do domu wróciła Bunny, zachwycona Wiktoria siedziała już w swoim prawie całkowicie urządzonym pokoju. Białe meble, białutkie koronkowe firanki, do tego biało-niebieski dywanik - całość była po kalifornijski lekka i zwiewna. Udało jej się nawet kupić narzutę w biało-niebieskie paski i poduszki do kompletu. W kącie stał wygodny niebieski fotel, gdzie mogła czytać, gdyby nie chciała iść do salonu. Mały telewizorek, który kupiła już wcześniej, ustawiła naprzeciwko łóżka. Czek od ojca bardzo jej pomógł. Siedziała na brzegu łóżka, uśmiechała się od ucha do ucha i była zachwycona.

- No proszę - powiedziała Bunny. - Widzę, że nasza nowa obozowiczka jest zadowolona. Ślicznie tu teraz. Podoba mi się.

- Mnie też - odparła wesoło Wiktoria. To było jej pierwsze prawdziwe mieszkanie, bo dotąd mieszkała tylko w akademikach. No i ten pokój był dużo większy, chociaż oczywiście nie olbrzymi. Ona i Bunny miały wspólną ła-

zienkę. Druga należała do Harlana i Billa; zdążyła już zauważyć, że ta ich jest nienagannie czysta, schludna i wysprzątana. Układ był po prostu idealny.

- Wychodzisz wieczorem? - spytała z zainteresowaniem Bunny. - Ja nie i mogłabym ci pomóc w rozpakowywaniu rzeczy.

Wiktoria przez całe popołudnie ustawiała i przestawiała meble. Miała już pościel i stertę nowiutkich ręczników, które chciała wyprać; w piwnicy była pralnia, a w niej pralka, z której mogli korzystać.

- No właśnie - odparła. - Moje rzeczy są w hotelu, muszę je zabrać. - Żeby trochę zaoszczędzić, zwolniła pokój z samego rana i zostawiła je w portierni. - Pojadę i zaraz będę z powrotem.

Wrócili Harlan i Bill. Im też spodobał się jej pokój. Wyglądał świeżo, czysto i nowocześnie. Harlan powiedział, że czuje się w nim jak w nadmorskim domu w Malibu. Wiktoria kupiła nawet oprawione w ramki zdjęcie długiej, piaszczystej plaży, które ją dziwnie uspokajało i które powiesiła na ścianie. Pokój niedawno odmalowano, wszędzie unosił się zapach nowych mebli, a z okien widać było ulicę i dachy sąsiednich domów. Okna wychodziły na południe, więc pokój był na pewno słoneczny.

Ponieważ współlokatorzy zamierzali spędzić wieczór w domu i zaprosili ją na kolację, szybko wyszła, żeby odebrać rzeczy z hotelu i odstawić furgonetkę.

Kiedy wróciła, w mieszkaniu unosiły się smakowite zapachy - wyglądało na to, że wszyscy troje są dobrymi kucharzami. Dołączyła do nich Julie, narzeczona Billa, i kiedy obładowana czterema walizkami Wiktoria stanęła w progu, wszyscy czworo byli akurat w kuchni, śmiejąc się, żartując i pijąc wino. W walizkach były również ubrania na zimę. Do Los Angeles zamierzała pojechać dopiero na Święto Dziękczynienia. Zabrała je tylko na wszelki wypadek. Bun-

ny powiedziała, że to bardzo dobrze, bo nowojorskie październiki bywają bardzo zimne.

Wiktoria kupiła po drodze wino, hiszpańskie, i postawiła je na stole. Uznali, że jest bardzo dobre i od razu je otworzyli. Jedną butelkę już wypili, szybko, bo było ich czworo. Wiktorię kusilo, żeby kupić też lody, jednak się powstrzymała. Przeprowadzka była trochę stresująca, ale jak dotąd wszystko szło bardzo dobrze.

O dziesiątej, gdy już porządnie zgłodnieli, całą piątką usiedli do kolacji. Przedtem przez cały czas kręcili się po kuchni i salonie. Tego wieczoru kucharzyła głównie Bunny, bo Harlan i Bill wyskoczyli wieczorem na siłownię. Ćwiczyli dużo i regularnie. Narzeczona Billa miała fantastyczną figurę. Pracowała w firmie kosmetycznej. Wszyscy uważali, że to wspaniale, iż Wiktoria będzie uczyła w szkole, musi być bardzo odważna, bo będzie miała do czynienia z dziećmi niewiele starszymi od niej.

- Dzieci mnie przerażają - wyznała Bunny. - Ilekroć przychodzą do galerii, uciekam gdzie pieprz rośnie. Zawsze coś rozbijają i mam przez nie same kłopoty.

Ukończyła sztuki piękne i miała chłopaka w Bostonie, który studiował tam prawo. W weekendy on przyjeżdżał do niej albo ona jechała do niego.

Zdawało się, że wszyscy wiedzą doskonale uporządkowane życie. Ale potem Harlan powiedział, że przed pół rokiem rozstał się ze swoim partnerem i że na razie ma dość romansów. Z nikim się nie spotykał i Wiktoria wyznała, że z nią jest podobnie. Żaden z romansów jak dotąd nie wypalił, ale buntowała się przeciwko teorii ojca, że powodem tego jest jej tusza i uroda. Czuła się tak, jakby ciążyła nad nią jakaś klątwa. Ojciec uważał, że jest brzydka, matka, że za bardzo inteligentna, dlatego mężczyźni jej nie chcą. Była albo za mądra, albo za brzydka, tak czy inaczej, nikt nie stracił dla niej głowy. Ona dla nikogo też nie, bo swoje do-

tychczasowe przygody nazwałaby co najwyżej flirtami, nie licząc pechowego falstartu z Beau, krótkiej znajomości z fizykiem jądrowym i z kilkoma innymi. Miała nadzieję, że w Nowym Jorku będzie miała więcej szczęścia. I rzeczywiście miała: znalazła wspaniałe mieszkanie z trzema równie wspaniałymi współlokatorami. Naprawdę bardzo jej się podobałi. Kolacja była przepyszna. Bunny zrobiła paellę ze świeżymi owocami morza, doskonałą na gorący letni dzień, do tego podała sangrię, którą wypili po winie. Przed paellą podała hiszpańską gazpacho z surowych warzyw, octu i oliwy z dodatkiem rozmoczonego chleba. A na deser kupiła prawie dwa litry lodów z herbatnikami.

- To tak, jakbyś podała heroinę starej ćpuncie - jęknęła Wiktoria.

Niestety, były to jej ulubione lody i nie mogła oprzeć się pokusie. Nałożyła sobie pełną miseczkę i podała karton dalej.

Paellę już pochłonęli. Była przepyszna. Lody też.

- Ja też uwielbiam lody - przyznał się Harlan, co było dziwne, bo wyglądał, jakby od dziesięciu lat głodował; miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, co dawało mu sporo luzu.

Ale Wiktoria nie jadła lodów od miesiący i postanowiła zrobić sobie przyjemność. Ostatecznie miała co świętować. Potem pogratulowała sobie w duchu, że nie wzięła dokładki, chociaż pierwsza porcja była owszem, duża. W piątkę szybko skończyli cały karton. Julie też sporo zjadła, ale wyglądało na to, że żadne z nich nie ma problemów z wagą. Wszyscy byli szczupli, smukli i w doskonałej formie fizycznej. Mieli niemal religijny stosunek do ćwiczeń na siłowni, a Bill i Bunny mówili, że to świetny sposób na stres. Harlan nie znosił ćwiczyć, ale czuł się do tego zobligowany. Myśleli o zakupie bieżnika, żeby nie chodzić codziennie na siłownię. Wiktoria uważała, że to świetny po-

mysł. Gdyby bieżnik był na miejscu, nie znalazłaby pretekstu do lenistwa. Byli ludźmi energicznymi i pełnymi życia, mieli mnóstwo planów, projektów i pomysłów. Cieszyła się, że z nimi mieszka. W małej, samotnej klitce byłoby o wiele gorzej. Tutaj miała więcej miejsca i przestrzeni, no i towarzystwo. W razie potrzeby, gdy zechce pobyć sama, zawsze może iść do swojego pokoju, który dzięki IKEI był teraz przytulny i śliczny. Cieszyła się swoimi meblami i tym, że tak ładnie do siebie pasują. To był świetny pomysł, więc podziękowała Harlanowi, że go jej podsunął.

- Nie ma za to - odparł z uśmiechem. - Kiedyś dorabiałem na boku, urządzając okna wystawowe w SoHo i dla Chanel. Gdy dorosnę, chcę zostać dekoratorem wnętrz. Na razie mam od groma roboty w Instytucie Kostiumologicznym, ale chodzi mi po głowie wiele pomysłów.

Robił wrażenie osoby bardzo kreatywnej i świetnie się ubierał.

Gdy tak siedziała przy kuchennym stole i rozmawiała z nimi, pomyślała, że może, mieszkając z nimi i chodząc na siłownię tak często jak oni, zdoła zapanować nad tuszą. Wiedziała, że jej waga ciągle się zmienia i jest zawsze zbyt duża, ale czuła, że jej nowi znajomi mogą mieć na nią dobry wpływ. Byli tacy szczupli. Zazdrościła takim ludziom przez całe życie. Bo dzięki swojej prababce ona była od urodzenia duża. Miała duże piersi, dlatego górna połowa ciała zdawała się przyciężka. Talia osy była w porządku. Często zastanawiała się, czy prababka też miała długie, szczupłe nogi. Na zdjęciach nie było tego widać, bo w tamtych czasach nosiło się długie suknie. Ona latem trochę schudła, więc mogła znowu nosić krótsze. Ale zdawała sobie sprawę, że objadając się lodami, błyskawicznie przyty-je. Miała wyrzuty sumienia, że nie potrafiła sobie odmówić i znowu zjadła olbrzymią porcję. Już nazajutrz musiała zacząć ćwiczyć i biegać. Może Bunny zabierze ją na fit-

ness... Nagle poczuła się oszołomiona ogromem tego, co ją czekało. Za kilka dni zaczynała szkołę, tym razem jako prawdziwa nauczycielka, a nie jako uczennica. To było takie podniecające!

Rozmawiali do pierwszej w nocy, a potem rozeszli się do swoich pokoi. Julie nocowała u Billa. Wiktoria położyła się do swego nowiutkiego, dużego łóżka, umościła się wygodnie w nowiutkiej pościeli i uśmiechnęła się do siebie. Pokój był cudowny, wyglądał dokładnie tak, jak chciała. Stworzyła swój mały, przytulny świat. A był to dopiero początek. Wkrótce będzie miała nową pracę, nowych znajomych i nowych uczniów, a pewnego dnia może nawet chłopaka. Trudno było to sobie wyobrazić. Ale znalazła już mieszkanie, no i proszę, nagle stała się mieszkanką Nowego Jorku.

Zasypiając, zateśniła za Grace i chciała nawet do niej zadzwonić, ale była zbyt senna, poza tym rozmawiała z nią rano, kiedy robiła zakupy w IKEI. Grace bardzo się ucieszyła, a ona przyrzekła wysłać jej zdjęcia swego nowego pokoju. Powoli odpływała w sen, myśląc o siostrze i o tym, że Grace przyjedzie do niej do Nowego Jorku. I w tym śnie poszły razem na zakupy, i nagle Wiktoria była o wiele szczuplejsza, jakby wraz z nowym życiem otrzymała w darze nowe ciało. Sprzedawczyni pokazała jej sukienkę w rozmiarze czternastym, a ona powiedziała jej, że nosi teraz ósemkę i wszyscy w sklepie bili brawo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przed pierwszym dniem szkoły miała dwa dni przeróżnych narad, odpraw i spotkań. Poznała innych nauczycieli, próbowała zapamiętać ich nazwiska, przedmioty i klasy, w których uczyli. Przejrzała również podręczniki wybrane przez nauczycielkę, którą zastępowała. Przed odejściem na urlop pani Bernini zostawiła dla niej nawet program i spis wymagań edukacyjnych, co bardzo ją ucieszyło, bo od dawna się tym martwiła. Wydawało się, że pójdzie jej dużo łatwiej, niż myślała, dlatego bez skrupowania przedstawiała się nowym kolegom i chętnie z nimi rozmawiała. Zespół anglistyczny był jednym z największych, bo składał się aż z ośmiu nauczycieli, z pięciu kobiet i trzech mężczyzn. Zauważyła, że mężczyźni, cała trójka, są albo gejami, albo mają żony, ale ilekroć o tym myślała, strofowała się w duchu, bo przecież nie przyszła tu szukać chłopaka, tylko uczyć.

Wieczorami znowu przeglądała podręczniki i wymagania edukacyjne, robiła notatki, planowała prace domowe i sprawdziany, ale najpierw chciała poznać tych, dla których je przygotowywała, wyczuć, jacy są. Miała uczyć w czterech klasach, w drugiej, trzeciej i w dwóch czwartych. Pod-

czas praktyk ostrzegano ją, że najgorsi są czwartoklasiści. Chcieli jak najszybciej ukończyć szkołę i w drugim semestrze, kiedy mieli już w kieszeni list akceptacyjny z wyższej uczelni, trudno było czymś ich zainteresować, zmusić do pracy i nad nimi zapanować. Zanosilo się na ciężki rok i Wiktoria nie mogła się już doczekać, żeby spróbować sił. W noc przed pierwszym dniem szkoły długo nie mogła zasnąć.

Wstała o szóstej rano. Zrobiła sobie porządne śniadanie - jajka, grzanka, płatki i sok pomarańczowy - i zaparzyła dzbanek kawy dla siebie i swoich współlokatorów.

O siódmej, już ubrana, siedziała przy stole i jadła, a o wpół do ósmej wróciła szybko do pokoju, żeby jeszcze raz przejrzeć notatki. Za kwadrans ósma zamknęła za sobą drzwi i poszła do szkoły. Na miejscu była punktualnie o ósmej. Lekcje zaczynały się za pół godziny.

Poszła prosto do klasy, przez kilka minut chodziła nerwowo tam i z powrotem, wreszcie stanęła przy oknie. Za chwilę miało tu wejść dwudziestu czterech uczniów. W klasie były ławki, w tym kilka zapasowych, i duże biurko pod tablicą. Tego dnia miała zajęcia z kompozycji tekstu i przygotowała dla nich pracę domową. Wiedziała, że po wakacjach trudno będzie czymś ich zainteresować. Poza tym to byli czwartoklasiści, uczniowie na wylocie. Przez całą jesień mieli biegać po uczelniach i składać podania. A ona musiała wystawić im opinię. Była niezmiernie ważnym elementem ich szkolnego życia, miała bardzo duży wpływ na ich przyszłość, dlatego musieli poważnie traktować jej przedmiot i pilnie pracować. Znała ich nazwiska, a teraz po raz pierwszy miała zobaczyć twarze.

Zamyślona patrzyła w dal, gdy wtem usłyszała czyjś głos.

- Gotowa do bitwy?

Odwróciła się i zobaczyła siwowłosą kobietę. Była w dzin-

sach, podkoszulku z nazwą jakiegoś zespołu na piersiach i w sandałach. Wyglądała jak na wakacjach. Uśmiechała się do niej. Wiktoria była w krótkiej czarnej spódniczce, luźnym białym topie i w butach na płaskim obcasie. Top ukrywał mnogość jej grzeszków, a stosunkowo krótka spódniczka odsłaniała nogi. Obłęd, co za głupota. Nie przyszła tu uwodzić, tylko uczyć.

- Dzień dobry - odparła zaskoczona. Widziała ją na radach pedagogicznych, ale nie przedstawiła się jej ani nie wiedziała, jakiego przedmiotu uczy, a głupio jej było pytać.

- Uczę socjologii. W sąsiedniej klasie, więc gdyby wybuchła tu wojna gangów, chętnie przybędę na odciecz. Mam na imię Helen. - Z uśmiechem podeszła bliżej i uściśnęła rękę Wiktorii. Była chyba w wieku jej matki, dobijała pięćdziesiątki. Mama skończyła niedawno pięćdziesiąt. - Pracuję tu od dwudziestu dwóch lat, więc jeśli będziesz potrzebowała rady czy czegokolwiek, od razu przychodź. Jest tu wielu miłych ludzi, z wyjątkiem dzieci i ich rodziców. Przynajmniej niektórych. Ale niektóre są wspaniałe, mimo uprzywilejowanych warunków, w jakich żyją.

W tej chwili przeraźliwie zadzwonił dzwonek, a zaraz potem rozległ się tupot nóg na schodach. Brzmiało to tak, jakby biegł tłum ludzi.

- Dziękuję - odparła Wiktoria, nie wiedząc, jak zareagować. To, co Helen powiedziała o uczniach i ich rodzicach zabrzmiało dość ostro, dziwne jak na kogoś, kto pracował w szkole dla bogatych dzieci.

- Lubię moich uczniów - ciągnęła Helen - ale czasem trudno jest zmusić ich do trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość. Bo jaka to rzeczywistość, jeśli rodzice mają jacht, samolot, dom w Hamptons, i co roku spędzają wakacje na południu Francji? A te dzieci tak właśnie żyją. To, z czym musi radzić sobie pozostała część świata, jest dla nich bardzo odległe. I to właśnie my musimy im tę część wskazać.

Czasem nie jest to wcale takie łatwe. Prędzej czy później się udaje, chociaż nie ze wszystkimi. Ale bardzo rzadko z ich rodzicami. Większość rodziców jest ponad to, nie chcą nawet wiedzieć, jak żyje ta druga połowa. Pewnie myślą, że to nie ich sprawa. Ale dzieci mają prawo znać prawdę i dokonywać świadomych wyborów.

Wiktoria nie mogła się z nią nie zgodzić, zresztą niewiele myślała o stylu życia tych dzieci ani o tym, jak wpływa to na ich poglądy. Ale Helen powiedziała to z nutką goryczy i urazy w głosie, jakby zazdrościła im tego uprzywilejowanego życia. I kiedy do klasy wszedł pierwszy uczeń, wyszła.

Pierwszym uczniem była... uczennica Becki Adams. Miała blond włosy do pupy, była w różowym podkoszulku, białych dżinsach i kosztownych włoskich sandałach. I miała najpiękniejszą twarz i ciało, jakie Wiktoria kiedykolwiek widziała. Usiadła pośrodku klasy, co znaczyło, że nie lubi się specjalnie udzielać, ale i nie zamierza kryć się w ostatnim rzędzie za placami kolegów. Siadając, uśmiechnęła się do Wiktorii. Biła z niej wrodzona niedbałość i obojętność, jakby należał do niej cały świat. Obojętność i typowa dla czwartoklasistów zadziorność, którą Wiktoria dobrze знаła. Dzieliło je tylko cztery lata różnicy wieku i chociaż aż zadrżała, wyczuwając jej pewność siebie, natychmiast przypomniała sobie, że to ona jest tu teraz szefem. Jednocześnie uświadomiła sobie, jak ciężko będzie musiała pracować, żeby zasłużyć sobie na ich szacunek.

I kiedy tak myślała, do klasy wbiegło czterech chłopców, niemal jednocześnie. Wbiegli i usiedli w ławkach. Zerknęli na Becki - najwyraźniej ją znali - i z lekkim zaciekawieniem spojrzeli na Wiktorię. Zaraz potem weszło stadko dziewcząt, śmiejąc się i rozmawiając. Nie zwróciły uwagi na chłopców, powiedziały Becki „cześć”, zerknęły na Wiktorię i usiadły razem w ostatnich ławkach.

Znaczyło

to, że przez całą lekcję zamierzają gadać, wymieniać się notatkami, może nawet wysyłać do siebie SMS-y. Będzie musiała mieć je na oku. Potem weszły kolejne dziewczęta i kolejni chłopcy, kilkunastu maruderów, samotnie i grupkami. W końcu, dziesięć minut po dzwonku, zebrała się cała klasa. Wiktoria powitała ich szerokim uśmiechem, przedstawiła się i napisała na tablicy swoje nazwisko.

- Chciałabym, żebyście też się przedstawili, abym mogła skojarzyć wasze imiona z twarzami. - Wskazała dziewczynkę w pierwszym rzędzie po lewej stronie. - Zacznijmy od ciebie.

I zaczęli. Oni się przestawiali, a ona spoglądała na leżącą na biurku listę.

- Kto już wie, gdzie i co chce studiować? W górę powędrowała mniej niż połowa rąk.

- Proszę, słuchamy. - Wskazała chłopaka w ostatnim rzędzie, który od samego początku lekcji sprawiał wrażenie znudzonego. Jeszcze tego nie wiedziała, ale był to eks-chłopak Becki; zerwali ze sobą przed wakacjami. Teraz obydwójce byli wolni. Becki wróciła właśnie z willi ojca na południu Francji. Jej rodzice byli rozwiedzeni, podobnie jak rodzice wielu innych w Madison School.

Chłopak wyrecytował listę college'ów, do których chciał złożyć podanie. Harvard, Princeton, Yale, Stanford, Duke, Dartmouth, może nawet Massachusetts Institut of Technology - były to najlepsze uniwersytety w kraju i Wiktoria zastanawiała się, czy mówi prawdę, czy zmyśla. Jeszcze ich nie znała. Ale wiedziała, że wkrótce pozna.

- A college cyrkowy w Miami? - spytała z kamienną twarzą i klasa wybuchnęła śmiechem. - Mogłoby być ciekawie.

- Chcę studiować inżynierię chemiczną i robić specjalizację z fizyki. A może odwrotnie.

- Jakie masz stopnie z angielskiego?

Należał pewnie do tych, którzy uważają, że angielski to żenada. Ale przedmiot ten był przedmiotem wymaganym nawet dla niego.

- Nie za dobre - przyznał z zażenowaniem. - Lepszy jestem w ścisłych.

- A reszta? - Wiktoria zwróciła się do pozostałych. -Umiecie pisać dobrze skonstruowane wypracowania?

Pytanie było bardzo rozsądne, więc byli z nią szczerzy. Niektórzy powiedzieli, że są kiepscy, inni, że nieźli, ale oczywiście nie mogła tego sprawdzić już pierwszego dnia.

- Jeśli chcecie dostać się na studia, a wnoszę, że sporo z was chce, musicie mieć przyzwoite stopnie z angielskiego. Dlatego proponuję, żebyśmy popracowali nad tym razem. Mam nauczyć was poprawnego komponowania tekstu. Jeśli to opanujecie, łatwiej wam będzie napisać wymagany przez większość college'ów esej, a ja chętnie pomogę wam w wypełnianiu wszystkich niezbędnych formularzy.

Było to bardzo ciekawe pociągnięcie i uczniowie natychmiast to zrozumieli. W klasie zapadła cisza. Wszyscy czekali, co będzie dalej.

A ona zaczęła tłumaczyć im, jak wielkie znaczenie ma umiejętność napisania tekstu krótkiego, zwięzłego i na temat, tworzenia nie kwiecistej prozy, ale ciekawych opowiadań z wyraźnie zarysowanym wstępem, rozwinięciem i zakończeniem.

- Myślę, że będziemy się dobrze bawić. Pisanie nie musi być czymś nudnym i drętym. Ale tak, wiem, że dla niektórych jest trudne. - Zerknęła na chłopaka, który chciał iść na MIT, nie, angielski wyraźnie mu nie leżał. - Możecie wpleść do tekstu odrobinę humoru albo pisać żartobliwie od początku do końca. Możecie napisać komentarz społeczny na temat stanu świata albo fikcyjną historyjkę. Ale bez względu na to, co piszecie, piszcie tak, żeby było to proste, jasne i przejrzyste, takie, żeby chętnie przeczytali

to inni. Dlatego na następną lekcję napiszecie coś, co spodoba się nam wszystkim.

Z tymi słowami odwróciła się do tablicy, która zajmowała prawie całą ścianę, i dużymi, wyraźnymi literami napisała: „Moje wakacje”. Klasa jęknęła.

- Zaraz, zaraz - uspokoiła ich Wiktoria. - Jest w tym mały haczyk. Nie chcę słuchać o wakacjach, jakie mieliście, bo mogły być równie nudne jak moje w Los Angeles. Chcę, żebyście napisali o wakacjach, jakie chcielibyście mieć. Ale napisali tak, żebym ja też nabrała na nie ochoty. I jeszcze jedno: przeczytawszy wypracowanie, mam zrozumieć dlaczego. Dlaczego są to wasze wymarzone wakacje. Możecie napisać w pierwszej osobie albo w trzeciej, wszystko jedno. Najważniejsze, żeby to był dobry, ciekawie skomponowany tekst. Wiem, że jeśli tylko spróbujecie, na pewno sobie poradzicie. - Posłała im szeroki uśmiech i powiedziała coś, czego zupełnie się nie spodziewali: - Koniec lekcji.

Przez chwilę patrzyli na nią trochę zaskoczeni, potem któryś wesoło zakrzyknął, jeszcze potem zaszurali nogami, wstali i zaczęli wychodzić z klasy. Wiktoria zastukała w biurko i zaznaczyła, że jest to praca domowa na następną lekcję, a więc już za trzy dni. Ten i ów głośno jęknął, a wtedy dodała:

- Opowiadanie nie musi być długie. Trochę ich to pocieszyło.

- Ja to bym chciał spędzić wakacje w marokańskim burdelu - powiedział jeden z chłopców, a reszta parsknęła śmiechem.

Uczniowie - bez względu na wiek - lubią nabijać się z nauczycieli. Jego słowa bardzo Wiktorię zaskoczyły, ale nie zareagowała. Szokowanie dorosłych było ich ulubionym zajęciem. Dlatego nie dała po sobie poznać, że jest poruszona.

- Fajnie - rzuciła z kamienną twarzą. - Tylko musisz

mnie przekonać, że byłyby naprawdę ciekawe. Jeśli nie przekonasz, będziesz miał pecha. Na tym to właśnie polega. Napiszcie tak, żebym uwierzyła, żebym się przejęła, zakochała się w waszych bohaterach albo w was samych. Po to się właśnie pisze, aby przekonać czytelnika, że to, co napisaliście, wydarzyło się naprawdę. A żeby tak było, musicie uwierzyć w to sami. Dobrze się bawcie - dodała na zakończenie.

Miała przerwę i kiedy usiadła przy biurku, żeby coś sobie zanotować, do klasy weszła Helen. Zdawało się, że interesuje się wszystkim, co Wiktoria robi. Carla Bernini, nauczycielka, która odeszła na urlop macierzyński, była jej najlepszą przyjaciółką i Wiktoria zastanawiała się, czy Helen broni jej terenu, czy jest po prostu życzliwa.

- No i jak poszło? - spytała, siadając w ławce.

- Chyba nieźle - odparła szczerze Wiktoria. - Niczym we mnie nie rzucali, nie polali mnie wodą, nie przynieśli do klasy niczego cuchnącego. No i starałam się mówić krótko i na temat, co zawsze pomaga. - Przecwiczyla to już na praktykach. O pisaniu nie można gadać bez końca. Trzeba po prostu pisać, bez względu na to, jak bardzo jest to zniechęcające. - I dałam im łatwą pracę domową. Zobaczą, co potrafią.

- Chyba trudno jest kogoś zastępować - rzuciła obojętnie Helen. Wiktoria wzruszyła ramionami.

- Staram się o tym nie myśleć. Każdy ma swój własny styl.

- A ty masz jaki? - spytała Helen, jakby ją przesłuchiwała.

- Jeszcze nie wiem. Dziś jest mój pierwszy dzień. W maju zrobiłam dyplom.

- Jezus Maria! Musisz być strasznie zdenerwowana. Jesteś bardzo dzielna, naprawdę.

Powiedziała to tak, że Wiktorii natychmiast przypomniał się ojciec, ale miała to gdzieś. Czuła, że poszło jej dobrze. A Hellen mogła sobie w to wątpić, Bóg wie zresztą z jakiego powodu. Jej sprawa. Owszem, wiedziała, że musi wykazać się nie tylko przed uczniami, ale i przed nauczycielami. Ale jak dotąd nie miała sobie nic do zarzucenia.

Godzinę później miała kolejną lekcję i tym razem kilku uczniów porządnie się spóźniło. To też była czwarta klasa.

Ale im dała inną pracę domową. Temat? Kim chcę być, kiedy dorosnę i dlaczego.

- Poważnie to sobie przemyślcie - powiedziała. - Po przeczytaniu wypracowań chcę was szanować i podziwiać. Tak, możecie mnie rozśmieszyć. Postarajcie się utrzymać to w lekkim tonie, chyba że ktoś chce zostać grabarzem albo balsamistą zwłok. Ale tak naprawdę, chciałabym się trochę pośmiać.

Potem wyszli i oni. Odbyła dwie lekcje. Nie poddała się, wytrzymała. Znała już wszystkich czwartoklasistów. Sprawiali wrażenie dobrych dzieciaków i nie dali jej do wiwatu. Ale wiedziała, że gdyby tylko zechcieli, mogliby jej dokuczyć, bo była nowa i bardzo młoda. O lojalności jeszcze nie mogło być mowy. Miała jednak nadzieję, że kiedyś będą lojalni. Zdawała sobie sprawę, że to, jak wielkim obdarzą ją szacunkiem, zależy tylko od niej. To ona musiała sprawić, żeby zaczęło im zależeć.

Porozmawiała trochę z Helen, potem wzięły swoje rzeczy i wyszły. Na korytarzu zajrzała do swojej skrytki. Wyjęła korespondencję, usiadła w pokoju nauczycielskim i zaczęła przeglądać plik wiadomości od dyrektora i jego zastępcy do spraw uczniowskich. Po południu miała zebranie zespołu anglistów, potem nareszcie mogła pójść do domu. Droga zajęła jej tylko dziesięć minut. To cudowne, że tak blisko mieszkała. Zamierzała codziennie chodzić do pracy piechotą.

Kiedy wróciła, zaczęli ją wypytywać, jak poszło. Wszyscy, cała trójka.

- Bardzo fajnie - odparła uszczęśliwiona. I gdy godzinę później zadzwoniła Grace, zadając to samo pytanie, udzieliła tej samej odpowiedzi. Poszło naprawdę dobrze, a uczniowie bardzo się jej podobali. Mogli sobie jeździć z rodzicami po całym świecie i pozjadać wszystkie rozumy, ale było w nich coś niewinnego i ujmującego. Chciała nauczyć ich inteligentnego myślenia i rozsądku, aby żyli godnie bez względu na to, jakie mieli życie. Ona miała pomóc im otworzyć drzwi do świata, tak rozumiała swoją rolę. I właśnie zaczęła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Drugiego i trzeciego dnia poznała drugo- i trzecioklasistów, i z zaskoczeniem przekonała się, że są trudniejsi do prowadzenia niż uczniowie klas czwartych. Trzecioklasiści byli zestresowani nawałem pracy, parciem na jak najlepsze stopnie, które podczas rekrutacji na wyższe uczelnie miały liczyć się bardziej niż te z lat poprzednich, i bali się, że będzie im za dużo zadawała. Z kolei drugoklasiści byli do wszystkich wrogo nastawieni i wojowniczy, i nie wyobrażała sobie grupy trudniejszej do uczenia niż piętnastoletnie dziewczęta. Dzieci z tego przedziału wiekowego nie lubił chyba żaden nauczyciel, ona też - jedynym wyjątkiem była jej młodsza siostra, zdecydowanie miłsza niż większość jej rówieśniczek. Wszystkie miały w sobie coś wrednego i słyszała, jak dwie takie bzdziągwy, wychodząc z klasy, rozmawiają o jej figurze. Gadały na tyle głośno, że słyszała je całkiem dobrze i musiała powtórzyć sobie w duchu, że to tylko rozwydrzone dzierlatki, mimo to ich słowa cięły jak nóż. Jedna nazwała ją „grubą”, druga powiedziała, że w sukience, którą Wiktoria miała na sobie tego dnia, wyglądała jak czołg. Po południu sukienka powędrowała oczywiście na stertę rzeczy do oddania. Bo kto by ją po czymś takim włożył? Na pewno nie ona. I kiedy wiecz-

rem weszła do kuchni, machinalnie sięgnęła po czyjeś lody o smaku, którego nawet nie lubiła.

- Kiepski dzień? - spytał Harlan, który przyszedł zrobić sobie herbatę. Przed nią też postawił kubek.

- Fatalny - przyznała. - Drugoklasistki potrafią być naprawdę wredne. Dziś je poznałam. - Gdy tak siedziała przy stole, piła herbatę i jadła ciasteczka, które kupiła w drodze do domu, robiła wrażenie zupełnie rozbitej.

- Musi być ci ciężko - powiedział ze współczuciem Harlan. - Jesteś młoda, uczysz dzieciaki niewiele starsze od siebie.

- Tak, masz rację. Ale czwartoklasiści są w sumie bardzo fajni. Najgorsi są ci młodszy, z drugiej klasy. Chodzący koszmar. A trzecioklasiści trzęsą tyłkiem, bo to dla nich najważniejszy rok przed rekrutacją na studia. Mają dużo roboty, wszyscy poganiają ich i cisną. Jeden wielki stres, w domu i w szkole.

Harlan uśmiechnął się smutno.

- Chyba nie zamieniłbym się z tobą na pracę. Obyś cudze dzieci uczył... Gdybym musiał stanąć przed trzydziestką rozwydrzonych bachorów, dostałbym zawału.

- Nie mam jeszcze doświadczenia, ale myślę, że mi się to spodoba. Na praktykach było bardzo fajnie, ale wtedy uczyłam pierwszaki. To zupełnie co innego, poza tym te tutaj pochodzą z bogatych rodzin. Są o wiele bardziej wyrobione niż dzieciaki, z którymi miałam do czynienia w Chicago. Tutaj muszę ciągle mieć się na baczności. Najważniejsze to ich zaciekawić, zainteresować przedmiotem. Dzieci w tym wieku bywają bardzo pamiętliwe.

- Kurczę, niebezpieczna sprawa.

Harlan teatralnie zadrżał, a ona wybuchnęła śmiechem.

- Nie są aż takie złe. To po prostu dzieci.

Ale kiedy nazajutrz poszła na lekcję z czwartoklasistami, pomyślała, że miał jednak rację. Mieli napisać wypra-

cowanie, obydwie grupy. Napisała mniej niż połowa. Wiktoria przeżyła wielki zawód. Spojrzała na Becki Adams i spytała:

- Można wiedzieć, dlaczego nie odrobiłaś pracy domowej?

- Miałam dużo innych lekcji. - Becki wzruszyła ramionami, a siedząca obok niej dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Czy mam wam przypomnieć, że angielski jest przedmiotem obowiązkowym? Że wasze końcowe stopnie będą zależały od tego, co zrobicie na lekcjach i w domu?

- Tak, jasne, jasne. - Becki odwróciła się do koleżanki i coś do niej szepnęła, a przy tym zerknęła na Wiktoria, jakby mówiła o niej.

Z trudem zachowując spokój, Wiktoria zebrała wypracowania i podziękowała tym, którzy je napisali.

- A pozostali przyniosą swoje na poniedziałek - dodała spokojnie.

- Od tej pory chcę, żebyście byli punktualni i oddawali prace na czas. - Zburzyło to jej plany, bo na weekend chciała zadać im coś innego.

Potem zrobiła krótki wykład na temat siły przekonywania dobrze napisanego eseju, podając przykłady i wskazując znaczenie poszczególnych fragmentów. Tym razem zignorowała ją cała klasa. Dwie dziewczyny w ostatnim rzędzie słuchały iPodów, trzech chłopców opowiadało sobie kawały i się śmiało, kilka dziewcząt pisało do siebie liściki, a Becki wyjęła komórkę i zaczęła pisać SMS. Wiktoria poczuła się tak, jakby ją spoliczkowano i nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Byli pięć lat młodszy i zachowali się jak banda rozwyrzonych bachorów.

- Chyba mamy tu jakiś problem - powiedziała spokojnie. - Myślicie, że możecie nie uważać na lekcji? Że nie obowiązują was choćby podstawowe kanony grzeczności? Czy ani trochę nie obchodzą was stopnie? Wiem, że jesteście w czwartej klasie i że podczas rekrutacji liczyć się będą

wasze wyniki z klasy trzeciej, ale jeśli zavalicie angielski, będzie kiepsko, bo nie dość, że zepsujecie sobie średnią, to jeszcze możecie nie dostać się tam, gdzie chcecie.

- Pani jest tu tylko na zastępstwo - powiedział chłopak z tylnego rzędu. - Za panią Bernini.

- Pani Bernini w tym roku nie wróci. Tak, to niedobra wiadomość dla was i dla mnie, albo dobra, jeśli zechcecie to jak najlepiej wykorzystać. Wszystko zależy od was. Chcecie zavalic, proszę bardzo. Wasz wybór. Tylko wytłumaczcie to potem dyrektorowi. I rodzicom. Sprawa jest bardzo prosta: ciężko pracujecie i dostajecie dobre stopnie. Olewacie przedmiot i do widzenia. Jestem pewna, że pani Bernini podzieliłaby moje zdanie.

Wiktoria podeszła do Becki i zabrała jej telefon.

- Nie może pani! - zaprotestowała gniewnie dziewczyna. - Piszę do mamy!

- Napiszesz na przerwie. Jeśli to coś pilnego, idź do sekretariatu. Na lekcji proszę tego nie robić. Ciebie też to dotyczy - dodała, wskazując uczennicę w drugim rzędzie, z którą Becki wymieniała właśnie SMS-y. - Powiem krótko: żadnych komórek, żadnych smartphone'ów, żadnych iPodów. I żadnych SMS-ów. To są zajęcia z kompozycji tekstu.

Nie byli zachwyceni i kiedy zadzwonił dzwonek, natychmiast wstali. Nie zaczekali nawet, aż zwolni ich na przerwę. Mocno zniechęcona i zawiedziona, schowała do torby wypracowania. Jeszcze większe zniechęcenie ogarnęło ją podczas drugiej lekcji z czwartoklasistami, bo ci byli równie bezczelni i nieuważający jak tamci. Uznali, że można z nią pogrywać, być dla niej niegrzecznym albo ją ignorować.

Było tak, jakby wszyscy uczniowie klas czwartych zmówili się, żeby jej dokuczać. Miała łzy w oczach, kiedy po ich wyjściu do klasy zajrzała Helen.

- Zły dzień? - spytała ze współczuciem.

Wiktoria, która zbierała właśnie swoje rzeczy, podniosła wzrok. Do tej pory nie była pewna, czy stoją po tej samej stronie barykady, ale Helen miała przyjazną minę.

- Kiepski - przyznała, biorąc z westchnieniem torbę.

- Jeśli szybko nad nimi nie zapanujesz, wejdą ci na głowę. Czwartoklasiści potrafią być okropni, jeśli nie weźmie się ich w garść. Trzecioklasiści są tak zestresowani, że odchodzą od zmysłów, a ci z klas drugich to zwykła pacane-ria. Pierwszaczki to małe dzieci i przez pierwszy semestr są śmiertelnie przerażone. Z nimi nie ma kłopotów.

Wyrecytowała to jednym tchem i Wiktoria uśmiechnęła się wesoło.

- Szkoda, że pani Bernini nie uczyła pierwszaków. Zaaplikowała mi podwójną dawkę czwartoklasistów.

- Jeśli im pozwolisz, zjedzą cię na drugie śniadanie -ostrzegła Helen. - Musisz im przykopać, i to mocno. Nie bądź zbyt miła i nie próbuj się z nimi zaprzyjaźniać. Zwłaszcza ty: jesteście prawie rówieśnikami. Nasze dzieciaki potrafią być wspaniałe i większość taka jest, ale jest tu również wielu takich, którzy lubią manipulować i myślą, że należy do nich cały świat. Jeśli nie będziesz uważała, potraktują cię jak szmatę do podłogi, ich rodzice też. Nie daj się wykiwać, nie pozwól wciskać sobie żadnych głupot. Zaufaj mi. Musisz być twarda - zakończyła z poważną miną Helen.

- Chyba masz rację. Prawie połowa nie odrobiła pracy domowej. Podczas lekcji pisali SMS-y, pisali do siebie liściki i słuchali muzyki z iPodów. Mieli wszystko gdzieś.

Helen wiedziała, jak ciężko jest młodej nauczycielce, bo sama też to kiedyś przeżyła.

- Musisz być twarda - powtórzyła, kiedy wyszły z klasy. - Dużo im zadawaj, dużo wymagaj, a kiedy nie odrobią pracy domowej, stawiaj dwóje. Wyrzucaj z klasy, jeśli nie

uważają albo zajmują się czymś innym. Odbieraj komórki. To ich obudzi.

Wiktoria kiwnęła głową. Nie podobało jej się to, ale Helen miała chyba rację.

- Zaczyna się weekend, więc na razie zapomnij o szkole i o tych małych gadach - dodała Helen matczynym tonem. - Zrób coś miłego, rozerwij się. A w poniedziałek od razu daj im popalić. Zapamiętaj moje słowa: będą uważali i siedzieli jak trusie.

- Dzięki - odparła z uśmiechem Wiktoria. - Miłego weekendu. - Była jej wdzięczna za rady i poczuła się trochę lepiej.

- Tobie też! - odkrzyknęła wesoło Helen i poszła do swojej klasy po rzeczy.

Wiktoria wracała do domu z ciężkim sercem. Kompletnie zawaliła w obu czwartych klasach, a w drugiej i trzeciej też nie poszło najlepiej. Zaczęła nawet powątpiewać, czy dobrze zrobiła, zostając nauczycielką. Była zbyt wielką idea-listką, zapatrzoną w gwiazdy marzycielką i najwyraźniej się nie sprawdzała. Koniec tygodnia był fatalny. Bała się, że mimo rad Helen, nie poradzi sobie z uczniami i będzie jeszcze gorzej. Zamyślona wstąpiła po coś do jedzenia i skończyło się na tym, że kupiła trzy duże kawałki pizzy, litr lodów w trzech różnych smakach i paczkę ciasteczek czekoladowych. Wiedziała, że to żadne rozwiązanie, ale jedzenie zawsze ją trochę pocieszało. W domu włożyła pizzę do piecyka i najpierw otworzyła lody, czekoladowe. Była w połowie porcji, kiedy Bunny wróciła z siłowni. Wiktoria zamierzała z nią iść, planowała to od tygodnia, ale była zajęta sprawdzaniem wypracowań, no i przygotowywała się do lekcji. A wieczorami leciała z nóg. Bunny spojrzała na lody i chociaż nic nie powiedziała, Wiktoria natychmiast naszły wyrzuty sumienia: zamknęła karton i schowała do lodówki.

- Jak minał tydzień? - spytała życzliwie Bunny. Zauważyła, że nowa współlokatorka jest przygnębiona.

- Fatalnie. Dzieci są trudne, a ja nowa.

- Tak mi przykro. Zrób coś miłego w weekend. Ma być ładna pogoda. Ja wyjeżdżam do Bostonu, Bill jest u Julie, a Harlan jedzie chyba na Fire Island. Będziesz miała dla siebie całe mieszkanie.

Dla Wiktorii, samotnej, przygnębianej i stęsknionej za domem, nie była to zbyt dobra wiadomość. Bardzo brakowało jej Grace.

Kiedy Bunny pojechała na lotnisko, zjadła pizzę i zadzwoniła do siostry. Słuchawkę podniosła mama i oczywiście spytała, co u niej. Wiktoria odparła, że wszystko dobrze i do telefonu podszedł ojciec.

- Gotowa rzucić ręcznik i wrócić do domu? - spytał, śmiejąc się serdecznie.

Nigdy by mu tego nie powiedziała, ale tak, miała ochotę to zrobić. Czowała, że nie umie uczyć i poniosła całkowitą klęskę. Ale głos ojca momentalnie przywrócił ją rzeczywistości. Nie zamierzała się poddawać.

- Jeszcze nie - odparła, siląc się na wesołość.

A potem do telefonu podeszła Grace i Wiktoria omal się nie rozplakała. Bardzo za nią tęskniła i nagle poczuła się straszliwie samotna w pustym mieszkaniu i bez przyjaciół.

Długo rozmawiały. Grace opowiedziała jej, jak radzi sobie w szkole, poplotkowały o jej nauczycielach i kolegach, no i oczywiście podobał jej się kolejny chłopak, tym razem z trzeciej klasy - w jej życiu zawsze ktoś był. Wiktoria już od dawna nie czuła się tak źle i niewiele brakowało, a zaczęłyby się nad sobą użalać. Ale nie, nie powiedziała jej o fatalnym tygodniu. Kiedy skończyły rozmawiać, wyjęła z lodówki lody waniliowe, otworzyła je, poszła do siebie, włączyła telewizor i w ubraniu położyła się na łóżku. Obejrzała jakiś film i znowu naszły ją wyrzuty sumienia, kiedy

zobaczyła na podłodze pusty karton. To była jej kolacja. Leżąc, niemal czuła, jak tyje w biodrach. Brzydziła się samą sobą. Zaraz potem włożyła piżamę, położyła się i naciągnęła koc na głowę. Obudziła się dopiero rano.

Żeby odpokutować za grzechy, poszła na długi sobotni spacer po Central Parku i trochę pobiegała wokół jeziora. Pogoda była rzeczywiście wspaniała, wszędzie krążyły zakochane pary. Znowu ogarnął ją smutek. Zdawało się, że wszyscy kogoś mają, że tylko ona jest inna i zawsze sama. Rozplakała się, biegnąc w swoim nowym podkoszulku, szortach i adidasach. Obiecała sobie, że wieczorem nie tknie lodów. I rzeczywiście nie tknęła. Ale siedząc samotnie w pustym mieszkaniu i oglądając kolejny film, zamiast lodów zjadła całą paczkę ciasteczek.

W niedzielę sprawdziła wypracowania czwartoklasistów. Była zaskoczona, że są takie dobre, napisane z taką wyobraźnią. Kilkoro uczniów naprawdę miało talent i ich eseje były bardzo wysmakowane. Zrobiły na niej duże wrażenie i powiedziała im to na pierwszej lekcji w poniedziałek rano. Większość siedziała rozwalona na krzesłach z oczywistym brakiem zainteresowania. Na ławkach leżało co najmniej sześć smartphone'ów. Wiktoria obesła klasę, zebrała je i położyła na biurku. Ich właściciele natychmiast zaprotestowali, ale zapewniła ich, że po lekcji dostaną je z powrotem; niektóre już wibrowały.

Pochwaliła ich za wypracowania i nawet się z tego ucieszyli. Potem zebrała te zaległe. Ale dwóch uczniów ich nie miało. Obydwaj byli wysocy, przystojni, zadziorni i cyniczni.

- Dlaczego? - spytała spokojnie. - Pies wam zjadł?

- Nie - odparł jeden, Mike MacDuff. - Byliśmy w Hamptons.

Przez całą sobotę grałem w tenisa, a w niedzielę w golfa z ojcem. W sobotę wieczorem byłem ustawiony z dziewczyną.

- Ekscytujące. Nigdy nie byłam w Hamptons, ale podobno bardzo tam ładnie. Cieszę się, że miałaś taki miły weekend. A z wypracowania dostajesz dwóję.

Z tymi słowami odwróciła się i rozdała skserowane opowiadanie, które mieli omawiać. Mike łypał na nią spode łba. Jego siedzący obok kolega miał niewyraźną minę, bo czuł, że on też dostanie lufę.

Pomogła im przeanalizować tekst i wytłumaczyła, dlaczego robi na czytelniku tak duże wrażenie. Było dobre i chyba się im podobało. Tym razem bardziej uważali, a ona od razu poczuła się lepiej. Nawet Becki zabierała głos. Jako pracę domową kazała im napisać opowiadanie.

Po lekcji podszedł do niej Mike MacDuff, który burkliwie spytał, czy Wiktoria skreśli mu dwóję, jeśli napisze zaległe wypracowanie.

- Nie tym razem, Mike - odrzekła uprzejmie.

Czuła się jak potwór, ale dobrze pamiętała piątkowe ostrzeżenia Helen. Mike i jego kolega musieli ponieść karę, dla przykładu.

- Do dupy z tym! - rzucił głośno i wyszedł z klasy trzaskając drzwiami.

Na Wiktorii nie zrobiło to wrażenia. Za kilka minut miała następną lekcję i musiała się do niej przygotowywać.

Ci byli jeszcze gorsi. I była tam dziewczyna, która uparła się, żeby ją poniżyć. Nie zdążyła jeszcze usiąść, a już rzuciła coś niepochlebnego na temat otyłych kobiet. Wiktoria udała, że tego nie słyszy. Dziewczyna nazywała się Sally Fritz. Miała rude włosy, piegi i gwiazdę wytatuowaną na wierzchu dłoni.

- A tak w ogóle to gdzie pani studiowała? - spytała niegrzecznie, przerywając jej w połowie zdania.

- W Northwestern. A co? Też chcesz tam studiować?

- A skąd! - odparła głośno Sally. - W Chicago jest za zimno.

- Zimno jest, to prawda, ale to świetna uczelnia, tylko trzeba przywyknąć do pogody.

- Chcę studiować w Kalifornii albo w Teksasie. Wiktoria kiwnęła głową.

- Pochodzę z Los Angeles. W Kalifornii jest kilka wspaniałych uniwersytetów.

- Mój brat studiował w Stanford - ciągnęła Sally, jakby siedziała w pubie i miała wszystko gdzieś. Była bardzo obcesowa i nietaktowna.

Wiktoria przystąpiła do lekcji, omawiając z nimi to samo opowiadanie, które analizowała z poprzednią klasą. Ta grupa była żywsza i bardziej krytycznie nastawiona, dzięki czemu doszło do bardzo ciekawej i wciągającej dyskusji, chociaż początkowo uczniowie chcieli być celowo trudni i z premedytacją jej dokopać. Wymiana zdań była tak ożywiona, że nie przestali rozmawiać o opowiadaniu nawet po dzwonku, wychodząc z klasy. Wiktoria była zadowolona. Lubiła, kiedy próbowali podważyć jej zdanie, a nawet, kiedy się z nią kłócili. Chciała nauczyć ich kwestionowania tego, co wiedzieli i w co wierzyli. A dzięki opowiadaniu, które im podsunęła, mieli ku temu okazję. Odniosła zwycięstwo.

Musiała poprawić wypracowania i w drodze do pokoju nauczycielskiego zajrzała do Helen.

- Dzięki za rady - powiedziała. - Pomogły.

- Skopałaś im tyłki? Wiktoria roześmiała się wesoło.

- Może nie aż tak, ale postawiłam dwie dwójki za brak pracy domowej. - Przyszło jej to z większym trudem, niż myślała.

- I bardzo dobrze - odparła z uśmiechem Helen. - Tak trzymać. Jestem z ciebie dumna. To otrzeźwi pozostałych.

- Chyba już trochę otrzeźwiło. No i konfiskuję wszystkie telefony, jakie tylko zobaczę.

Helen kiwnęła głową.

- Nie znoszą tego. Wolą wysyłać SMS-y do kolegów, niż słuchać ciebie czy mnie. Miło spędziłaś weekend?

- Tak sobie. W sobotę byłam w parku, a w niedzielę poprawiałam wypracowania.

Zjadła też litr lodów, pizzę i całą paczkę czekoladowych ciasteczek. Ale ten fakt skrzętnie zataiła. Zdawała sobie sprawę, że jest to miara tego, jak bardzo jest zniechęcona. Kiedy była nieszczęśliwa, zawsze jadła więcej, chociaż wiele razy przyrzekała sobie, że nie będzie. Miała już przed oczami nieuchronny powrót czternastek i szesnastek. Zabrała ze sobą wszystkie cztery rozmiary. Nie chciała skończyć w szesnastce, ale jadła tyle, że łatwo mogło do tego dojść. Wiedziała, że znowu musi przejść na ścisłą dietę. W górę i w dół, w górę i w dół - czuła się jak na huśtawce, z której nie sposób zejść. Nie wytrzymała. Nigdy. Przy pierwszych oznakach kryzysu rzucała się na lody, ciasteczka i pizzę. W jej głowie rozdzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe. Musiała uważać, bo sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli.

Helen wyczuła, że Wiktoria jest samotna. Była taka młoda, taka niewinna i miła.

- Może w przyszły weekend wybierzemy się razem do kina? Albo na koncert do parku?

- Bardzo chętnie.

Wiktoria się ucieszyła. Była nowa i tak też się czuła. No i była najmłodszą nauczycielką w szkole. Ale dwa razy starsza od niej Helen bardzo ją lubiła. Uważała ją za bystrą, inteligentną dziewczynę, która stara się, jak może, i jest całkowicie oddana pracy. Wiedziała, że Wiktoria jest trochę naiwna, ale wiedziała również, że z czasem nabierze wprawy i pozna swój zawód od podszewki. Na początku wszystkim było trudno, zwłaszcza ze starszymi dziećmi. A najbardziej dawali się we znaki uczniowie szkół

średnich. Ale wyglądało na to, że Wiktoria sobie poradzi pod warunkiem, że weźmie ich za łeb.

- Idziesz do pokoju nauczycielskiego? - spytała Wiktoria.

- Nie, zaraz mam lekcję. Złapię cię potem.

Wiktoria kiwnęła głową i zostawiła ją samą. Korytarz był opustoszały. Wszyscy poszli na lunch, ale ona postanowiła nie iść. W torbie miała jabłko i przyrzekła sobie, że wytrzyma. Siedziała, jedząc je i czytając wypracowania. I znowu przekonała się, że są zaskakująco dobre. Miała kilku naprawdę utalentowanych uczniów - i nadzieję, że potrafi ich czegoś nauczyć, utrzymać ich zainteresowanie przez cały rok. Brakowało jej pewności i wiary w siebie. Bo stojąc przed klasą pełną prawdziwych uczniów, zdała sobie sprawę, że do tego, aby utrzymać ich w ryzach, potrzeba czegoś więcej niż samej dyscypliny. Helen udzielała jej cennych rad, przed odejściem na urlop macierzyński Carla Bernini dokładnie rozpisała program nauczania, jednak Wiktoria zdawała sobie sprawę, że aby przykuć i utrzymać uwagę uczniów, musi prowadzić lekcje żywe i ciekawe. I śmiertelnie się bała, że zabraknie jej umiejętności, że zawali. Dałaby wszystko, żeby tak się nie stało. Miała gdzieś, że mało zarabia - to było jej powołanie. Chciała być dobrą nauczycielką, chciała, żeby dzieci zapamiętały ją do końca życia. Nie wiedziała, czy temu podoła, ale postanowiła spróbować. To był dopiero początek. Szkoła dopiero się zaczęła.

Przez następne dwa tygodnie walczyła o uwagę swoich podopiecznych. Odbierała im telefony, zadawała trudne prace domowe, a któregoś dnia, kiedy drugoklasiści za bardzo rozrabiali, zabrała ich na spacer po okolicy, a potem kazała im o tym napisać. Sięgała po najbardziej twórcze pomysły, starała się jak najlepiej poznać uczniów ze wszystkich czterech klas i po dwóch miesiącach harówki poczuła,

że niektórzy ją chyba lubią. W weekendy dużo czytała, przeglądała materiały dydaktyczne, szukała nowych rozwiązań. A czasem zaskakiwała ich niezapowiedzianymi klasówkami i trudnymi pracami domowymi. Jej lekcje nigdy nie były nudne. I pod koniec listopada poczuła, że zaczyna do czegoś dochodzić, że powoli zdobywa ich szacunek. Nie wszyscy ją lubili, ale uważali przynajmniej na zajęciach i jej słuchali. Dlatego, lecąc do Los Angeles na Święto Dziękczynienia, miała poczucie spełnienia - które błyskawicznie minęło, kiedy tylko zobaczyła ojca. Przyjechali po nią na lotnisko, on, mama i Grace, która radośnie rzuciła jej się w ramiona i serdecznie ją wycalowała.

- No proszę! - zawołał ojciec z szerokim uśmiechem.
-Wiedziałem! Nowojorskie lody muszą być pyszne!

Mama zrobiła zboląłą minę, ale nie dlatego, że to powiedział. Ona też była niezadowolona z jej wyglądu. Poprawiając prace domowe, ślęcząc w weekendy nad książkami i przygotowując się do lekcji, Wiktoria znowu bardzo przytyła. Przez cały czas żywiła się chińszczyzną na wynos i podwójnymi koktajlami mlecznymi. Zamierzała przejść na ścisłą dietę, ale oczywiście nie przeszła. Zamiast na sobie, całą uwagę skupiała na lekcjach i uczniach. I żeby mieć energię do pracy, żeby nie opaść z sił i czymś się pocieszyć, jadła nie to, co trzeba.

- Podobno - odparła wymijająco.

- Kochanie, dlaczego nie jesz ryb i warzyw gotowanych na parze?
- spytała mama. - Nie smakują ci?

No i proszę. Po trzech miesiącach rozłąki interesowała ich tylko jej waga. Jedynie Grace patrzyła na nią z promiennym uśmiechem. Bo dla niej najważniejsza była ona, jej ukochana siostra, nie jej tusza czy wygląd. Wzięły się pod rękę i ciesząc się sobą, poszły po bagaże.

W Święto Dziękczynienia Wiktoria pomagała mamie piec indyka. Dzień był bardzo miły bo - co zakrawało na

cud - zjedli obiad bez złośliwych docinków ojca. Na dworze było ciepło i przyjemnie, i kiedy usiedli potem w ogrodzie, mama spytała ją o pracę.

- Naprawdę to lubisz? - Wciąż nie mogła uwierzyć, że córka chce uczyć.

- Uwielbiam. - Wiktoria uśmiechnęła się do siostry. - Drugoklasiści są straszni. To małe potworki, takie jak ty. Zeby zaczęli mnie słuchać, muszę zabierać im telefony.

- Każ im napisać piosenkę - powiedziała Grace i Wiktoria zrobiła wielkie oczy. - Tak, wiersz albo piosenkę - ciągnęła siostra. - Nasz nauczyciel kazał i było super.

- Ekstra! - Wiktoria nie mogła się już doczekać. - Świetny pomysł! Genialny! - Ona też o czymś takim myślała. Chciała, żeby trzecio- i czwartoklasiści napisali przed Bożym Narodzeniem wiersz, ale pomysł z piosenką dla drugoklasistów był naprawdę znakomity. - Dzięki!

- O drugoklasistach wiem wszystko - odparła z dumą Grace, która chodziła do drugiej klasy. - Mogę być twoją ekspertką.

Do końca pobytu ojciec zdołał powstrzymać się od uszczypliwych komentarzy na temat jej ruszy, a mama dyskretnie zasugerowała, żeby Wiktoria zapisała się do Anonimowych Grubasów. Bardzo ją to zabolalo, ale poza tym był to weekend ciepły i przyjemny, zwłaszcza, że mogła pobyc i porozmawiac z Grace. W niedziele odwiezli ja na lotnisko. Za miesiac miala przyjechać ponownie, na Boże Narodzenie, więc tym razem pożegnanie nie było łzawe. Chciała spędzić z nimi aż dwa tygodnie, całą przerwę świąteczną. A w samolocie znowu wróciła do pomysłu Grace, do piosenki dla drugoklasistów.

Przedstawiła go klasie już w środę rano i bardzo ich to podekscytowało. Tak, to było coś w sam raz dla nich i po raz pierwszy, odkąd zaczęła ich uczyć, ucieszyli się z pracy domowej. Trzecio- i czwartoklasistom kazała napisać

wiersz, ale ci byli zadowoleni znacznie mniej, bo pisali już końcowe eseje i myśleli tylko o rekrutacji. Ona też miała ręce pełne roboty, bo pomagała im wypełniać niezbędne formularze.

Teksty piosenek były naprawdę wspaniałe. Jeden z drugoklasistów skomponował do swojej muzykę i przyniósł na lekcję gitarę. Pomysł okazał się wielkim sukcesem i uczniowie poprosili ją, żeby przedłużyła ten projekt aż do Bożego Narodzenia, na co chętnie przystała. Nigdy dotąd nie postawiła tylu piątek. Wiersze czwartoklasistów też były zaskakująco dobre. Im bliżej świąt, tym większego nabierała przekonania, że udało jej się zdobyć ich zaufanie, co widziała między innymi po tym, że coraz lepiej zachowywali się na lekcjach. Helen też to zauważyła. Wychodząc z klasy na przerwę, uczniowie byli roześmiani i pełni entuzjazmu.

- Coś tym im dała? Jakies prochy?

- Poszłam za radą mojej piętnastoletniej siostry - odparła z dumą Wiktoria. - Kazałam drugoklasistom napisać piosenkę.

Helen była pod wrażeniem.

- Genialne. Szkoda, że nie mogę zrobić tego u siebie.

- Ukradłam pomysł jej nauczyciela. Wszystko wypaliło, i to jak! A starsze dzieciaki piszą wiersze. Niektórzy mają prawdziwy talent.

- Ty też - odrzekła z podziwem Helen. - Jesteś cholernie dobrą nauczycielką. Mam nadzieję, że o tym wiesz. I cieszę się, że umiesz już zapanować nad klasą. Tak jest lepiej i dla ciebie, i dla nich. Nawet w tym wieku potrzebują dyscypliny. Muszą znać granice i wiedzieć, kto jest kim.

- Staram się - powiedziała szczerze Wiktoria - ale czasem widzę, że po prostu zawalam. Uczenie wymaga większej inwencji, niż myślałam.

- Wszyscy zawalamy - odparła z równą szczerością He-

len. - Co wcale nie znaczy, że jesteś złą nauczycielką. Próbuj, eksperymentuj, szukaj tego, co się najlepiej sprawdzi, na pewno ich podbijesz.

- Lubię ich, chociaż czasem doprowadzają mnie do szału. Ale ostatnio są jakby mniej zadziorni. Jeden składa nawet papiery do Northwestern, bo powiedziałam, że to świetna uczelnia i bardzo mi się tam podobało.

Helen słuchała jej z uśmiechem. Widziała w jej oczach prawdziwą pasję i bardzo ją to cieszyło.

- Mam nadzieję, że po powrocie Carli Eryk zatrudni cię na stałe. Byłby nienormalny, gdyby pozwolił ci odejść.

- Na razie cieszę się z tego, co mam - odrzekła Wiktoria. - A za rok? Zobaczymy.

Umowy podpisywało się w marcu i w kwietniu i nie wiedziała, czy dyrektor będzie miał dla niej etat. Bardzo tego pragnęła, ale cóż. Na razie była zadowolona, ona, dzieciaki i szkoła chyba też. Do dyrektora docierały opinie uczniów - bardzo dobre opinie. A rodzice jej dwojga podopiecznych pochwalili ją za zadawanie ciekawych prac domowych. Umiała ich zainspirować, a w razie potrzeby zmusić do pracy. Nie bała się nowych pomysłów i potrafiła myśleć niekonwencjonalnie. Właśnie takiej nauczycielki potrzebowali. .

Po Święcie Dziękczynienia przestała się tak obżerać. Uwaga ojca i sugestia mamy, żeby zapisać się do Anonimowych Grubasów, zrobiły swoje. Nie, nie przeszła na żadną zwariowaną dietę, chociaż zamierzała to zrobić po Bożym Narodzeniu. Już wcześniej zastanawiała się, czy nie przystąpić do specjalnego programu żywieniowego Weight Watchers, ale wtedy wmówiła sobie, że nie ma czasu. Teraz niemal całkowicie zrezygnowała z lodów i pizzy. Kupowała sałatki, gotowała piersi kurczaka, które jadła po powrocie do domu, i pamiętała o owocach na podwieczorek. Nie licząc sporadycznych wyjść z Helen do kina,

wciąż nie miała życia towarzyskiego, ale bardzo lubiła swoich współlokatorów. Najczęściej widywała Harlana, bo Bill był zawsze u Julie, a Bunny co weekend jeździła do Bostonu, do swego chłopaka; zastanawiała się nawet, czy nie przeprowadzić się tam na stałe. Ale Harlan bywał w domu równie często jak Wiktor. Kiedy wracał z pracy, z radością walił się zmęczony przed telewizorem w swoim pokoju. Spotykali się zwykle w kuchni.

- Co robisz w Boże Narodzenie? - spytała go pewnego wieczoru przy herbacie.

- Zapraszają mnie do South Beach. Ale nie wiem, czy pojedę. Nie przepadam za Miami.

Pracował w muzeum i traktował to bardzo poważnie. Wiktor wiedziała, że nie jest blisko związany z rodziną i nie zamierza jechać na święta do rodziców, którzy wciąż nie mogli pogodzić się z tym, że jest gejem i niechętnie go widywali, co musiało być dla niego bardzo smutne.

- Ja jadę do Los Angeles - powiedziała w zadumie. - Do rodziców i siostry. - Jej rodzice też jej nie akceptowali, w każdym razie nie do końca. Przez całe życie była odmieńcem, niechcianym wyrzutkiem. Denerwował ich już sam jej wygląd, dlatego zawsze czuła się inna. Mama prędzej by umarła, niż utyla tak jak ona. Nie, mama nigdy by do tego nie dopuściła. A ojciec ciągle z niej żartował nieświadom, jak bardzo ją to boli. Nigdy nie wierzyła, że robi to celowo.

- Tęsknisz za nimi? - spytał zaciekawiony Harlan.

- Czasami. Ostatecznie to moja rodzina. Najbardziej brakuje mi mojej małej siostry. Bardzo ją kocham. - Uśmiechnęła się, a on dolał jej herbaty.

- Mam starszego brata, który mnie nienawidzi. Wychowałem się w Tupelo i geje nie mieli tam wtedy łatwego życia; nadal nie mają. On i jego kumple ciągle mnie bili. Dopiero w wieku piętnastu lat dowiedziałem się, dlaczego.

Przedtem myślałem, że jestem po prostu inny. Potem już wiedziałem. Kiedy tylko skończyłem osiemnastkę, przyjechałem tu na studia. Ulżyło nam, im i mnie. Teraz odwiedzam ich tylko raz na kilka lat, kiedy zabraknie mi pretekstów, żeby nie jechać.

Był smutny i bardzo samotny. Ale gdyby nie Grace, jej życie byłoby takie samo.

- Ja też nie pasuję do mojej rodziny - wyznała. - Rodzice i siostra są szczupli, mają brązowe włosy i ciemne oczy. Jestem dla nich wybrykiem natury. Ojciec ciągle dogryza mi z powodu mojej tuszy. Mama zostawia mi na biurku wycinki z gazet: informacje o nowych dietach.

- Czysta złośliwość - powiedział ze smutkiem Harlan, chociaż on też zauważył, ile i co Wiktoria je, kiedy jest zmęczona czy przybita. Miała śliczną twarz i wspaniałe nogi, była tylko za tęga w talii. Mimo to mogła się podobać. Dziwił się, że z nikim się nie umawia. - Niektórzy rodzice potrafią bardzo zaszkodzić - dodał w zamyśleniu. - Cieszę się, że nie mam i nie będę miał dzieci. Nie chciałbym zrobić komuś tego, co kiedyś zrobiono mnie. Mój brat to głupi palant. Pracuje w banku i jest nudny jak zmywarka do naczyń. Ma żonę i dwoje dzieci. Myśli, że homoseksualizm to choroba. Ciągle ma nadzieję, że wyzdrowieję, że to coś w rodzaju amnezji. Że nagle przypomnę sobie, że jestem „normalny” i że nie będzie musiał się mnie wstydzić.

Roześmiał się wesoło. Miał dwadzieścia sześć lat i nie narzekał na los. Chciał zostać kuratorem muzeum. Chociaż mało zarabiał, był całkowicie oddany swojej pracy, podobnie jak Wiktoria swojej.

- Dobrze się będziesz bawiła? - spytał z tęskną miną. - W Los Angeles, w święta.

Wiktoria pomyślała o Grace i kiwnęła głową.

- Zawsze uwielbiałam Boże Narodzenie, zwłaszcza kiedy siostra była mała i wierzyła w Świętego Mikołaja. Do

dzisiaj zostawiamy dla niego ciasteczka, a sól i marchewki dla reniferów.

- Masz już jakieś plany na sylwestra?

Próbował wyobrazić sobie jej życie w Kalifornii. Rzadko kiedy wspominała o rodzicach. Opowiadała tylko o siostrze.

- Raczej nie. Zwykle siedzę w domu z Grace. Ale już niedługo siostra zacznie umawiać się na poważne randki i będę w kropce.

- Jeśli oboje wylądujemy tu na sylwestra, moglibyśmy gdzieś pójść. Choćby na Times Square. Postać tam razem z turystami i prostytutkami, popatrzeć, jak o północy opada kula.

Wyobrazili to sobie i wybuchnęli śmiechem.

- Może zdążę wrócić - powiedziała Wiktoria. - Kilka dni później zacznę szkołę. Zobaczę.

- Wyślij mi SMS-a i się umówimy. - Harlan wstał i wstawił kubki do zlewu.

Przed wyjazdem dla każdego współlokatora zostawiła mały prezent na łóżku, a do walizki spakowała prezenty dla Grace i rodziców. Zaraz po przyjeździe z lotniska zaczęli ubierać choinkę, pili też przepyszny poncz z rumem. Był dość mocny i trochę szczypał w gardle, ale bardzo jej smakował i kiedy się kładła, przyjemnie kręciło jej się w głowie. Dobrze było być w domu. Grace położyła się obok niej i do późna rozmawiały i chichotały. Rodzice też byli w dobrych humorach. Ojciec zdobył właśnie nowego ważnego klienta, a mama wygrała turniej brydżowy. A Grace cieszyła się z ferii i z tego, że znowu jest z siostrą. Wiktoria była szczęśliwa.

Wigilia minęła bez żadnych zgrzytów. Prezenty, które przywiozła z Nowego Jorku, bardzo im się podobały. Jej ojciec dał długi złoty naszyjnik, bo kupując go, jak powiedział, nie musiał przynajmniej martwić się o rozmiar. Od

mamy dostała kaszmirowy sweter i dwie książki, jedną o fitness, drugą o nowej diecie. Nie zauważyli, że od Święta Dziękczynienia sporo schudła. Zauważyła Grace, ale jej pochwały nigdy nie robiły na Wiktorii takiego wrażenia jak docinki rodziców.

Dwa dni po Wigilii Grace zaproszono na sylwestra do znajomego z Beverly Hills. Wiktoria nie miała nic do roboty. Jej znajomi pracowali w innych miastach, a dwie koleżanki, które wciąż mieszkały w Los Angeles, pojechały na narty. Jej jedyną rozrywką w domu była siostra i tylko z nią spędzała czas. Grace zaproponowała, że zostanie i dotrzyma jej towarzystwa.

- Nie bądź niemądra, idź. Zresztą i tak chciałam wrócić do Nowego Jorku.

Siostra spojrzała na nią z zaciekawieniem. Wiktoria wspomniała o tym pierwszy raz.

- Umówiłaś się z kimś? Masz randkę?

- Nie, to tylko znajomy, współlokator. Nie wiem, czy przyjedzie, ale chcieliśmy gdzieś pójść.

Grace posłała jej psotny uśmiech.

- Podobasz mu się?

- Nie tak, jak myślisz - odparła ze śmiechem Wiktoria. - To świetny facet i kumpel, dobrze się razem bawimy. Pracuje w Metropolitan Museum.

- Boże, ale nuda. - Grace przewróciła oczami. Była zawiedziona, że to nic bardziej obiecującego. Wyczuła, że znowu nici z romansu.

W końcu Wiktoria wyjechała, w sylwestra po południu. Grace szła do znajomych, rodziców zaproszono na kolację -siedziałyby w domu sama, dlatego postanowiła wrócić do Nowego Jorku. Zresztą i tak musiała przygotować się do lekcji. Wysłała do Harlana SMS. Na lotnisko odwiózł ją ojciec, bo Grace i mama miały umówionego fryzjera. Pożegnały się z nią w domu.

- Wrócisz do nas po tym roku? - spytał ojciec w samochodzie.

- Jeszcze nie wiem, tato - odparła. Nie chciała mu mówić, że nie, że jest tam szczęśliwa. Nie miała zbyt wielu przyjaciół, miała za to wspaniałych współlokatorów, mieszkanie i pracę. A był to dopiero początek.

- W innej pracy zarobiłabyś dużo więcej - powtórzył ojciec po raz tysięczny.

- Lubię uczyć - odparła spokojnie.

Wtedy ojciec roześmiał się, zerknął na nią i powiedział:

- Przynajmniej wiem, że nie umierasz tam z głodu. Zdumiewało ją, że potrafi wykorzystać każdą okazję,

żeby jej dokuczyć. To przede wszystkim dlatego przeprowadziła się do Nowego Jorku. Zamilkła i aż do lotniska nie odezwała się do niego słowem. Jak zawsze pomógł jej z bagażami, a potem, jakby nigdy nic, objął ją i przytulił. Nie mogła, po prostu nie mogła tego zrozumieć.

- Dzięki, tatusiu. Za wszystko.

- Uważaj na siebie. - Zabrzmiało to całkiem szczerze.

- Ty też. - Objęła go jeszcze raz i stanęła w kolejce do bramki bezpieczeństwa. Wchodząc na pokład samolotu, zobaczyła, że ma wiadomość od Harlana.

„Będę w Nowym Jorku o 6". Ona lądowała o dziewiątej czasu miejscowego.

„Ja o dziesiątej" - odpisała. „Times Square?" „Koniecznie".

„No to buźka. Jesteśmy umówieni".

Uśmiechnęła się i wyłączyła telefon. Miło było wiedzieć, że ktoś na nią czeka i że będzie mogła spędzić z nim sylwestra. W samolocie zjadła lunch, obejrzała film, a ostatnie dwie godziny lotu przespała. Kiedy wylądowali, padał śnieg, wirował w powietrzu jak czarodziejskie płatki w kolorowej kuli bożonarodzeniowej. Jechała taksówką, cie-

sząc się, że wróciła, chociaż smutno jej było rozstawać się z Grace. Obiecała, że zaprosi ją do Nowego Jorku podczas ferii wiosennych. Rodzice oświadczyli, że też przyjadą. Miała nadzieję, że nie.

Harlan czekał w domu ze świeżą opalenizną prosto z Miami. Nie podobał mu się tamtejszy gejowski świątek. Był za bardzo ostentacyjny i powierzchowny, dlatego on też cieszył się z powrotu.

- I jak było? - spytał, kiedy weszła do mieszkania.

- Dobrze - odparła wesoło. - Świetnie bawiłam się z siostrą.

Harlan otworzył szampana i podał jej kieliszek.

- A rodzice? Zachowywali się?

- Powiedzmy. Tak jak zwykle. Z Grace było fajnie, ale cieszę się, że wróciłam.

- Ja też. - Harlan uśmiechnął się i wypił łyk szampana. - Lepiej włoż zimowe buty.

- To jednak idziemy? - Śnieg wciąż padał, ale padał dziwnie, bo płatki najpierw łagodnie zawisały w powietrzu, a dopiero potem spadały na ziemię.

- No jasne. Za nic nie przegapię takiego widowiska. Musimy zobaczyć tę cholerną kulę. Potem wrócimy i się rozgrzejemy.

Roześmiali się i dopili szampana.

Wyjechali taksówką o wpół do dwunastej i dotarli na miejsce dziesięć minut przed północą. Gigantyczną kryształową kulę obserwował wielki tłum ludzi i Wiktoria uśmiechnęła się do Harlana, miała płatki śniegu na rzęsach i we włosach. Obydwoje uznali, że to wspaniały sposób na spędzenie sylwestrowej nocy. A potem, kiedy wybiła północ, kula opadła i wszyscy zaczęli wiwatować. Oni też. Stali tam, śmiejąc się i obejmując i Harlan pocałował ją w policzek.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Wiktorio - powiedział. Bardzo ją polubił.

- Szczęśliwego Nowego Roku.

Jak rozradowane dzieci spojrzeli w niebo, wystawiając twarze na padający śnieg. A śnieg sypał i sypał, jak w teatrze. To była magiczna chwila. Oboje byli młodzi i spędzali sylwestra w Nowym Jorku. Ona z przyjacielem, on z przyjaciółką. Stali tam, aż ich włosy i palta pokryła warstwa białego puchu, a wtedy, wraz z tłumem ludzi, wśród jaskrawych świateł, przeszli kilka ulic, złapali taksówkę i wrócili do domu. To był naprawdę wspaniały wieczór. Dla nich obojga.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W styczniu czwartoklasiści byli bardzo spięci. Po feriach zimowych mieli dwa tygodnie na złożenie podań na studia - wielu z nich jeszcze tego nie zrobiło i potrzebowali pomocy. Wiktorcia codziennie zostawała po lekcjach, żeby doradzać im przy pisaniu esejów i byli jej wdzięczni za cenne wskazówki i opiekę. Bardzo ich to do siebie zbliżyło. Niektórzy opowiadali jej o swoich nadziejach, planach, rodzinach, domu i marzeniach. Nawet Becki Adams poprosiła ją o pomoc, i sporo chłopców. Kilkoro chciało starać się o stypendium, ale większość uczniów Madison School nie musiała martwić się o pieniądze. Wszystkim ulżyło, kiedy, skończywszy wypełniać podania, wreszcie je wysłali. Odpowiedzi miały nadejść dopiero w marcu i kwietniu, dlatego teraz chcieli tylko dotrwać do wakacji bez pakowania się w kłopoty.

Pod koniec stycznia Wiktorcia i kilkoro innych nauczycieli z Madison School mieli dwudniową konferencję w Javits Center. Różne zespoły tematyczne, do których można się było zapisać, dyskusje panelowe, wykłady znanych pedagogów - było bardzo ciekawie i cieszyła się, że szkoła pozwoliła jej wziąć w tym udział. Właśnie wyszła z wykładu dziecięcego psychiatry na temat wczesnego rozpozna-

wania oznak i symptomów ostrzegawczych samobójstw wśród młodzieży, kiedy zderzyła się z jakimś mężczyzną, który nie patrzył, gdzie idzie i omal jej nie przewrócił. Natychmiast zaczął ją wylewnie przeproszać, pomógł pozbierać broszurki, które wypadły jej z ręki, a kiedy się wyprostował, z zaskoczeniem spostrzegła, że jest nieziemsko przystojny.

- Przepraszam, to moja wina, bardzo panią przepraszam - powiedział z oszałamiającym uśmiechem.

Trudno było się na niego nie gapić i zauważyła, że zerka w ich stronę kilka innych kobiet.

- Świetny wykład, prawda? - rzucił z przyjaznym uśmiechem.

Wykład był naprawdę znakomity i zmusił ją do myślenia o sprawach, którym dotychczas nie poświęcała najmniejszej uwagi. Uczniowie z Madison School nie wykazywali tendencji samobójczych czy oznak zaburzeń psychicznych, ale teraz wiedziała już, że w wielu innych szkołach jest to poważny problem.

- Tak, rzeczywiście.

- Uczę trzecio- i czwartoklasistów i wychodzi na to, że są to grupy największego ryzyka.

- Właśnie. Ja też mam głównie tych starszych. Ruszyli w tę samą stronę, do przygotowanego dla nich

bufetu. Jak dotąd konferencja była naprawdę fascynująca.

- Gdzie pani uczy? - Rozmawiał z nią luźno i swobodnie i kiedy stanęli w kolejce, okazało się, że nie zamierza przestać.

- W Madison School - odparła z dumnym uśmiechem.

- Tak, słyszałem o was. Bogate dzieciaki, co? Ja siedzę na państwowym garnuszku. To zupełnie inny świat.

Gawędzili przez kilka minut, przedstawił ją Ardith Lucas, swojej koleżance, a potem zaprosił do ich stolika. Przed rozpoczęciem następnych zajęć wszyscy chcieli coś

zjeść i zaczynało brakować miejsc. Pod ścianami rozstawiono kilka stolików z literaturą fachową, książkami za darmo i do kupienia. On miał już pełną torbę, a ona też zdążyła zebrać pokaźny plik interesujących ją broszur, które upuściła, kiedy na nią wpadł. Nazywał się John Kelly i robił wrażenie kilka lat starszego od niej. Ardith była dużo starsza i powiedziała, że nie może się już doczekać przejścia na emeryturę. Uczyła od czterdziestu lat i chciała być wreszcie wolna. Wiktor i John dopiero zaczynali.

Rozmawiali przez cały lunch. John był zabójczo przystojny, niezwykle miły i inteligentny. Po lunchu dał jej swój numer telefonu i adres e-mail i powiedział, że bardzo by chciał się z nią spotkać. Nie odniosła wrażenia, że zamierza zaprosić ją na randkę. Chciał się po prostu zaprzyjaźnić, poza tym coś jej mówiło, że jest gejem. Ona też dała mu swoje namiary. Wątpiła, żeby się odezwał i szybko o tym zapomniała, lecz ku jej zaskoczeniu tydzień później zadzwonił i zaprosił ją na lunch. W sobotę.

W Metropolitan Museum była akurat nowa wystawa impresjonistów i obydwójce chcieli ją obejrzeć. Spotkali się w holu, obejrzeliby obrazy - bardzo im się podobały - a potem poszli do restauracji. Miło się z nim rozmawiało i w pewnej chwili wspomniała, że w Instytucie Kostiumologicznym pracuje jej współlokator i że tego dnia urządza nową wystawę. Po lunchu postanowili do niego wpaść. Harlan był zaskoczony jej widokiem, ale jeszcze bardziej widokiem Johna. Trudno było nie zauważyć, że jest przystojny i atletycznie zbudowany, a kiedy zobaczyła, jak na siebie patrzą, potwierdziły się jej wcześniejsze podejrzenia. Harlan i John przyciągali się wzajemnie jak przeciwne bieguny magnesu. Harlan oprowadził ich po Instytucie i kiedy się żegnali, widać było, że John nie ma najmniejszej ochoty wychodzić. Na schodach powiedział, że Harlan wygląda na wspaniałego faceta, a ona się z nim zgodziła.

Nagle poczuła się jak swatka albo jak amorek - cieszyła się, że ich sobie przedstawiła. I pod wpływem chwili zaprosiła go do siebie na niedzielną kolację. Z radością przyjął zaproszenie, potem wsiadł do autobusu, a ona wróciła piechotą do domu.

Harlan miał dużo pracy przy urządzaniu wystawy i wrócił dopiero o ósmej, ale natychmiast do niej zajrzał. Akurat leżała na łóżku, oglądając telewizję.

- Kogóż ty dzisiaj do mnie przyprowadziłaś? Toż to uosobienie piękna absolutnego! Omal nie zemdlałem, gdy weszliście. Gdzie go poznałaś?

Wiktoria się roześmiała, widząc jego minę.

- Na konferencji, w zeszłym tygodniu. Wpadł na mnie, i to dosłownie.

- Szczęściara. Wspaniały facet.

- Nie przeczę. I myślę, że gra w twojej drużynie.

- To dlaczego cię zaprosił? - spytał podejrzliwie, martwiąc się, że John może być hetero.

- Po prostu. Chce się ze mną zaprzyjaźnić. Wierz mi, nie patrzy na mnie tak, jak na ciebie. - Mężczyźni nigdy tak na nią nie patrzyli, przynajmniej jak dotąd. - A propos: zaprosiłam go jutro na kolację. - Znowu się roześmiała na widok jego miny. Harlan wyglądał tak, jakby wygrał główny los na loterii.

- I przyjdzie?

- Jasne. Dlatego lepiej weź się za gotowanie. Ja bym was potruła, chyba że zamówimy pizzę.

- Hmm, z przyjemnością coś upitraszę - odparł Harlan i cały w skowronkach poszedł do siebie. John był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widział.

On też był przystojny i Wiktoria uważała, że do siebie pasują. Zastanawiała się, czy to przeczucie kazało jej ich sobie przedstawić, czy instynkt. Podjęła tę decyzję pod

wpływem chwili, ale teraz wydawało się, że był to przebłysk cudownej inspiracji, dla Harlana też.

Był znakomitym kucharzem. Kupił udziec cielęcy, ziemniaki, fasolkę szparagową i czekoladowe ciasto w pobliskiej cukierni i całą niedzielę spędził w kuchni. Od dochodzących stamtąd zapachów ciekła ślinka.

John przyszedł punktualnie, z bukietem kwiatów i butelką czerwonego wina. Kwiaty dał jej, wino Harlanowi. Harlan je otworzył, nalał im po kieliszku i przeszli do salonu. A potem John i Harlan nie mogli się po prostu nagadać. Rozmawiali bez przerwy przez godzinę, dopóki nie nadeszła pora kolacji. Harlan pięknie nakrył do stołu, położył ładne maty i zapalił świece. Pod względem kulinarnym przeszedł sam siebie. Po deserze Wiktoria doszła do wniosku, że im przeszkadza i zostawiła ich samych. Powiedziała, że ma klasówki do sprawdzenia, obiecała Harlanowi pomoc przy zmywaniu, poszła do siebie, włączyła telewizor i położyła się na łóżku. Drzemała, kiedy zapukał do niej John, żeby podziękować i się pożegnać. Kiedy usłyszała trzask zamykających się drzwi, wstała i poszła do kuchni, żeby pomóc Harlanowi.

- I jak było? - spytała z uśmiechem.

- Niesamowicie! - Harlan też uśmiechnął się szeroko. - To najwspanialszy facet, jakiego spotkałem.

Okazało się, że John ma dwadzieścia osiem lat. Twardo stąpa po ziemi, jest bardzo poważny, odpowiedzialny i dowcipny.

- Ty też mu się podobasz - powiedziała Wiktoria, wycierając naczynia, które jej podawał.

- Skąd wiesz?

- Widzę. Ilekroć na niego spojrzales, cały się rozpromieniał.

- Mógłbym gadać z nim do rana - rzucił z rozmarzeniem Harlan.

- Zaprosił cię gdzieś? - Na jej oczach rozkwitał romans i cieszyła się, że ich sobie przedstawiła.

- Jeszcze nie. Obiecał zadzwonić. Jutro. Mam nadzieję, że się odezwie.

- Na pewno.

- Wiesz, że urodziliśmy się tego samego dnia? Roześmiała się wesoło.

- To musi być znak. Masz u mnie dług. Jeśli wszystko wypali, chcę, żeby moim nazwiskiem nazwano jakąś ulicę albo plac.

- Jeśli to wypali, dam ci wszystkie moje karty bejsbolowe z autografami, które zbierałem jako dzieciak, oraz srebra babci.

- Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

- Dzięki. To naprawdę wspaniały gość.

- Tak jak ty - odrzekła ciepło.

- Chyba nie - odparł nerwowo. - Zawsze czuję się tak, jakby wszyscy byli ode mnie lepsi, bardziej bystrzy, miłsi, przystojniejsi i bardziej spoko.

- Ja też - szepnęła ze smutkiem.

Doskonale знаła to uczucie i wiedziała, skąd się wzięło. Było rezultatem tego, że rodzice wmawiali jej przez lata, że jest nieudacznikiem, a ojciec powtarzał ciągle, że jest gruba i brzydka. Podważyło to jej wiarę w siebie, odebrało poczucie wartości własnej. Dźwigała ten krzyż przez całe życie. I w głębi ducha zawsze wierzyła, że ojciec ma rację.

- Rodzice robią nam krzywdę często już w dzieciństwie - powiedział cicho Harlan.

On też nie miał łatwego życia. Jego matka popełniła samobójstwo, kiedy był dzieckiem, a ojciec nie chce go znać, bo jest gejem. Mimo to wyszedł na ludzi, jest zupełnie zdrowy i normalny. Niedawno zerwał z partnerem, z którym był przez pięć lat. Tamten go zdradzał, więc się rozstali.

Wiktoria cieszyła się jego szczęściem i miała nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Harlan podziękował jeszcze raz, potem zgasili światło i poszli do siebie. Była to naprawdę miła kolacja i uroczy wieczór.

Nazajutrz wyszła wczesnym rankiem i nie widziała Harlana ani tego dnia, ani następnego. Wpadła na niego w kuchni dopiero w środę, kiedy oboje wrócili z pracy. Bała się spytać, czy John się odezwał - bo przecież mógł się nie odezwać - ale Harlan sam wszczął rozmowę.

- Wczoraj byłem z nim na kolacji - powiedział z promiennym uśmiechem.

- I jak było?

- Niesamowicie. Może jest jeszcze za wcześnie, ale chyba się zakochałem.

- Nie spiesz się, zaczekaj. Niech się to jakoś rozwinie. Kiwnął głową, ale chyba nie był w stanie pójść za jej radą.

W ten weekend znowu spotkali się u nich w kuchni. John i Harlan gotowali razem kolację, John przyniósł swój wok i chciał go u nich zostawić. Zaprosili i ją, ale powiedziała, że ma inne plany i poszła do kina, żeby mogli pobyć trochę sami. Nie było ich, gdy wróciła. Nie wiedziała, dokąd poszli, ale nie musiała. Teraz była to już ich historia, ich życie. Miała tylko nadzieję, że flirt przerodzi się w coś głębszego i że obaj będą szczęśliwi. Wszystko na to wskazywało, bo od samego początku znakomicie się dogadywali. Uśmiechnęła się do siebie i poszła do swego pokoju. W domu nikogo nie było, jak zwykle w weekend. Uświadomiła sobie, że od przyjazdu do Nowego Jorku nie miała ani jednej randki. Od lata, a więc co najmniej od pół roku, nikt jej nigdzie nie zaprosił.

Nic dziwnego, bo nie licząc konferencji, na której poznała Johna, właściwie nigdzie nie bywała. Nie chodziła na siłownię, nie należała do żadnego klubu. Nie wpadała do

barów. W szkole nie było ani jednego wolnego, heteroseksualnego mężczyzny w jej wieku. Nikt jej nikomu nie przedstawił. Pomyślała, że byłoby miło, gdyby w jej życiu ktoś się wreszcie pojawił, ale jak dotąd wypełniała je tylko praca. Teraz przyszła kolej na Johna i Harlana. Cieszyła się ich szczęściem. I wiedziała, że prędzej czy później ona też kogoś pozna. Miała dopiero dwadzieścia dwa lata i było mało prawdopodobne, żeby do końca swych dni pozostała sama, mimo że ojciec uważał ją za grubą i brzydką. Przypomniało jej się stare powiedzonko babki, że każdy garnek ma swoją pokrywkę. Miała nadzieję, że Harlan znalazł swoją. I że przy odrobinie szczęścia ona swoją też kiedyś znajdzie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W marcu, podczas ferii wiosennych, przyjechali do niej rodzice i Grace. Byli w Nowym Jorku przez tydzień i gdy oni odwiedzali znajomych i załatwiali swoje sprawy, siostry balowały. Kilka razy zjedli razem kolację. Wiktoria wybierała restauracje z przewodnika, który od kogoś dostała i wszystkie okazały się fantastyczne. Grace uwielbiała chodzić z nią po mieście. Mieszkała u niej, a rodzice w hotelu Carlyle niedaleko Madison School. Ponieważ były ferie, Wiktoria miała dla nich dużo czasu. Kilka razy rodzice byli w jej mieszkaniu i poznali współlokatorów. Ojciec uznał, że Bill jest całkiem w porządku, a Bunny piękna, ale ani on, ani mama nie rozpływali się nad Harlanem. Potem, już przy kolacji, ojciec wygłosił kilka nieprzychylnych uwag o gejach i Wiktoria stanęła w jego obronie.

Pod koniec odwiedzin Grace była już absolutnie pewna, że chce się przeprowadzić do Nowego Jorku, a nawet tu studiować, gdyby tylko udało jej się dostać do któregoś z tutejszych college'ów. Nie miała zbyt dobrych stopni i Wiktoria Wątpiła, żeby przyjęto ją na uniwersytet czy do Barnarda. Ale w Nowym Jorku było dużo innych, równie dobrych uczelni. Ogarnął ją smutek, że siostra musi wyjechać, bo cudownie się razem bawiły.

Dwa tygodnie później wezwał ją do siebie Eryk Walker i poczuła się jak dziecko, które coś zbroiło. Była pewna, że ktoś na nią doniósł albo że poskarżyli się rodzice. Niektórzy uważali, że za dużo zadaje i w imieniu swoich dzieci dzwoniли do niej z interwencją. Ale na te tematy Wiktoria nie chciała z nimi rozmawiać. Dla niej sprawa nie podlegała dyskusji. Uczniowie musieli odrobić pracę domową i kropka. Jako wierna uczennica Helen przejęła również jej credo: „Bądź twarda”. Helen była dużo twardsza, ale i Wiktoria umiała postawić na swoim i jej podopieczni bardzo ją za to szanowali. Dzięki dobrym radom koleżanki po fachu nie miała już z nimi problemów.

- Jak radzą sobie pani uczniowie, Wiktorio?

Dyrektor miał przyjazną minę. Nie wyglądał na zdenerwowanego i nie miała zielonego pojęcia, po co ją wezwał. Może na zwykłą rozmowę? Zbliżał się koniec roku -w czerwcu będzie musiała odejść.

- Chyba dobrze - odparła.

Szczerze w to wierzyła, była przekonana, że tak jest. Nie chciała odchodzić w niełasce. Wiedziała, że jeśli nie przedłużą jej umowy, niedługo będzie musiała zacząć szukać innej pracy. Wolałaby nie. Madison była jej wymarzoną szkołą, szkołą w sam raz dla niej, zawsze podziwiała inteligencję swoich uczniów. Strasznie by za nimi tęskniła.

- Jak pani wie, jesienią wraca do nas Carla Bernini -ciągnął dyrektor. - Bardzo się z tego cieszymy, ale pani też zrobiła tu kawał dobrej roboty. Uczniowie lubią panią i przepadają za pani lekcjami. - Mimo jej obaw, słyszał również wiele pochlebnych opinii ze strony rodziców. -Zaprosiłem panią dzisiaj, ponieważ musieliśmy zmienić nasze plany. Po wakacjach Fred Forsatch idzie na roczny urlop naukowy. Będzie wykładał na Oxfordzie i chce pomieszkać trochę w Europie. W normalnych okolicznościach musielibyśmy poszukać kogoś na jego miejsce. - Forsatch

uczył hiszpańskiego. - Ale Meg Phillips ma podwójną specjalizację i chce przejąć jego klasy, dlatego mamy wolny etat dla anglisty. Jak pani wie, Meg uczy tylko czwartoklasistów, a słyszałem, że świetnie się pani z nimi dogaduje. Dlatego zastanawiałem się, czy zechciałaby pani zastąpić ją do powrotu Freda. Niestety tylko na rok, nie wiemy, co będzie dalej. Co pani na to?

Wiktoria miała oczy jak spodki. Nie słyszała wspanialszej nowiny, odkąd przyjęto ją do pracy. Była zachwycona.

- Boże, pan żartuje! Oczywiście, że bym chciała! Pan tak... na poważnie?

Mówiła jak jej uczniowie i Walker wybuchnął śmiechem.

- Jak najbardziej. Tak, proponuję pani pracę, pełny etat do końca przyszłego roku. - Cieszył się, że Wiktoria podchodzi do tego tak entuzjastycznie. Właśnie to miał nadzieję od niej usłyszeć.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem Wiktoria wróciła do pokoju nauczycielskiego i powiedziała o tym wszystkim, którzy tam byli.

I serdecznie podziękowała Fredowi Forsatchowi, gdy spotkała go po południu. Roześmiał się, widząc, jak bardzo się cieszy. Jego z kolei cieszyła perspektywa rocznego pobytu w Europie. Już od dawna chciał tam pojechać.

Wiktoria wróciła do domu jak na skrzydłach. Zaczekała na współlokatorów, przekazała im wspaniałą nowinę, a oni zaczęli wiwatować. Potem zadzwoniła do rodziców i chociaż zareagowali tak, jak się spodziewała, to jednak chciała im o tym powiedzieć. Mimo ich przewidywalnie negatywnych reakcji wciąż czuła się zobowiązana do składania im meldunków ze swego życia w Nowym Jorku, i tym razem nie było inaczej.

- Po prostu zwlekasz z podjęciem prawdziwej pracy, Wiktorio - powiedział ojciec. - Z takiej pensji nie da się żyć.

Ale ona jakoś żyła. Od wyprowadzki ani razu nie poprosiła go o pomoc. Rozważnie gospodarowała pieniędzmi i udało jej się nawet trochę zaoszczędzić. Dzięki stosunkowo niskiemu czynszowi jej budżet był w niezłym stanie.

- To jest prawdziwa praca - odparła, wiedząc, że niepotrzebnie próbuje go przekonać, że to nie ma sensu. - Bardzo lubię uczyć. Lubię dzieci i szkołę.

- Tutaj, w Los Angeles, w każdej agencji, w każdej firmie, która by cię zatrudniła, zarobiłabyś dwa, trzy razy więcej - powiedział z dezaprobatą ojciec.

To, że najlepsza prywatna szkoła w Nowym Jorku wysoko oceniła jej osiągnięcia i przedłużyła z nią umowę na następny rok, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

- Nie chodzi o pieniądze, tato - odrzekła zawiedziona. - Jestem w tym naprawdę dobra.

- Bzdura. Każdy może uczyć. Bo co ty niby robisz? Niańczysz bogate dzieciaki, to wszystko.

Jednym zdaniem przekreślił jej wiedzę, zdolności i sens pracy. Wiedziała, że to nieprawda. Bo nie każdy mógł uczyć. Nauczanie wymagało szczególnych umiejętności, a ona miała do tego talent. Nie wszyscy potrafili robić to, co ona. Ale dla rodziców nie miało to żadnego znaczenia. Mama grała w brydża, więc nie podeszła do telefonu, ale ona też nie byłaby zadowolona. Bo nigdy nie była, bo zawsze małpowała ojca. Bo zawsze miała takie samo zdanie jak on, na każdy temat.

- Zanim podpiszesz umowę - dodał - poważnie to sobie przemyśl. Wiktoria westchnęła.

- Już przemyślałam. Chcę uczyć. Chcę być tym, kim jestem. Tu, w Nowym Jorku.

- Twoja siostra będzie bardzo zawiedziona, że postanowiłaś nie wracać - ciągnął, grając na jej uczuciach i poczuciu winy.

Ale ona już uprzedziła Grace. Podczas ferii wiosennych powiedziała, że jeśli tylko ją zatrudnią, zostanie w Nowym Jorku na kolejny rok i siostra ją zrozumiała. Wiedziała, dlaczego Wiktoria jest z nimi nieszczęśliwa, i to doskonale, z pierwszej ręki. Rodzice wykorzystywali każdą okazję, żeby jej dokopać i Grace miała wyrzuty sumienia. Bo dla niej zawsze byli mili. Widziała to przez całe życie, od urodzenia. Nic dziwnego, że kiedy były młodsze, myślała, że Wiktoria jest adoptowana. Trudno było uwierzyć, że są tak krytyczni i niewyrozumiali w stosunku do własnego dziecka, ale tacy właśnie byli. Wiktoria nie mogła im niczym zaimponować, nigdy nie spełniała ich oczekiwań i tym razem było tak samo. Zamiast być z niej dumnym, ojciec się zirytował. Ucieszyła się tylko Grace, jak zwykle.

A tu, w Nowym Jorku, Harlan i John pogratulowali jej i serdecznie ją wyściskali. Od dwóch miesięcy John był u nich stałym gościem. Ich związek rozwijał się i umacniał. Bill i Bunny też go polubili.

Tego wieczoru powiedziała im przy kolacji o rozmowie z ojcem, dodając, że to nic nowego, że to dla niego typowe.

- Powinnaś pogadać o tym z psychiatrą - rzucił cicho John.

Wiktoria była zaskoczona. Nie miała problemów psychicznych. Nie cierpiała na depresję i zawsze radziła sobie sama.

- Po co? - spytała przerażona i trochę urażona. - Nic mi nie jest.

- Jasne - odparł lekko John, dobrze wiedząc, że to prawda. - Ale niektórzy potrafią być bardzo toksyczni, zwłaszcza rodzice. Jeśli powtarzali ci takie rzeczy przez całe życie, z biegiem lat w twoim umyśle i sercu powstał osad, który musisz usunąć, bo inaczej zastopuje cię i boleśnie zrani.

Harlan wiedział, czyje imię Wiktoria nosi i dlaczego, i całkowicie się z nim zgodził.

- Fakt, psychiatra mógłby ci pomóc.

Obydwaj zgadzali się również co do tego, że jej problemy z wagą są rezultatem nieustannych docinków ojca. Uważali, że to oczywiste. A z tego, co mówiła, matka też nie była bez winy. Harlan wzdrygał się, słuchając jej opowieści z dzieciństwa. Był wstrząśnięty, że rodzice znęcali się nad nią przez tyle lat, że przez tyle lat musiała to znosić. Maltretowali ją nie fizycznie, tylko psychicznie.

- Zobaczą - odrzekła cicho i natychmiast o tym zapomniała.

Myśl, że miałyby pójść do psychiatry, była naprawdę de-nerwująca. I wcale nie zaskoczyło ich, że po kolacji bez namysłu nałożyła sobie lodów, chociaż oni deseru nie jedli. Nie drażyli ani nie nalegali i Harlan już do tego nie wrócił.

Żeby nie jechać latem do Los Angeles, załatwiła sobie pracę na czerwiec i lipiec. Miała uczyć dzieci, które czekały w schronisku na przydział do rodziny zastępczej. Harlan uważał, że to dołujące, ale ona była bardzo podekscytowana. Zaczynała zaraz po zakończeniu roku szkolnego.

Grace, teraz już szesnastoletnia, też miała pracować latem, pierwszy raz w życiu. Rodzice załatwili jej pracę w recepcji swego klubu tenisowo-pływackiego. Siostra była zachwycona, a oni zadowoleni. Natomiast pracę Wiktorii uznali za nieciekawą i przygnębiającą, a mama kazała jej często myć ręce, żeby nie zaraziła się czymś od swoich podopiecznych. Wiktoria podziękowała jej za radę. Była wkurzona, że jej praca nie zrobiła na nich wrażenia - podobnie jak to, że została nauczycielką - podczas gdy praca Grace, to, że przez pół dnia miała siedzieć za ladą w głupim klubie, było powodem do świętowania i nie kończących się pochwał. Nie zdenerwowała się jednak na siostrę, tylko na nich, na ojca i matkę.

Ale przedtem Grace odwiedziła ją w Nowym Jorku.

Tym razem przyjechała sama, bez rodziców, i bawiły się

jeszcze lepiej niż w marcu. Za dnia Grace chodziła po muzeach, galeriach i na zakupy, a wieczorem Wiktoria zabierała ją do kina albo restauracji. Były nawet w teatrze na Broadwayu.

W sierpniu Wiktoria jak zwykle zamierzała pojechać do domu, do Los Angeles. Był to teraz najdłuższy okres w roku, jaki z nimi spędzała. Ale tym razem zamierzała pojechać tylko na dwa tygodnie, chociaż dla niej było to i tak za długo. Ojciec, a jakże, skrytykował ją za pracę, a mama ciągle strofowała za wagę, która po krótkim wiosennym spadku znowu podskoczyła. Przed wyjazdem z Nowego Jorku Wiktoria przeszła na dietę kapuścianą i sporo schudła. Dieta była okropna, za to skuteczna, ale zaraz potem zadziałał efekt jo-jo i Wiktoria znowu przytyła. Wydawało się, że nigdy tej bitwy nie wygra. Była coraz bardziej zniechęcona.

Kiedy dobita uwagami rodziców i swoją tuszą wróciła do Nowego Jorku, przypomniała jej się rozmowa z Harlanem i jego rada, żeby poszła do psychiatry. I pewnego ponurego dnia przed rozpoczęciem szkoły zadzwoniła pod numer, który od niego dostała. Harlan znał tę terapeutkę, kolega, któremu ją polecił, był podobno bardzo zadowolony. Tak więc zadzwoniła, żeby nie zmienić zdania, i umówiła się na przyszły tydzień. I natychmiast zaczęła się zadreć, czy dobrze zrobiła. Pomyślała, że to czyste szaleństwo i chciała nawet odwołać wizytę, ale nie miała odwagi. Czuła się jak w potrzasku. A wieczorem w przeddzień wizyty zjadła w kuchni połowę sernika. Bo co będzie, jeśli okaże się, że jest wariatką, że rodzice mieli co do niej zupełną rację i że jako człowiek jest kompletnym niewypałem? Nie odwołała wizyty tylko dlatego, że miała nadzieję, że tak nie jest.

Była tak zdenerwowana, że nazajutrz trzęsła się jak galareta i przez cały dzień miała silne mdłości. Nie pamiętała

już, po co i dlaczego się umówiła, żałowała, że w ogóle to zrobiła, a kiedy wreszcie usiadła w poczekalni, w ustach zaschło jej tak bardzo, że nie mogła oderwać języka od podniebienia.

Doktor Watson robiła wrażenie kobiety miłej i rozsądnej. Miała czterdzieści kilka lat. W dobrze skrojonym granatowym kostiumie, umalowana, z ładnie obciętymi włosami wyglądała bardziej elegancko, niż Wiktoria się spodziewała, i uśmiechała się do niej ciepło uśmiechem, który zaczynał się w oczach. Spytała ją najpierw o kilka szczegółów takich jak, gdzie się urodziła i wychowała, gdzie chodziła do szkoły, ilu ma braci i sióstr, czy rodzice wciąż są razem, czy rozwiedzeni. Pytania były łatwe, zwłaszcza te o Grace. Odpowiadając na nie, opisując, jak piękną i kochaną ma siostrę, Wiktoria dosłownie promieniała. Powiedziała, jak bardzo różni się od nich urodą i wyglądem, wspomniała, że w dzieciństwie myślała - podobnie jak Grace - że ją adoptowano.

- Dlaczego? - spytała swobodnie doktor Watson, siedząc naprzeciwko niej w wygodnym fotelu.

W gabinecie nie było kozetki. Dostrzegła pudełko chusteczek higienicznych, złowieszczy znak - Wiktoria zaczęła się zastanawiać, czy podczas wizyty pacjenci często płaczą.

- Bo zawsze się od nich różniłam - odparła. - Pod każdym względem. Wyglądamy zupełnie inaczej. Oni mają ciemne włosy. Ja jasne. Rodzice i siostra mają ciemnobrązowe oczy. Ja niebieskie. Jestem pulchna. Oni bardzo szczupli. Nie tylko łatwo tyję, ale i dużo jem, kiedy jestem zdenerwowana. Zawsze miałam problemy z... z nadwagą. Nawet nosy mamy inne, bo ja mam nos prababki i podobno wyglądam tak jak ona. - I nagle wypaliła: - Przez całe życie czułam się jak wyrzutek. - Zaskoczyła samą siebie, nie spodziewała się, że to powie. - Ojciec nazwał mnie

imieniem królowej Wiktorii, mówił, że jestem do niej podobna. Zawsze myślałam, że Wiktoria była piękna, bo to przecież królowa. Aż kiedyś, gdy miałam sześć lat, zobaczyłam jej zdjęcie i wszystko zrozumiałam. Ojciec chciał powiedzieć, że jestem gruba i brzydka, tak jak ona.

- I co pani wtedy zrobiła? - spytała ze współczuciem doktor Watson.

- Rozpłakałam się. Złamał mi serce. Zawsze myślałam, że jestem dla niego najpiękniejsza. Wtedy poznałam całą prawdę. Śmiał się z tego, a kiedy miałam siedem lat i urodziła się moja siostra, powiedział, że byłam ich ciastem na próbę, że chcieli sprawdzić przepis, upiec dobre, a to na próbę wyrzucić. Za drugim razem im się udało. Grace była od początku doskonała i wyglądała tak jak oni. Ja nie. Ja ciągle byłam nieudanym ciastem. Ona ich wymarzoną nagrodą.

- Jak się z tym pani czuła? - spytała spokojnie doktor Watson ze wzrokiem skupionym na jej twarzy.

Wiktoria nawet nie zdawała sobie sprawy, że policzki ma mokre od łez.

- Strasznie, ale tak bardzo kochałam siostrę, że było mi wszystko jedno. Zawsze wiedziałam, co o mnie myślą. Nigdy nie mogę ich zadowolić, nieważne, co robię, czy czego nie robię. I może mają rację. Bo proszę na mnie spojrzeć: jestem gruba. A jeśli nawet chudnę, natychmiast znowu odbijam. Mama bardzo się tym denerwuje i ciągle powtarza, żebym przeszła na dietę albo zaczęła chodzić na siłownię. Ojciec częstuje mnie tłuczonymi ziemniakami z sosem i wyśmiewa, kiedy je zjadam.

To co mówiła, było przerażające, ale doktor Watson miała spokojną twarz. Słuchała jej ze współczuciem, od czasu do czasu mruczając coś pod nosem.

- Jak pani myśli, dlaczego tak się zachowywali? - spytała. - Mieli żal do pani czy do ciebie? Nie sądzi pani, że

mówi to coś o nich jako o ludziach? Zachowałyby się pani tak w stosunku do swego dziecka?

- Nie, nigdy. Może po prostu chcieli, żebym była lepsza, niż jestem. Bo według nich, tylko nogi mam ładne. Ojciec mówi, że są zabójcze.

- A pani wewnątrz? Jaka pani jest? Robi pani wrażenie osoby miłej i dobrej.

- Bo taka jestem... Chyba. Bardzo się staram. Staram się być dobra. Nie wychodzi mi tylko z jedzeniem. Ale jestem dobra dla innych. Zawsze opiekowałam się siostrą i wciąż się nią opiekuję. - Mówiąc to, posmutniała.

- Wierzę. - Doktor Watson uśmiechnęła się do niej ciepło. - Wierzę, że jest pani dobra i stara się pani dobrze postępować. - A pani rodzice? Myśli pani, że postępują dobrze? Na przykład, w stosunku do pani.

- Nie, niezupełnie... Może czasem. Zapłacili za moje wykształcenie. Nigdy nie zaznałam przy nich biedy. Ojciec po prostu taki jest. Mówi rzeczy, które ranią. Nie podobam mu się, nie podoba mu się moja praca.

- A pani mama?

- Mama zawsze go popiera. Zawsze. Ojciec jest dla niej najważniejszy, ważniejszy niż ja i siostra. Jest dla niej wszystkim. Siostra była „wypadkiem przy pracy”. Dowiedziałam się, co to znaczy, dopiero kiedy miałam piętnaście lat. Mówili tak, zanim się urodziła i myślałam, że przyjdzie na świat pokiereszowana, takie tam głupoty... Oczywiście była najśliczniejszym niemowlęciem, jakie kiedykolwiek widziałam. Kilka razy wystąpiła w reklamach, nawet tych ogólnokrajowych.

Odmalowany przez nią portret rodziny był zupełnie jasny i wyraźny nie tylko dla psychiatry, ale nawet dla niej - zdała sobie z tego sprawę, słuchając własnych słów. Był to podręcznikowy obraz cierpiącego na narcyzm ojca i przyzwalającej matki, którzy przez całe życie dopuszczali się

wobec starszej córki niewysłowionych okrucieństw, odrzucając ją i poniżając za to, że nie spełniała ich oczekiwań. Młodsza córka spełniała je doskonale. Jedynym zaskoczeniem było to, że Wiktoria jej nie znieawdziła, kochała Grace tak, jak ona ją kochała. Był to dowód na to, że jest kobietą czułą i kochającą, że ma wielkie serce i że uroda młodszej siostry jest dla niej źródłem radości i przyjemności. Bez zastrzeżeń wierzyła w potworne rzeczy, jakie wygadywali o niej rodzice. Przez całe życie była spętana ich okrucieństwem. Rzeczy, o których opowiadała, bardzo ją krępowały, ale mówiła prawdę, co nie uszło uwagi doktor Watson. Terapeutka ani przez chwilę w to nie wątpiła.

Zerknęła ponad jej ramieniem na ścienny zegar i spytała, czy przyjdzie do niej za tydzień. I zanim Wiktoria zdążyła się powstrzymać, kiwnęła głową, ale dodała, że wolałaby wpaść po szkole, bo jest nauczycielką. Doktor Watson zapisała ją, dała jej karteczkę z godziną, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Zrobiłyśmy dzisiaj kawał dobrej roboty. Mam nadzieję, że pani też tak uważa.

- Naprawdę? - zdziwiła się Wiktoria.

Była wobec niej otwarta i zupełnie szczerą. I nagle poczuła się tak, jakby zdradziła rodziców, jakby była wobec nich nielojalna. Ale nie kłamała, mówiła samą prawdę. Bo przez te lata naprawdę to wszystko mówili. Może niechęć, może nie chcieli być dla niej okrutni. Ale co, jeśli byli? Jeśli byli tacy celowo? Co mówiło to o nich i o niej? Z rozwiązaniem tej tajemnicy musiała poczekać do przyszłego tygodnia, do następnej wizyty. Ale wychodząc, wcale nie czuła się wariatką, tak jak się obawiała. Raczej zupełnie zdrowa, zdrowsza niż kiedykolwiek dotąd, i z jeszcze boleśniejszą wyrazistością postrzegała swoich rodziców.

Doktor Watson odprowadziła ją do drzwi i gdy Wiktoria wyszła na ulicę, słońce oślepiło ją na chwilę i odurzyło.

Kiedy cicho zamknęły się za nią drzwi, powoli ruszyła przed siebie. Miała wrażenie, że tego dnia otworzyła na oścież wielkie okno i że przez to okno prosto do najmroczniejszych zakamarków jej serca wpadł promień światła. Wiedziała, że już go nie zamknie, nigdy, bez względu na to, co się wydarzy. Szła i przez całą drogę do domu płakała. Z ulgi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po wakacjach dostała całkiem przyzwoitą podwyżkę. Co oczywiście nie zrobiło na ojcu żadnego wrażenia, ale jej dało więcej finansowego luzu. No i teraz uczyła tylko swoich ulubionych czwartoklasistów. Trzecioklasiści byli bardziej rozemocjonowani i zestresowani, a drugoklasiści niedojrzali, niegrzeczni i trudniejsi do prowadzenia. Pod wieloma względami zachowywali się jak dzieci, które badają, co im wolno, a czego nie. Natomiast ci z klas czwartych, już na wylocie, byli bardziej pewni siebie i zaczęli z humorem podchodzić do życia. No i cieszyli się swoim ostatnim rokiem w domu, z rodzicami. Przyjemniej się z nimi pracowało. Ostatnie miesiące ich pobytu w szkole były bardzo nostalgiczne. Wiktoria lubiła ich uczyć i dzielić z nimi te niezapomniane chwile. Byli gotowi do drogi.

Po rocznym urlopie macierzyńskim do szkoły wróciła Carla Bemini. Zaimponowało jej to, co Wiktoria osiągnęła z jej byłymi uczniami i obdarzyła ją wielkim szacunkiem, mimo jej wieku. Zostały dobrymi przyjaciółkami. Kiedyś przyprowadziła do szkoły swego synka - Wiktoria uważała, że jest śliczny. Szczęśliwy, roześmiany i rozbrykany przypominał Grace w tym wieku.

Raz w tygodniu chodziła do doktor Watson. I z czasem

zaczęła dostrzegać w sobie subtelne zmiany, zmiany w tym, jak postrzegała życie, samą siebie i swoje wieloletnie doświadczenia z rodzicami. Byli toksyczni i od urodzenia ją krzywdzili. Dopiero teraz spojrzała na to w ten sposób. Od początku terapii zrobiła kilka kroków w dobrym kierunku. Znowu przeszła na dietę, znowu zaczęła chodzić na siłownię. Bywało, że terapeutyczne sesje, podczas których wspominała to, co powiedzieli lub zrobili rodzice, poruszały ją tak bardzo, że po powrocie do domu mogła jedynie szukać pociechy w jedzeniu. Lody zawsze były jej ulubionym narkotykiem, a czasem i najlepszym przyjacielem. Ale następnego dnia zjadała dużo mniej i dłużej ćwiczyła na siłowni, żeby odpokutować za grzech obżarstwa. Doktor Watson poleciła jej dietetyczkę, która doradziła, jak planować posiłki. Wiktoria próbowała nawet hipnozy, ale ta terapia jej się nie podobała i nie przyniosła żadnych efektów.

Najbardziej lubiła szkołę i swoich uczniów. Dużo czytała, poznawała nowe techniki nauczania, poznawała życie. I odkąd zaczęła chodzić do psychiatrii, coraz bardziej wierzyła w siebie, chociaż nie uporała się jeszcze z problemem jedzenia i wiecznej nadwagi. Miała nadzieję, że pewnego dnia to się zmieni, chociaż wiedziała, że nigdy nie będzie wyglądała tak jak Grace czy mama. Najważniejsze, że dzięki wizytom u doktor Watson bardziej polubiła samą siebie.

Była w niezłej formie, kiedy zaczęła się szkoła i pojawił się u nich nowy nauczyciel chemii, zastępując tego, który odszedł na emeryturę. Wyglądał na miłego, porządnego faceta. Nie miał urody gwiazdora filmowego, ale był uprzejmy, łagodny i przyjacielski dla uczniów. Wszyscy go polubili, a on bardzo się starał, żeby jak najlepiej ich poznać. Pewnego dnia usiadł obok niej w pokoju nauczycielskim. Miała trochę czasu przed kolejną lekcją i jadła właś-

nie sałatę z pobliskich delikatesów, kończąc poprawianie klasówek, które chciała zwrócić uczniom tego dnia. On usiadł obok i wyjął z torby długą kanapkę. Kanapka cudownie pachniała i skubiąc sałatę, Wiktoria poczuła się jak królik. Lekko pokropiła ją sokiem z cytryny, chociaż oczywiście wolałaby polać obficie sosem. Próbowwała być grzeczna, bo nazajutrz miała spotkanie z doktor Watson.

- Hej - rzucił, przełknąwszy kęs bułki. - Chyba się jeszcze nie znamy. Jack Bailey.

Chociaż miał niewiele ponad trzydzieści lat, był szpakowaty i brodaty, przez co mógł uchodzić za starszego.

- Wiem, kim pani jest - powiedział z uśmiechem. - Uwielbiają panią wszyscy czwartoklasiści. Kiedy przychodzą do mnie po angielskim, nie wiem, co robić. Nie mam z panią najmniejszych szans. Świetnie się bawią na pani lekcjach. Nie wiem, skąd pani bierze te wszystkie pomysły. Jest tu pani prawdziwą gwiazdą.

Komplementy to miła rzecz, więc zrobił jej dużą przyjemność.

- Nie zawsze za mną szaleją - odparła. - A już na pewno nie wtedy, kiedy robię im niezapowiedzianą klasówkę.

- Kiedy byłem młody, nie wiedziałem, kim chcę tak naprawdę zostać, fizykiem czy poetą. Pani wybrała chyba lepiej.

- Ja też nie jestem poetką. Jestem zwykłą nauczycielką. Jak się panu podoba w naszej szkole?

- Bardzo. W zeszłym roku uczyłem w małej wiejskiej szkółce w Oklahomie. Tutejsze dzieciaki są o wiele bardziej wyrobione.

Wiedziała, że on też jest nie byle kim. Słyszała, że ukończył MIT.

- Na razie odkrywam Nowy Jork i świetnie się przy tym bawię - ciągnął. - Pochodzę z Teksasu. Po dyplomie, przez parę lat mieszkałem w Bostonie, a potem wyjecha-

łem do Oklahomy. Nowy Jork to wspaniałe miasto. Bardzo mi się tu podoba.

- Mnie też. Ja pochodzę z Kalifornii, z Los Angeles. Mieszkam tu już od roku, ale wciąż jest wiele miejsc, które chciałabym zobaczyć.

- To może obejrzymy je razem? - spytał z nadzieją. Poczowała dziwne motylki w brzuchu. Nie była pewna,

czy mówi poważnie, czy stara się tylko być przyjacielski. Bardzo by chciała wyjść gdzieś z kimś takim jak on. W ciągu ostatnich kilku miesięcy była na paru randkach, w tym z chłopakiem, z którym chodziła do ogólniaka, ale żadna nie wypaliła. Jej życie towarzyskie praktycznie nie istniało, a on był jedynym wolnym mężczyzną w szkole. Odkąd zaczął u nich pracować, plotkowały o nim wszystkie niezamężne nauczycielki, nazywając go „przystojniakiem” albo „ciachem”. Wiktoria zdawała sobie z tego sprawę.

- Byłoby fajnie - rzuciła obojętnie na wypadek, gdyby mówił tylko tak sobie.

- Lubi pani teatr? - spytał, kiedy wstali. Był dużo wyższy od niej, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Bardzo - odparła. - Nie stać mnie na bilety, ale od czasu do czasu chodzę, żeby zrobić sobie przyjemność.

- Chcę zobaczyć pewną sztukę, off-off-Broadway. Podobno jest trochę ponura, ale świetna. Znam autora. Jeśli jest pani wolna, moglibyśmy pójść w ten weekend.

Nie chciała mu mówić, że może być wolna do końca świata, zwłaszcza dla niego. Jego zainteresowanie bardzo jej pochlebiło.

- Chętnie - odrzekła z ciepłym uśmiechem pewna, że nic z tego nie będzie. Zdażyła już przywyknąć, że mężczyźni zachowywali się wobec niej bardzo przyjaźnie, a potem nigdy nie dzwonili. Nie miała okazji poznać kogoś wolnego i bez zobowiązań. Żyła i pracowała wśród kobiet, dzieci, gejów i żonatych. Mężczyzna kawaler był w jej

świecie rzadkością. Doktor Watson namawiała ją, żeby zaczęła wychodzić z domu i poznawać ludzi, nie tylko mężczyzn. Jej świat był ograniczony i zdefiniowany jedynie przez szkołę.

- Napiszę do pani e-mail - obiecał, kiedy wychodzili z pokoju, wracając do pracy; obydwójce mieli leką.

Pomachał jej i poszedł w prawo, do laboratorium, podczas gdy ona skręciła w lewo, do swojej klasy. Po drodze mijala klasę Heleny i zobaczyła, że przyjaciółka rozmawia z Carlą Bernini. Obydwie spojrzały na drzwi i uśmiechnęły się do niej. Wiktoria przystanęła na chwilę w progu.

- Cześć. Co słychać? - Uwielbiała poczucie koleżeństwa, które je łączyło. Helen i Carla były od niej dużo starsze, ale w szkole czuła się jak w rodzinie z mnóstwem starszych braci i sióstr - nauczycieli - i z jeszcze większą liczbą młodszego rodzeństwa, jej uczniów. Siedziały w tym po uszy wszystkie trzy.

- Krążą plotki, że jadłaś lunch z naszym przystojniaczkiem - rzuciła wesoło Carla.

Wiktoria uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Zwariowałyście? Siedzieliśmy tylko przy tym samym stole. Dajcie biedakowi spokój. Pół szkoły się za nim ugania. Był po prostu uprzejmy, i tyle. Macie tu jakiś radar, czy założyłyście podsłuch w pokoju nauczycielskim?

Wybuchnęły śmiechem, wszystkie trzy. Dobrze wiedziały, że szkoła to wylęgarnie plotek wszelkiej maści, że nauczyciele plotkują o nauczycielach, o uczniach i o życiu, i że wszyscy wiedzą tu wszystko o wszystkich.

- Milutki jest - powiedziała Carla.

Helen się z nią zgodziła, a Wiktoria przewróciła oczami.

- Zapewniam was, że on mnie nie podrywa. Ma tu lepsze ryby do złowienia. - Wszyscy wiedzieli, że poluje na niego nauczycielka francuskiego. Jakie miała z nią szanse?

- Gdyby udało mu się z tobą, byłby prawdziwym szczęściarzem - powiedziała ciepło Carla. Bardzo polubiła najmłodszą koleżankę i chociaż Wiktoria musiała się jeszcze dużo nauczyć, darzyła ją wielkim szacunkiem. No i w zeszłym roku poszło jej znakomicie.

- Dziękuję za wotum zaufania.

Wiktoria poszła do swojej klasy. Plotki rozchodziły się w szkole błyskawicznie. Zawsze ją to zdumiewało. Zastanawiała się, czy Jack do niej napisze. Wątpiła w to, ale miło było pogadać podczas lunchu. Czowała, że nic z tego nie będzie i nazajutrz powiedziała to swojej terapeutce.

- Dlaczego? - spytała doktor Watson. - Dlaczego tak pani myśli?

- Bo zaproponował to pewnie tylko tak, z grzeczności. To była zwykła rozmowa podczas lunchu, nic więcej.

- A jeśli nie? Co by pani pomyślała?

- Że może mu się spodobałam. Albo że jest po prostu samotny.

- A więc uważa się pani za coś w rodzaju tymczasowego substytutu? Tak nisko się pani ceni? A jeśli naprawdę mu się pani spodobała?

- Nie - odparła stanowczo Wiktoria. - Był po prostu miły. - Poznała już kilku mężczyzn, którzy podczas pierwszego spotkania okazywali jej zainteresowanie, a potem przestawali się odzywać.

- Dlaczego tak pani myśli? - spytała ze spokojnym zainteresowaniem terapeutka. - Uważa pani, że nie zasługuje na to, żeby umówić się z kimś miłym?

Zapadła cisza. Wiktoria długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Mam nadwagę. Nie jestem tak ładna jak moja siostra. Nienawidzę swego nosa. A mama zawsze powtarza, że mężczyźni nie lubią inteligentnych kobiet.

Doktor Watson uśmiechnęła się, ona też, chociaż trochę nerwowo. Rozśmieszyły ją jej własne słowa.

- Cóż, możemy zgodzić się co do tego, że jest pani inteligentna. To dobry początek. Ale polemizowałabym z pani mamą. Uważam, że inteligentnym mężczyznom podobają się inteligentne kobiety. Tym powierzchownym pewnie nie, bo czują się przez nie zagrożeni. Ale nimi nie warto zwracać sobie głowy. Pani nos jest zwyczajny, jak każdy inny. A waga nie jest wadą charakteru, tylko czymś, co można zmienić. Zresztą dla kogoś, komu naprawdę się pani spodoba, kto poważnie się panią zainteresuje, tusza nie będzie miała żadnego znaczenia. Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą i wielu mężczyzn miałyby wielkie szczęście, gdyby udało im się panią zdobyć.

Miłe słowa, ale Wiktoria nie do końca w nie wierzyła. Dowody rzeczowe na drugiej szali były zbyt ciężkie: obraźliwe uwagi ojca, wieloletnie poczucie klęski i odrzucenia, życie poza nawiasem rodziny.

- Poczekajmy - ciągnęła doktor Watson. - Zobaczymy, czy się odezwie. Ale jeśli nie, znaczy to tylko, że po prostu nie, nic więcej. Będą inni.

Wiktoria westchnęła. Miała dwadzieścia trzy lata i jak dotąd nie zakochał się w niej na poważnie żaden chłopak. Nie licząc najbliższych przyjaciół, od lat wszyscy pomijali ją i ignorowali. Czuła się bezkształtnym tłumokiem, asek-sualnym i kompletnie pozbawionym seksapilu. Wiedziała, że dokładne przeanalizowanie i przekonfigurowanie tego obrazu będzie wymagało dużo pracy i poświęcenia. Właśnie po to tu przychodziła. Żeby zmienić obraz samej siebie, zatrzeć piętno, które wypalili w jej duszy rodzice. Była gotowa zrobić wszystko, żeby tak się stało, bez względu na to, jak długo miałyby to trwać. Zdawała sobie sprawę, że proces ten będzie bolesny, ale wiedziała również, że życie z poczuciem klęski jest jeszcze gorsze. Świadomość bycia

niekochaną - oto, jaką spuściznę zostawili jej rodzice. Bo po prostu jej nie kochali. Nigdy. Zgromadziła dwudziestotrzyletni zapas negatywnych uwag, złośliwych docinków i komentarzy, z którymi jeden po drugim musiała się teraz rozprawić. W końcu była gotowa stawić temu czoło.

Po spotkaniu czuła się trochę zniechęcona. Trudno było przekopywać się przez przeszłość, wygrzebywać te wszystkie niemiłe wspomnienia, analizować je i rozbierać na kawałki. Do domu wróciła przybita. Nie znosiła tego. Chciała zapomnieć o szyderstwach ojca i o tym, że mama zawsze przymykała na nie oko, że nigdy ich nie słyszała, nigdy nie stanęła w jej obronie. Jej własna matka. Jediną osobą, która jej broniła, była mała Grace.

Co to znaczyło? Co mówiło to o niej samej? Że mama jej nie kocha? Ani mama, ani ojciec. Że kocha ją tylko dziecko, nieznająca życia nastolatka. Powiedziało jej to, że nie może pokochać jej żaden inteligentny dorosły, nawet jej rodzice. I musiała teraz nieustannie przypominać sobie, że nie jest to wada jej konstrukcji psychicznej, tylko ich.

Włączyła komputer i sprawdziła korespondencję. Miała e-mail od Grace, która opowiedziała jej, co wydarzyło się w szkole, o dramacie z nowym chłopcem, w którym się podkochiwała. W wieku szesnastu lat miała ich więcej niż Wiktoria przez całe życie, nieważne, że nastolatków. Kiedy z uśmiechem kończyła czytać list, komputer zawiadomił ją, że właśnie przyszedł nowy e-mail. Sprawdziła od kogo. Początkowo nie rozpoznała adresu nadawcy, ale kiedy przyjrzała mu się dokładniej, natychmiast zaskoczyła: Jack Bailey. Nauczyciel chemii, ten, z którym jadła lunch w pokoju nauczycielskim. Próbując opanować niepokój i zdenerwowanie, szybko otworzyła list. Mogło chodzić o szkołę, o ich wspólnego ucznia, ale nie, i przeczytawszy wszystko od początku do końca, musiała przeczytać to jeszcze raz.

Witam. Było mi bardzo miło Panią poznać i chciałem Pani podziękować, że znalazła Pani czas na pogawędkę podczas lunchu. Udało mi się zdobyć dwa bilety na sztukę, o której wspominałem. Czy jest szansa, że znajdzie Pani w sobotę czas, żeby się ze mną wybrać? Kolacja przed czy po? Przygodny posiłek na koszt przymierającego głodem nauczyciela chemii. Proszę dać mi znać, czy jest Pani wolna i zainteresowana. Do zobaczenia w szkole.

Jack

Siedziała i gapiła się na ekran, zastanawiając się, co to znaczy. Przyjaźń? Randka? Brak przyjaciół i samotność? Spodobała mu się? Próbując czytać między wierszami, czuła się jak Grace w ogólniaku. Była zdenerwowana, bo może znaczyło to tylko tyle, że miły facet zaprasza ją do teatru i na kolację. A co potem, czy zechce wybrać się z nią gdzieś znowu? Cóż, sprawa była otwarta. Nie mogła się już doczekać, kiedy wróci Harlan.

- To się nazywa randka, Wiktorio - oznajmił, gdy powiedziała mu o liście. - Mężczyzna zaprasza kobietę. Proponuje, że ją nakarmi i zabawi, zaprosi do kina albo, jak w tym przypadku, do teatru. Jeśli jest wam dobrze i miło, za jakiś czas to powtarzacie. I co mu odpisałaś? - spytał z ciekawością. Było widać, że bardzo się cieszy.

- Jeszcze nic. Skąd wiesz, że to randka?

- Dzień i pora. Sobota. Wieczór. Propozycja czegoś do zjedzenia. Rozrywka. Wasza płeć, zawód i wiek. To, że obydwójce jesteście wolni. Można bezpiecznie założyć, że to klasyczna randka.

On żartował, ale ona była zdenerwowana.

- Może chce się po prostu zaprzyjaźnić.

- Możliwe. Ale mnóstwo romansów zaczyna się od zwykłej przyjaźni. Ponieważ pracujecie w tej samej szkole, nie przypuszczam, żeby był mordercą i chciał porąbać cię na kawałki siekierą. Nic nie wskazuje również, żeby miał

groźne nałogi, problemy z nadużywaniem alkoholu, i temu podobne. Prawdopodobnie nie był ostatnio aresztowany ani nie siedział. Myślę, że nic ci nie grozi i możesz spokojnie dać się zaprosić. Na wszelki wypadek zawsze możesz włożyć do torebki gaz łzawiący. Wiktoria uśmiechnęła się wesoło.

- Poza tym - ciągnął Harlan - nie zapominaj, że nie tylko on tu decyduje. Przecież możesz uznać, że to on nie podoba się tobie. - Chciał jej uświadomić, że ona też ma coś do powiedzenia.

- Ale dlaczego? Jest inteligentny, przystojny... Ukończył MIT. Ma czym imponować, a ja? Mógłby zaprosić każdą.

- A ty każdego. Ale to on zaprosił ciebie. Trzymajmy się faktów. Masz taki sam wybór jak on. Bo kim on niby jest? Księciem udzielnym?

Wiktoria wiedziała, że to dobra rada. Otrząsnęła się i wróciła do rzeczywistości. Przez tyle lat czuła się tak bardzo niekochana, miała tak duże poczucie niższości, że zapomniała już, iż ona też ma prawo głosu. Decyzja nie należała tylko do niego.

- No i nie zapomnij o czynniku kotleta cielęcego - dodał z powagą Harlan, robiąc herbatę.

- O czym? - spytała zaskoczona.

- Poznajesz faceta, który dosłownie powala cię na tyłek, który zapiera ci dech w piersiach. Jest wspaniały, boski, błyskotliwy, czarujący i zabawny, no i oczywiście niezmiernie przystojny. Może nawet jeździ ferrari. I nagle widzisz, jak je kotlet cielęcy. Je, jakby urodził się w stajni, jak prosię z koryta, i już nigdy więcej nie chcesz go widzieć.

Wiktoria wybuchnęła śmiechem.

- Nie da się takiego nauczyć zachowania przy stole? - spytała niewinnie.

Harlan zdecydowanie pokręcił głową.

- Absolutnie, coś ty. To zbyt wstydlive. Wyobraź sobie,

że przedstawiasz go znajomym, a on siedzi, siorbie zupe, ślini się nad kotлетem i oblizuje tłuste paluchy. Od razu odpuść sobie facetów, którzy jedzą jak Tom Jones. Masz teraz okazję, żeby go sprawdzić - zakończył z powagą.

- Dobra. Zamówię kotlet cielecy.

- Zaufaj mi. To ostateczna próba. Ze wszystkim innym da się żyć.

Znowu się roześmiali. Harlan żartował, nabijał się z niej, ale w tym, co powiedział, było ziarno prawdy. Na początku trudno jest przewidzieć, co się komu spodoba, a co na zawsze odstręczy. Mężczyźni, którzy dawali nędzne napiwki albo nie dawali ich wcale, którzy byli prymitywni i niegrzeczni dla kelnerów, zawsze ją odpychali. Nigdy dotąd nie myślała o teście z kotлетem.

- No i co? - spytał Harlan. - Co zrobisz? Proponuję, żebyś przyjęła zaproszenie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałaś randkę. Ty pewnie też nie.

- A właśnie, że pamiętam - odparła zaczepnie. - Latem, w Los Angeles. Chodziłam z nim do ogólniaka i wpadliśmy na siebie w klubie tenisowym.

- Nó i? Nic o tym nie mówiłaś.

- Był koszmarne nudny. Handluje nieruchomościami, pomaga matce, i przez cały wieczór głądził o swoim bójącym kręgosłupie, migrenach i o zapaleniu torebki maziowej w pierwszym stawie dużego palca u nogi. Cudownie się bawiłam.

Harlan parsknął śmiechem.

- Jezu, i taki facet się z kimś bzyka? Jakim cudem? Kto umówi się z nim na drugą randkę? Mam nadzieję, że z nim nie spałaś.

- Nie - odparła z teatralną powagą. - Rozbolała go głowa. Mnie też, przy deserze. Potem wstałam i wyszłam. Dzwonił do mnie parę razy, ale skłamałam, że jestem w Nowym Jorku. Na szczęście już go więcej nie spotkałam.

- W świetle tego podniosłego doświadczenia powinnaś umówić się ze swoim chemikiem. Jeśli okaże się, że nie idzie na operację torebki maziowej i nie cierpi na migrenę, będziesz bardzo do przodu.

- Chyba masz rację - powiedziała i wróciła do komputera, żeby odpowiedzieć na e-mail Jacka Bailey'a. Napisała, że jest jej bardzo miło i chętnie się z nim wybierze. A ponieważ obydwójce byli przymierającymi głodem nauczycielami, zaproponowała, że za siebie zapłaci. Odpisał, że nie musi, że jeśli nie będzie miała nic przeciwko kolacji w skromnej knajpce, z przyjemnością pokryje wszystkie koszty. Obiecał po nią wpaść. Sprawa była załatwiona.

Wracając do Harlana, Wiktoria zdała sobie sprawę, że nie wie, w co się ubrać.

- W krótką, ale to bardzo krótką spódniczkę - odparł bez wahania.
- Z takimi nogami, powinnaś nosić tylko miniówki. Chciałbym mieć twoje nogi.

Żartował, ale bynajmniej nie kłamał. Wiktoria miała długie, piękne, smukłe nogi, które odwracały uwagę od pulchniejszego tułowia. I ładną twarz, zdrową i jasną, typowo amerykańską. Była atrakcyjną kobietą, niezwykle miłą, o żywym, błyskotliwym umyśle i wspaniałym poczuciu humoru. Czego jeszcze można było chcieć? Miał nadzieję, że randka z chemikiem wypali. Zwłaszcza że dzięki Wiktorii od ośmiu miesięcy był w szczęśliwym związku z Johnem. Doskonale się dobrali i mieli poważny romans. Myśleli nawet o wyprowadzce i wynajęciu samodzielnego mieszkania. Uwielbiali zapraszać ją na kolację. Był jej najlepszym przyjacielem w Nowym Jorku i jedynym prawdziwym powiernikiem, nie licząc Grace. No i udzielał bardzo dobrych rad.

Gdy punktualnie o siódmej w sobotę wieczorem przyszedł Jack, w domu była tylko ona. Pozostali wyszli, więc obejrzał mieszkanie, zachwycając się, jakie jest duże i ładne.

- Jeju - powiedział z zazdrością. - W porównaniu z panią, mieszkam w pudełku po butach.

- Czysz ustala miasto, miałam szczęście. Mieszkamy tu we troje. Znalazłam je zaraz po przyjeździe.

- Naprawdę miała pani fart.

Poczęstowała go kieliszkiem wina i kilka minut później wyszli. Restauracja mieściła się w Village i w metrze powiedział, że zdążą zjeść przed teatrem.

Poszła za radą Harlana, który przed wyjściem na spotkanie z Johnem dokładnie ją obejrzał. Włożyła krótką czarną spódniczkę, biały podkoszulek, dżinsową marynarkę i sandały na wysokim obcasie, które podkreślały jej nogi. Wyglądała bardzo ładnie. Była lekko umalowana i miała rozpuszczone włosy. Harlan orzekł, że to najlepszy strój na pierwsze spotkanie. Odmładzał, był seksowny, prosty i nie przedobrzonny. Żadnego dekoltu, nie na pierwszej randce - wyraźnie to zastrzegł, chociaż owszem, miałyby co pokazać. Ale on kazał jej zachować to na potem. W drodze do śródmieścia przez cały czas rozmawiali. Był bardzo zabawny i miał poczucie humoru. Rozśmieszał ją opowieściami o szkołach, w których pracował. Było widać, że lubi dzieci. A także to, że Wiktorii mu się podoba.

Kiedy usiedli przy stoliku, ze zmarszczonym czołem przejrzała jadłospis. Zawsze miała słabość do klopsików z ziemniakami puree - przypominało jej to prababkę, która podobno świetnie gotowała - ale nie chciała przesadzić i zjeść za dużo. Pieczony kurczak też wyglądał zachęcająco. W końcu zdecydowała się na porcję piersi indyka z fasolką szparagową. Jedzenie było naprawdę smaczne. Omal nie wybuchnęła śmiechem, kiedy Jack zamówił kotlet cielecy z pieczonym ziemniakiem. Jadł go widelcem i nożem. Ani śladu Toma Jonesa. Mogła śmiało powiedzieć Harlanowi, że jej nowy znajomy zaliczył test na piątkę.

Miała nadzieję, że ona też. Na deser wzięli domową szarlotkę z lodami.

- Podobają mi się kobiety, które mają apetyt - powiedział, kiedy zjedli.

Wyjaśnił, że dziewczyna, z którą ostatnio chodził, była anorektyczką, co doprowadzało go do szału. Nigdy nic nie jadła i najwyraźniej miała jeszcze inne poważne kłopoty psychiczne. Nie widział nic złego w tym, że Wiktoria lubi jeść.

Sztuka im się podobała i rozmawiali o niej, wracając metrem do domu. Była przygnębiająca, ale pięknie zagrana i dobrze napisana. Wiktoria spędziła bardzo miły wieczór i podziękowała mu za to, kiedy późnym, ciepłym wieczorem odprowadził ją pod dom. Nie zaprosiła go na górę, było na to za wcześnie. Ale tak, nie miała najmniejszych wątpliwości, że była to prawdziwa randka. Jack też robił wrażenie zadowolonego i powiedział, że chciałby się spotkać znowu. Jeszcze raz mu podziękowała, a on objął ją na pożegnanie i przytulił - już dawno nie wchodziła do domu tak sprężystym krokiem. Przez chwilę żałowała, że nie zaprosiła go na drinka, ale uznała, że tak jest lepiej. I ku jej zdziwieniu zadzwonił już nazajutrz.

Powiedział, że chce zobaczyć pewną wystawę w śródmieściu i spytał, czy nie zechciałaby mu towarzyszyć. Odrzekła, że chętnie, więc spotkali się i zjedli razem kolację. W poniedziałek rano, gdy wchodziła do szkoły, miała za sobą aż dwie randki i nie mogła się już doczekać, żeby powiedzieć o tym doktor Watson. Było to dla niej prawdziwe zwycięstwo, wielki komplement, no i wydawało się, że świetnie się wzajemnie uzupełniają. W porze lunchu wpadli na siebie w pokoju nauczycielskim, ale Jack był dyskretny i ani słowem nie wspomniał o ich weekendowych spotkaniach, z czego bardzo się cieszyła. Nie chciała, żeby zaczęła

trąbić o tym cała szkoła, zwłaszcza że chodziło przecież o prawdziwe randki. Był swobodny i przyjacielski, nic więcej, a wieczorem znowu zadzwonił i znowu zaprosił ją na kolację, tym razem w piątek, na kolację i do kina. Była bardzo podekscytowana i oczywiście powiedziała o tym swoim współlokatorom.

- Wygląda na to, że coś się kroi. - Harlan uśmiechnął się od ucha do ucha. - No i zaliczył test z kotлетem! Kurczę, interes się rozkręca.

Wiktoria roześmiała się jak nastolatka i żeby uczcić zwycięstwo, omal nie sięgnęła po drugą kromkę chleba czosnkowego. John, partner Harlana, był świetnym kucharzem, ale się powstrzymała. Naprawdę chciała schudnąć, a teraz miała ku temu dobry powód: kolejną randkę!

Piątkowe kino było bardzo udane. A w sobotę spotkali się znowu! Poszli na spacer do parku i trzymali się za ręce. Kupił dla niej loda od sprzedawcy z wózkiem, ale połowę wyrzuciła, choć niechętnie. W tym tygodniu schudła prawie kilogram, bo wieczorami robiła przysiady przed telewizorem. Nawet doktor Watson była podekscytowana jej romanssem, chociaż do niczego między nimi jeszcze nie doszło. Jack nie nalegał, a ona wolała się nie spieszyć. Chciała mieć pewność, co do niego czuje, świadomość, że łączy ich coś prawdziwego. Nie chodziło jej tylko o seks. Pragnęła trwałego związku i po czterech randkach wydawało się, że Jack jest idealnym kandydatem. Przyszedł do nich w niedzielę po południu, poznał Bunny i Harlana i był dla nich niezwykle miły. Bardzo im się podobał.

Październik był dla niej najbardziej podniecającym i pełnym nadziei miesiącem od wielu, wielu lat. Regularnie się spotykali, a w trzeci weekend ją pocałował. Porozmawiali o tym i zgodzili się, żeby przed kolejnym etapem trochę poczekać. Dla obojga był to ważny krok, dlatego podchodzili do tego ostrożnie i dojrzałe. Dzięki temu Wiktoria

czuła się przy nim bezpiecznie i swobodnie, i nigdy nie miała wrażeń, że jest pod presją. Jack okazywał jej dużo szacunku i za każdym spotkaniem posuwali się odrobinę dalej, cudownie się przy tym bawiąc. Doktor Watson w pełni to aprobowała.

Wiktoria opowiedziała mu o swoich rodzicach, ale tylko trochę. Nie wspomniała o cieście na próbę ani o tym, że nadali jej imię starej angielskiej królowej, ale tak, powiedziała mu, że nigdy jej nie chwalili i nie popierali tego, że została nauczycielką.

- Skąd ja to znam - odparł Jack. - Moja matka chciała, żebym został lekarzem, tak jak jej ojciec. A ojciec dalej chce, żebym został prawnikiem, tak jak on. Lubię uczyć, a oni ciągle ostrzegają mnie, że jako nauczyciel nie zarobię na przyzwoite życie, nie utrzymam żony i dzieci. Ale inni uczą i mają się całkiem dobrze, ja też. Kiedy poszedłem na MIT, ojciec zaczął wiercić mi dziurę w brzuchu, że powinienem zostać chociaż inżynierem...

- Mój o utrzymaniu żony i dzieci nie wspomina, ale poza tym mówi to samo. A dla mnie to ważna praca. Mamy bardzo duży wpływ na dzieci.

- Wiem. Są tacy, którym płacą pięć milionów za wybicie piłki za boisko. Ale wychowywanie i uczenie dzieci nie jest dla nich warte złamanego centa. To chore.

Obydwoje się co do tego zgodzili. Zgadźli się zresztą niemal co do wszystkiego. Na początku listopada zaczęło między nimi iskrzyć na poważnie. Spotykali się już od ponad miesiąca, raz albo dwa razy w tygodniu, zwykle w weekendy, i Wiktoria czuła, że niedługo się ze sobą prześpią. Wszystko do tego zmierzało. Dobrze się z nim czuła i z każdym dniem coraz bardziej się w nim zakochiwała. Był wspaniałym mężczyzną, prostolinijnym, uczciwym, inteligentnym, ciepłym i zabawnym. Miał wszystkie te cechy, o jakich zawsze marzyła i - jak powiedziała Grace

był również „milutki”. Opowiadała jej o Jacku i siostra była zachwycona, ale rodzicom nie wspomniała ani słowa i prosiła Grace, żeby też zachowała to w tajemnicy. Nie miała ochoty wysłuchiwać ich krytycznych uwag ani złowieszczych przepowiedni. To, że ktoś mógłby się w niej zakochać, wciąż było dla nich niepojęte i niewyobrażalne. Tymczasem Jack uważał, że jest piękna i w ich ciepłym związku Wiktoria rozkwitała jak kwiat na wiosnę. Była odprężona, pewniejsza siebie i szczęśliwa. Doktor Watson miała pewne obawy: wolałaby, żeby źródłem jej nowej wiary w siebie była ona sama, a nie jej mężczyzna. Ale obecność Jacka wyraźnie pomagała, no i jedząc mniejsze porcje i starannie dobierając potrawy, Wiktoria zrzuciła cztery i pół kilo. Przestrzegała zaleceń dietetyczki, żeby nie opuszczać posiłków i jeść zdrowe jedzenie. Tym razem nie było żadnych drakońskich diet, żadnych herbatek ziołowych czy środków na przeczyszczenie. Była po prostu szczęśliwa i cała reszta była tego konsekwencją. Rozmawiali o planach na Święto Dziękczynienia i zamierzali wrócić na weekend do Nowego Jorku, żeby chociaż trochę pobyć razem.

Myślała o tym pewnego wieczoru, gdy wchodząc do kuchni, zobaczyła Johna i Harlana pograżonych w poważnej rozmowie. Byli spięci i ponurzy, więc szybko znalazła pretekst, żeby stamtąd wyjść. Nie chciała im przeszkadzać. Wyglądało na to, że mają jakiś problem. Zrobiła sobie herbatę i była już w progach, kiedy Harlan ją zatrzymał.

- Masz chwilę?

Widziała, że John jest zdenerwowany. Pomyślała, że się pokłócili i miała nadzieję, że to nic poważnego. Byli razem prawie od roku i jak dotąd wszystko układało się dobrze. Nie chciałyby, żeby ze sobą zerwali, wiedziała, że Harlan byłby zrozpaczony.

- Jasne. - Nie miała pojęcia, jak mogłaby im pomóc, ale chciała przynajmniej spróbować. Harlan wskazał jej krzes-

ło, a John ciężko westchnął. - Chyba macie jakiś problem - powiedziała ze współczuciem. Była z nimi całym sercem.

- Tak jakby - przyznał John. - Coś w rodzaju dylematu moralnego.

- Dotyczącego was? - Bardzo ją to zaskoczyło. Nie wyobrażała sobie, żeby któryś z nich mógł zdradzić. Na pewno nie Harlan, John chyba też nie. Tacy już po prostu byli, moralni, etyczni i prawi. Poza tym bardzo się kochali.

- Nie, chodzi o kogoś innego - odparł Harlan. - Nie znoszę wtrącać się w nie swoje sprawy. Zawsze zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym dowiedział się czegoś, co zraniłoby uczucia kogoś, kogo kocham. To okropne, nie chciałbym... nie chciałem znaleźć się w takiej sytuacji.

- Ale się znalazłeś? - spytała niewinnie Wiktoria. Kiwnęli głową. Obydwaj, jednocześnie. John znowu westchnął i przejął pałeczkę. Wiedział, że Harlanowi będzie za ciężko, poza tym to on przyniósł tę wiadomość. Rozmawiali o tym od wielu tygodni i mieli nadzieję, że wszystko samo się wyjaśni. Ale się nie wyjaśniło. Co więcej, wyraźnie się pogorszyło. Ani on, ani John nie chcieli widzieć, jak Wiktoria doznaje zawodu, w dodatku tak strasznego. Za bardzo kochali ją jako przyjaciółkę, niemal jak siostrę.

- Nie znam wszystkich szczegółów. Ale chodzi o Jacka. O twojego Jacka. Życie jest czasem cholernie pokręcone. Pewnego dnia rozmawiałem z nauczycielką z mojej szkoły. Nie lubię jej i nigdy nie lubiłem, bo to suka. Jest bardzo pewna siebie i ciągle podrywa jakichś facetów. Ostatnio dużo o jednym opowiadała. Ma z nim romans. Gość pracuje w innej szkole. Widuje się z nim w każdy weekend, ale spędzają razem tylko jeden wieczór, co ją maksymalnie wkurza. Jeden wieczór i jedno popołudnie, dlatego baba myśli, że facet ją zdradza, chociaż on twierdzi, że nie. Nie licząc tego, ona mówi, że to wspaniały gość, że za nią

szaleje. Zamierzają spędzić razem Święto Dziękczynienia. Powiedział jej, że pojedzie odwiedzić rodzinę dopiero w sobotę, w poświęcony weekend, i nie wiem czemu, ale właśnie wtedy coś mnie tknęło. Spytałem, jak się ten facet nazywa i gdzie uczy. Przedtem zupełnie mnie to nie obchodziło, miałem to gdzieś. A ona na to, że Jack Bailey i że uczy w Madison School.

John podniósł wzrok. Wiktoria wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć albo wybuchnąć płaczem.

- Ten twój Jack - ciągnął - próbuje chwycić za ogon dwie sroki naraz. Chciałem cię uprzedzić, zanim za daleko zabrniesz. Wygląda na to, że dzieli między was każdy weekend, a teraz i święta. Jeśli ci o tym nie powiedział i jeśli się tak nie umówiliście to wybaczyć, ale to czyste kurewstwo. Ta baba to suka, wierz mi. Jest wredna, nie wie, co to przyzwoitość. Nie mam pojęcia, co ten facet z nią robi, skoro ma ciebie.

Było im strasznie przykro, Wiktorii też. Rozpląkała się i Harlan podał jej chusteczkę. Czuli się podle, ale obydwaj uznali, że tak będzie lepiej, że powinna wiedzieć, z czym i z kim ma do czynienia.

- Co ja teraz zrobię? - wyszlochała.

- Musisz z nim porozmawiać - odparł John. - Koniecznie. Masz prawo wiedzieć, co knuje. Często się z tobą spotyka. I jak z tego widać, z nią też, co weekend. Ta zdzira twierdzi, że od dwóch miesięcy z sobą sypiają.

Nie chciał jej bardziej ranić i nie dodał, że facet jest podobno świetny w łóżku. Nie musiała tego wysłuchiwać, zwłaszcza że z nim nie spała, chociaż wiedzieli, że ku temu zmierzało. Myślała, że naturalną kolejną rzeczą dojdzie do tego w Święto Dziękczynienia, kiedy nikogo u niej nie będzie, bo po powrocie z Los Angeles chciała go do siebie zaprosić. Ale teraz już wiedziała, że zamierzał spędzić ten dzień z inną, że z premedytacją ją okłamywał. Miał

szczęście, że mieszkali w dużym mieście i że nie wpadli na siebie, kiedy był z nią albo z tamtą. Ale świat był mały, przypadkiem spotykał się z kobietą, która pracowała z jej przyjacielem. Prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, było bardzo małe, a jednak doszło. Zainterweniowała opatrność.

- Ale co mu powiedzieć? Myślisz, że to prawda? - Wciąż miała nadzieję, że nie, ale John był wobec niej szczery aż do bólu.

- Tak - odparł. - To zdzira, ale nie miała powodu kłamać ani zmyślać. Moim zdaniem to on kłamie. A to naprawdę świństwo, nawet jeśli ze sobą nie spaliście. Spotykasz się z nim prawie tak długo jak ona. Ten facet po prostu z wami pogrywa, z tobą i z nią.

Wiktorii zrobiło się niedobrze. Zastygła bez ruchu z przerażenia i rozpacz.

- I powie prawdę? - spytała żałośnie.

- Prawdopodobnie. Został przyłapany na gorącym uczynku. Ciekawe, jak się będzie tłumaczył. Trudno mu będzie to wiarygodnie wyjaśnić. Bo niby jakie znajdzie usprawiedliwienie?

- Nigdy go nie pytałam, czy się z kimś spotyka - wyznała Wiktoria. - Nie myślałam, że muszę. Założyłam, że nie.

- Czasem warto - odparł ze smutkiem Harlan. - Niektórzy przyznają się dopiero zapytani. Ale wy widywaliście się w każdy weekend, próbowaliście stworzyć związek, dlatego w tej sytuacji powinien był ci powiedzieć sam z siebie, bez pytania.

Wiktoria kiwnęła głową i podziękowała mu za wiadomość, chociaż wolałaby jej nie usłyszeć. John też czuł się fatalnie. Ale wszyscy troje wiedzieli, że tak jest lepiej. Musiała się dowiedzieć. Długo siedziała z nimi w kuchni, roztrzasała to, maglując i analizując. Była dezorientowana, zagubiona, urażona i zła.

Nazajutrz udało jej się uniknąć Jacka w szkole. Nie była jeszcze gotowa do rozmowy. Ale wieczorem do niej zadzwonił.

- Gdzie dzisiaj byłaś? - spytał jak zwykle czule i troskliwie. - Wszędzie cię szukałem.

Był czwartek i nazajutrz mieli iść na kolację. Z trudem zapanowała nad głosem. Nie chciała rozmawiać o tym przez telefon. Prawie nie spała i przez cały dzień źle się czuła. Nie mogła uwierzyć, że ktoś, na kim tak bardzo jej zależało, przed kim tak się otworzyła i komu tak zaufała, okazał się nieuczciwy. Ze złamał jej serce. Znowu wróciły wszystkie strachy, znowu wróciło przekonanie, że nikt jej nigdy prawdziwie nie pokocha, że nie jest tego warta. Wciąż miała cichą nadzieję, że Jack jakoś się wytłumaczy. Ale nie mogła wyobrazić sobie jak. Chciała go wysłuchać, chciała wiedzieć, co ma do powiedzenia, ale to, czego dowiedział się John, zupełnie go pograżyło.

Odparła, że była bardzo zajęta, że miała spotkanie z uczniami i rodzicami na temat rekrutacji na wyższe studia, i zaprosiła go do siebie na następny dzień, na drinka przed kolacją. Jak zwykle ciepły i miły powiedział, że z przyjemnością wpadnie. Nigdy nie nalegała, żeby spędzali razem cały weekend - nie chciała być nachalna - ale tym razem postanowiła zaryzykować i sprawdzić, jak zareaguje.

- Może spotkamy się i w sobotę wieczorem? - zaproponowała niewinnie. - Grają kilka świetnych filmów.

- Chętnie/ale po południu - odparł z żalem. - W sobotę i niedzielę wieczorem poprawiam prace egzaminacyjne. Mam duże zaległości...

No i proszę. Chciała się dowiedzieć, to się dowiedziała. Mógł spotykać się z nią w piątek wieczorem i w sobotę po południu, ale wieczór sobotni i niedzielny miał zajęty. Ze ściśniętym sercem i ogromną gulą w brzuchu zdała sobie

sprawę, że John mówił prawdę. Nie, żeby w to wątpiła, ale miała nadzieję, że się zwyczajnie mylił. Teraz wiedziała już na pewno, że tak nie jest.

Przez cały piątek była zdenerwowana i rozkojarzona. Widziała go przelotnie w pokoju nauczycielskim w porze lunchu. Powiedziała, że ma spotkanie, że jest już spóźniona i omal stamtąd nie wybiegła.

Wieczorem przyszedł punktualnie. Był jak zwykle swobodny, odprężony i uroczy. Miał w sobie coś takiego, że zawsze robił wrażenie szczerego, uczciwego i prawego, kogoś, komu można całkowicie zaufać. I ona mu zaufała. Pozory mylą. Pigułka była gorzka, ale musiała ją przełknąć. Byli sami. Jej współlokatorzy wyszli. Harlan i John wiedzieli o spotkaniu i rozmowie. Uprzedziła ich. Żeby jej nie przeszkadzać, poszli do Johna, ale powiedzieli, że w razie czego są pod ręką, że wystarczy zadzwonić.

Trzęsącymi się rękami naląła mu wina. Nie miała pojęcia, od czego zacząć. Była w znoszonych spodniach i starym swetrze. Już nie czuła się przy nim piękna. Czuła się brzydka, niekochana i zdradzona. Czuła się strasznie. Nie chciało jej się nawet umyć głowy ani umalować. Myśl, że miałyby rywalizować z inną kobietą była jej zupełnie obca. Jej odwaga i wiara w siebie przysły jak mydlana bańka. Jack był żywym dowodem na to, że jej ojciec miał rację. Że nikt jej nigdy nie pokocha, bo nie jest tego warta. Inni owszem, ona nie.

- Coś się stało? - spytał.

Trzęsącą się ręką postawiła kieliszek na stole. Ścisnęło ją w brzuchu.

- Nie wiem - odparła cicho i podniosła wzrok. - Może ty mi powiesz. Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale... John, partner Harlana, pracuje w Aguilera School na Bronksie. Twoja przyjaciółka najwyraźniej też. Chyba wiesz, o kim mówię, prawda? Ta kobieta twierdzi, że od dwóch miesię-

cy ma z tobą romans, że widujecie się w każdy weekend. Wyszłam na idiotkę, a ty na kłamcę. Dlatego chciałabym wiedzieć, o co tu chodzi, Jack. Co jest grane?

Spojrzała mu prosto w oczy. Patrzył na nią przez chwilę, potem odstawił kieliszek, podszedł do okna, odwrócił się do niej i zobaczyła, że jest wściekły. Dał się złapać.

- Nie masz prawa wtykać nosa w moje sprawy. Zaczął bardzo agresywnie, ale nic mu to nie dało. Wiktoria tego nie kupiła.

- Nie wtykałam. To zupełny przypadek i chyba miałam szczęście, że John mi o tym powiedział. Ta kobieta chwaliła się tobą. Świat jest mały, Jack, Nowy Jork też. Długo zamierzałeś grać na dwa fronty? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Bo nie pytałaś - warknął gniewnie. - Nie kłamałem, nie okłamywałem cię. Nigdy nie mówiłem, że jesteś ty i tylko ty. Jeśli chciałaś wiedzieć, trzeba było spytać.

- Nie sądzisz, że powinieneś był powiedzieć mi bez pytania? Spotykamy się w każdy weekend prawie od dwóch miesięcy. Z tego, co wiem, równie długo spotykasz się z nią. Jej też nie powiedziałeś?

- Nie, nie powiedziałem. Zresztą to nie twoja sprawa. Nie spałem z tobą> Wiktorio. Nie jestem ci nic winien. Spędzaliśmy miło czas, to wszystko.

- A więc tak to według ciebie działa? Wybacz, ale ja gram według innych zasad. Gdybym się z kimś spotykała, powiedziałabym ci bez względu na to, czy sypiałabym z nim, czy nie. Uważałabym, że jestem ci to winna, żeby nie zamącić ci w głowie ani cię nie zranić. Miałam prawo wiedzieć. Zasluguję na to jako człowiek i ktoś, na kim ci podobno bardzo zależało. Nie chodziło tylko o kolacje i spacer. Przymierzaliśmy się do stałego związku. Domyślam się, że jej robisz to samo. A może jeszcze komuś innemu? Masz w tygodniu wolne okienka? Wygląda na to, że

jesteś bardzo zajęty i nieuczciwy. To było wstrętne, Jack, i dobrze o tym wiesz. - Miała łzy w oczach.

- Jasne, jasne.

Pierwszy raz był dla niej niegrzeczny i zimny. Nie lubił, kiedy wzywano go na dywanik i kazano mu się tłumaczyć. Chciał robić to, na co miał ochotę i dopóki sam na tym nie ucierpiał, inni go nie obchodzili. Był inny, niż myślała, i to zupełnie. Test z kotлетem zaliczył śpiewająco, ale miał poważne problemy z etyką i uczciwością. Po prostu nie wiedział, co to takiego. A to, że nigdy nie pytała go o sprawy osobiste, ani trochę go nie usprawiedliwiała.

Spojrzał na nią z góry gniewnym wzrokiem.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. To były zwykłe randki, nic więcej, i jeśli sytuacja cię przerosła, to się po prostu wycofaj. Albo pozwól, że ja się wycofam. Dzięki za wino. - Wyszedł i trzasnął drzwiami.

No i tak. Dwa miesiące z kimś, kto się jej podobał i komu wierzyła, a on przez cały ten czas bez skrępowań okłamywał ją i oszukiwał. Miał ją gdzieś, po prostu i zwyczajnie. Sprawa była jasna jak słońce.

Cała się trzęsła, ale stawiała mu czoło i była z siebie dumna. Chociaż rozmowa dużo ją kosztowała, chociaż powtarzała sobie, że lepiej się stało, iż dowiedziała się o tym już teraz, to w swoim pokoju, leżąc w łóżku i szlochając w poduszkę, czuła się tak, jakby ktoś umarł. Potępiała go, miała do niego pretensję, ale jeszcze bardziej nienawidziła samej siebie. Pamiętała wyraz jego oczu, kiedy wychodził, jego spojrzenie, które mówiło, że gdyby była tego warta, to by ją pokochał. Może. Ale nie pokochał.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Do Los Angeles poleciała przygnębiona i rozbita. Dobrze było zobaczyć Grace i posiedzieć przy świątecznym stole z rodziną, ale wciąż czuła się strasznie. Siostra zauważyła to i było jej smutno. Widziała, że coś jest nie tak choćby po tym, że Wiktoria dużo jadła. Rodzice znowu to skomentowali, więc już w sobotę wsiadła do samolotu i wróciła do Nowego Jorku. Nie mogła dłużej tego znieść.

W poniedziałek rano, zaraz po Święcie Dziękczynienia, zadzwoniła do doktor Watson i umówiła się na spotkanie. Rozmawiała o Jacku już od kilku tygodni. I bez względu na to, jak na to patrzyła, wciąż czuła się winna, uważając, że gdyby naprawdę można ją było pokochać i gdyby była tego warta, Jack zachowałby się inaczej.

- Tu nie chodzi o panią - tłumaczyła jej bez końca terapeutka. - Tu chodzi o niego. O jego nieuczciwość i nieetyczność. To nie pani zawiodła, tylko on.

Wiktoria rozumiała to, ale nie potrafiła spojrzeć na to racjonalnie. Dla niej wszystko sprowadzało się do jednego, do tego, czy jest warta czyjejs miłości, czy nie. Przecież nie kochali jej nawet rodzice. Bo zasada ta odnosiła się i do nich. To, że nie pokochali jej takiej, jaką była, dużo

o nich mówiło, mimo to czuła się potwornie. Dlatego kiedy pojechała do Los Angeles na Boże Narodzenie, próbowała wypełnić tę emocjonalną pustkę litrami lodów. Wciąż była przygnębiona i zdawało się, że nigdy się z tym nie upora.

Rodzice nie wiedzieli o jej związku z Jackiem. Nie powiedziała im, bo gdyby powiedziała, na pewno znaleźliby jakiś sposób, żeby ją za to obwinie. Nie pokochał jej dlatego, że jest gruba, przecież to oczywiste, tak jak oczywiste jest to, że ta druga jest na pewno szczupła. Wiktoria podświadomie w to wierzyła, przynajmniej częściowo; nie miała odwagi spytać Johna, jak wygląda ta, z którą Jack ją zdradził. Wierzyła we wszystko, co mówili rodzice, co przekazywali jej otwarcie i podprogowo. Mężczyznom podobają się tylko kobiety, które wyglądają jak Grace. Żaden mężczyzna nie zechce kobiety inteligentnej. Ona nie wyglądała jak Grace i była inteligentna. Więc kto by ją zechciał? Wracała do Nowego Jorku mocno przygnębiona. Był sylwester i kiedy usłyszała, że właśnie minęła północ i rozpoczął się nowy rok, naciągnęła koc na głowę i się rozplakała.

Unikała Jacka jak tylko mogła, zwłaszcza między Świętem Dziękczynienia i Bożym Narodzeniem, bo jego widok był prawdziwą torturą. Przestała jadać lunch w pokoju nauczycielskim. Zostawała w klasie albo szła na spacer nad East River. Dopiero teraz - i na własnej skórze - przekonała się, dlaczego romansowanie z kimś z pracy nie jest zbyt mądre. Układanie sobie życia na nowo było jednym wielkim koszmarem. Nauczyciele i uczniowie szeptali po kątach, plotkowali, że spotykała się z Jackiem i że ją rzucił. Doznała niewyobrażalnego wprost poniżenia. Schodziła wszystkim z drogi, robiła, co mogła, żeby zniknąć, chociaż to on powinien był się wstydzić. Tuż przed Bożym Narodzeniem dowiedziała się, że chodzi z nauczycielką fran-

cuskiego, która uganiała się za nim, odkąd tylko zaczął u nich pracować. Bardzo jej współczuła, przypuszczając, że Jack wciąż spotyka się z tą ze szkoły Johna i że oszukuje jedną i drugą. A może ta Francuzka była mądrzejsza i nie bała się zadać kilku prostych pytań, jak choćby: „Czy jest między nami ktoś trzeci?”. Jack mógł oczywiście skłamać, ale to nie była już jej sprawa. Musiała wymazać go ze swego życia. Był jak marzenie, które pewnie by się spełniło, gdyby tuż przedtem nie rozwiało się jak dym. Najgorsze było to, że straciła nadzieję. Helen i Carla próbowały ją pocieszyć. Chociaż starały się robić to delikatnie, ich też unikała. Nie chciała o tym rozmawiać ani w szkole, ani poza szkołą. Nie rozmawiała o tym nawet z Johnem i Harlanem. Sprawa była zamknięta. Obydwaj widzieli, jak strasznie ją to dotknęło.

W długi weekend w styczniu pojechała z Grace na wycieczkę po college'ach na wschodzie kraju. Bardzo cieszyła się z tego wyjazdu i odwiedziły aż trzy szkoły, chociaż siostra, typowa Kalifornijka, postanowiła zostać na zachodnim wybrzeżu. Ale miło spędziły czas. Cudownie było znowu być razem. Tym bardziej, że Grace nic nie powiedziała, kiedy poszły razem na kolację i Wiktoria zamówiła olbrzymi stek z pieczonym ziemniakiem polanym kwaśną śmietaną oraz deser lodowy z gorącym karmelem. Wiedziała, jak bardzo przeżywa rozstanie z Jackiem. A ona aż za dobitnie się przekonała, że od Święta Dziękczynienia z coraz większym trudem wchodzi w swoje największe i najobszerniejsze spodnie. Wiedziała, że musi coś z tym zrobić, ale nie była jeszcze gotowa. Nie była gotowa zrezygnować z czegoś, co jej terapeutka nazywała „butelką pod łóżkiem”, czyli - w jej przypadku - z tuczających potraw. Rezultaty objadania się były na dłuższą metę fatalne dla niej samej, ponieważ przez cały czas miała wyrzuty su-

mienia, jak nałogowa alkoholiczka, mimo to nie mogła przestać, bo jedzenie przynosiło chwilową ulgę i pocieszenie.

Jedną z atrakcji pobytu Grace w Nowym Jorku było to, że przyszła do niej do szkoły. Była na jej lekcjach i świetnie się bawiła, rozmawiając z uczniami, którzy dzięki niej mogli lepiej poznać swoją nauczycielkę. Zrobiła duże wrażenie, była prawdziwym przebojem. Śliczna i rozmowna natychmiast skupiła na sobie uwagę wszystkich chłopców, którzy chcieli do niej pisać i pytali, czy jest na Facebooku, gdzie oczywiście była. Swój adres e-mail rozdawała jak cukierki, a oni skrzętnie go zapisywali. Wiktorii ulżyło, kiedy wreszcie wyszła, bo nie mogłaby przeprowadzić ani jednej lekcji. Siostra miała prawie osiemnaście lat i była jeszcze piękniejsza niż zwykle, i nagle Wiktoria poczuła się przy niej nie tylko gruba, ale i stara. Z przygnębieniem uświadomiła sobie, że za kilka miesięcy skończy dwadzieścia pięć lat. Przeżyła już ćwierć wieku. I co przez ten czas osiągnęła? Nic. Mogła myśleć tylko o tym, że wciąż jest sama, że w jej życiu nie ma żadnego mężczyzny, że musi ciągle walczyć z nadwagą. Miała pracę, siostrę, którą kochała, i nic więcej. Nie miała chłopaka, nigdy z nikim na poważnie nie chodziła, a jej życie towarzyskie ograniczało się do Harlana i Johna. To trochę za mało jak na dwadzieścia pięć lat.

Gdy podczas kolejnej wizyty opowiedziała terapeutce o wycieczce po college'ach i o tym, jak dobrze się bawiły, ta zapytała o coś, o czym nigdy dotąd nie rozmawiały.

- Chciałabym, żeby pani coś sobie przemyślała - powiedziała spokojnie. Wiktoria, która przychodziła do niej już od półtora roku, wierzyła jej i ceniła sobie jej opinie. - Czy to możliwe, że tyje pani po to, żeby nie rywalizować ze swoją piękną siostrą? Że celowo się pani wycofuje, ukrywając się za swoim ciałem? Może boi się pani, że nie mog-

łaby pani albo nie chciała z nią rywalizować, nawet gdyby pani schudła?

Wiktoria odrzuciła tę myśl natychmiast i bez zastanowienia.

- Nie muszę rywalizować z siedemnastoletnią dziewczyną ani chyba nie powinnam. Grace to jeszcze dziecko. Ja jestem dorosła.

- Macie rodziców, którzy nastawiają was przeciwko sobie, którzy od urodzenia wmawiają pani, że jest pani do niczego, podczas gdy ona spełniała wszystkie ich oczekiwania. To duże obciążenie dla was obydwu, a jeszcze większe dla pani. Dlatego postanowiła się pani wycofać.

Teza była ciekawa, ale Wiktoria nie chciała jej analizować.

- Byłam gruba, zanim się urodziła.

- Nie gruba, tylko duża: duża w porównaniu z nią. Niech pani tego nie miesza. Nadwaga to coś innego.

Terapeutka sugerowała, że jest to coś w rodzaju kamuflażu, stroju ochronnego, w którym nikt nie rozpozna w niej kobiety, w dodatku bardzo ładnej - ale nie tak ładnej jak Grace. Dlatego Wiktoria zrezygnowała z rywalizacji, ukrywając się w ciele niewidzialnym dla większości młodych mężczyzn z wyjątkiem tego, który miał ją kiedyś dostrzec. Doktor Watson miała nadzieję, że stanie się to jednak wcześniej, że Wiktoria schudnie dlatego, że jako osoba otyła jest po prostu niešťczęśliwa.

- Twierdzi pani, że nie kocham własnej siostry? - spytała gniewnie.

- Nie - odparła spokojnie terapeutka. - Twierdę, że nie kocha pani siebie.

Wiktoria zamilkła i po jej policzkach spłynęły łzy. Już od dawna wiedziała, po co stoi tam pudełko chusteczek i dlaczego pacjenci tak często po nie sięgają.

Uczyła w Madison School prawie od dwóch lat i na wiosnę zaproponowano jej stałą pracę. Z ulgą przyjęła wiadomość, że dyrekcja nie przedłuży umowy z Jackiem Baileyem. Podobno powiedziano mu, że „nie bardzo do nich pasuje”. Jego gorący romans z nauczycielką francuskiego miał brzydki finał: widziano, jak kłócili się na korytarzu i jak krewka paryżanka uderzyła go w twarz. Niedługo potem Bailey nawiązał intymną znajomość z matką jednej z uczennic, co było u nich nie do pomyślenia. Dlatego ulżyło jej, gdy dowiedziała się, że Jack odchodzi. Każde przypadkowe spotkanie napawało ją bólem, każde przypominało, że jest za brzydka, by mógł ją pokochać i że on jest wrednym, nieuczciwym palantem.

Cieszyła się, że ma stałą posadę i nie musi martwić się o przyszłość. Madison School była teraz jej domem i mogła w nim zamieszkać z pełnym poczuciem bezpieczeństwa. Helen i Carla również bardzo się ucieszyły, a ona zaprosiła je na lunch. A wieczorem oblała tę nowinę z Harlanem i Johnem. Bill mieszkał już z Julie, więc John urządził w jego pokoju swój gabinet, a sam zamieszkał z Harlanem. Był świetnym nabytkiem i Bunny też go polubiła. Bunny spędzała coraz więcej czasu w Bostonie i Wiktoria czuła, że niedługo się wyprowadzi, może nawet wyjdzie za mąż. Współlokatorzy się zmieniali, ale ona, Harlan i John nie zamierzali nigdzie wyjeżdżać. Nie powiedziała rodzicom, że zaproponowano jej stałą pracę - nie zawracała sobie tym głowy - powiedziała za to siostrze, która już za dwa miesiące kończyła ogólniak i była zachwycona, że przyjęto ją na Uniwersytet Kalifornijski. Zamierzała mieszkać w akademiku. Rodzice mieli wreszcie zostać sami, w pustym gnieździe. Nie byli zadowoleni, ale Grace się uparła i oczywiście postawiła na swoim. Dla niej zrobiliby wszystko. Wiktoria uświadomiła sobie, że bardziej martwiło ich to, że siostra chce przeprowadzić się do akademika, niż to, że

ona przeprowadziła się do Nowego Jorku, prawie pięć tysięcy kilometrów dalej. Bez względu na wszystko, Grace zawsze była ich ukochanym dzieckiem, oczkiem w głowie ojca, podczas gdy ona na zawsze miała pozostać nieudanym ciastem, którego wprawdzie nie wyrzucili, ale równie dobrze mogli wyrzucić. To, że nie darzyli jej uczuciem, że nigdy jej nie aprobowali, wyrządziło tyle samo szkód. Dla niej była to szara rzeczywistość.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wręczenie świadectw ukończenia szkoły uczczono wielką galą. Dla niej rodzice praktycznie niczego nie zorganizowali, nawet kiedy zrobiła dyplom, ale Grace pozwolili zaprosić ponad setkę kolegów i koleżanek. Ojciec stał przy grillu, piekąc kurczaki, steki, hamburgery i hot dogi, a po ogrodzie uwijali się wynajęci kelnerzy w dżinsach i podkoszulkach. Dzieciaki miały bal. Wiktoria wyjechała stamtąd już nazajutrz. Grace wyglądała uroczo w todze i czapce. A ojciec naprawdę płakał, kiedy odbierała świadectwo; Wiktoria nie pamiętała, żeby dla niej uronił choć jedną łzę, bo pewnie nie uronił. Mama zupełnie się rozkleiła. Wszystko razem było niezwykle emoq'onujące i wzruszające. A potem one objęły się i rozpłakały.

- Nie wyrobie! - śmiała się przez łzy Wiktoria. - Moja mała siostrzyczka dorosła! Ty na studia? Jak śmiesz! Nienawidzę cię!

Żałowała, że Grace nie miała lepszych stopni i nie próbowała dostać się na którąś z uczelni w Nowym Jorku. Bardzo by chciała, żeby zamiast w Los Angeles, mieszkała gdzieś bliżej. Ale chciałyby również, żeby jej mała siostrzyczka uciekła przed duszącym wpływem rodziców. Bo ci unosili się nad nią, krążyli jak sępy, zwłaszcza ojciec,

który miał na córkę potężny wpływ i próbował ukształtować ją dosłownie pod każdym względem. Wiktoria nigdy tego nie tolerowała, ale Grace tak, Grace ich naśladowała, popierała ich sposób postępowania i filozofię życia. Prawie we wszystkim się z nimi zgadzała, a nawet ich podziwiała. Ale ona miała zupełnie innych rodziców. Ją rodzice uwielbiali, podziwiali i adorowali, popierali każdy jej krok i decyzję. To mogło uderzyć do głowy. Siostra nie miała po prostu powodu, żeby się przeciwko nim buntować czy od nich odchodzić. Robiła wszystko, co ojciec uważał za stosowne. Był jej idolem. Tymczasem Wiktorię rodzice ignorowali, wyśmiewali i nie poparli niczego, co kiedykolwiek zrobiła. Ona miała powody, żeby się od nich odsunąć. To doprawdy niezwykle, jak bardzo różniło się ich życie, chociaż miały tych samych rodziców i wychowywały się w tych samych warunkach. Różniło się tak, jak dzień różni się od nocy, jak dobro od zła. Wiktoria musiała czasem powtarzać sobie, że życie siostry było o wiele łatwiejsze, że rodzice są dla niej znacznie miłsi, musiała sobie tłumaczyć, dlaczego Grace nie chce od nich odejść. To, że zamiast w domu, postanowiła zamieszkać w akademiku, było dla niej niemal przełomową decyzją, wielkim krokiem, chociaż dla Wiktorii był to krok mały i niewystarczający. Bo Wiktoria wciąż uważała, że ich rodzice są toksyczni, że ojciec cierpi na narcyzm, dlatego chciałyby, żeby siostra miała więcej przestrzeni i swobody. Co z tego, skoro nie chciała tego sama Grace.

Z okazji ukończenia szkoły dała siostrze wspaniały prezent. Dobrze gospodarowała pieniędzmi i przez cały ten czas oszczędzała, ile mogła. Nigdy nie należała do osób rozrzutnych, tym bardziej w Nowym Jorku, gdzie była zdana tylko na siebie. Postanowiła zabrać siostrę na wycieczkę do Europy. Były tam kiedyś jako dzieci, ale od tamtej pory rodzice niechętnie ruszali się z domu. Dlatego

chciała zabrać ją w czerwcu do Paryża, Londynu i Wenecji, a jeśli zdążą, to i do Rzymu. Grace była tak podekscytowana, że nie mogła usiedzieć na miejscu, zresztą ona też. Zamierzały wyjechać na trzy tygodnie i spędzić w każdym z tych miast cztery, pięć dni. Ponieważ Wiktoria dostała kolejną podwyżkę, nie musiała już latem pracować. W sierpniu, po powrocie z Europy, chciała pojechać z Harlanem i Johnem do Maine.

Grace miała mnóstwo własnych planów. Wiktoria uświadomiła sobie, że teraz życie zmieni się dla nich wszystkich. Siostra dorosła, a ona mieszkała po drugiej stronie kontynentu. Rodzice staną się bardziej niezależni i będą mieli więcej czasu dla siebie. Oczywiście nie przestaną się spotykać - choćby w święta - ale poza tym każde z nich będzie żyło własnym życiem. Wszyscy oprócz Wiktorii, która własnego życia nie miała i wciąż próbowała je sklecić. Skończyła dwadzieścia pięć lat i czuła, że ma przed sobą długą drogę. Czasami zastanawiała się, czy kiedykolwiek dotrze do celu i w żartach zaczęła nazywać siebie starą panną. Wydawało się, że taki właśnie czeka ją los.

Natomiast za Grace zawsze uganiały się tabuny chłopców. Jednych lubiła, innych nie znosiła, a w paru zawsze się podkochiwała, nie mogąc zdecydować, którego woli. Dla niej znalezienie chłopaka nigdy nie stanowiło najmniejszego problemu. Tymczasem według rodziców, Wiktoria była żywym dowodem na to, że mieli rację. Ojciec twierdził, że nie ma chłopaka, bo jest za brzydka i za gruba. Mama, że za inteligentna. Tak czy inaczej, nie miała nikogo.

Poleciały do Paryża zaraz po zakończeniu roku szkolnego. Grace stawiała się w Nowym Jorku z dwiema walizami letnich ubrań i już następnego dnia rano pojechały na lotnisko. Wiktoria miała tylko jedną walizkę. Nadała je wszystkie na bagaż, podczas gdy siostra rozmawiała przez ko-

mórkę z przyjaciółmi. Czują się jak przewodnik wycieczki szkolnej albo jak matka, ale szczerze cieszyła się na tę podróż. Wsiadły do samolotu w znakomitym humorze, a Grace gorączkowo pisała SMS-y, dopóki stewardessa nie poprosiła ją o wyłączenie telefonu. Paszportów pilnowała oczywiście Wiktoria.

Podczas sześciogodzinnego lotu rozmawiały, jadły, spały, obejrzały dwa filmy i zanim się spostrzegły, wylądowały na lotnisku Charlesa de Gaulle'a. W Paryżu była dziesiąta wieczorem, ale według ich czasu, dopiero czwarta, a ponieważ się wyspały i były wypoczęte, jadąc taksówką do hotelu, ciekawie się rozglądały. Wiktoria poważnie nadszarpnęła swój budżet, ale ojciec przysłał jej czek na całkiem pokaźną kwotę, za co była mu wdzięczna.

Na jej wypowiedzianą łamaną francuszczyzną prośbę taksówkarz przewiózł je przez Plac Vendôme, pokazał Ritza, tętniący życiem i jakże piękny Plac Zgody, Pola Elizejskie i Łuk Triumfalny. Potem skręcili w szeroką aleję i w niebo wystrzeliła przed nimi wieża Eiffła skrząca się od świateł, które zapalały się co godzinę na dziesięć minut. Nadmiar wspaniałych widoków groził przeładowaniem sensorycznym, ale Grace nie przestawała się rozglądać. Pod Łukiem Triumfalnym powiewała olbrzymia francuska flaga.

- Boże - powiedziała, patrząc na siostrę. - Ja nie wracam.

Wiktoria uśmiechnęła się, wzięły się za ręce, taksówkarz obwiózł je wokół łuku i znowu skręcił w Pola Elizejskie. Pojechali w kierunku Sekwany i widziały Pałac Inwalidów z kaplicą grobową Napoleona, a potem przejechali na lewy brzeg, mostem Aleksandra III oczywiście. Zatrzymały się w malutkim hoteliku przy rue Jacob. Najtańsze hotele, posiłki w tanich bistrach, muzea i galerie - właśnie tak zamierzały podróżować. Nie miały za dużo pieniędzy, ale wiedziały, że będą pamiętały tę podróż do końca życia. Wiktoria dała siostrze naprawdę niezwykły prezent.

Tego wieczoru zjadły na kolację zupę cebulową w bistrze niedaleko hotelu. Potem przespacerowały się lewym brzegiem, wróciły, poszły na górę i rozmawiały aż do zaśnięcia. Kiedy po wylądowaniu Grace włączyła komórkę, natychmiast zaczęły przychodzić SMS-y od przyjaciół i przychodziły prawie do rana.

Śniadanie zjadły w hotelu - croissanty i café au lait -i poszły do muzeum Rodina przy rue de Varenne i na tętniący życiem bulwar Saint-Germain, gdzie wypity kawe w słynnej kawiarni Les Deux Magots, legendarnym miejscu spotkań paryskiej bohemy. Potem wybrały się do Luwru, gdzie przez całe popołudnie oglądały najwspanialsze skarby świata.

Grace koniecznie chciała obejrzeć muzeum Picassa, więc poszły tam nazajutrz. Kolację zjadły na Placu Wogezów w Marais, jednej z najstarszych dzielnic Paryża. A potem pojechały na wycieczkę statkiem po tonącej w światłach Sekwanie.

Zwiedziły Grand Palais, były w Lasku Bulońskim, zajrzały na chwilę do Ritza i przespacerowały się rue de la Paix. Czują się tak, jakby w ciągu pięciu dni poznały całe miasto. Widziały wszystko, co chciały zobaczyć, a potem poleciały do Londynu, który zwiedzały z takim samym zapałem i energią.

Pierwszego i drugiego dnia były w muzeum Wiktorii i Alberta i w galerii figur woskowych Madame Tussaud. Widziały klejnoty królewskie w Tower, zmianę warty przed Pałacem Buckingham, Stajnie Królewskie, opactwo West-minsterskie, przeszły się New Bond Street, zaglądając do luksusowych sklepów, o wiele dla nich za drogich. Wiktoria zrobiła sobie prezent już w Paryżu - w Printemps kupiła kosztowną torebkę - a Grace oszalała na widok podkoszulków i śmiesznych dzinsów w sklepach przy King's Road, ale obydwie dobrze się pilnowały, wydając pienią-

dze z namysłem i rozwagą. Kolacje jadały w tanich restauracjach, a za dnia wpadały do delikatesów na kanapkę. Udało im się zwiedzić i zobaczyć wszystko, co chciały. Codziennie dzwonili do nich rodzice, głównie do Grace, bo bardzo za nią tęsknili.

Na początku trzeciego tygodnia podróży poleciały do Wenecji i tam tempo zwiedzania radykalnie spadło. Wielki Kanał zapierał dech w piersiach - Wiktoria wynajęła gondolę, która zawiozła je do hotelu. Uszczęśliwiona Grace wyglądała w niej jak księżniczka. We Włoszech oglądał się za nią każdy mężczyzna, a kiedy zwiedzały miasto, niektórzy nawet za nią chodzili.

Były na placu św. Marka, gdzie kupiły gelato, tradycyjne włoskie lody, były w bazylice, godzinami spacerowały krętymi, wąskimi uliczkami, zwiedzały kościoły i kiedy w końcu zatrzymały się na posiłek, Wiktoria zamówiła olbrzymią porcję makaronu i wszystko zjadła. Grace skubała swój, powtarzając, że jest przepyszny; była za bardzo podekscytowana, żeby jeść, poza tym, dokuczał jej skwar. Potem obydwie zgodziły się co do tego, że w Wenecji było najfajniej. Więcej tam spacerowały, jadły i odpoczywały albo godzinami przesiadywały w ulicznych kafejkach, po prostu obserwując ludzi - życie toczyło się tam dużo wolniej niż gdzie indziej. Grace kupiła dla matki malutką kameę. Wiktorii nie przyszłoby to do głowy, ale musiała przyznać, że był to bardzo ładny gest. U Prądy kupiły krawat dla ojca i kilka śmiesznych upominków dla siebie. W sklepie niedaleko placu Św. Marka Wiktoria wypatrzyła przepiękną bransoletę, niestety, uznała, że nie może sobie na nią pozwolić, a Grace kupiła pozytywkę w kształcie gondoli, która grała śliczną włoską melodyjkę.

Noce i dnie w Wenecji były precudowne. Zwiedziły Pałac Dożów i wszystkie największe kościoły z przewodnika. Płynąc gondolą pod Mostem Westchnień, objęły się mocno i przytuliły, żeby zawsze być razem i chociaż czar ten działał podobno tylko na kochanków, Grace była przekonana, że podziiała i na nie.

Swój jedyny elegancko-wystawny wieczór spędziły w słynnym Harry's Bar, gdzie zjadły olbrzymią kolację. Jedzenie we Włoszech było fantastyczne, więc Wiktoria codziennie zamawiała risotto albo makaron z pysznym sosem i tiramisu na deser, tym razem nie po to, żeby się pocieszyć, ale dlatego, że włoska kuchnia była naprawdę wspaniała. Skutki jedzenia były jednak takie same, zwłaszcza w jej przypadku.

Niechętnie wyjeżdżały do Rzymu, który miał być ostatnim etapem ich podróży. Tam więcej chodziły i kupowały, ale zwiedzały również muzea i widziały mnóstwo pomników i ciekawych miejsc, takich jak Kaplica Sykstyńska, katakumby czy Koloseum. Wyprawa do Europy powoli dobiegała końca i obydwie były wykończone, ale bardzo szczęśliwe. Przeżyły niezapomniane chwile i Wiktoria wiedziała, że nigdy nie przestaną ich wspominać. Właśnie wrzuciły monetę do Fontanny di Trevi i szły do kafejki przy Via Veneto, kiedy zadzwonił ojciec. Nie mógł się już doczekać, kiedy wrócą do domu, Grace zresztą też. Zamierzały lecieć prosto do Nowego Jorku. Grace miała spędzić tam dwa dni, a potem wrócić sama do Los Angeles. Wiktoria obiecała, że w sierpniu przyjedzie pomóc jej urządzić się w akademiku, ale w tym roku nie zamierzała zostawać tam dłużej. Mieszkała teraz w Nowym Jorku, poza tym wiedziała, że to dla siostry ostatnie wakacje przed studiami i że na pewno zechce pobyć z przyjaciółmi, zanim każde z nich pójdzie swoją drogą. Cieszyła się, że nie musi odwiedzać rodziców i siedzieć z nimi przez dwa czy trzy tygodnie. Chciała odpocząć u siebie, w swoim nowojorskim mieszkanku.

W samolocie rozmawiały i wspominały to, co widziały i robiły. Wiktoria uświadomiła sobie, że ani razu się nie

pokłóciły, że w podróży nie było ani jednego zgrzytu czy przykrego spięcia. Cudownie się im zwiedzało i rozmawiało. I chociaż inaczej postrzegały rodziców, starała się nie poruszać tego tematu. Po prostu rozmawiały o innych rzeczach. Grace bardzo dziękowała jej za tę niezwykłą podróż. Gdzieś nad Atlantykiem dała jej małą paczuszkę owiniętą włoskim papierem ozdobnym i przewiazaną cienką zieloną wstążeczką. Była bardzo podekscytowana i z tajemniczą miną jeszcze raz podziękowała za cudowną wyprawę. Powiedziała, że był to najwspanialszy prezent w świecie.

Wiktoria ostrożnie odwinęła papier, czując, że w środku jest coś ciężkiego. Była to mięciutka torebka z czarnego aksamitu i kiedy ją otworzyła, zobaczyła złotą bransoletę, tę, która tak bardzo podobała jej się w Wenecji.

- Boże święty! - wykrzyknęła. - Grace, to czyste szaleństwo! - Hojność podarunku zapierała dech w piersiach.

Siostra zapięła bransoletę na jej rękę.

- Kupiłam ją za kieszonkowe i za pieniądze od taty - powiedziała z dumą.

Wiktoria nachyliła się i pocałowała ją.

- Nigdy jej nie zdejmę.

- W życiu się tak dobrze nie bawiłam i pewnie już nie będę. Szkoda, że to już koniec.

- Ja też żałuję - odrzekła Wiktoria. - Może powtórzymy to, kiedy skończysz studia. - Uśmiechnęła się rzewnie. Od tej chwili dzieliło je kilka lat, ale wiedziała, że czas popłynie teraz dużo szybciej. Zdawało się, że ledwie wczoraj ukończyła ogólniak, a tu proszę: miała już dwadzieścia pięć lat i przed trzema laty zrobiła dyplom. Z Grace będzie tak samo.

Długo rozmawiały, w końcu zasnęły. Obudziły się, kiedy samolot podchodził do lądowania w Nowym Jorku. Podróż dobiegła końca i ogarnął je smutek. Spędziły razem magiczne chwile i uśmiechnęły się do siebie z nostalgią, kiedy koła maszyny dotknęły ziemi. Obydwie dałyby wszystko, żeby przeżyć to jeszcze raz.

Aż godzinę trwał odbiór bagażu i przejście przez kontrolę celną, a kolejną dojazd na Manhattan. Kiedy taksówka zatrzymała się przed jej domem, zdawało się, że Rzym, Wenecja, Londyn i Paryż leżą na innej planecie.

- Chcę tam wrócić! - powiedziała żałośnie Grace, kiedy wchodziły do mieszkania.

Był weekend, wszyscy wyszli i miały je całe dla siebie.

- Ja też.

Na stole w kuchni leżał list powitalny od Harlana. Zrobił dla nich zakupy, żeby miały co zjeść na śniadanie. Wiktoria wstawiła walizki do pokoju. Dziwnie było wrócić do domu.

Tego wieczoru położyły się wcześniej, ale przedtem zadzwoniły do rodziców, aby powiedzieć im, że są już w Nowym Jorku. Grace zawsze o tym pamiętała, nie chciała, żeby się martwili. Nie przechodziła fazy buntu i Wiktoria czasem tego żałowała. Tak byłoby dla niej zdrowiej. Miała nadzieję, że na studiach siostra trochę się uniezależni, chociaż czuła, że rodzice zrobią wszystko, żeby jak najczęściej ich odwiedzała.

Nazajutrz zrobiła dla niej grzanki po francusku, a potem pojechały metrem do SoHo, żeby pospacerować trochę między straganami i turystami. Ulice były zapchane, zjadły lunch w ogródku małej kafejki. Było miło, ale nie tak jak w Europie i zapragnęły znowu znaleźć się w Wenecji. Tak, Wenecja była zdecydowanie najfajniejsza. Wiktoria co chwilę zerknęła z dumą na swoją nową złotą bransoletę.

W niedzielę poszły na koncert do Central Parku, a kiedy Grace się spakowała - Wiktoria już nie musiała - zjadły kolację i do późnej nocy siedziały w kuchni. Współlokatorzy wracali dopiero w poniedziałek, a za tydzień było

Święto Niepodległości. Grace wiedziała już, jak je spędzi i miała mnóstwo planów. Wiktoria nie miała żadnych. Harlan i John wyjeżdżali na Fire Island, a Bunny na Cape Code.

Nazajutrz rano odwiozła siostrę na lotnisko i obie płakały. Odbyły razem magiczną podróż, cudownie się bawiły, dlatego wracając do miasta, Wiktoria czuła się tak, jakby wydarto jej serce z piersi. Przed startem Grace napisała do niej SMS-a: „To były najcudowniejsze wakacje w moim życiu, a ty jesteś najcudowniejszą siostrą”. Wiktoria przeczytała to ze łzami w oczach. Gdy wróciła do domu, natychmiast zadzwoniła do doktor Watson. Ucieszyła się, kiedy okazało się, że terapeutka może przyjąć ją jeszcze tego południa.

Z radością opowiedziała jej o swojej podróży. O tym, jak dobrze było jej z siostrą, jak wspaniale się bawiły, pokazała jej bransoletę i śmiała się, wspominając, jak we Włoszech za Grace oglądali się wszyscy mężczyźni.

- A za panią? - spytała cicho doktor Watson. - Za panią nikt się nie oglądał?

- Niech pani nie żartuje. Mając wybór, ja czy ona?

- Pani też jest bardzo atrakcyjną kobietą. - Terapeutka wiedziała już, ile Wiktoria zrobiła dla młodszej siostry i miała nadzieję, że siostra wsparła ją emocjonalnie.

- Ale Grace jest prześliczna. Martwię się tylko, że jest tak bardzo przywiązana do rodziców. To niezdrowe. Są dla niej dużo miłsi niż dla mnie, ale tłamszą ją i traktują jak zabawkę. Ojciec nabija jej głowę swoimi pomysłami, a ona powinna przecież mieć swoje.

- Jest młoda - odparła filozoficznie doktor Watson. - Sama do tego dojdzie. A może i nie. Może jest podobna do nich bardziej, niż pani myśli. Może tak jest dla niej wygodniej.

- Oby nie.

Terapeutka też miała taką nadzieję, chociaż wiedziała, że nie zawsze tak jest. I że nie każdy jest tak odważny jak Wiktoria, która uwolniła się i wyjechała z domu.

- A pani? - spytała. - Dokąd pani zmierza? Jaki wyznaczyła pani sobie cel?

Wiktoria roześmiała się wesoło. Często się śmiała, kiedy tak naprawdę chciało jej się płakać. Tak było mniej przerażająco.

- Schudnąć i zacząć normalnie żyć - odrzekła. - Poznać kogoś, kogo pokocham i kto pokocha mnie. - Podczas podróży znowu przytyła i do końca lata chciała zrzucić, ile się da.

- Co pani robi, żeby tak się stało?

- Na razie nic. Dopiero co wróciłam. Poza tym, niełatwo jest kogoś poznać. Wszyscy są albo żonaci, albo w związku, albo wołają mężczyzn.

- Może powinna pani poszerzyć trochę swoje zainteresowania, spróbować czegoś nowego? Jak tam zmagania z nadwagą?

- We Włoszech jadłam za dużo makaronu, a Paryżu za dużo croissantów. Teraz muszę za to zapłacić. - Przed wyjazdem do Europy kupiła książkę o najnowszej, bardzo popularnej w Stanach diecie, ale jeszcze jej nie przeczytała. - To niekończąca się walka.

Coś uniemożliwiało jej schudnięcie, coś ją powstrzymywało i blokowało. Mimo to wiedziała, że po drugiej stronie tęczy czeka mężczyzna jej marzeń i snów.

- Jestem pewna, że prędzej czy później znajdzie pani kogoś, kto pokocha panią taką, jaka pani jest, i to bez żadnych drakońskich diet. Szczupła figura jest dobra dla zdrowia, ale nie musi od niej zależeć życie miłosne.

- Grubej nikt nie pokocha - mruknęła ponuro Wiktoria, bo to właśnie od lat wbijał jej do głowy ojciec.

- Nieprawda - odparła spokojnie doktor Watson. -

Ktoś, kto panią pokocha, będzie panią kochał grubą, chudą i w każdym dowolnym kształcie.

Wiktoria milczała i widać było, że jej nie wierzy. Wiedziała swoje. Do jej drzwi nie dobijały się tabuny mężczyzn. Nikt nie zatrzymywał jej na ulicy, nie prosił o numer telefonu ani nie zapraszał na randkę.

- Zawsze może pani wrócić do dietetyczki - dodała terapeutka. - Poprzednio skutkowało.

Często rozmawiały również o programie żywieniowym Weight Watchers, ale Wiktoria nigdy do niego nie przystąpiła, powtarzała, że jest za bardzo zajęta.

- Tak, zadzwonię do niej za kilka tygodni. - Chciała się do tego przygotować i przed rozpoczęciem szkoły zrzucić kilka kilo. Po powrocie znowu musiała nosić ubrania w większym rozmiarze.

Porozmawiały jeszcze o Europie i godzina minęła. Wychodząc, miała wrażenie, że znowu utknęła. Ze zmierzza donikąd. I po drodze znowu kupiła sobie lody, bo niby czemu nie? Poważną dietę chciała rozpocząć dopiero nazajutrz.

Harlan i John byli w domu, Bunny też. Ucieszyli się na jej widok i wieczorem, kiedy Bunny wróciła z siłowni, zjedli razem kolację. John zrobił wielką misę makaronu i sałatkę z homara - nie do odparcia było jedno i drugie. Harlan zauważył, że Wiktoria przytyła, ale nic nie powiedział. Po prostu cieszyli się, że znowu są razem, a Bunny pokazała im pierścionek zaręczynowy. Na wiosnę wychodziła za mąż, co wcale ich nie zaskoczyło. Wyściskali ją i ucałowali.

Grace przysłała SMS-a, że jest już w domu, a potem zadzwoniła. Rodzice zabrali ją na kolację, a nazajutrz wyjeżdżała z przyjaciółmi do Malibu. Czekają ją ciekawe lato.

Wiktoria poszła spać, wspominając Wenecję, przejażdż-

kę gondolą pod Mostem Westchnień. I śniło jej się risotto po mediolańsku, które jadły w barze U Harry'ego.

Pozostała część lata minęła jak z bicia strzelił. Święto Niepodległości i cały weekend, spędziła w pensjonacie w Hamptons z Helen i grupą niezamężnych nauczycielek z Madison School. W sierpniu pojechała do Maine z Harlanem i Johnem. W Nowym Jorku panowały koszmarnie upały i bywało, że całymi dniami po prostu leniuchowała. Było za gorąco na bieganie, więc czasem chodziła na siłownię. Oczywiście bez rezultatu. Ćwiczyła niejako symbolicznie, bo nie miała nastroju. Wciąż było jej smutno, że Grace wyjechała do Kalifornii. Tak dobrze się razem bawiły. Bardzo za nią tęskniła i czuła się bez niej samotna. Raz poszła na spotkanie Anonimowych Obżartuchów i już nigdy tam nie wróciła.

Zgodnie z obietnicą, poleciała na weekend do Los Angeles, żeby pomóc siostrze urządzić się w akademiku.. Był to dzień pełen chaosu, gorzko-słodkich wspomnień, łez na powitanie i pożegnanie. Pomagała Grace rozpakować rzeczy, podczas gdy ojciec podłączał stereo i komputer, a mama układała bieliznę w szufladzie.

Siostra mieszkała z dwiema współlokatorkami w malutkim pokoiku z trzema biurkami i komputerami, więc pochowanie wszystkiego do szafek, jednej szafy wnękowej i trzech komódek graniczyło z cudem. No i kręcili się tam wszyscy rodzice naraz. Skończyli pod wieczór, Grace wyszła z nimi przed akademik. Wyglądała tak, jakby miała zaraz wpaść w panikę, a ojciec jakby miał się za chwilę rozplakać. Wiktoria patrzyła na nich z ciężkim sercem. Grace naprawdę dorosła i ktoś musiał otworzyć wreszcie drzwiczki, żeby wyfrunęła z klatki. Rodzice nie chcieli tego zrobić, jej też było niełatwo.

Stali właśnie pod drzwiami i rozmawiali, kiedy tuż obok przeszedł wysoki, przystojny chłopak z rakieta tenisową w ręku. Zobaczył Grace, zatrzymał się jak rażony piorunem i znieruchomiał. Wiktorcia uśmiechnęła się, widząc jego minę. Nie on pierwszy reagował tak na jej siostrę.

- Jesteś z pierwszego roku? - spytał.

Grace kiwnęła głową. Miała taką samą minę jak on i Wiktorcia omal nie wybuchnęła śmiechem. Byłoby za proste i aż nieprawdopodobne, żeby Grace znalazła kogoś już pierwszego dnia. Czysty obłęd. Czy to naprawdę aż takie łatwe?

- A ty? - spytała z nadzieją Grace. - Z trzeciego? Czwartego?

- Zarządzanie i administracja - odrzekł z szerokim uśmiechem. Znaczyło to, że jest co najmniej cztery, może nawet pięć lub sześć lat starszy od niej. - Dzień dobry - dodał, popatrując na nich. - Harry Wilkes.

Słyszeli o gmachu imienia Wilkesa i zastanawiali się, czy darował go uniwersytetowi ktoś z jego rodziny. Chłopak uściśnął im wszystkim ręce, posłał Grace oszłamiający uśmiech i spytał, czy zagra z nim o szóstą w tenisa. Rozpromieniona Grace odrzekła, że tak. Harry obiecał po nią wpaść i pobiegł dalej.

- Hmm - wymruczała Wiktorcia. - Łatwo poszło. Ma ktoś ochotę na tenisa? Ty to masz szczęście.

- Wiem - odparła Grace z rozmarzonym wyrazem twarzy. - Milutki jest. - I półgłosem dodała: - Kiedyś wyjdę za niego za mąż.

- Może najpierw sprawdź, czy jest dobry w tenisa - odparła Wiktorcia.

W ogólniaku siostra miała wielu chłopców, którzy pojawiali się i znikali. To był dopiero początek jej studiów. Miała nadzieję, że Grace nie pójdzie w ślady matki i nie spędzi czterech lat na szukaniu męża, zamiast po prostu używać

życia. Była młodziutka, nie miała najmniejszego powodu, żeby myśleć o małżeństwie.

- Nie. Poważnie. Kiedyś wyjdę za niego za mąż. - Powiedziała to tak, że Wiktoria miała ochotę polać ją wodą albo mocno potrząsnąć, żeby się wreszcie obudziła.

- Hej, siostrzyczko. To są studia. Cztery lata zabawy, nauki i wystrzałowych chłopaków. Nie wychodzmy za mąż już pierwszego dnia.

- Cała Grace - wtrącił z dumą ojciec, zakładając, że Harry jest z „tych” Wilkesów. - Pierwszy dzień, a ona już znalazła najbogatszego chłopaka na kampusie. Przystojny młodzieniec. Nie mógł oderwać od niej oczu.

- Tak jak połowa Włochów. Może lepiej nie traćmy głowy. - Wiktoria próbowała zachować zdrowy rozsądek, ale nikt jej nie słuchał. Wilkes - dla ojca wystarczyło samo nazwisko. Grace była zauroczona jego urodą. A matka rozkleiła się na dźwięk słowa „małżeństwo”. Jeśli wezmą się za niego wszyscy troje, pomyślała, biedny Harry już przepadł. - Posłuchaj, siostrzyczko - dodała. - Przyjadę do was dopiero na Święto Dziękczynienia, ale postaraj się do tego czasu nie zaręczać. - Objęły się mocno i stały tak, żałując, że nie mogą zatrzymać tej chwili na zawsze. - Kocham cię - szepnęła Wiktoria w ciemne, kręcone włosy siostry.

Grace wyglądała w jej ramionach jak małe dziecko. Na rzesach miała łzy.

- Ja ciebie też - odrzekła. - Bardzo. Ale ja nie żartuję. Mam dziwne przeczucie...

- Och, zamknij się wreszcie! - Wiktoria odepchnęła ją ze śmiechem. - Idź na tenisa i niech ci się dobrze gra. A potem koniecznie zadzwoń.

Do Nowego Jorku wracała dopiero nazajutrz rano. Siostra opuściła dom i już nic jej tu nie trzymało. Na dobrą sprawę było tak od lat.

Przeszli przez olbrzymi parking i wsiedli do samocho-

du. Ona usiadła z tyłu i przez całą drogę do domu milczeli, każde pogrążone w myślach. Boże, jak ten czas płynął. Zdawało się, że jeszcze przed chwilą Grace była niemowlęciem, małym szkrabem tuptającym przez pokój na niepewnych nóżkach, że jeszcze przed chwilą Wiktorcia całowała ją na pożegnanie przed pierwszą lekcją w podstawówce. Nagle wyrosła, stała się nastolatką, a teraz to. Wiedzieli, że kolejne cztery lata miną równie szybko i było im smutno.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Obawa, że te cztery lata miną jak z bicza strzełił, potwierdziła się w całej rozciągłości. Minęły w mgnieniu oka i zanim się spostrzegli, Grace ukończyła studia i właśnie odbierała dyplom. Była w uniwersyteckiej tozde i na ich oczach wraz z kolegami i koleżankami z roku podrzuciła do góry czapkę. Zrobiła licencjat z angielskiego i komunikacji społecznej, i nie wiedziała jeszcze, co dalej. Chciała pracować w redakcji jakiegoś czasopisma czy gazety, ale na razie nie zamierzała szukać pracy. Chciała odpocząć i zacząć dopiero we wrześniu - z błogosławieństwem ojca oczywiście. W lipcu wyjeżdżała z przyjaciółmi do Europy, do Hiszpanii i Włoch, z przyjaciółmi i swoim chłopakiem naturalnie, z którym potem jechała na południe Francji, do jego rodziców. Jej przepowiednia, ta z pierwszego dnia studiów, omal się nie sprawdziła. Co prawda Grace nie wyszła za mąż, ale Harry Wilkes był jej chłopakiem przez całe cztery lata, z czego ich ojciec bardzo się cieszył. Harry rzeczywiście pochodził z rodziny, która ufundowała jeden z uniwersyteckich gmachów. Przed rokiem ukończył zarządzanie i administrację i ojciec zatrudnił go w swojej firmie inwestycyjnej. Ojciec Wiktorii i Grace natomiast ciągle powtarzał, że chłopak - czyli Harry - jest jak opoka, że to

świetna partia. Wraz z kilkunastoma przyjaciółmi Grace był z nimi na lunchu po rozdaniu dyplomów i Wiktoria widziała, jak szepczą coś konspiracyjnie na końcu stołu, jak Harry ją całuje i jak siostra się do niego uśmiecha.

Lubiła go, chociaż uważała, że jest zbyt dominujący i żałowała, że podczas studiów Grace nie prowadziła bardziej urozmaiconego życia, nie miała więcej przygód. Ciągle była z nim. Na trzecim roku przeprowadziła się do niego i od tamtej pory mieszkali w jego mieszkaniu. Wiktoria uważała, że siostra jest za młoda, żeby tak wcześnie się ustabilizować i ograniczyć do jednego chłopaka. Poza tym, Harry przypominał trochę ich ojca, co ją niepokoiło. Miał swoje zdanie na każdy temat, a Grace zawsze go popierała i we wszystkim się z nim zgadzała. Byłaby wielka szkoda, gdyby pewnego dnia stała się taka jak mama. Gdyby stała się cieniem swego męża, cieniem, który spłynął na ziemię tylko po to, żeby podnieść jego wartość i podbechtać ego. A co z nią?

Ale nie ulegało wątpliwości, że Grace jest z nim szczęśliwa. Wiktoria była wstrząśnięta, że rodzice nie zaprotestowali, kiedy siostra oświadczyła, że się do niego przeprowadza. Jej na pewno by nie pozwolili. Kiedy wspomniała o tym ojcu, powiedział, żeby nie była taka pruderyjna i staroświecka, ale zdecydowało oczywiście to, że rodzice Harry'ego mieli tyle pieniędzy. Gdyby byli biedni, ojciec na pewno nie okazałby się taki tolerancyjny. Często rozmawiała o tym z Helen, Harlanem i Johnem. Bardzo martwiła się o siostrę. Bała się, że rodzice zrobią jej pranie mózgu i pchną ją na złe tory.

Lunch zaczął się zaraz po rozdaniu dyplomów i trwał do czwartej po południu. W końcu wstali od stołu i Grace poszła zwrócić czapkę i toge. Dała siostrze dyplom na przechowanie, bo zaraz potem Harry odwoził ją do domu. Wieczorem szli na imprezę do znajomych. Harry jeździł

ferrari, które dostał od rodziców, kiedy ukończył studia. Wychodząc, pocałowali się i Wiktoria miała wrażenie, że od dnia, kiedy siostra wprowadziła się do akademika jako studentka pierwszego roku, kiedy zobaczyła Harry'ego z rakietą tenisową w ręku, minął jeden krótki dzień.

- Chyba się starzeję - mruknęła, wsiadając do samochodu ojca; niedługo kończyła dwadzieścia dziewięć lat. - Pięć minut temu miała pięć lat. Jak to się stało?

- Diabli wiedzą - odparł ojciec. - Z tobą było tak samo. - Udało mu się powiedzieć to z sentymentalną nutką w głosie, co ją zaskoczyło.

Przez te cztery lata spotykała się z kilkoma mężczyznami, z adwokatem, nauczycielem, maklerem giełdowym i dziennikarzem. Ale żaden z nich nic dla niej nie znaczył, z żadnym nie chodziła dłużej niż kilka tygodni czy miesięcy. Była teraz szefową zespołu anglistów w Madison School, ale wciąż mieszkała z Harlanem i Johnem. Bunny wyszła za mąż przed trzema laty i miała już troje dzieci. Przeprowadziła się z mężem do Waszyngtonu i na razie zajmowała się pociechami. Mąż był urzędnikiem w Departamencie Stanu, chociaż podejrzewali, że tak naprawdę jest agentem CIA. Harlan wciąż pracował w Instytucie Kostiu-mologicznym, a John wciąż uczył w tej samej szkole na Bronksie. Przed dwoma laty przestała chodzić na terapię do doktor Watson. Nie miała jej nic więcej do powiedzenia. Przeanalizowały wszystko wiele razy i zgodziły się, że dość, że to wystarczy. Nie było już żadnych tajemnic do odkrycia. Rodzice odtrącili ją, całą miłość przelali na jej młodszą siostrę, nie kochali jej nawet przed narodzinami Grace. Mówiąc krótko i dosadnie, spieprzyli jej życie, mimo to bardzo Grace kochała. Do rodziców nie czuła chyba nic. Nie miała do nich pretensji ani się na nich nie gniewała. Byli dwojgiem egocentrycznych, zapatrzonych w siebie ludzi, którzy w ogóle nie powinni mieć dzieci, a już na

pewno nie ją. Grace im odpowiadała. Ona nie. Ale na przekór wszystkim i wszystkiemu, doskonale dawała sobie radę. Terapia u doktor Watson bardzo jej pomogła. Wciąż miała tych samych rodziców, wciąż walczyła z nadwagą, ale radziła z tym sobie o wiele lepiej niż kiedyś.

Nie znalazła jeszcze wymarzonego mężczyzny i wiedziała, że może nigdy nie znajdzie, ale kochała swoją pracę, wciąż uczyła czwartoklasistów i wciąż to chudła, to tyła. Jej nawyki jedzeniowe zależały od pogody, od tego, co działo się w szkole, od aktualnego stanu jej życia miłosnego lub jego braku, no i oczywiście od nastroju. W tej chwili była cięższa, niżby chciała. Od roku nie była na randce, ale powtarzała sobie, że nie ma to nic wspólnego z jej wagą i że seks wcale nie zależy od tuszy. Harlan się z nią nie zgadzał, twierdząc, że kiedy jest samotna i nieszczęśliwa, natychmiast zaczyna tyć. Zrzucili się i kupili wreszcie bieżnik. Stał w salonie, ale ona w ogóle z niego nie korzystała. W przeciwieństwie do Harlana i Johna.

Po rozdaniu dyplomów - nazajutrz rano wracała do Nowego Jorku - wieczorem zjadła kolację z rodzicami. Poświęcała się tak co najmniej raz podczas każdego pobytu w Los Angeles. Ojciec zamierzał przejść na wcześniejszą emeryturę, mówił, że już za kilka lat. Matka wciąż była fanatyczną brydżystką. A ona z roku na rok miała im mniej do powiedzenia. Ojciec ciągle nabijał się z jej tuszy, co nie robiło już na niej żadnego wrażenia, ostatnio doszły jeszcze komentarze o braku męża, a nawet stałego partnera, nie wspominając już o dzieciach. Oczywiście wszystko dlatego, że była „gruba”. Przestała na to reagować. Nie kłóciła się z nim, nie próbowała się bronić ani tłumaczyć. Po prostu puszczała to mimo uszu. Słowa, słowa, słowa - zawsze były takie same. I wciąż uważał, że nauczanie to całkowita strata czasu.

Przy kolacji powiedział, że kiedy Grace wróci z Europy,

załatwi dla niej pracę copywritera w swojej agencji. I kiedy Wiktoria pomagała matce wkładać naczynia do zmywarki, nieoczekiwanie wpadła Grace. Odkąd zamieszkała z Harrym, bywała w domu dość rzadko, dlatego zdziwili się na jej widok i ucieszyli. Siostra miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Spojrzała na nich i Wiktoria poczuła dziwne motylki w brzuchu. Bała się, że zaraz coś się stanie i przeczucie jej nie zawiodło.

- Zaręczyłam się!

Na ułamek sekundy w kuchni zapadła głucha cisza, a potem ojciec radośnie zakrzyknął, chwycił Grace w objęcia i zakręcił nią wokoło tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem.

- Brawo! Świetnie! A gdzie Harry? Jemu też chcę pogratulować!

- Podrzucił mnie i pojechał powiedzieć rodzicom - odparła uszczęśliwiona Grace.

Wiktoria bez słowa wróciła do brudnych naczyń i zmywarki. Mama cmokała z zachwytu, wymachiwała rękami i bez końca obejmowała młodszą córkę. Nagle Grace wyciągnęła rękę i na jej palcu zobaczyli pierścionek z wielkim okrągłym brylantem. To nie był sen. To działo się naprawdę.

- Tak jak tatuś i ja - powiedziała podekscytowana mama. - Zaręczyliśmy się w dniu ukończenia studiów, wieczorem. A pobraliśmy się w Boże Narodzenie. - Ileż razy to słyszeli? - Kiedy ślub? - spytała, jakby chciała już zacząć przygotowania.

Ani przez chwilę nie kwestionowali jej decyzji ani tego, że jest za młoda - oczywiście ze względu na Harry'ego i jego bogatą rodzinę. Uważali, że to świetny pomysł, że ślub córki z Wilkesem to ogromne osiągnięcie. Chodziło tylko o nich samych, o ich ego, o Grace nie myśleli ani przez sekundę. Wiktoria w końcu odwróciła się i zaniepokojona spojrzała na siostrę.

- Nie sądzisz, że jesteś za młoda? - wypaliła prosto z mostu.

Grace miała dopiero dwadzieścia dwa lata, a Harry dwadzieścia siedem i też był według niej za młody.

- Chodzimy ze sobą od czterech lat - odparła Grace, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ale Wiktoria uważała, że nie wyjaśnia niczego. Uważała, że cztery lata z Harrym tylko pogorszyły sprawę. Siostra nie miała okazji samodzielnie dorosnąć, ukształtować własnego „ja”, poznać innych chłopców z college'u, a nawet się z nimi umawiać.

- Mam uczniów, którzy chodzą ze sobą od czterech lat - odparła. - I też są za młodzi, żeby żenić się czy wychodzić za męża. Martwię się o ciebie. Masz dopiero dwadzieścia dwa lata. Najpierw idź do pracy, zrób karierę, zdobądź trochę niezależności, pożyj trochę, zanim ostatecznie się zdecydujesz. Po co ten pośpiech?

Nagle wpadła w przerażenie. Czyżby Grace była w ciąży? Nie, chyba nie. Oświadczyła, że za niego wyjdzie już pierwszego dnia, kiedy tylko go zobaczyła. No i stało się. Spełniła swoje wielkie marzenie. Chciała tego i była zła, że zamiast skakać z radości, Wiktoria zadaje takie pytania.

- Nie możesz po prostu cieszyć się razem ze mną? - spytała jak rozkapryszone dziecko. - Czy zawsze musi być tak, jak ty chcesz? Jestem szczęśliwa. Kocham go. I chcę być jego żoną!

Wiktoria pomyślała, że to chyba za mało, ale może Grace miała jednak rację. Zresztą, kimże była, żeby ją pouczać?

- Przepraszam - powiedziała ze smutkiem. Nie kłóciły się od lat. Ostatnio o rodziców, kiedy Grace zażarcie ich broniła, a ona próbowała przekonać ją, że nie ma racji. W końcu się wycofała, bo siostra była za młoda, no i należała do ich klanu. Teraz czuła się tak samo. Znowu była tą inną, tą, która nie ukrywała niezadowolenia, która do nich nie pasowała. - Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa i miała jak najlepsze życie. Jesteś jeszcze taka młoda...

- Według mnie życie to ona będzie miała całkiem niezłe - wtrącił żartobliwie ojciec, wskazując pierścionek na palcu córki.

Wiktorii zrobiło się niedobrze. Nie, nie z zazdrości. Córka, żona bogacza, byłaby wspaniałym dopełnieniem narcyzmu ojca. Z brylantem na palcu Grace była cudownym trofeum, dowodem, że jako ojciec odniósł wielki sukces, wychowując córkę, która złapała na haczyk milionera. W Wiktorii budziło to obrzydzenie. Ale Grace tego nie widziała. Była zbyt pochłonięta swoim życiem, za bardzo obawiała się rzeczywistości, pracy i nowych ludzi, za bardzo bała się zrobić coś sama. I żeby tego uniknąć, wychodziła za męża za Harry'ego... który w tej właśnie chwili wszedł rozpromieniony do kuchni. Grace natychmiast padła mu w ramiona. Było widać, że jest szczęśliwa, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Ojciec poklepał chłopaka po plecach, mama przyniosła butelkę szampana, którą od razu otworzyli. Wiktoria patrzyła na nich z nostalgicznym uśmiechem. Oto kolejny kamień milowy. Ogólniak, studia, zaręczyny. Trudno było to ogarnąć. Zapominając o swoich obiekcjach, podeszła do Harry'ego i ze względu na siostrę objęła go i wyściskała. Grace wyraźnie ulżyło. Nie chciała, żeby ktoś wtrącał się w jej sprawy, próbował ją powstrzymać czy coś jej wyperswadować. To był jej sen, jej marzenie.

- Więc kiedyż będzie ten wielki dzień? Ustaliliście datę? - spytał ojciec, kiedy wzniesli już toast za młodą parę.

Harry i Grace znowu się rozpromienili. Odpowiedział oczywiście on, Harry. Wiktoria tego nie znosiła. Przecież siostra też miała język i w każdej chwili mogła go użyć. Miała nadzieję, że ślub będzie nieprędko.

- W czerwcu. Trzeba załatwić mnóstwo rzeczy. Organi-

zają zajmie się Grace, będzie miała dużo pracy... - Spojrzał na swoją przyszłą teściową i szwagierkę, jakby oczekiwał, że natychmiast wszystko rzuca i wezmą się do roboty, żeby jej pomóc. - Chcemy zaprosić czterystu, pięciuset gości - dodał beztrząs, nie pytając ich, czy temu podołają. Nie poprosił również rodziców o jej rękę. Oświadczył się, doskonale wiedząc, że Jim Dawson powie „tak”.

Pięciuset gości - matka omal nie zemdląła. Ale ojciec z zachwyconą miną otworzył drugą butelkę szampana. Zabrzączyły kieliszki.

- Nasze panie na pewno sobie poradzą - powiedział z uśmiechem, patrząc najpierw na Harry'ego, potem na żonę i córki. - Ja będę tylko płacił rachunki.

Wiktorija uważała, że się zaprzęda, nie zastanawiając się nawet, czy córka nie jest za młoda i czy nie popełnia błędu, ale właśnie takiego męża dla niej pragnęła. Wiedziała, że jeśli coś teraz powie, zarząca jej, że jest gruba, że nie ma chłopaka, że nie może znaleźć sobie męża, że jest zazdrośna o swoją piękną młodszą siostrę i że chce stanąć na drodze ku jej szczęściu.

Dopili szampana i znowu wyściskali młodych. Harry powiedział, że jego rodzice chcieliby umówić się z nimi na kolację. Wiktorija też objęła i ucałowała siostrę.

- Kocham cię - szepnęła. - Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam.

- To nic - odrzekła Grace. - Po prostu chcę, żebyś cieszyła się razem ze mną.

Wiktorija kiwnęła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Niedługo potem młodzi wyszli. Jechali z przyjaciółmi na jakąś imprezę, bo siostra chciała się pochwalić pierścieniem zaręczynowym.

Niemal zaraz potem Wiktorija poczuła, że wibruje jej komórka i spojrzęła na ekranik wyświetlacza. Wiadomość od Grace. „Ciesz się razem ze mną. Kocham Cię”. Odpowie-

działa natychmiast jedynymi słowami, jakimi mogła odpowiedzieć. „Ja Ciebie też”.

- No to masz rok na zaplanowanie i zorganizowanie ślubu - powiedział ojciec do mamy. - Huk roboty. Nie będziesz mogła tak często grywać w brydża.

W tej samej chwili Wiktoria dostała kolejny SMS od siostry. „Będziesz moją pierwszą druhną?” Wiedziała, że wciągną ją w to tak czy inaczej, więc jeśli już miała przez to przechodzić, nie mogła odmówić ani jej, ani sobie.

„Tak. Oczywiście! Dzięki” - odpisała.

Jej mała siostrzyczka wychodziła za mąż, a ona właśnie została jej druhną. Co za dzień.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dwa dni po rozdaniu dyplomów wróciła do Nowego Jorku i od razu zadzwoniła do doktor Watson. Terapeutka wciąż mieszkała w tym samym miejscu i miała ten sam numer telefonu i wieczorem oddzwoniła na komórkę. Spytała, co słyhać. Wiktoria odparła, że wszystko w porządku, ale chciałyby się z nią zobaczyć i doktor Watson przyjęła ją już następnego dnia. Natychmiast zauważyła, że chociaż od ich ostatniego spotkania Wiktoria trochę wydoroślała, zasadniczo wygląda tak samo. Prawie nic się nie zmieniła. Przyszła w czarnych dżinsach, białym podkoszulku i sandałach; tego dnia w Nowym Jorku był upał. Tuszę też miała taką samą. Ani nie schudła, ani nie przytyła.

- Coś się stało? Była pani bardzo spięta. Wiktoria westchnęła.

- Chyba tak. Doszłam do wniosku, że pora się obudzić. Przechodzę kryzys osobowości, a może to coś innego. - Od uroczystości rozdania dyplomów była bardzo zdenerwowana. Nie dość, że Grace tak szybko ukończyła studia, to jeszcze się zaręczyła, i to kiedy. - Moja siostra wychodzi za mąż. Ma dwadzieścia dwa lata. Zaręczyła się w dniu rozdania dyplomów, tak jak moi rodzice. Rodzice nie mają nic

przeciwno temu, bo chłopak, za którego wychodzi, a raczej chce wyjść, ma kupę pieniędzy. Zupełnie zwariowali. Ona ma dopiero dwadzieścia dwa lata! Nie pójdzie do pracy, bo on tego nie chce. Kiedyś chciała zostać dziennikarką, teraz ma to gdzieś. Skończy jak nasza matka, jako jego tło. On ma własne zdanie na każdy temat, tak jak mój ojciec, a ona we wszystkim go popiera. Zatraci się w tym, zatraci samą siebie, dostaje szału, kiedy o tym myślę. Ona chce tylko jednego: wyjść za niego za mąż. Przecież jest za młoda. A może jestem zazdrosna? Może zazdroszczę jej, że umie normalnie żyć? Bo ja mam tylko pracę, którą kocham. Nic więcej. A jeśli powiem, że powinna jeszcze zaczekać, jej albo rodzicom, usłyszę, że to kwaśne winogrona. - Słowa płynęły z jej ust jak potok zbieżem wzgórza.

- A to są kwaśne winogrona? - spytała bez ogródek doktor Watson.

- Nie wiem - odparła szczerze Wiktoria.

- Czego pani właściwie chce? - drażyła terapeutka. Wiedziała, że to najlepszy moment. Pacjentka była gotowa. - Nie dla niej. Dla siebie.

- Nie wiem - powtórzyła Wiktoria, ale doktor Watson nie dała się zwieść.

- Nieprawda, dobrze pani wie. Niech pani przestanie martwić się o siostrę. Niech pani pomyśli o sobie. Dlaczego pani do mnie wróciła? Po co?

Wiktoria słuchała jej ze łzami w oczach. Tak, wiedziała, czego chce. Po prostu bała się powiedzieć to na głos, dopuścić do siebie tę myśl.

- Chcę normalnie żyć - odparła cicho. - Chcę kogoś mieć. Chcę tego samego, co ona. Różnica polega na tym, że ja już mogę, ale nigdy nie będę tego miała. - I nagle w przyptywie odwagi silniejszym, głosem dodała: - Chcę żyć, mieć faceta i do czerwca schudnąć jedenaście, a przynajmniej dziesięć kilo.

- Dlaczego akurat do czerwca? - spytała zaskoczona doktor Wilson.

- Bo w czerwcu Grace wychodzi za mąż. Jestem pierwszą druhną. Nie chcę, żeby wszyscy mi współczuli i mieli mnie za oferną życiową. Za grubą starą pannę. Chcę zrobić dobre wrażenie.

- Rozumiem - powiedziała z uśmiechem terapeutka. -A więc wszystko jasne. Całkiem rozsądnie to brzmi. Mamy rok i trzy projekty do zrealizowania. Po pierwsze, normalne życie, jak to pani nazwała i co musi pani jeszcze zdefiniować. Po drugie, mężczyzna. I wreszcie nadwaga. Musimy nad tym popracować.

- Dobrze - odrzekła drżącym głosem Wiktoria. Była to dla niej bardzo emocjonująca chwila. Chwila objawienia. Miała dość tego, że nigdy nie może zrealizować swoich pragnień. Dość tego, że bała się nawet przyznać przed samą sobą, iż na to zasługuje, bo rodzice wmówili jej, że tak nie jest. - Jestem gotowa.

- Chyba tak. - Terapeutka zerknęła na zegar. - A więc... za tydzień?

Wiktoria kiwnęła głową i nagle zdała sobie sprawę z ogromu tego, co ją czekało. A czekało ją coś większego i gorszego niż ślub. Musiała przejść na poważną dietę i tym razem wytrwać. Musiała zacząć wychodzić z domu, poznawać ludzi, przede wszystkim mężczyzn, musiała się stosownie ubierać. Musiała otworzyć się na nowe możliwości, na ludzi, miejsca, rzeczy, na wszystko to, czego do tej pory tak bardzo jej brakowało i po co nie miała odwagi sięgnąć. Przerazało ją to bardziej niż przeprowadzka do Nowego Jorku i było trudniejsze do zaplanowania niż ślub. Ale wiedziała, że musi to zrobić. W dniu ślubu Grace będzie miała trzydzieści lat. Musi zacząć żyć własnymi marzeniami, nie tylko marzeniami siostry.

Wychodziła z gabinetu wzmocniona, z większą wiarą

w siebie. Wróciwszy do domu, od razu poszła do kuchni, wzięła kosz na śmieci i otworzyła lodówkę. Zaczęła od zamrażalnika, skąd wyrzuciła wszystkie pizze i prawie cztery litry lodów. Kiedy to robiła, wrócili Harlan i John. John miał już wakacje, ale pomagał partnerowi w muzeum.

- O cholera - mruknął zaskoczony Harlan. - To coś poważnego. - Do kosza wędrowały właśnie batoniki, które przyniosła z zabawy szkolnej, i napoczęty sernik. - Czy to coś znaczy, czy po prostu robisz wiosenne porządki?

- Do czerwca muszę schudnąć jedenaście kilo i tym razem utrzymać wagę.

- Ostro. Mocne postanowienie. Czy kryje się za tym jakiś... powód? - spytał ostrożnie Harlan.

John wyjął z lodówki dwa piwa. Otworzył je, podał jedno Harlanowi i pociągnął łyk ze swojej puszki. Było smaczne. Ale ona nie przepadała za piwem. Woląa wino, ale wino też było tuczące.

- Mężczyzna? - drażył z nadzieją Harlan.

- To też - odparła. - Ale muszę go najpierw poznać. - Zamknęła drzwiczki. - Grace wychodzi za mąż. W czerwcu. Mam być pierwszą druhną i nie zamierzam mieć jedenastu kilo nadwagi i wyglądać jak stara panna. Znowu chodzę do psychiatry.

- Kurczę, to jak marsz Shermana ku morzu, jak spalenie Atlanty. - Harlan nie ukrywał zadowolenia. Wiktoria tego właśnie potrzebowała, i to od lat. - Brawo! Tak trzymać! Pomóc ci jakoś?

- Koniec z lodami. I z pizzą. Przypilnujcie, żebym codziennie ćwiczyła na bieżniku. I chodziła na siłownię. Pójdę do dietetyczki. Do hipnotyzera. Zapiszę się do Anonimowych Grubasów, zrobię wszystko.

- A propos: za kogo siostra wychodzi? Nie jest trochę za młoda? W zeszłym tygodniu zrobiła dyplom.

- Jest o wiele za młoda, to kompletna głupota. A ten fa-

cet? Ojciec go ubóstwia, bo jest bogaty. To ten sam, z którym Grace chodziła przez całe studia.

- Fatalnie. Ale nigdy nie wiadomo. Może wszystko wypali.

- Oby. Inaczej wyjdzie za niego i przestanie być sobą. Ale ona tego właśnie chce, a przynajmniej tak jej się wydaje.

- Do czerwca jeszcze daleko. Dużo może się zdarzyć.

- Fakt - odparła z błyskiem w oku, jakiego nie widzieli u niej od lat, może nawet nigdy. Wyglądała tak, jakby wypełniała świętą misję. - Bardzo na to liczę. Mam rok na to, żeby zacząć normalnie żyć i dojść do ładu z własnym ciałem.

- Dasz radę - powiedział z przekonaniem Harlan.

- Wiem - odparła, bo w końcu sama w to uwierzyła. To niesamowite, że aż tyle to trwało. Przez dwadzieścia dziewięć lat ślepo wierzyła rodzicom, że jest brzydka, gruba i skazana na wieczne niepowodzenia, bo należy do tych, których nikt nigdy nie pokocha. I nagle uświadomiła sobie, że to, co mówili czy myśleli nie musi mieć nic wspólnego z rzeczywistością. Nareszcie wyznaczyła sobie nowy kierunek i była zdecydowana zrzucić pęta, którymi ją skrupowali.

Nazajutrz zapisała się do Weight Watchersów i wróciła do domu z plikiem szczegółowych wskazówek i przeliczników kalorii. Dwa dni później wykupiła abonament w nowej siłowni. Mieli tam kapitalny sprzęt, salę ćwiczeń, studio tańca, saunę i basen. Co rano biegała wokół jeziorka w Central Parku. Pilnie przestrzegała diety i raz w tygodniu chodziła na ważenie. Prawie codziennie rozmawiała z Grace o ślubie, z matką też, częściej, niżby chciała. Rodzice i siostra nie myśleli teraz o niczym innym, mieli klasyczną gorączkę przedślubną. Do początku roku szkolne-

go zrzuciła ponad cztery kilo i dobrze się z tym czuła. Była w formie. Ale wciąż miała przed sobą długą drogę. Na razie się zatrzymała, stała w miejscu, lecz nie zamierzała się zniechęcać ani tym bardziej poddawać. Dobrze to знаła. Już w tym miejscu bywała. Ale tym razem była zdecydowana pójść dalej i regularnie chodziła na terapię do doktor Watson. Rozmawiały o jej rodzicach, o nadziejach, jakie żywiła względem siostry, i wreszcie rozmawiały również o niej samej, o jej pragnieniach. Nigdy dotąd tego nie robiły.

Uczniowie też zauważyli, że się zmieniła. Była silniejsza, bardziej zdecydowana i pewna siebie. Helen i Carla rosły w dumę.

Denerwowało ją, że chociaż minęło tyle czasu, Grace wciąż nigdzie nie pracowała. Była zaręczona, myślała tylko o ślubie i nawet nie szukała pracy, co według niej źle wpływało na jej poczucie wartości własnej. Twierdziła, że nie ma na to czasu, ale Wiktoria dobrze wiedziała, że życie to coś więcej niż organizowanie ślubu i małżeństwo z bogaczem. Doktor Watson ciągle powtarzała, że to nie jej problem, ona ma się skupić na sobie, więc się skupiła. Co wcale nie znaczyło, że przestała martwić się o siostrę.

We wrześniu zrzuciła tylko niecały kilogram. Ale w sumie już pięć, więc była w połowie drogi do celu i wyglądała całkiem, całkiem, kiedy Grace oznajmiła, że przyjeżdża do Nowego Jorku na weekend, żeby obejrzeć suknie ślubne i wybrać suknie dla druhen. Oczywiście poprosiła siostrę o pomoc. Wiktoria nie była jeszcze gotowa, ale ponieważ ją kochała i nigdy jej nie odmawiała, nie odmówiła i tym razem, chociaż miała stos esejów do poprawienia. Doktor Watson spytała ją, dlaczego nie kazała siostrze przyjechać kiedy indziej. Przecież ślub był dopiero w czerwcu.

- Nie mogłam - odparła szczerze Wiktoria.

- Ale dlaczego?
- Nie umiem jej odmówić. Nigdy nie umiałam.
- Dlaczego nie chce pani, żeby siostra przyjechała w ten weekend?

- Mam dużo pracy.

Terapeutka podejrzliwie zmrużyła oczy.

- To prawdziwy powód?

- Nie. Za mało schudłam i boję się, że Grace wybierze suknię, w której będę wyglądała jak strach na wróble. Jej wszystkie przyjaciółki są szczupłe, tak jak ona. Noszą dwójkę albo czwórkę. O czternastce nigdy nie słyszały.

- Ale pani to pani. Do czerwca czternastka pójdzie w zapomnienie.

Wiktoria nie traciła hartu ducha, przynajmniej jak dotąd. Lecz nagle ogarnęła ją panika.

- A jeśli nie? - spytała. Marzyła, żeby zbić wagę do rozmiaru numer osiem. Ale byłaby zachwycona i dziesiątką, gdyby tylko udało jej się znowu nie przytyć.

- Dlaczego tak pani myśli?

- Boję się, że ojciec ma rację i jestem życiową oferłą. Grace udowodniła to kolejny raz. W wieku dwudziestu dwóch lat wyjdzie za mąż za faceta doskonałego. Będę wtedy miała trzydzieści lat. I nie jestem mężatką. Nie mam nawet chłopaka, z nikim się nie umawiam. Jestem tylko zwykłą nauczycielką.

- Bardzo dobrą nauczycielką - podkreśliła doktor Watson. - Szefową zespołu anglistów w najlepszej prywatnej szkole średniej w Nowym Jorku. To nie byle co.

Wiktoria uśmiechnęła się niepewnie.

- Poza tym - ciągnęła terapeutka - jest pani pierwszą druhną. Jeśli siostra wybierze dla pani coś, co będzie źle leżało, zawsze może pani ubrać się w coś podobnego albo zupełnie innego. Ona chce dać pani wybór.

- Nie - poprawiła ją Wiktoria. Znała swoją siostrę. Grace

mogła pozwolić Harry'emu wszystkim kierować, ale potrafiła też się uprzeć. - Ona chce, żebyśmy patrzyła, jak sama wybiera.

- W takim razie będzie miała pani okazję, żeby się jej sprzeciwić.
- Spróbuję - odrzekła bez przekonania Wiktoria.

W piątek zaraz po lekcjach wróciła szybko do domu, bo Grace przyleciała wczesnym przedpołudniem, kiedy ona była w szkole. Zostawiła dla niej klucz pod wycieraczką i kiedy weszła do mieszkania, okazało się, że siostra już na nią czeka i że właśnie sprawdza ich bieżnik.

- Niezła maszyna - rzuciła z uśmiechem. Bieżnik był wielki i wyglądała na nim jak elf.

- No, myślę. Kosztował fortunę. Grace zeskoczyła na podłogę
- Też powinnaś spróbować.
- Próbowałam.

Wiktoria była dumna, że schudła i zawiedziona, że siostra tego nie zauważyła. Ale cóż, Grace myślała teraz tylko o ślubie. I natychmiast chciała iść na zakupy - miała długą listę sklepów. Wiktoria przez cały dzień była w szkole i czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę; na domiar złego z samego rana miała spotkanie zespołu. Ale ogarnęła się w pięć minut i pojechały do centrum. Trudno było nie zauważyć gigantycznego brylantu na palcu siostry.

- Nie boisz się, że ktoś cię kiedyś napadnie i obrabuje? Wciąż się o nią martwiła. Wiedziała, że Grace zawsze

będzie dla niej malutką siostrzyczką, taką jak wtedy, kiedy odprowadzała ją do szkoły.

- E tam - odparła nonszalancko przyszła pani Wilkes. -Wszyscy myślą, że jest fałszywy.

Taksówka podrzuciła je do Bergdorfa. Od razu poszły na górę, do działu ślubnego, i zaczęły oglądać suknie. Były ich dziesiątki, na wieszakach i półkach, ale siostra ciągle

kręciła głową. Żadna się jej nie podobała, chociaż Wiktoria uważała, że niektóre są cudowne. Grace zmieniła biegi i poprosiła, żeby pokazano jej suknie dla druhen. Przyjechała z listą projektantów i kolorów, które chciała sprawdzić i wypróbować, więc pokazali jej wszystko, co mieli. Ślub miał być bardzo uroczysty i wystawny. Harry wystąpi w białym smokingu, a jego drużbowie w czarnych. Dlatego Grace chciała, żeby drużby były ubrane na złotawo, brzoskwiniowo lub bladoniebiesko, a więc w kolory, w których Wiktoria wyglądała całkiem ładnie. Miała tak bladą cerę, że w kolorach mocnych, jak na przykład czerwony, po prostu nie mogła się nigdzie pokazać, ale siostra zapewniła ją, że za nic nie ubrałaby druhen na czerwono. Ekspedientki przynosiły suknię za suknią, a ona wyglądała jak mały generał odbierający paradę. W pełni panowała nad sytuacją i wszystko wskazywało na to, że ślub będzie wielkim wydarzeniem, co najmniej jak koncert rockowy albo kampania prezydencka. Spełniła swoje marzenie, przeżywała najpiękniejsze chwile w życiu i zamierzała być gwiazdą przedstawienia. Wiktoria zastanawiała się, jak radzi sobie ich matka. Z bliska rzecz wyglądała oszałamiająco, bo ojciec rzeczywiście nie szczędził pieniędzy. Chciał zaimponować Wilkesom, chciał, żeby jego ukochana córka była dumna. A ona była tak skupiona na przygotowaniach, że nie zauważyła nawet, iż jej siostra schudła. Wiktorię trochę to zabolęło, ale nie chciała zachowywać się jak dziecko i spokojnie patrzyła, jak Grace przebiera w sukniach. Upatrzyła trzy. No i musiała jeszcze wybrać dziesięć dla druhen. Kiedy to powiedziała, Wiktoria uzmysłowiła sobie, że gdyby to ona wychodziła za mąż, nie znalazłaby nawet dziesięciu przyjaciół. Na drużbę wzięłaby Grace i na tym by się skończyło. Ale Grace zawsze była popularna, w szkole i na uczelni. A teraz była gwiazdą i uwielbiała nią być. Z każdym dniem robiła się coraz bardziej podobna do

rodziców. Ostatecznie pochodziła z gwiazdorskiej rodziny, podczas gdy Wiktoria czuła się jak meteor, który spadł na ziemię, zmieniając się w kupkę popiołu.

Potem pojechały do Barneysa, a skończyły u Saksa. Nazajutrz Grace była umówiona z samą Verą Wang. Chciała umówić się i z Oscarem de la Renta, ale nie zdążyła. Dopiero wtedy Wiktoria uświadomiła sobie, co się tak naprawdę kroi. Wilkesowie wydawali przyjęcie po ślubie dla rodziny, które miało być większe, wystawniejsze i bardziej wykwintne niż większość przyjęć weselnych, dlatego miała to być impreza na dwie suknie. Okazało się, że matka już wybrała. Na ślubie miała wystąpić w beżowej, a na przyjęciu dla rodziny w szmaragdowej. Była gotowa. Poszła do Neimana Marcusa i osobisty ekspedient znalazł dla niej najpiękniejsze i najbardziej stosowne kreacje. Dlatego Grace mogła się teraz skupić tylko na sobie.

Suknie ślubne u Saksa też jej się nie podobały - wyraźnie zaznaczyła, że szuka czegoś innego i wyjątkowego. Jej mała siostrzyczka bardzo się usamodzielniała. Nagle wszystko stało się dla niej tandetne i nijakie. Jej zdeterminowanie trochę Wiktorię oszołomiło. Na suknie dla druhen też patrzyła krzywym okiem, wtem zobaczyła coś i aż sapnęła.

- O Boże! - wykrzyknęła z zachwytem, jakby znalazła świętego Graala. - To jest to! W życiu nie pomyślałabym o tym kolorze!

Była to bez wątpienia bardzo efektowna brązowa suknia, chociaż Wiktoria nie mogła wyobrazić jej sobie w orszaku ślubnym, zwłaszcza pomnożonej przez dziesięć. Ale brąz, kolor jesiennego sezonu, był delikatniejszy niż czerń i - przynajmniej według ekspedientki - dużo „cieplejszy”. Ta, która przykuła uwagę siostry, była ciężką satynową suknią wieczorową bez ramiączek. Obcisła na górze, z maleńkimi zaszewkami poniżej linii bioder, rozszerzała się

kloszowo, opadając aż do ziemi. Była doskonale uszyta i miała kolor gorzkiej czekolady, kłopot w tym, że mogły ją nosić tylko kobiety drobne, szczupłe i bez biustu. Kontrast między obcisłą górą i szerokim spodem był tak duży i gwałtowny, że Wiktoria miałaby w niej pupę jak stodoła. Mógł ją nosić tylko ktoś postury Grace, czyli większość jej przyjaciółek. Ta, którą właśnie oglądały, miała rozmiar numer cztery i oczywiście byłaby dla nich za duża. Wolą się nie zastanawiać, jak wyglądałaby w niej, nawet gdyby schudła.

- Jest boska! - Grace szalała z radości. - Wszystkim oczy wyjdą na wierzch! Będą mogły je nosić na każdą uroczystą okazję.

Suknia była kosztowna, ale dla większości druzhen pieniądze nie stanowiły problemu, zresztą ojciec obiecał pokryć różnicę, gdyby któraś nie mogła sobie na taką pozwolić. Ponieważ płacił praktycznie za wszystko, cenę Wiktoria miała gdzieś, ale nie o cenę chodziło, po prostu wyglądałaby w niej koszmarnie. Miała za duże piersi i za szerokie biodra. Na domiar złego suknia była czekoladowa, co przy jej bladej cerze, niebieskich oczach i blond włosach podniosłoby koszmar do kwadratu.

- Nie mogę w niej wystąpić - powiedziała. - Będę wyglądała jak kupa czekoladowego musu. Nawet gdybym zrzuciła dwadzieścia kilo. Albo i czterdzieści. Mam za duży biust. Poza tym, to nie mój kolor.

Siostra spojrzała na nią błagalnie.

- Właśnie takiej szukałam, dokładnie takiej. Tylko tego nie wiedziałam. Jest cudowna.

- Tak - zgodziła się z nią bez wahania Wiktoria - ale dla kogoś twojej postury. Gdybym to ja włożyła ślubną, a ty tę, byłoby idealnie. Ja będę w niej wyglądała strasznie. Zresztą na pewno nie mają mojego rozmiaru...

- Można zamówić w dowolnym - wtrąciła ochoczo eks-

pedientka. Suknia była kosztowna i dostałaby pewnie dużą premię.

- Czy do czerwca zdążycie uszyć dziesięć? - spytała ogarnięta panią Grace, kompletnie ignorując błagania starszej siostry.

- Na pewno. Jeśli da nam pani rozmiary, powinny być gotowe już na grudzień.

Grace odetchnęła, a Wiktoriaomal się nie rozplakała.

- Nie możesz mi tego zrobić. Będę okropnie wyglądała.

- Nieprawda. Zresztą sama powiedziałaś, że chcesz schudnąć.

- I tak bym nie mogła. Wiesz, jaki noszę stanik? Podwójne D. Takie suknie dobrze leżą na dziewczynach twojej budowy.

Siostra spojrzała na nią ze łzami w oczach, z miną, która rozbierała ją, odkąd Grace skończyła pięć lat.

- To mój pierwszy i ostatni ślub. Chcę, żeby wszystko wypadło idealnie ze względu na Harry'ego. Żeby było jak w bajce. Wszystkie drużny ubierają się na różowo, niebiesko albo pastelowo. Nikomu do głowy nie przyszło, żeby ubrać je na brązowo. To będzie najbardziej elegancki ślub w historii Los Angeles.

- Z pierwszą drużną, która będzie wyglądała jak słonica.

- Przecież schudniesz. Wiem, że schudniesz. Kiedy ci zależało, zawsze chudłaś.

- Nie o to chodzi. Żeby ją włożyć, musiałabym pójść na operację plastyczną.

No i te malutkie zaszewki wzdłuż stanu - jeszcze bardziej pogarszały sprawę. A rozmarzona Grace już planowała, co dalej: każda drużna miała mieć bukiet brązowych orchidei. Nic nie mogło jej powstrzymać i oczywiście natychmiast złożyła zamówienie. Wiktoria stała obok ze łzami w oczach. Siostra właśnie zrobiła z niej ślubnego potwora, weselną maskarę na tle jej drobnych, anorektycz-

nych przyjaciółek w stylowych, brązowych sukniach. Bo nie ulegało wątpliwości, że suknia jest przepiękna, tyle tylko, że nie dla niej. Zrezygnowana zamilkła, bez słowa patrząc, jak Grace dyktuje ekspedientce listę rozmiarów. Same czwórki i trzy dwójki. Miała to ostatecznie potwierdzić po powrocie do Kalifornii. Ze sklepu wychodziła z radosnym uniesieniem, niemal tańczyła z podekscytowania, a Wiktoriana przez całą drogę posepnie milczała. I kiedy przy okazji wpadły do delikatesów, bez namysłu postawiła na ladzie półtora litra lodów. Grace nawet tego nie zauważyła. Nie wiedziała, że siostra nie jadła lodów od czterech miesięcy. A ona poczuła się jak alkoholik na odwyku, który wchodzi do baru i zamawia kieliszek wódki z lodem.

Kiedy wróciły, Grace od razu zadzwoniła do matki, a Wiktoriana zaczęła rozpakowywać zakupy. Do kuchni wszedł Harlan. Zobaczył lody, wskazał je palcem, jakby się paliły i spojrzał na nią z pełnym przerażenia niedowierzaniem.

- Co to jest?

- Zamówiła dla mnie brązową suknię bez ramiączek, której nie mogę nosić.

- To jej to powiedz i niech zamówi inną. - Harlan wrzucił lody do kosza na śmieci. - A może ta suknia nie jest taka zła.

- Jest prześliczna, ale nie dla mnie. Ma zły kolor, nie wspominając już o kroju.

- To powiedz jej to— powtórzył stanowczo Harlan. Mówił jak jej terapeutka.

- Powiedziałam. Ale ona mnie nie słucha. To jej wymarzony ślub. Zamierza wyjść za mąż tylko raz, więc wszystko musi być idealnie. Dla wszystkich, tylko nie dla mnie.

- To miła dziewczyna. Wytłumacz jej.

- Ma obłąd w oczach. Obejrzałyśmy dzisiaj sto sukien. To będzie epokowe wydarzenie. Rozumiesz?

- Tak, ale jeśli zaczniesz tyć, będzie jeszcze gorzej. Próbował dodać jej otuchy. Zdenerwował się, widząc ją z lodami w ręku. Do tej pory bardzo się pilnowała. Nie chciał, żeby popsuka wszystko przez głupią kieckę.

Po rozmowie z matką Grace znowu zawisała na telefonie, opowiadając przyjaciółkom o fantastycznych sukniach, które właśnie zamówiła, a zrozpaczona Wiktoria siedziała samotnie w kuchni. Znowu była niewidzialna. Grace jej nie słuchała. Teraz wszystko kręciło się wokół niej. Trudno to było znieść, no i jeszcze ta suknia. Nie wiedziała, co robić. Było oczywiste, że siostra nie zmieni zdania, choćby się paliło i waliło.

Kolację zjadły z Johnem i Harlanem i Grace opowiedziała im w szczegółach o ślubie. Pod koniec Wiktoria myślała, że zwymiotuje.

- Może jednak jestem zazdrosna - szepnęła do Harlana, kiedy siostra wyszła, żeby przed snem zadzwonić do Har-ry'ego.

- Nie sądzę. Dziewczyna przegina. Jest jak dziecko, które wyrwało się spod kontroli. Twój ojciec dał jej wolną rękę. Stworzył potworka.

- Myśli, że dzięki temu będzie ważniejszy. - Była bardzo przygnębiona. Pierwszy raz w życiu czuła się źle w towarzystwie siostry. Jak dotąd, weekend był jedną wielką katastrofą.

Nazajutrz wcale nie było lepiej. Poszły na spotkanie z Verą Wang. Obejrzały kilkanaście wzorów i w końcu projektantka obiecała wysłać jej szkice sukien na podstawie jej wskazówek. Grace była zachwycona.

Po południu wstąpiły na lunch. Grace zamówiła sałatkę, a Wiktoria ravioli z serem i deser czekoladowy z bitą śmietaną. Grace nie widziała w tym niczego dziwnego, bo siostra zawsze dużo jadła. Dietę szlag trafił i Wiktoria ogarnęła jeszcze większe przygnębienie. Do domu wróciła

zmęczona i przybita, czując, że zaraz wybuchnie. Nie jadła tak od miesiący i miała wyrzuty sumienia. Harlan zauważył to i spytał:

- Co dzisiaj zbroiłaś?

- Nic - mruknęła. - Poznałam Verę Wang.

- Nie kręć. Co jadłaś na lunch?

- Lepiej nie pytaj. Dietę diabli wzięli.

- Przestań, nie warto. Katujesz się od czterech miesięcy. Nie schrzań tego.

- Denerwuję się ślubem - odparła żałośnie. - Przez tę cholerną suknię mam ochotę palnąć sobie w łeb. Chyba nie znam już mojej siostry. Nie powinna za niego wychodzić, ani za niego, ani za nikogo innego. Jest za młoda. Ten facet pokieruje jej życiem tak, jak mój ojciec kieruje życiem matki. Ona wychodzi za swego ojca!

- Niech sobie wychodzi. Jest dorosła. Ma prawo o sobie decydować, nawet jeśli popełnia błędy. Nie możesz zniszczyć sobie przez nią życia. To niczego nie zmieni, jeszcze bardziej się tylko dobijesz. Przestań. Jedź tam, włóż tę cholerną suknię, urznij się na weselu i wróc do domu.

Wiktoria roześmiała się przez łzy.

- Może masz rację. Poza tym ślub jest dopiero za osiem miesięcy. Nawet jeśli suknia jest fatalna, zdążę jeszcze schudnąć i może nie będzie tak źle.

- Pod warunkiem, że nie zrezygnujesz z diety.

- Nie zrezygnuję. Będę grzeczna. Dzisiaj już nigdzie nie wychodzimy. A jutro Grace wraca do Los Angeles. Kiedy wyjedzie, znowu zacznę ćwiczyć.

- Nie - odparł stanowczo Harlan. - Zacznieś teraz.

On poszedł do siebie, a ona włączyła bieżnik, żeby odpokutować za kulinarne grzechy. Ale potem Grace zobaczyła na lodówce reklamówkę jakiejś restauracji i zamówiła pizzę. Przywieźli ją pół godziny później i Wiktoria znowu nie mogła się oprzeć. Grace zjadła jeden kawałek,

ona resztę. Chciała zjeść i pudełko, żeby Harlan go nie zobaczył, ale zobaczył i spojrzał na nią tak, jakby kogoś zabiła. I w sumie zabiła. Samą siebie. Dręczyło ją poczucie winy.

Nazajutrz poszły razem na późny lunch. W podziękę za pomoc Grace zabrała ją do Carlyle'a, gdzie Wiktoria zjadła zgrillowaną polędwicę wieprzową na drożdżowej bułeczce, z jajkiem w koszulce i świeżutkim sosem holenderskim. A kiedy siostra zamówiła na deser gorącą czekoladę z małutkimi ciasteczkami, i temu nie potrafiła się oprzeć.

Przed odjazdem na lotnisko Grace jeszcze raz jej podziękowała, powiedziała, że było cudownie i obiecała informować ją na bieżąco o postępie prac nad sukniami i o wszystkim innym. Wiktoria pomachała jej na pożegnanie i kiedy tylko taksówka zniknęła jej z oczu, wybuchnęła płaczem. Uważała, że weekend był kompletną katastrofą i czuła się jak ofiara życiowa. Na domiar złego miała wystąpić na ślubie w tej strasznej sukni. Poszła na górę i padła na łóżko, pragnąc umrzeć.

ROZDZIAŁ SIEMNASTY

W poniedziałek z ulgą wróciła do szkoły. Ten świat rozumiała, tu nad czymś przynajmniej panowała. Grace wyrwała się spod kontroli i przebywanie z nią napawało Wiktorię przygnębieniem. A skutki przygnębienia były katastrofalne. Dosłownie rzucała się na jedzenie, zamiast jeść, po prostu żarła. Po szkole poszła do doktor Watson i o wszystkim jej opowiedziała.

- Zachowuję się jak wariatka, jem wszystko, co wpadnie mi w ręce. Nie jadłam tak od lat, a już na pewno od miesiący. Rano się zważyłam. Przytyłam prawie półtora kilograma.

- Nie szkodzi - odparła spokojnie terapeutka. - Zrzuci to pani. Jak pani myśli, dlaczego tak się stało?

- Znowu jestem niewidzialna. Ona mnie kompletnie ignorowała. Zmienia się w jedno z nich.

- Może zawsze taka była.

- Nie. Ale ten cały Harry jest jak mój ojciec. Przybywa ich, mają nade mną coraz większą przewagę. A w sukience, którą dla mnie wybrała, będę wyglądała jak rozlazły potwór.

- To dlaczego pani nie zaprotestowała?

- Próbowałam. Ale nie chciała słuchać. Zresztą i tak by ją kupiła. Jest jak rozpuszczony bacher.

- To się zdarza, zwłaszcza przed ślubem. Zupełny brak rozsądku...

- Właśnie. Chce, żeby było jak w bajce, a przecież w ogóle nie powinna za niego wychodzić. Skończy jak matka, a ja tego nie chcę.

- Nic pani na to nie poradzi. Jediną osobą, na którą ma się wpływ, jesteśmy my sami.

Wiktoria zaczynała to rozumieć, ale bolało ją, że Grace coraz bardziej upodabnia się do rodziców. Po wyjściu z gabinetu poczuła się trochę lepiej. Przez godzinę ćwiczyła na bieżniku, potem poszła na siłownię.

Wróciła o ósmej tak zmęczona, że od razu się położyła. Grace przysłała dwa SMS-y, w których jeszcze raz dziękowała za pomoc, a ją naszły wyrzuty sumienia, że w weekend tak się na nią zdenerwowała. Siostra pisała, że było super, ale ona przeżyła koszmar. Chciała, żeby było już po ślubie i żeby znowu mogły pobyć razem, tak jak kiedyś. Osiem miesięcy - nie miała pojęcia, jak to zniesie.

Nazajutrz poszła przed szkołą do Weight Watchersów. Wyznała swoje grzechy i się zważyła. Zdążyła już zrzucić kilogram z tego, co przybyło jej w weekend i powoli zaczynała wracać do formy.

Przed lunchem miała trzy lekcje i idąc do pokoju nauczycielskiego, zobaczyła jedną ze swoich uczennic, Amy Green. Amy była roztrzęsiona i zapłakana, na jej widok uciekła do toalety. Zaniepokojona Wiktoria natychmiast tam weszła.

- Co się stało? - spytała ostrożnie. Jej rodzice byli podobno w trakcie rozwodu.

- Nic. - Dziewczyna znowu się rozplakała.

Wiktoria podała jej kilka chusteczek i zażenowana Amy wydmuchała nos.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Amy bez słowa pokręciła głową.

- Wpadniesz do mnie do gabinetu? A może się trochę przejdziemy?

Amy zawahała się i kiwnęła głową. Uważała, że Wiktoria jest „spoko”, bo zawsze była dla niej miła.

Weszły do gabinetu. Wiktoria zamknęła drzwi i wskazała jej krzesło. Nalała do szklanki trochę wody, ale Amy znowu wybuchnęła płaczem. Nieciekawie to wyglądało. Wiktoria usiadła i zaczęła, aż dziewczyna się uspokoi. W końcu Amy podniosła wzrok i spojrzała na nią ze śmiertelnym przerażeniem w oczach.

- Jestem w ciąży - wyszlochała. - Nie wiedziałam. Dowiedziałam się dopiero wczoraj.

Łatwo się było domyślić z kim. Od dwóch lat chodziła z tym samym chłopakiem, zresztą całkiem miłym. W czerwcu obydwójko kończyli szkołę. Wiktoria natychmiast odpędziła od siebie myśli o siostrze, ślubie i sukni.

- Powiedziałaś mamie? - spytała cicho, podając jej więcej chusteczek.

- Nie mogę. Zabije mnie. Denerwuje się rozwodem. -Krażyły plotki, że mąż rzucił ją dla innej. - A teraz to. Nie wiem, co robić.

- Justinwie?

Amy kiwnęła głową.

- Byliśmy u lekarza. Miał prezerwatywę, ale pękła. A ja wcześniej przestałam brać pigułki, bo było mi po nich niedobrze.

- Cholera jasna - zakłęła Wiktoria. Amy roześmiała się przez łzy.

- Właśnie. Też tak powiedziałam.

- Cholera jasna?

Tym razem roześmiały się obie, chociaż wcale nie było im do śmiechu.

- Zastanawiałaś się, co dalej? - Wiktoria wiedziała, że tę decyzję Amy będzie musiała podjąć z rodzicami, ale mogła jej przynajmniej wysłuchać. - Co chcesz zrobić?

- Nie mam pojęcia. Jestem za młoda na dziecko. Ale nie chcę przerywać ciąży. Wyrzucą mnie ze szkoły? - spytała z paniką w oczach, żałując, że się wygadała.

- Nie wiem - odparła szczerze Wiktoria.

Uczyła już od siedmiu lat, ale nigdy dotąd nie miała z tym do czynienia. Wiedziała, że inne uczennice też zachodziły w ciążę, słyszała o takich przypadkach, ale nigdy nie dowiadywała się o tym jako pierwsza, nigdy nie była na pierwszej linii frontu. Załatwiali to zwykle psychologowie, zastępca dyrektora do spraw uczniowskich albo sam dyrektor. Ona była tylko nauczycielką angielskiego, nieważne, że szefową zespołu. Ale była również kobietą i chociaż jej nigdy się to nie przydarzyło, dobrze rozumiała Amy. Bardzo nie chciała, żeby dziewczyna musiała rzucić szkołę. Miała szansę dostać się do Yale albo do Harvardu, nie wspominając już o innych uczelniach, do których złożyła podanie.

- Może coś wymyślimy. - Wiedziała, że do tej pory dyrekcja nie pozwalała uczennicom w ciąży uczęszczać do szkoły. - Ale najpierw musisz porozmawiać z mamą.

- To ją zabije.

- Nie. Takie rzeczy się zdarzają, i to często. Musicie po prostu znaleźć jakieś rozwiązanie. Razem. Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Nie. Wściekłyby się, że najpierw powiedziałam pani. - Amy ciężko westchnęła i wypila łyk wody. Trochę się uspokoiła. Musiała podjąć szereg trudnych decyzji. Skończyła dopiero siedemnaście lat i gdyby nie dziecko, miałyby przed sobą jasną przyszłość. Dziecko wszystko komplikowało. - Justin ze mną pójdzie. Chce, żebym nie oddawała dziecka, bo może kiedyś się pobierzemy. - Powiedziała to

ze smutkiem. Nie była gotowa na dziecko ani na małżeństwo, ale inne rozwiązania były jeszcze gorsze.

Wiktoria zapisała na karteczce swój numer telefonu.

- Dzwon, kiedy chcesz, o każdej porze. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Jeśli będziecie rozmawiały z dyrektorem, mogłabym pójść z wami. - Nie chciała, żeby Amy wyrzucono czy zawieszono.

Pięć minut później objęła ją i uścisnęła na pożegnanie. Amy poszła do stołówki, gdzie czekał na nią Justin i po lunchu Wiktoria widziała, jak wychodzą razem ze szkoły. Miała nadzieję, że idą do jej matki.

Nazajutrz Amy nie było w szkole. Ale zadzwoniła, że po południu razem z mamą są umówione u dyrektora Walkera i poprosiła, żeby Wiktoria z nimi poszła. Zgodziła się oczywiście i kiedy przyszły, czekała już przed jego gabinetem. Amy wyglądała tak, jakby przepłakała całą noc, jej matka miała posępną minę. Amy uśmiechnęła się na jej widok, a matka podziękowała za przyście.

Dyrektor ich oczekiwał i wstał na powitanie. Zdziwił się na widok Wiktorii. Wskazał im krzesła. Był zaniepokojony. Nie słyszał, żeby Amy miała jakieś problemy w szkole i nie wiedział, po co przyszły. Przypuszczał, że ma to coś wspólnego z rozwodem jej rodziców i bał się, że Amy zamierza zmienić szkołę. Była świetną uczennicą i nie chcieliby jej stracić. Był zaskoczony, kiedy pani Green powiedziała, że jej córka jest w ciąży. I bardzo jej współczuł. Nie zdarzało się to pierwszy raz, ale każdy taki przypadek był bardzo trudny zarówno dla uczennicy, jak i dla szkoły. Pani Green powiedziała, że dziecko urodzi się w maju. I zdumiała ich, dodając, że Amy postanowiła je zatrzymać. Natomiast ona zamierzała się nim opiekować, gdy na jesieni córka pójdzie na studia. Amy złożyła podanie do Barnarda i na Uniwersytet Nowojorski, więc mogłaby mieszkać

w domu. Jej mama wykazywała dużą chęć pomocy i Amy była mniej zdenerwowana niż przed dwoma dniami.

- Dlatego musimy wiedzieć - ciągnęła pani Green, próbując zachować spokój - czy córka może zostać w szkole, czy muszę przenieść ją gdzie indziej. - Tego się najbardziej bały, bo gdyby Amy przerwała teraz naukę, mogła mieć trudności z dostaniem się na studia.

- A ty, Amy? - spytał dyrektor bez ogródek. - Chciałabyś zostać? Pamiętaj, że wszyscy by o tym wiedzieli, wszyscy by o tym mówili. Nie byłoby ci ciężko?

- Nie - odparła Amy, uśmiechając się z wdzięcznością do matki. - Bo i tak chcę zatrzymać dziecko.

Wiktoria widziała, że niełatwo im było podjąć tę decyzję, ale uważała, że jest słuszna. Gdyby Amy urodziła i oddała dziecko, popełniłaby błąd większy i bardziej traumatyczny niż jakiegokolwiek zmiany, które ją teraz czekały. A skoro matka oferowała swoją pomoc, dziewczyna mogła żyć dalej w miarę normalnym życiem.

- Bardzo chciałabym zostać - dodała.

Dyrektor kiwnął głową. Nigdy dotąd się na to nie godził, ale nie chciał również zamykać dziewczynie drogi na studia. Tylko że odpowiadał nie tylko za nią, ale i za pozostałych uczniów. Dlatego zastanawiał się, kiedy ciąża zacznie być widoczna.

- Mógłbym skierować cię na indywidualne nauczanie, ale uczelnie patrzą na to niechętnym okiem... Kiedy rodzisz?

- W maju, pierwszego maja.

- Przedtem są ferie wiosenne. - Dyrektor myślał na głos. - W kwietniu, do końca kwietnia... Mogłabyś pochodzić do ferii, a potem zostać w domu i urodzić. Co ty na to? Wróciłabyś pod koniec maja na egzaminy i ukończyłabyś szkołę razem z innymi. Tak, to by się mogło udać.

Nie miałybyś zbyt dużych zaległości, dałabyś radę. Mielśmy już uczniów, którzy chorowali dłużej na mononukleozę. Nie chciałbym, żebyś zawałiła czwartą klasę. Byłby to pierwszy taki przypadek, ale jeśli sobie poradzisz, my też jakoś to przeżyjemy.

Amy kiwnęła głową i znowu się rozplakała. Tak bardzo jej ulżyło. Wiktoria nie odezwała się ani słowem, ale przyszła, żeby wesprzeć ją swoją obecnością. Pani Green podziękowała wylewnie dyrektorowi i kilka minut później wyszły z gabinetu. Pod drzwiami czekał zdenerwowany Justin. Amy uśmiechnęła się do niego, a on objął ją i przytulił. Był dla niej bardzo dobry, czuły i opiekuńczy, i Wiktoria życzyła im jak najlepiej. Miała nadzieję, że z pomocą matki ułożą sobie życie.

- Pozwolił mi zostać - powiedziała rozpromieniona Amy. - Był bardzo miły. Będę chodziła do szkoły do ferii wiosennych, a pod koniec maja wrócę na egzaminy.

Justin wyglądał tak, jakby zdjęto mu z ramion olbrzymi ciężar. Był dobrym chłopcem.

- Dziękuję - powiedział, patrząc w ich stronę.

- Nie ma za co - odparła Wiktoria. - Nic nie zrobiłam.

- Zrobiła pani, i to dużo - zaprotestowała Amy. - Wysłuchiła mnie pani i dodała mi odwagi. Zaraz potem poszliśmy porozmawiać z mamą.

- Cieszę się - odrzekła spokojnie Wiktoria. - Jestem pewna, że podjęliście dobrą, chociaż bardzo trudną decyzję. Nie było idealnego rozwiązania, ale to jest moim zdaniem najlepsze.

- Bardzo dziękuję za wsparcie - powiedziała pani Green łamiącym się głosem.

Po chwili ona, Amy i Justin poszli do domu.

Wiktoria pomyślała o swojej siostrze. Cieszyła się, że to nie jej przydarzyło się coś takiego; wiedziała, że mogło. I że pani Green jest taka wyrozumiała. Amy i Justin też do-

brze to znosili i byli bardzo dzielni. Wracając wieczorem do domu, wciąż o nich myślała.

Nazajutrz Amy wpadła do niej do klasy, żeby jeszcze raz podziękować, oczywiście z Justinem u boku, tak jak przez ostatnie dwa lata. Już od dawna nie wyglądała tak dobrze. Uczennica w ciąży - zanosilo się na ciekawy rok. Jak powiedział dyrektor, był to pierwszy taki przypadek w ich szkole. Z dziećmiakami nie ma czasu na nudę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Na Święto Dziękczynienia, jak co roku, poleciała do Los Angeles. Ale tym razem miało być inaczej, bo zaprosili Harry'ego. Czekał ich przedsmak tego, co będzie się działo po ślubie. Gdy w środę wieczorem przyjechała do domu, ogarnięta paniką matka właśnie nakrywała stół najlepszym obrusem, a Grace nie było. Pojechała z Harrym na kolację do jego siostry, która miała przyjść do nich nazajutrz. Wilkesowie gdzieś wybyli, więc Harry spędzał święto z nimi. A ojciec i matka zachowywali się tak, jakby mieli gościć samego prezydenta. Powyciągali z kredensów wszystko, co najlepsze. Wiktoria uważała, że to idiotyzm. Mimo to pomogła matce nakryć do stołu. Zastawiły go oczywiście jej ślubnymi talerzami i kryształami babki.

- Jezu, naprawdę musimy się tak wygłupiać? Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek wyjmowała te talerze.

- Robię to pierwszy raz od dwudziestu lat - wyznała z zażenowaniem matka. - Ojciec prosił. Mówi, że Harry przywykł do luksusów i nie chce, by pomyślał, że nie mamy ładnych nakryć.

Wiktoria nasza nagle ochota, żeby zamiast tego, zrobić w ogrodzie grilla i zjeść indyka z papierowych talerzy. Bo

wygłupiać się tak dla dwudziestosiedmioletniego chłopaka, który i tak miał wejść do ich rodziny? Ale nie, rodzice chcieli się przed nim pochwalić. Harry chętnie zjadłby pewnie ze zwykłego talerza, bo już tak jadał i jakoś nie protestował.

Grace wróciła o północy i natychmiast zaczęła zachwycać się siostrą przyszłego męża, że niby jaka jest cudowna, że ma dwoje cudownych dzieci i że tak miło się z nią rozmawiało. Zupełnie jakby zapomniała, że już się znają. No, ale teraz miały być rodziną. Wiktoria tęskniła za czasami, za rozmową o czymś innym niż tylko o ślubie. I wciąż nie mogła się pogodzić, że będzie musiała włożyć tę brązową suknię. Ale siostrę trudno było ostatnio sprowadzić na ziemię i pogadać z nią o czymś zwyczajnym.

- Może poszłabyś do pracy? - zaproponowała rozsądnie. - Nie musiałabyś myśleć tylko o ślubie.

- Harry by chyba nie chciał - odparła potulnie Grace.

- Grace nie ma czasu - wtrąciła matka. - Jest tyle rzeczy do zrobienia. Nie zamówiliśmy jeszcze zaproszeń i nie odebraliśmy rzeczy z trzech sklepów. Harry chce kupić mieszkanie i Grace musi mu pomóc. Wciąż czekamy na szkice od Very Wang. Oscar de la Renta też robi projekt sukni ślubnej i sukien dla druhen. Nie wybraliśmy jeszcze tortu. Musimy porozmawiać z florystką i z tymi od organizacji przyjęć. Ciągłe szukamy orkiestry. I nie jesteśmy jeszcze pewni co do kościoła. Trzeba też dopasować suknię, poszukać dodatków, pójść do fotografa... W kościele będą pewnie nauki przedślubne. Grace nie miałyby czasu na pracę. Przez cały dzień jest bardzo zajęta.

Wiktoria zmęczyła się już samym słuchaniem. Matka też leciała z nóg. Obydwie harowały jak na pełnym etacie i Wiktoria uważała, że to czysty idiotyzm. Inni pobierali się, pracując, i jakoś nie narzekali. Inni tak, ale nie Grace.

- To musi kosztować fortunę - rzuciła do ojca nazajutrz

rano, kiedy matka piekła indyka. Była w kostiumie od Chanel i w fartuchu. Zrobili się cholernie elegancy. Ona włożyła szare luźne spodnie i biały sweter, uznawszy, że to wystarczy. Zazwyczaj nie stroili się ani nie robili takich przygotowań. Ale odkąd Grace zaręczyła się z Harrym, nastąpiła nowa rzeczywistość. Wiktoria uważała, że to absurdałne i niewłaściwe i nie miała zamiaru się do nich przyłączać.

- Żebyś wiedziała - odparł ojciec. - Ale to bardzo ważna rodzina. Nie chcę, żeby Grace się nas wstydziła. Ale ty tego nie oczekuj - zastrzegł. - Jeśli w ogóle znajdziesz kogoś, kto zechce się z tobą ożenić, lepiej od razu ucieknijcie i pobierzcie się w tajemnicy. Nie dalibyśmy rady.

Wiktoria poczuła się tak, jakby ją spoliczkował. Oto poradził jej uprzejmie, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż, co uważał za mało prawdopodobne, powinna uciec z mężem, gdzie pieprz rośnie, bo nie zamierzali wyprawiać im wesela. Jakie to miłe. Jakie uczciwe. Witaj, obywatelko drugiej kategorii. Oni jechali pierwszą klasą, ona musiała zadowolić się klitką dla obsługi. Zawsze podkreślali, że jest inna, gorsza, że zawiodła na całej linii. Zastanawiała się, dlaczego nie powiesili na jej drzwiach tabliczki z napisem: NIE KOCHAMY CIĘ. Przecież powtarzali to na wszystkie sposoby i przez chwilę żałowała, że w ogóle przyjechała ich odwiedzić. Mogła spędzić święto w Nowym Jorku, z Harlanem i Johnem. Zaprosili znajomych i byłaby tam pewnie milej widziana niż tutaj. Przestała wspominać o ślubie. Temat stawał się coraz bardziej drażliwy, chociaż siostra nie umiała rozinawiać o niczym innym. A gdy w południe przyjechał Harry, zrobiło się jeszcze gorzej.

Wszyscy zaczęli biegać jak poparzeni. Zamiast zwykłego wina ojciec nalewał im szampana. Matka denerwowała się indykiem. Wiktoria pomagała jej w kuchni, Grace i Harry szeptali i chichotali na dworze, a rodzice robili

z siebie durniów. Kiedy wreszcie usiedli do stołu, ojciec wszczął z Harrym dyskusję o polityce. Przyszły zięć wytłumaczył im, dlaczego w Ameryce jest tak źle i jak to trzeba naprawić, a ojciec zgodził się z nim w całej rozciągłości. Ilekroć Grace zaczynała coś mówić, Harry przerywał jej albo kończył za nią. Nie miała prawa głosu. Nie miała prawa wypowiadać się na żaden temat z wyjątkiem ślubu. Nic dziwnego, że mówiła o tym przez cały czas. Harry już wcześniej Wiktorię denerwował, ale teraz, napuszony, przemądrzały i pompatyczny, był po prostu nie do zniesienia. Chciało jej się krzyczeć z wściekłości. Grace udawała głupią, żeby mu się przypodobać, a matka co chwila biegała do kuchni. Przez całe popołudnie nie było ani jednej inteligentnej rozmowy. Po kolacji Wiktoria wyszła na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Była przerażona tym, w co pakowała się siostra. Więc kiedy Grace do niej dołączyła, spojrzała na nią zrozpaczona i powiedziała:

- Słońce ty moje, przecież stać cię na więcej. On nie pozwala ci się odzywać. I ty jesteś z nim szczęśliwa? Po ślubie zaczniesz normalne życie. Jak możesz być z kimś, kto cię tłamsi, kto mówi ci, co masz myśleć?

Grace od razu się zdenerwowała.

- Nieprawda. Harry jest dla mnie cudowny.

- Na pewno. Ale traktuje cię jak odmóżdżoną lalkę. Grace się rozpłakała. Wiktoria chciała ją objąć, ale siostra się odsunęła.

- Jak możesz tak mówić?

- Bo cię kocham i nie chcę, żebyś spieprzyła sobie życie _ wypaliła prosto z mostu Wiktoria. Była szczerą aż do bólu, ale uważała, że to Grace dobrze zrobi.

- Niczego sobie nie spieprzę. Kocham go i on kocha mnie. Jestem z nim szczęśliwa.

- Jest taki sam jak ojciec. Ojciec też nie słucha mamy. Nikt jej nie słucha. Wszystkie słuchamy jego. Mama po

prostu wychodzi na brydża, i tyle. Chcesz być taka jak ona? Powinnaś pójść do pracy. Powinnaś robić coś ciekawego i inteligentnego. Jesteś mądrą dziewczyną. Wiem, że w naszej rodzinie to grzech. Ale w prawdziwym świecie to wielki atut.

- Jesteś zazdrosna - odparła gniewnie Grace. - I wściekasz się o tę suknię. - Mówiła jak nadąsane dziecko.

- Nie wściekam się. Jestem zawiedziona, że każesz mi nosić coś, w czym jest mi koszmar. Ale jeśli to dla ciebie ważne, nie ma sprawy. Wolałabym, żebyś wybrała inną, taką, w której byłoby dobrze nie tylko twoim druhnom, ale i mnie. Ale to twój ślub i ty decydujesz. Po prostu nie chcę, żebyś złożyła na ołtarzu swój umysł, żebyś zamieniła go na złotą obrączkę. To kiepski interes.

- Jesteś wredna! - Grace pomaszzerowała do domu. Wiktoria ustąpiła jej z drogi, zastanawiając się, kiedy

mogłaby wrócić do Nowego Jorku. Chciałaby jak najszybciej, choćby zaraz. Rodzice i siostra byli tak zajęci Harrym i tym ślubnym cyrkiem, że zepsuli jej cały weekend. Weszła do domu i bez słowa wypła z nimi kawę. Grace siedziała na sofie obok narzeczonego. Kilka minut później Wiktoria poszła do kuchni, żeby pomóc matce z naczyniami; były tak delikatne, że trzeba je było zmywać ręcznie. Ojciec został w salonie, żeby porozmawiać z przyszłym zięciem. To był ciężki dzień. Czuła się wśród nich jak w obcej rodzinie. Wszyscy mieli swoje miejsce i rolę - wszyscy oprócz niej. Ona była odmieńcem i wyrzutkiem i było jej z tym bardzo źle.

- Indyk był dobry - powiedziała, wycierając talerz.

- Trochę za suchy. Ale tak się zdenerwowałam, że za długo trzymałam go w piecyku. Gościmy Harry'ego i chciałam, żeby wszystko wypadło jak najlepiej...

Wiktoria miała ochotę spytać ją, dlaczego. Co to za różnica, skoro i tak miał wejść do rodziny. Nie był ani królem,

ani papieżem. Nigdy dotąd tak się nie wygłupiali, dla nikogo.

- Przywykł do luksusu - dodała z uśmiechem matka. - Grace będzie miała cudowne życie.

Wiktoria nie była tego pewna. Nie miała natomiast żadnych wątpliwości, że jeśli Harry będzie ciągle jej przerywał albo mówił za nią, życie siostry zmieni się w piekło. Był przystojny, inteligentny i pochodził z bogatej rodziny, ale ona wolałaby być starą panną, niż wyjść za niego. Uważała, że Grace popełnia straszny błąd. Harry był nieczuły, zadufany, dominujący i pewny siebie, i zamiast darzyć Grace szacunkiem, traktował ją jak ozdóbkę czy zabawkę. Siostra wychodziła za kopię ich ojca, może nawet za kogoś gorszego.

Do wieczora nie powiedziała na ten temat ani słowa więcej, a nazajutrz spróbowała się z nią pogodzić. Umówiły się na lunch U Freda Segala, w swojej ulubionej restauracji. Grace była wciąż urażona i rozżalona, ale w połowie lunchu poweselała i ożywiła się. A Wiktoria była tak zdenerwowana, że zjadła kopiasty talerz spaghetti z zielonym sosem i cały koszyk chleba. Zdawała sobie sprawę, że obżera się tak pod wpływem stresu, ale nie mogła się powstrzymać.

- Kiedy wracasz? - spytała Grace, kiedy zjadły. Wyglądało na to, że już jej wybaczyła, co Wiktoria przyjęła z niejaką ulgą. Nie chciała wyjeżdżać pokłócona.

- Chyba jutro - odrzekła spokojnie. - Mam dużo pracy. Grace nie zaprotestowała. Ona też czuła, że nie mogą się

ostatnio dogadać. Myślała, że powodem tego jest ślub i nerwy, ale Wiktoria wiedziała, że chodzi o coś głębszego i było jej smutno. Czuła, że traci ukochaną siostrzyczkę, że Grace coraz bardziej się od niej oddala, odchodząc do „nich”. Nigdy dotąd nie miała takiego wrażenia, ale teraz przybył Harry, a Harry też był jednym z „nich”.
Zawsze

czuła się jak sierota, ale ostatnio świadomość ta dosłownie ją porażała. Była samotna, tak samotna, że po raz pierwszy bólu nie łagodziło nawet jedzenie. Podczas posiłku z nimi nie zjadła deseru, chociaż bardzo lubiła placek z dynią i bitą śmietaną. Ojciec tego nie zauważył, ale gdyby choć trochę zjadła, na pewno by to skomentował. Wielkość porcji także. Nigdy nie mogła im dogodzić. To było beznadziejne.

Zarezerwowała bilet do Nowego Jorku na sobotę rano. W piątek wieczorem zjadła kolację z rodzicami. Grace była u Harry'ego i Wiktoria zadzwoniła do niej przed wyjazdem. Wszyscy zapraszali ją oczywiście na Boże Narodzenie, ale ona podjęła już decyzję. Nie zamierzała przyjeżdżać na święta. Nic im nie powiedziała, ale czuła, że to nie ma sensu. Nie miała do czego wracać. Chciała przyjechać dopiero na ślub Grace. Boże Narodzenie zamierzała spędzić z Harlanem i Johnem. To tam był teraz jej dom, nie tu. Zrobiła duży krok. Wiedziała, że straciła młodszą siostrę, która przez tyle lat była jej sojuszniczką i która nagle przestała nią być.

Ojciec odwiózł ją na lotnisko, pocałował ją na do widzenia. Patrzyła na niego, czując w sercu zupełną pustkę. Powiedział, żeby na siebie uważała i pewnie mówił szczerze. Podziękowała mu i odeszła, nie oglądając się za siebie. Kiedy samolot wystartował, kiedy Los Angeles zostało daleko w dole, ulżyło jej jak nigdy w życiu. Leciła do Nowego Jorku. Wracała do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Między Świętem Dziękczynienia i Bożym Narodzeniem w szkole zawsze panował chaos, ale bez względu na nawał zajęć, regularnie co tydzień chodziła na ważenie. Uczniowie nie mieli nastroju do pracy. Wszyscy czekali już na ferie i rozmawiali tylko o tym. Wycieczki na Bahamy, odwiedziny u babci w Palm Beach, u krewnych w innych miastach. Narty w Aspen, Vail i Stowe - kilkoro wybierało się nawet do Europy, do Gstaad, Val d'Isère i Courchevel. Tak, to były ferie bogatych dzieci, zimowe wypady do najmodniejszych miejscowości na całym świecie. Ale zaskoczyło ją coś innego. Usłyszała, jak jedna z jej uczennic opowiada o swoich planach. Właśnie się pakowała, rozmawiając z dwiema koleżankami i Wiktoria przypadkowo je podsłuchiwała. Dziewczyna, Marjorie Whitewater, beztrąsko oznajmiła, że w Boże Narodzenie idzie na zmniejszenie piersi. Ojciec zafundował jej operację w charakterze prezentu na gwiazdkę i koleżanki ciekawie ją o to wypytywały. Jedna roześmiała się głośno i powiedziała, że ona też idzie na zabieg, tyle że odwrotny. Na koniec przyszłego roku szkolnego, z okazji ukończenia szkoły, matka obiecała jej implanty. Wszystkie trzy rozmawiały o tym bez najmniejszego zaż-

nowania, jak o czymś zupełnie naturalnym i Wiktoria zrobiła wielkie oczy.

- Ale to chyba boli, prawda?

Nie wytrzymała, po prostu musiała o to spytać. Zmniejszenie piersi: okropnie to brzmiało i wiedziała, że nie zdobyłaby się na to. Bo co, jeśli nie byłaby zadowolona z rezultatu? Przez całe życie narzekała na wielkość swoich piersi, ale pozbyć się ich, a nawet tylko części? Nie, to zbyt drastyczne. Owszem, czasem o tym myślała, ale nie na tyle poważnie, żeby to zrobić.

- Nie jest tak źle, da się wytrzymać - odparła Marjorie. - Moja kuzynka zmniejszyła w zeszłym roku. Wygląda super.

- A ja, gdy miałam szesnaście lat, zrobiłam sobie operację nosa - wtrąciła jej koleżanka. - Rozpoczęła się poważna dyskusja medyczna o plusach i minusach operacji plastycznych wśród nastolatek. Wiktoria była zdumiona ich nonszalancją i wiedzą. - Bolało, ale nowy bardzo mi się podoba. Czasem zapominam nawet, że to nie ten, z którym się urodziłam. Tamtego nie znosiłam.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

- Ja też nie znoszę swego - wyznała nieśmiało Wiktoria. Była zafascynowana tą rozmową. Przyłączyła się do niej zupełnie przypadkowo, ale teraz aktywnie w niej uczestniczyła. - Od zawsze.

- W takim razie powinna pani iść na operację i sprawić sobie nowy - odparła swobodnie ta, która już to zrobiła. - Nie było tak źle. A w zeszłym roku mama zrobiła sobie lifting twarzy.

Wiktoria była jak zahipnotyzowana. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zoperować sobie nos. Czasem mówiła o tym w żartach, ale nigdy na poważnie. Zastanawiała się, ile taki zabieg kosztuje, ale nie chciała o to pytać.

Tego wieczoru zagadnęła Harlana.

- Znasz jakiegoś chirurga plastycznego?

Rzuciła to obojętnym tonem, gdy robili razem kolację. Warzywa i ryba gotowana na parze - ściśle przestrzegała diety i wreszcie zaczynała chudnąć, czego od tak dawna pragnęła.

- Chyba nie. Bo?

- Chcę zoperować sobie nos. - Powiedziała to tak, jakby zamierzała kupić nowy kapelusz czy buty.

Harlan parsknął śmiechem.

- Coś ty? Od kiedy? Nigdy dotąd o tym nie mówiłaś?

- Rozmawiałam dzisiaj z moimi uczennicami. Nie uwierzysz, to chodzące poradniki chirurgiczne. Jedna dwa lata temu sprawiła sobie nowy nos. Druga zmniejsza sobie piersi na gwiazdkę. A trzecia chce wszczepić sobie implanty, za rok, na koniec szkoły. Wygląda na to, że jestem jedyną osobą w szkole, która ma wszystkie oryginalne części. A to są jeszcze młodziutkie siksy - dodała ze zdumieniem.

- Młodziutkie, ale bogate - wtrącił John. - Moi uczniowie nie dostają nowych nosów na gwiazdkę. Ani implantów.

- Nie wiem, ile to kosztuje, ale zastanawiam się, czy nie zafundować sobie nowego nosa na święta. Nie jadę do domu, więc miałabym czas.

- Nie jedziesz? - Harlan był zaskoczony, że Wiktoria zostaje w Nowym Jorku. - Kiedy postanowiłaś?

- W Święto Dziękczynienia. Przez ślub Grace rodzicom zupełnie odwaliło. A ponieważ teraz wspiera ich jeszcze przyszły zięć, nie mam z nimi żadnych szans. Ich jest dużo, a ja tylko jedna. Pojadę dopiero na ślub.

- Powiedziałaś im?

- Jeszcze nie. Powiem przed świętami. No i pomyślałam, że spytam cię o tego chirurga. W szkole było mi niezręcznie.

Harlan nic nie powiedział, ale nazajutrz dał jej nazwiska

trzech chirurgów plastycznych. Dostał je od znajomych, którzy byli zadowoleni z rezultatów zabiegu. Wiktoria bardzo się ucieszyła. Zadzwoniła do nich już następnego dnia. Okazało się, że jednego nie będzie, bo wyjeżdża. Drugi, a raczej druga, doktor Carolyn Schwartz, wyznaczyła jej wizytę na koniec tygodnia. Nazywali to rinoplastyką i powiedziała Harlanowi, że czuje się jak nosorożec przed skróceniem i korekcją rogu.

Była umówiona na piątek. Doktor Schwartz miała jasny, pogodny gabinet przy Park Avenue, niedaleko szkoły, więc po ostatniej lekcji Wiktoria poszła tam piechotą. Był zimny, słoneczny dzień, a ponieważ przez kilka godzin kisiła się w szkole, spacer dobrze jej zrobił.

Doktor Schwartz była miła i młoda. Wyjaśniła, na czym polega zabieg i powiedziała, ile kosztuje. Wiktoria zdziwiła się, że cena jest tak przystępna - z powodzeniem mogła sobie na to pozwolić. Lekarka uprzedziła ją, że przez tydzień będzie miała opuchniętą i posiniąłą twarz, ale że potem wszystko zacznie wracać do normy. A do tego czasu mogła się po prostu mocniej malować. Miała wolny termin zaraz po gwiazdce.

Wiktoria patrzyła na nią przez długą chwilę, w końcu uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

- Dobrze. Zróbmy to. Chcę mieć nowy nos.

Nie była tak podekscytowana od lat. Doktor Schwartz zrobiła jej zdjęcia z profilu i en face, wprowadziła je do komputera i pokazała jej kilka wersji nowego nosa. Wiktoria przejrzała wydruki i oznajmiła, że chciałaby mieć nos podobny do nosa swojej młodszej siostry, żeby chociaż pod tym względem przestać wreszcie odstawać od rodziny. Lekarka zasugerowała kilka modyfikacji, żeby nos lepiej pasował do twarzy. Wiktoria obiecała podrzucić jej za tydzień kilka zdjęć Grace i po powrocie do domu przejrzała te, które miała. Zawsze uważała, że siostra ma śliczny nosek

w przeciwieństwie do niej, bo jej wyglądał jak nos szmacianej lalki. Lekarka bardzo się z tego śmiała i powiedziała, że wcale nie jest taki straszny, ale można go trochę poprawić. Jeszcze raz pokazała kilka wersji na ekranie monitora i Wiktoria była zachwycona. Wszystkie były ładniejsze od tego, który miała.

Wychodząc z gabinetu, niemal płynęła w powietrzu. Nos, którego przez całe życie tak bardzo nienawidziła, z którego naśmiewał się ojciec, ten koszmarny nos miał wreszcie zniknąć. Żegnaj, nosie!

Wróciła do domu i od razu powiedziała o tym Harlanowi i Johnowi. Byli zdumieni, że tak szybko podjęła decyzję i że ma już wyznaczony termin zabiegu. Jedyнным problemem było to, że ktoś musiał odebrać ją potem ze szpitala. Spojrzała na nich z cichą nadzieją, John zapewnił ją, że to żaden kłopot, bo on też będzie miał ferie.

Rozmawiała z doktor Schwartz i o liposukcji, która wydawała się rozwiązaniem łatwiejszym niż jakakolwiek dieta, no i oczywiście dużo szybszym i skuteczniejszym. Ale kiedy lekarka wytłumaczyła, na czym ten zabieg polega, Wiktoria uznała, że jest bardziej nieprzyjemny, niż myślała, i postanowiła zostać tylko przy nosie.

Ostatnie dni szkoły były jak zwykle pełne napięcia i przedświątecznego podniecenia. Musiała przycisnąć uczniów, żeby napisali wszystkie zaległe wypracowania i oddali do oceny. Nieustannie przypominała im również, że podczas ferii powinni solidnie popracować nad końcowymi esejami, choć dobrze wiedziała, że jedni to zrobią, a inni nie, i że w styczniu w szkole będzie istny dom wariatów, bo wszyscy muszą skończyć je przed wyznaczonym przez uczelnię terminem.

Mieli też mały dramat, bo jednego z uczniów przyłapano na braniu narkotyków. Wziął w toalecie „ścieżkę” koki i ktoś na niego doniósł. Wezwano rodziców i został zawie-

szony. Dyrektor załatwiał to osobiście i rodzice zgodzili się wysłać syna na miesięczny odwyk. Wiktoria cieszyła się, że nie był to jej uczeń i że nie musiała się w to mieszać. Bała się takich rzeczy. Wystarczy jej kłopotów z własnymi podopiecznymi. Przez cały czas miała też oko na Amy Green, która świetnie sobie radziła. Ciężko było widać i wiedziała, że jeszcze długo nie będzie. Jak dotąd wszystko szło bardzo dobrze.

Tydzień przed świętami powiedziała w końcu rodzicom, że nie przyjeżdża. Byli ponoć zawiedzeni, chociaż nie odniosła takiego wrażenia. Pochłaniał ich ślub Grace i Wil-kesowie, którzy przed wyjazdem na narty do Aspen zaprosili ich na kolację.

Zaraz potem zadzwoniła Grace. Szczerze się zdenerwowała, że siostra nie przyjeżdża i żeby się usprawiedliwić, Wiktoria zdradziła jej, że chce zrobić sobie operację nosa. Grace była bardzo zaskoczona, ale i rozbawiona.

- Coś ty, naprawdę? Ale dlaczego? Nie bądź niemądra. Uwielbiam twój nos.

- Ale ja go nie znoszę. To nos babki ojca. Prześladował mnie przez całe życie i mam go dość.

- Ale jaki chcesz mieć? - spytała Grace, zaskoczona i zła, że siostra nie przyjedzie. Ale teraz rozumiała ją dużo lepiej.

- Swoj własny. Zindywidualizowaną wersję twojego i mamy. Grace wybuchnęła śmiechem.

- Wybrałyśmy go z komputera - dodała Wiktoria. - Pasuje do mojej twarzy lepiej niż ten, który mam.

- Będzie bardzo bolało?

Jej szczerą troską wzruszyła Wiktoria. Grace była jedyną osobą, która martwiła się o nią bez względu na wszystko.

- Nie wiem. Uśpią mnie.

- A potem.

- Dostanę tabletki przeciwbólowe i przez kilka tygodni będę miała siniaki. A przez kilka miesięcy będę opuchnięta, ale lekko, prawie niezauważalnie. Nie miałam niczego w planie, więc to dobry moment. Chcę to zrobić zaraz po świętach.

- Sylwestra szlag trafi - skonstratowała ze współczuciem Grace.

- Przestań - odparła ze śmiechem Wiktoria. - I tak nigdzie bym nie poszła. Zostanę w domu. Harlan i John jadą na narty do Vermont. Nic mi nie będzie, poradzę sobie. Jak chcesz, możesz dotrzymać mi towarzystwa.

- Wyjeżdżam z Harrym do Meksyku - odparła przeprasząco Grace.

- No to cieszę się, że zostaję w Nowym Jorku.

- Przyślij mi zdjęcie swego nowego nosa. Jak już siniaki zejną.

Porozmawiały jeszcze przez chwilę, a potem, korzystając z dobrego nastroju, Wiktoria poszła na siłownię. Na dworze było strasznie zimno, ale nie chciała wypaść z rytmu. Na razie trzymała się całkiem nieźle, codziennie korzystała nawet z domowego bieżnika.

Doktor Schwartz uprzedziła ją, że po operacji nie będzie mogła ćwiczyć, dlatego postanowiła zrzucić jak najwięcej już teraz, na zapas. Nie chciała przytyć, niańcząc swój nowy nos.

Kiedy dochodziła do siłowni, zaczął padać śnieg i w mieście zrobiło się jak w święta. Pojawiły się już pierwsze choinki, oni też zamierzali kupić drzewko w najbliższy weekend. Harlan i John zaprosili znajomych i mieli je razem ubierać. Myślała o tym, wytrwale pedałując na rowerku, gdy wtem tuż obok, na sąsiednim rowerze, zauważyła przystojnego, świetnie zbudowanego mężczyznę. Rozmawiał z piękną dziewczyną, która ćwiczyła po jego lewej stronie. Wiktoria gapiła się na nich jak zahipnotyzowana.

Tworzyli śliczną parę, dużo się śmiali i świetnie się ze sobą dogadywali. Robili wrażenie tak dobrze zgranych, że przez krótką, samotną chwilę zazdrościła im tego związku. Była w słuchawkach, więc nie słyszała, o czym rozmawiają, ale patrzyli na siebie tak czule i ciepło, że aż serce jej się ścisnęło. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby ktoś patrzył tak na nią.

Mężczyzna, barczysty, o długich nogach i ładnych rękach, miał przenikliwe niebieskie oczy, ciemne włosy, kwadratową szczękę i podbródek z głębokim dołeczkiem. Zmieszła się, kiedy spojrzał na nią z uśmiechem. Musiał wyczuć, że się na niego gapi, więc szybko odwróciła głowę. Ale kątem oka zauważyła, że patrzył na jej nogi, kiedy zsiadała z roweru. Ona była w legginsach i bluzie od dresu, on w podkoszulku i szortach gimnastycznych. Pomyślała, że towarzysząca mu kobieta musi czuć się z nim bardzo bezpiecznie, skoro nie zdenerwowało jej takie zachowanie. Wydawało się, że w ogóle jej to nie przeszkadza. Wiktoria uśmiechnęła się do niego i wyszła z sali. Nie mogła się już doczekać ferii i operacji. Żałowała, że nie będzie mogła przychodzić na siłownię, ale przyrzekła sobie, że kiedy wszystko się wreszcie zagoi, będzie ćwiczyła dwa razy więcej. Szczuplejsza i silniejsza, z ładniejszym, kształtniejszym nosem, rozpocznie nowe życie. Tego wieczoru wracała do domu uśmiechnięta i pełna nadziei.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Boże Narodzenie spędziła z Harlanem i Johnem i chociaż brakowało jej siostry, cieszyła się, że nie musi nigdzie wyjeżdżać ani znosić przedślubnych hysterii. Chociaż ślub był dopiero za pół roku, wszyscy świrowali na potęgę, zwłaszcza ojciec i matka. Pierwszy raz w życiu spędzała święta bez nich. Czuła się dziwnie, ale była spokojna i zadowolona.

W Wigilię wymieniła się prezentami z Harlanem i Johnem, a potem poszli na pasterkę do katedry Świętego Patryka. Tradycje się nie zmieniały, zmieniały się tylko miejsca i ludzie. Chociaż nie byli zbyt religijni, piękna, podniosła msza bardzo ich wzruszyła. Wróciwszy do domu, wypili herbatę w kuchni i poszli spać. Następnego dnia kilka razy rozmawiała z siostrą. Grace nieustannie kursowała między domem rodziców i Wilkesów. A od narzeczonego dostała pod choinkę brylantowe kolczyki, podobno cudowne.

Wieczorem dopadły ją nerwy i przez cały czas myślała o tym, co będzie nazajutrz. Dostała dokładne zalecenia. Od północy nie mogła jeść ani pić. Nigdy dotąd nie miała operacji i nie bardzo wiedziała, czego oczekiwać, oczywiście

z wyjątkiem ładnego nosa, ładnego, a przynajmniej ładniejszego od tego, którego przez całe życie nienawidziła. Nie mogła się już doczekać. Wiedziała, że nie stanie się nagle uosobieniem piękna doskonałego, ale wiedziała również, że będzie inna, że to, czego przez tyle lat tak bardzo się wstydziła, co przez tyle lat tak bardzo ją drażniło, nareszcie zniknie. Ciągłe spoglądała w lustro, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądała. Już teraz czuła się trochę inaczej i lepiej. Wyzbywała się, a przynajmniej próbowała wyzbyć się rzeczy, które ją unieszczęśliwiały, i była z siebie dumna, że po raz pierwszy spędziła Boże Narodzenie poza domem. Święto Dziękczynienia za bardzo zalało jej za skórę. A święta, które spędziła w Nowym Jorku z przyjaciółmi, były miłe i ciepłe.

Myślała o tym z głębokim smutkiem, ale nie wytrzymała już z rodzicami. W sposób jawny, częściowo ukryty i całkowicie zakamuflowany przesyłali jej ciągle tę samą wiadomość: „Nie kochamy cię”. Od lat próbowała się z tym uporać i nie mogła. Ale dość tego, nie chciała już płakać. Był to jej pierwszy krok ku pełnemu zdrowiu. Drugim była operacja. Operacja miała dla niej głębokie znaczenie psychologiczne. Przecież nikt nie skazał jej na wieczną brzydotę i pośmiewisko. Nareszcie wzięła życie w swoje ręce.

Wstała wcześniej i przed wyjściem długo chodziła nerwowo po mieszkaniu. Zastanawiała się, jak będzie się czuła po powrocie do domu. Miała nadzieję, że nie tak źle. Ze nie będzie zwijała się z bólu i jakoś to zniesie. O szóstej z duszą na ramieniu wsiadła do taksówki. Gdyby chodziło o coś innego, pewnie by się wycofała i wszystko odwołała. Chirurgia, szpital jednodniowy - przerażona otworzyła podwójne drzwi i poczuła się tak, jakby wessała ją dobrze naoliwiona machina. Ktoś ją powitał i dał jej do podpisania jakieś dokumenty, ktoś inny włożył jej na rękę plastikową opaskę z identyfikatorem. Pobrano jej krew, zmierzono ciś-

nienie, osłuchano serce. Przyszedł anestezjolog, który zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze, że Wiktoria błyskawicznie zaśnie i niczego nie poczuje. Spyтали, czy jest na coś uczulona. Potem ją zważyli, dali szpitalną koszulę i żeby zapobiec skrzepom, kazali włożyć elastyczne pończochy - sięgały ud i zabawnie się w nich czuła - co było dziwne, bo przecież mieli operować nos, a nie kolana czy stopy. Ważenie było okropne, bo chociaż się uparła, żeby zdjąć przedtem buty, okazało się, że przytyła prawie półtora kilograma. Wojna z kaloriami wciąż trwała.

Pielęgniarki i technicy przychodzili i wychodzili. Ktoś założył jej wenflon i zanim się spostrzegła, leżała już na stole operacyjnym. Doktor Schwartz uśmiechnęła się do niej i poklepała ją po rękę, anestezjolog zaczął coś mówić i nagle zasnęła. Potem nie działo się nic, nie wiedziała jak długo. Ale w końcu ocknęła się, koszmarnie zamoczona, słysząc, jak ktoś bez końca powtarza jej imię.

- Wiktorio - słyszała jak zza ściany. - Wiktorio... Wiktorio? Wiktorio... Wiktorio?

Próbował ją obudzić, ale ona marzyła tylko o tym, żeby się wreszcie zamknął i pozwolił jej spać.

- Hmm... Co?

- Już po operacji.

Znowu zasnęła, a potem ktoś włożył jej do ust słomkę i kazał pić. Wypiła łyk i zaczęła powoli odzyskiwać świadomość. Miała oblepioną plasterkami twarz, czuła się dziwnie, ale nic ją nie bolało. Jeszcze potem dali jej tabletki przeciwbólowe. Przez cały dzień to zasypiała, to się budziła. I bardzo pilnowali, żeby było jej ciepło. W końcu powiedzieli, że jeśli chce wrócić do domu, musi się wziąć w garść i obudzić na dobre. Podnieśli oparcie łóżka, a wtedy znowu ucięła sobie drzemkę. Potem poczuła w ustach smak galaretki, otworzyła oczy i zobaczyła, że przy łóżku stoi Harlan. John się przeziębził i nie mógł przyjechać.

- Cześć... - Spojrzała na niego zdziwiona. Czowała się jak na tęgiej bani. - Co ty tu robisz? Aaa... tak. Idę do domu -dodała przepraszająco.
- Wychodzę...

Harlan uśmiechnął się szeroko.

- Kurczę, nie wiem, co ci dali, ale też chcę spróbować.
Roześmiała się i poczuła ostre ukłucie bólu w okolicy

nosa. Jeszcze tego nie wiedziała, ale miała obandażowaną głowę i wyglądała jak w masce hokejowej. Przez cały dzień okładali jej twarz lodem. Harlan wyszedł na korytarz i pielęgniarka pomogła jej się ubrać. Wyjechała z pokoju na wózku. Wciąż była bardzo śpiąca.

- Jak wyglądam? Mam ładny nos?

- Boski - odparł Harlan, uśmiechając się do pielęgniarki. Ona też się uśmiechnęła; była przyzwyczajona do zamroczonych pacjentów.

Wiktoria miała na sobie spodnie od dresu i rozpinaną bluzę. Kazali jej taką włożyć, żeby nie musiała wciągać niczego przez głowę. Była już bez pończoch, w butach i skarpetkach, elastyczna przepaska podtrzymywała zmierzwione włosy. W domu mogło ją boleć, więc na wszelki wypadek dostała zapas tabletek. Harlan zostawił ją na chwilę z pielęgniarką, poszedł złapać taksówkę i niecałą minutę później był już z powrotem. Wiktoria ze zdumieniem spostrzegła, że na dworze jest ciemno. Dochodziła szósta -spędziła w szpitalu prawie dwanaście godzin. Pielęgniarka zawiozła ją do taksówki i Harlan pomógł jej wsiąść. Pielęgniarka poradziła, żeby raczej jej nie podnosił, „bo to duża dziewczynka”. Miał nadzieję, że Wiktoria tego nie słyszała. Nie znosiła tego określenia. Prześladowało ją jak bolesna mantra od dzieciństwa. Nie chciała być „dużą dziewczynką” i jako dziecko, i jako dorosła kobieta.

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

- Co ona powiedziała?

- Że wyglądasz jak po dwutygodniowej balandze i że chciałyby mieć twoje nogi.

Wiktoria kiwnęła głową.

- Jasne - odparła poważnie. - Wszyscy tak mówią. Ładne nogi i wielki tyłek.

Taksówkarz uśmiechnął się do nich w lusterku. Harlan podał mu adres. Mieli niedaleko, mimo to zdążyła zdrzemnąć się z głową na jego piersi, a raz nawet zachrapała. Nie wyglądała zbyt romantycznie, ale on kochał ją i tak. Była jego najlepszą przyjaciółką. Kiedy przyjechali na miejsce, obudził ją i powiedział:

- No, śpiąca królewno. Zamek na horyzoncie. Rusz swój wspaniały tyłek.

Nie mieli wózka, ale jakoś sobie poradziła. Była trochę zdezorientowana i oszołomiona. Harlan zaprowadził ją do windy, a kiedy weszli do mieszkania, posadził na sofie, żeby zdjąć palto i pomóc jej się rozebrać. Z sypialni wyszedł John w szlafroku i uśmiechnął się na jej widok. Z zabandażowaną twarzą, z dwiema dziurami na oczy i szyną na nosie wyglądała jak kosmitka, ale nie skomentował tego z nadzieją, że Wiktoria nie spojrzy w lustro. Wcześniej miała w nosie waciki, ale prawie wcale nie krwawiła; pielęgniarka wyjęła je, zanim ją wypisano.

- Zostaniesz tutaj? - spytał łagodnie Harlan. - Czy wolisz do łóżka?

Wiktoria długo się zastanawiała.

- Do łóżka... Jestem śpiąca.

- I głodna?

- Nie. Ale chce mi się pić... - Oblizwała usta. Były całe w wazelinie. - I zimno mi. - W szpitalu leżała pod grubym, ciepłym pledem i żałowała, że takiego nie ma.

Tak jak mu kazano, Harlan dał jej szklanekę soku jabłkowego ze słomką; przed wyjściem zaopatrzone go w plik

szczegółowych wskazówek i zaleceń. Potem zaprowadził ją do pokoju, pomógł jej się rozebrać, włożyć piżamę i pięć minut później zasnęła z głową na stercie poduszek, a on wrócił do salonu.

- Chryste, jakby wpadła pod pociąg - szepnął John.

- Wie, że jest posiniaczona i opuchnięta. Jutro będzie miała podbite oczy, ale jest szczęśliwa, a jeśli nie, to na pewno będzie. Chciała mieć nowy nos, i ma. Dla nas to nic, ale ona odżyje teraz psychicznie, więc czemu nie?

John się z nim zgodził. Wieczór spędzili na sofie. Obejrzelili dwa filmy. Harlan co chwila zaglądał do pokoju Wiktorii. Spała głęboko, cichutko mruczając i pochrapując. Pod warstwą bandażu miała nowy nos, o którym tak marzyła. Święty Mikołaj przyniósł go jej na gwiazdkę z dwudniowym opóźnieniem. Podarunku tego pragnęła niemal od urodzenia.

Nazajutrz czuła się tak, jakby przez cały rok jeździła na rodeo. Bolało ją całe ciało, była zmęczona i wciąż lekko oszołomiona, niczym po narkotyku. Nos pulsował tępym bólem. Postanowiła wziąć tabletkę, ale najpierw chciała zjeść śniadanie, żeby nie zrobiło jej się niedobrze. Odruchowo otworzyła zamrażarkę i właśnie patrzyła na lody, kiedy do kuchni wszedł Harlan.

- Ani mi się waż - powiedział niczym głos sumienia. -Pamiętaj, że masz teraz fantastyczny nos. Nie szalej. - Zamknął zamrażarkę, otworzył lodówkę i podał jej sok jabłkowy. - Jak się czujesz?

- Tak sobie. W sumie chyba nieźle. Jestem trochę otumaniona. I trochę mnie boli. Wezmę proszki i pójdę spać. -Pilnowała się, żeby z niczym nie przesadzić. Opuchlizna była większa niż poprzedniego dnia, ale uprzedzono ją, że to normalne.

- Dobry pomysł. - Harlan zrobił jej grzankę z razowego chleba z niskokaloryczną pastą serową. - Usmażyć ci jajko?

Wiktoria pokręciła głową. Musiała teraz ściśle przestrzegać diety, zwłaszcza że nie mogła chodzić na siłownię.

- Dzięki, że się mną zająłeś. - Spróbowała się uśmiechnąć, ale miała plastry na twarzy. Czuła się jak człowiek w żelaznej masce i nie mogła się już doczekać, kiedy je zdejmie. Denerwowały ją i bała się spojrzeć w lustro. Ilekroć wchodziła do swego pokoju czy szła do łazienki, celowo odwracała głowę. Nie chciała się przestraszyć, a wiedziała, że może, zresztą i tak nie zobaczyłaby nosa. Był mocno obandażowany i ukryty pod szyną.

Przez dwa dni spała i snuła się po mieszkaniu. Było cicho i spokojnie. Nie miała żadnych planów, a ponieważ wciąż były ferie, mogła trochę poleniuchować. Harlan wypożyczał dla niej filmy, godzinami oglądała telewizję i przez pierwszych kilka dni bolała ją głowa. Rozmawiała przez telefon z Helen, ale nie chciała widzieć nikogo oprócz Har-lana i Johna. Nie była jeszcze gotowa i bała się, że wygląda koszmarnie. Ale do sylwestra ból złagodniał na tyle, że nie musiała już brać tabletek. Harlan i John pojechali do Vermont na narty, więc została sama i spędziła wieczór przed telewizorem, ciesząc się swoim nosem, chociaż jeszcze go nie widziała. Zadzwoiła do niej Grace z Meksyku. Zatrzymała się w hotelu Palmilla w Cabo, z Harrym i jego przyjaciółmi, i świetnie się bawiła. Jako jego narzeczona i przyszła żona wiodła teraz życie usłane różami. Wiktoria jej nie zazdrościła, bo nie chciałyby z nim być, ale siostra rozpływała się z zachwytu.

- Jak twój nowy nos? - spytała.

Dzwoniła kilka razy, a nawet przysłała jej kwiaty, co było urocze i wzruszające. Rodzice nie wiedzieli o operacji; Wiktoria im nie powiedziała. Była pewna, że tego nie pochwalą i że znowu zaczną się nietaktowne komentarze. Grace zgodziła się dochować tajemnicy.

- Jeszcze go nie widziałam. Bandaże zdejmą mi dopiero

za tydzień. Nie licząc opuchlizny i siniaków, podobno ma być nieźle. Za dwa, trzy tygodnie powinnam wyglądać normalnie, będę tylko zmęczona. A siniaki zawsze można ukryć pod makijażem. - Po zdjęciu bandażu i szwów miała mieć na nosie tylko mały plaster, nic więcej. - Co u ciebie? Dobrze się bawisz? - Nagle bardzo zatęskniła za swoją młodszą siostrzyczką.

- Fantastycznie! - odparła uszczęśliwiona Grace. -Mamy niesamowity apartament.

- Jako pani Wilkes będziesz okropnie rozpuszczona -zażartowała Wiktoria. Nie czuła najmniejszej zazdrości. Pod wieloma względami wolała swoje życie i pracę. Przynajmniej nikt nie mówił jej, co ma myśleć i kiedy się odzywać. Nie zniosłaby tego. Ale Grace chyba to nie przeszkadzało, pod warunkiem, że tym kimś był Harry. Zawarła taki sam pakt z diabłem jak ich matka, i Wiktorii było żal ich obydwu.

- Wiem - zachichotała nerwowo siostra. - Ale uwielbiam to. Dobrze, odezwij się, kiedy zdejmą ci bandaż.

- Na pewno zadzwonię.

- Twój stary nos też był w porządku - powtórzyła Grace. W sumie nie był taki straszny, tyle że za bardzo okrągły.

- Ale nowy będzie ładniejszy! - odparła wesoło Wiktoria. - Dobrze się baw. Kocham cię i... szczęśliwego Nowego Roku!

- Tobie też. Mam nadzieję, że dla ciebie też będzie dobry. Odłożyła słuchawkę, usiadła wygodniej i puściła sobie

kolejny film. Północ przespała. Był to bardzo spokojny sylwester, ale nie miała nic przeciwko temu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Osiem dni później doktor Schwartz zdjęła bandażę i oznajmiła, że jest zadowolona z rezultatów operacji. Wszystko ładnie się goiło. Wiktoria, która zdobyła się wreszcie na odwagę, by spojrzeć w lustro, uważała, że wygląda koszmarnie, ale czego nie robi się dla dobra sprawy. Ani przez chwilę nie żałowała, że poszła na zabieg i na widok nowego nosa wpadła w zachwyt, mimo sińców i lekkiej opuchlizny. Lekarka pokazała jej miejsca, w których należało oczekiwać dalszej poprawy, ale ogólnie rzecz biorąc, nos wyglądał świetnie i Wiktoria aż zapiszczała z radości. Chirurg odwalił kawał fantastycznej roboty. I pacjentka była szczęśliwa. Powiedziała, że już teraz czuje się jak nowo narodzona.

Jedyną szokującą rzeczą była wielkość zasinień. Oczywiście uprzedzono ją, że będą rozległe, ale nie spodziewała się, że aż takie. Miała dwa potężne sińce pod oczami i fioletowe przebarwienia niemal na całej twarzy. Ale doktor Schwartz zapewniła ją, że to zupełnie normalne, zasinienia wkrótce znikną i poradziła jej popracować nad zmyślniejszym makijażem. Do końca ferii powinna wyglądać całkiem przyzwoicie, z każdym dniem coraz lepiej, bo opuchlizna będzie powoli schodziła, a po sińcach nie zostanie ani

śladu. Za kilka miesięcy wszystko wróci do normy. Okleiła plastrem grzbiet nosa i odesłała ją do domu. Powiedziała, że Wiktorja może prowadzić normalne życie, z pewnymi ograniczeniami oczywiście. „Proszę nie uprawiać akrobatycznych skoków spadochronowych - zażartowała - nie grać w piłkę wodną ani w futbol. Żadnych sportów kontaktowych”. Kazała jej zachować zdrowy rozsądek i nie robić niczego, co mogłoby nadwreżyć okolice nosa, ale tak, pozwoliła jej chodzić na siłownię, chociaż zaznaczyła, że powinna ćwiczyć z umiarem. Nie dźwigać ciężarów, nie pływać ani nie biegać. Przez cały tydzień było bardzo mroźnie, więc biegać i tak nie zamierzała. Nie mogła również uprawiać seksu, chociaż w jej przypadku nie stanowiło to żadnego problemu.

Była tak szczęśliwa, że po drodze do domu kupiła sobie dużą sałatkę i zjadła ją w kuchni. Podczas rekonwalescencji trochę schudła, bo dużo spała i prawie nic nie jadła - tabletki przeciwbólowe zabiły apetyt - no i oczywiście całkowicie zrezygnowała z lodów, które Harlan na wszelki wypadek wyrzucił. „Zapasik” - tak je nazywał. W trudnej batalii o utrzymanie wagi „zapasik” zawsze resetował ją do ustawień fabrycznych.

Zjadła i w legginsach, szortach, starej bluzie z college'u, ciepłej kurtce i starych, dobitych adidasach do biegania poszła piechotą do siłowni. Zapowiadano śnieg, dzień był rześki i słoneczny.

Wpisała się na listę, weszła do sali i postanowiła pojeździć na rowerku - ponieważ nie ćwiczyła od tygodnia, nastawiła pedały na najmniejszy opór, żeby nie przesadzić. Włożyła słuchawki, puściła muzykę i rytmicznie pedałując, zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero po dziesięciu minutach, by ze zdumieniem spostrzec, że na sąsiednim rowerze siedzi ten sam przystojny mężczyzna, którego widziała przed świętami. Tym razem był sam, bez tamtej pięknej

kobiety, i patrzył na nią. Nie wiedziała dlaczego - zapomniała, jak wygląda jej twarz, że jest posiniaczona i lekko opuchnięta - a kiedy sobie przypomniała, spłoszyła się i zawstydzila. Ale on patrzył na nią nie z głupią ciekawością, tylko z bolesnym współczuciem. Coś powiedział, więc zdjęła słuchawki. Miał opaloną twarz, jakby właśnie wrócił z nart, i znowu uderzyło ją, że jest taki przystojny.

- A jak wygląda tamten facet? - zażartował. Uśmiechnęła się aż nadto świadoma, że wciąż ma podbite oczy i siną twarz. Zastanawiała się, czy wie dlaczego. Nagle spoważniał i dodał: - Przepraszam, to było głupie. - Wskazał jej twarz. - Musi panią bardzo boleć. Co to było? Wypadek? Samochód? Czy narty?

Zmieszana Wiktoria zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. „Operacja nosa” - to zabrzmiałoby jeszcze gorzej, wyszłaby na zupełną idiotkę.

- Samochód - skłamała, nie przestając pedałowac.

- Tak myślałem. Zapięte pasy czy poduszka powietrzna? To nie do wiary, jak łatwo złamać sobie nos na poduszce. Znam kilku takich, którzy doświadczyli tego na własnej skórze.

Wiktoria bez słowa kiwnęła głową, czując się naprawdę głupio.

- Mam nadzieję, że go pani pozwała - dodał ze współczuciem, z góry zakładając, że to nie ona spowodowała wypadek. - Przepraszam, jestem prawnikiem. To zboczenie zawodowe: pozywam do sądu, kogo tylko się da. Ale naszymi drogami jeździ tylu pijanych i tylu kierowców, którzy nie mają pojęcia o prowadzeniu samochodu, że rasa ludzka już dawno powinna wyginąć. Miała pani szczęście.

- To prawda - odparła Wiktoria i pomyślała: jasne, mam nowy nos.

- Byłem z siostrą w Vermont, na nartach. Niedawno wróciłem. To ta dziewczyna, którą tu pani ostatnio widzia-

ła. Biedaczka jeździła sobie spokojnie, pilnując swego nosa i co? Wpadł na nią jakiś snowboardzista i złamał jej rękę. Pojechała ze mną, żeby trochę odpocząć, a wróciła w gipsie. Zwijała się z bólu, ale dzielnie to zniosła.

Wiktoria osłupiała. A więc ta piękna kobieta była jego siostrą? W takim razie gdzie zgubił żonę? Zerknęła na jego rękę. Nie miał obrączki, ale to nic nie znaczyło, bo wielu mężczyzn jej nie nosiło. Zresztą, nawet gdyby nie był żonaty i nie miał dziewczyny, nie wyobrażała sobie, żeby chciało mu się do niej zagadywać. Zgoda, miała nowy nos, ale wciąż była „dużą dziewczynką”, z nosem czy bez.

Wskazał jej bluzę.

- Northwestern? Moja siostra tam studiowała.

- Ja też - wychrypiała z trudem. Zaschło jej w gardle i nie miało to nic wspólnego z operacją. Była zbyt oszołomiona, żeby normalnie mówić.

- Świetny college. Tylko pogoda do bani. Urodziłem się na Środkowym Zachodzie, ale czym prędzej stamtąd uciekłem. Ukończyłem Duke'a.

Kiwnęła głową. Uniwersytet Duke'a w Karolinie Północnej był jedną z najlepszych i najbardziej prestiżowych uczelni w kraju. Pomagała swoim uczniom się tam dostać.

- Mój brat ukończył Harvard. Rodzice wciąż się tym chwalą. Ja się nie dostałem - dodał z uśmiechem. - Poszedłem na prawo, no i wylądowałem tutaj. A pani? Pochodzi pani z Nowego Jorku?

Mówił, zagadywał ją, swobodnie gawędził. Wciąż pedałowali na rowerach i Wiktoria pomyślała, że to czysty surrealizm: siedziała obok wystrzałowego faceta, który opowiadał jej o swojej rodzinie, pracy, o swoich rodzinnych stronach i o to samo wypytywał ją. Zachowywał się tak, jakby miała zupełnie normalną twarz, bez podbitych oczu i sinych policzków. Jakby była ładna. Pewnie miał zaćmę.

- Nie, z Los Angeles - odparła. - Przeprowadziłam się tu po college'u. Jestem nauczycielką. Uczę w prywatnej szkole.

- Ciekawa praca. Małe dzieci czy duże?

- Duże. Czwarte klasy ogólniaka. Potrafią zaleźć za skórę, ale bardzo ich lubię. - Uśmiechnęła się z nadzieją, że nie wygląda jak upiór. Ale jemu sińce albo nie przeszkadzały, albo ich nie widział.

- Trudny wiek, coś o tym wiem. W ogólniaku dałem rodzicom do wiwatu. Dwa razy podprowadziłem ojcu samochód i dwa razy go rozbiłem. W Illinois często jest gołoledź, więc to nic trudnego. Miałem szczęście, że jakoś z tego wyszedłem.

Wychował się na przedmieściach Chicago i domyśliła się, że raczej na tych bogatych. Chociaż był w zwykłej bluzie i szortach, robił wrażenie dobrze sytuowanego. Dobrze ostrzyżony, elokwentny, wytworny, na rękę kosztowny złoty zegarek. Ona wyglądała przy nim jak włóczęga - zawsze chodziła tak na siłownię - poza tym od ponad tygodnia nie była u manikiurzystki. Była to jedna z nielicznych przyjemności, jakich nie mogła sobie odmówić, ale od operacji prawie nie wychodziła z domu. Nie chciała nikogo przestraszyć, tłumaczyć się z bandaży, nie chciała, żeby ktoś się na nią gapił. No i proszę: nieuczesana, z zaniedbanymi paznokciami wylądowała tuż obok najprzystojniejszego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek widziała.

Rowerki zatrzymały się niemal jednocześnie. Kiedy zsiadli, powiedział, że idzie do łaźni i z ciepłym uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

- Collin White.

- Wiktoria Dawson.

Uścisnęli sobie dłonie, potem ona wzięła swoje rzeczy, a on odszedł, przystając na chwilę, żeby porozmawiać ze znajomym. Myślała o nim w drodze do domu. Wysięk do-

brze jej zrobił i czuła się znakomicie. I miło się jej rozmawiało. Miała nadzieję, że jeszcze się spotkają.

Doktor Schwartz miała rąkę: do końca ferii sińce prawie zeszły, a to, co zostało, łatwo mogła ukryć pod makijażem. Oczy wciąż były lekko podkrążone, ale poza tym wyglądała bardzo ładnie. No i opuchlizna wreszcie zniknęła. Nie całkiem, ale prawie. Uwielbiała swój nowy nos. Czuła się tak, jakby przeszczepiono jej zupełnie inną twarz. Nie mogła już doczekać się czerwca, żeby pokazać się rodzicom i zobaczyć ich reakcję. Jeśli w ogóle coś zauważą. Ale dla niej różnica była kolosalna.

Właśnie skończyła ostatnią tego dnia lekcję - sześcioro uczniów nie dopracowało jeszcze końcowego eseju i musiała im pomóc, bo zaczęli wpadać w panikę - kiedy zauważyła, że trzy dziewczyny zostały w klasie i o czymś rozmawiają. Była wśród nich Marjorie Whitewater, która w święta miała zmniejszyć sobie piersi, a towarzyszyły jej dwie najlepsze przyjaciółki, te same, co wtedy. Nigdy się nie rozstawały i wszędzie chodziły razem.

- Jak poszło? - spytała ostrożnie; nie chciała być wścibska. - Bardzo bolało?

- Nie, było ekstra! - W klasie nie było chłopców i dziewczyna podwinęła bluzę, pokazując stanik. - Teraz są odjazdowe! Żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej. - Nagle zmrużyła oczy i przyjrzała się jej tak, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. I w sumie tak było, bo pierwszy raz widziała jej nowy nos. - O mój Boże! Pani też! Super! - Wpatrywała się w jej twarz, dwie pozostałe dziewczyny poszły za jej wzrokiem. - Jest świetny! - wykrzyknęła. - Naprawdę!

Wiktoria zaczerwieniła się po czubki włosów.

- Widać, że...

- Tak... Nie. To znaczy, przedtem też był ok, ale widać

delikatną różnicę. I właśnie tak powinno być. Nie chodzi o to, żeby ludzie od razu widzieli i krzyczeli: o, masz nowy nos! Cała sztuka polega na tym, żeby wyglądać ładniej i żeby nikt nie wiedział dlaczego. Ma pani naprawdę śliczny nos! Ale niech pani uważa, można się od tego uzależnić. Moja mama wpadła w nałóg. Redukcja podbródka, botoks, piersi, liposukcja. Teraz chce zrobić sobie uda i łydki. A ja cieszę się z nowego biustu!

- A ja z nosa - powiedziała z uśmiechem Wiktoria, wiedząc, że znają się na tym jak mało kto i że pod tym względem są bardziej doświadczone od niej. - Zdecydowałam się po naszej ostatniej rozmowie. Dzięki wam nabrałam odwagi. Przedtem zawsze tchórzyłam.

- I dobrze pani zrobiła.

Przybiły sobie piątkę i wyszły na korytarz, mijając po drodze Amy Green i Justina. Amy uśmiechnęła się do niej szeroko. Jej koleżanki i koledzy nic jeszcze nie wiedzieli. Była młoda, miała prężne mięśnie i maskowała brzuch odpowiednio dobranym ubraniem, ale prędzej czy później i tak musiało się wydać. Justin nie odstępował jej na krok, strzegł jej i pilnował jak najcenniejszego klejnotu. Miło było na nich patrzeć.

- Jezu, łązi za nią jak szczeniak - mruknęła jedna z dziewcząt, przewracając oczami.

Wiktoria podziękowała im jeszcze raz za dobrą radę i poszła do pokoju nauczycielskiego po dokumenty, które chciała przejrzeć w domu. Wzruszyły ją ich pochwały. Ona też się zakochała w swoim nowym nosie. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie zmniejszyć piersi, ale natychmiast przypomniało jej się to, co mówiły dziewczyny, że niektóre kobiety się od tego uzależniają i nie wiedzą, kiedy przestać. Nie, nos wystarczy. Nad resztą musiała po prostu popracować. I intensywnie pracowała. Do ślubu zostało tylko pięć miesięcy.

Tego wieczoru znowu spotkała Collina White'a i znowu ćwiczyli razem na rowerach. Był prawnikiem, pracował w firmie prawniczej na Wall Street. Firma była duża i znana, Wiktoria pomyślała, że musi mieć ciekawą pracę. Opowiedziała mu o swojej, okazało się, że słyszał o Madison School. Potem rozmawiali o niczym, a kiedy zsiadli z rowerów, zaskoczył ją, pytając, czy nie wpadłaby z nim na drinka do knajpki naprzeciwko. Wyglądała okropnie, jak nigdy dotąd, i nie mogła uwierzyć, że chce się z nią pokazać. Ale kiedy powtórzył pytanie, kiwnęła głową i włożyła kurtkę, nie przestając się zastanawiać, dlaczego ją zaprosił.

Obydwoje zamówili wino. Spytała, jak się czuje jego siostra.

- Boli ją - odparł. - Niestety, to musi potrwać. Ramię goi się długo, trzeba być cierpliwym. Miała szczęście, że nie wylądowała na stole operacyjnym.

Potem chciał wiedzieć, dlaczego została nauczycielką, wypytywał o szkołę i o rodzinę. Odparła, że ma o siedem lat młodszą siostrę, która niedawno ukończyła Uniwersytet Kalifornijski i za pięć miesięcy wychodzi za mąż.

- Chyba trochę za młodo - powiedział zaskoczony. - Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

On miał trzydzieści sześć lat, Wiktoria dwadzieścia dziewięć.

- Ja też tak uważam - odparła. - Nasi rodzice też się pobrali zaraz po studiach, ale wtedy było to powszechniejsze. Grace kończy w czerwcu dwadzieścia trzy lata. Która dwudziestolatka wychodzi dzisiaj za mąż? Miałam nadzieję, że trochę zaczeka, ale ona nie chce. A teraz wszystko kręci się wokół ślubu. Moja rodzina popadła w obłąd - dodała ze smutnym uśmiechem. - Mam nadzieję, że tylko chwilowo. Doprowadzają mnie do szału.

Collin zmrużył oczy.

- A jej narzeczony? Jest miły? Zawahała się, ale postanowiła być szczerą.

- Czy ja wiem... Może. Ale nie dla niej. Jak na tak młodego chłopaka jest za bardzo dominujący i zadufany. Nie pozwala jej otwierać ust, myśli za nią. Nie mogę patrzeć, jak Grace rezygnuje ze swojej osobowości i niezależności tylko po to, żeby zostać jego żoną.

Nie powiedziała, że Harry jest bardzo bogaty, uważała, że to niestosowne. Zresztą nie chodziło tylko o pieniądze.

Nie chciałyby, żeby Grace wyszła za niego również, gdyby był biedny. Pieniądze zrobiły z niego bufona. Ale miał taką osobowość, że byłby dominujący i bez pieniędzy, i właśnie tego w nim tak nie lubiła. Grace zasługiwała na coś lepszego.

- Moja siostra omal nie wyszła za kogoś takiego - powiedział Collin. - Chodziła z nim trzy lata i bardzo się nam podobał, ale to nie był facet dla niej. W zeszłym roku

się zaręczyli. Miała wtedy trzydzieści cztery lata i myślała tylko o jednym: o małżeństwie. Chciała jak najszybciej

wyjscie za mąż i mieć dzieci, bała się, że przegapi okazję. W końcu zdała sobie sprawę, w co się pakuje i dwa tygodnie przed ślubem się rozstali. Strasznie to przeżyła. Była zupełnie załamana i gdyby nie rodzice, pewnie by się nie pozbierała. Ale według mnie, postąpiła słusznie. W pewnym wieku kobiecie jest ciężko, bo zegar zaczyna tykać niczym bomba zegarowa. Dlatego wiele z nich podejmuje pochopne decyzje. Siostra w ostatniej chwili się wycofała i jestem z niej dumny. Widziała ją pani. Ma trzydzieści pięć lat. Na pewno kogoś znajdzie i zdąży mieć dzieci. Lepiej już żyć samotnie, niż zrobić błąd i potem żałować. Nielatwo jest znaleźć kogoś odpowiedniego.

Wiktorii trudno było uwierzyć, że za kobietą taką jak

jego siostra nie biegają tabuny mężczyzn, wymachując pierścionkami zaręczynowymi albo przynajmniej błagając, żeby zechciała się z nimi umówić.

- Od tamtej pory - dodał Collin - z nikim się nie spotyka. Ale już to przeboleła i na pewno do niego nie wróci. Dzięki Bogu, że się ocknęła.

Wiktoria ciężko westchnęła.

- Tak, szkoda tylko, że moja siostra ciągle śpi. Ale to jeszcze dziecko. Ma prawie dwadzieścia trzy lata i myśli tylko o sukni ślubnej i obrączce. Przestała dostrzegać to, co naprawdę ważne, i chyba jest za młoda, żeby to zrozumieć. A kiedy zrozumie, będzie już za późno. Wyjdzie za niego i dopiero wtedy pożałuje.

- Powiedziała jej to pani?

- Tak, ale ona nie chce mnie słuchać i od razu zaczyna się denerwować. Myśli, że jestem zazdrosna. A niech mi pan wierzy, że to nieprawda. Rodzice też nie pomagają. Wiernie jej kibicują, bo Harry im imponuje. A on tak bardzo przypomina mojego ojca... Trudno z takim walczyć.

- Płynie pani pod prąd. Zrobiła pani swoje, a teraz, cóż, chyba powinna pani dać sobie spokój. Zresztą, może wszystko jakoś się ułoży. Nigdy nie wiadomo. Ludzie pragną różnych rzeczy, nie zawsze takich, których my pragnęlibyśmy dla nich.

- Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa, chociaż w to wątpię - powiedziała ze smutkiem.

- Bardzo się różnicie? Nie licząc wieku, oczywiście. Collin miał wrażenie, że bardzo. Wiktoria była mądrą,

rozsądną kobietą. Twardo stapała po ziemi i miała głowę na karku. Wystarczyło jej tylko posłuchać. Natomiast jej młodsza siostra zdawała się zadziorna i zepsuta, może nawet impulsywna i uparta.

- Grace jest podobna do ojca i matki - odrzekła Wikto-

ria. - Ja nigdy do nich nie pasowałam. Inaczej wyglądam, in inaczej myślę, inaczej działam, mam inne pragnienia. Jakbym miała innych rodziców. I w sumie miałam, bo traktowali nas zupełnie inaczej, dlatego nasze dzieciństwo i doświadczenia życiowe bardzo się różnią.

Collin kiwnął głową, jakby to rozumiał i miała wrażenie, że jej przeżycia nie są mu obce. Spojrzał na zegarek i poprosił o rachunek.

- Bardzo miło mi się rozmawiało - powiedział, płacąc. - Czy dałaby się pani zaprosić kiedyś na kolację?

Wiktorcia drgnęła. Czy on zwariował? Dlaczego miałby ją zapraszać? Uważała, że to dla niej za wysokie progi.

- Może w przyszłym tygodniu? - sprecyzował. - Do jakiejś małej, przytulnej knajpki. - Nie chciał szpanować luksusowymi restauracjami, popisywać się i chwalić. Była bardzo sympatyczna i dobrze się z nią czuł. Chciał spędzić z nią wieczór i dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Lepiej ją poznać. Jak dotąd bardzo mu się podobała. Z wyglądu też, mimo posiniaczonej twarzy.

- Tak, oczywiście, chętnie - wybełkotała, widząc, że czeka na odpowiedź. Nie dodała: ale dlaczego? Mogła tylko założyć, że chce się z nią zaprzyjaźnić, że szuka kogoś do pogadania. Randka? Jaka randka?

- Może we wtorek? W poniedziałek wieczorem mam d zebranie wspólników.

- Dobrze, oczywiście... Tak - wykrztusiła, czując się jak idiotka.

- Mógłbym prosić o numer telefonu albo adres e-mail? - spytał grzecznie.

Podawała mu swoje namiary, a on od razu wpisał je do komórki.

- Dzięki. Było mi bardzo miło - powtórzył. - Cieszę się, że panią poznałem.

Wiktoria robiła wszystko, żeby nie myśleć o tym, jaki jest przystojny. Za bardzo ją to denerwowało i dekoncentrowało.

- Mnie również - odrzekła cicho.

Dziwne. Podobał jej się, ale uważała, że ktoś taki jak on nie powinien z nią nawet rozmawiać. Powinien siedzieć tu z zabójczą blondyną, choćby taką jak jego siostra, która z nikim się nie umawiała. I bądź tu mądry. Świat był naprawdę bardzo pokręcony.

Rozstali się przed siłownią i przez całą drogę do domu zastanawiała się, dlaczego ją zaprosił. Powiedziała o tym Harlanowi, zastrzegając, że to nie randka, tylko zwykłe spotkanie.

- Skąd wiesz? On tak powiedział?

- Nie, skąd. Jest zbyt taktowny. Ale to oczywiste. Szkoda, że go nie widziałeś. Wygląda jak gwiazdor filmowy, jak magnat przemysłowy albo facet z okładki „GQ”. A teraz spójrz na mnie. - Wciąż była w bluzie i legginsach. - Umówiłby się z kimś takim na randkę?

- No tak. Czy on ćwiczył w krawacie?

- Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne. Nie. Ale tacy jak on nie umawiają się z takimi jak ja. Wierz mi, to nie randka. Po prostu to wiem. Byłam tam. Widziałam i wiem.

- Czasem właśnie tak zaczyna się romans. Nie można tego wykluczyć. Poza tym, nie ufam twoim przeczuciom i interpretacjom. W ogóle się na tym nie znasz. Wiesz tylko to, co powtarzają ci starzy, że na nic nie zasługujesz, nie jesteś niczego warta i że nikt cię nigdy nie zechce. Głośna muzyka zagłuszy każdy szept. Mówię ci, jeśli ten facet choć trochę myśli i ma oczy, wie, że jesteś piekielnie inteligentna, bystra, zabawna, że masz zabójcze nogi i że miałby cholerne szczęście, gdyby mógł z tobą być. Dlaczego z góry zakładasz, że jest głupi?

- To nie jest randka - powtórzyła z uporem Wiktoria.

- Dobra - odparł z takim samym uporem Harlan. - A ja stawiam pięć dolców, że jest.

- Fajnie, tylko jak to sprawdzimy? Podrapał się w głowę.

- Hmm, dobre pytanie, zwłaszcza że masz zepsuty radar i nie umiesz rozszyfrowywać zakodowanych sygnałów. Jeśli cię pocałuje, to będzie oczywiście randka, ale jeśli jest taktowny i dobrze wychowany, na pierwszej tego nie zrobi. Nie, z tego, co mówisz, jest na to za bystry. Hmm, po prostu to wyczujesz, i tyle. A wyczujesz, jeśli znowu cię gdzieś zaprosi. Jeśli będzie robił wrażenie zainteresowanego. Zrobi jakiś miły gest, dotknie twojej ręki czy coś. Kurde mol, zabierz mnie ze sobą, to powiem ci, czy to randka, czy nie.

- Sama do tego dojdę - odparła sztywno. - Ale to nie randka.

- Tylko pamiętaj: jeśli spełni któreś z wymienionych wyżej kryteriów, wiesz mi pięć dolców. I bez oszukaństwa. Jestem splukany.

- To lepiej od razu zacznij oszczędzać, bo u mnie też krucho z kasą. To nie jest randka.

- Nie zapominaj o swoim nowym nosie - zażartował. - Nos może przeważać szalę.

- O tym nie pomyślałam - odparła ze śmiechem. - Za drugim razem miałam podbite oczy, siną twarz i byłam nieumalowana.

Harlan przewrócił oczami.

- Boże, i dopiero teraz mi o tym mówisz? Masz rację. To nie randka. To prawdziwa miłość. Podwajam stawkę. Stawiam dychę.

- Zakład stoi. Lepiej zacznij głodować.

Wychodząc z kuchni, klepnął ją po bratersku i poszli do swoich pokojów. Miała stertę klasówek do sprawdzenia. A tajemnica, dlaczego Collin White ją zaprosił i tak się

wkrótce wyjaśni. Za pięć dni byli umówieni na kolację. Nie w weekend, tylko w powszedni dzień, we wtorek, i zastanawiała się, czy Collin kogoś ma. Przerabiała to już z Jackiem Baileyem i miała nadzieję, że nie grozi jej powtórka. Ale nie, bzdura, to tylko zwykłe spotkanie. Na pewno. Ot, kolacja ze znajomym, nic więcej. Kiedy tak o tym myślała, mniej to ją przerażało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pięć dni później, w dniu, kiedy mieli iść na kolację, musiała spełnić bolesny obowiązek związany z pracą. Ojciec jednego z uczniów zmarł nagle na atak serca na stoku narciarskim w New Hampshire i wraz z dyrektorem i kilkoma innymi nauczycielami musiała iść na pogrzeb. Rodzina zmarłego była zdruzgotana. Wiktoria uczyła ich najmłodszego syna. Mieli czworo dzieci, wszystkie ukończyły Madison School i były bardzo lubiane. Uroczystość, smutna i wzruszająca, rozdzierała serce, zwłaszcza kiedy dzieci żegnały się z ojcem. Wszyscy płakali. Wiktoria bardzo współczuła swemu podopiecznemu. Po nabożeństwie objęła go i przytuliła, a potem pojechali do ich mieszkania przy Piątej Alei. W ciągu tych siedmiu lat uczyła jego starszego brata i siostrę. Bardzo ich lubiła. Najstarsza siostra też ukończyła Madison School, ale jeszcze zanim Wiktoria zaczęła tam pracować; teraz była już mężatką i miała dwoje dzieci. Ojciec był dość młody i w dobrej formie, jego nagła śmierć była potwornym szokiem dla całej rodziny, zwłaszcza dla dzieci.

Wiktoria bardzo to przeżyła. Przez resztę dnia chodziła przygnębiona, a gdy o siódmej przyszedł po nią Collin,

próbowała o tym nie myśleć. Ale i tak mu powiedziała. Okazało się, że jemu zmarł nagle wujek. Rodzina też bardzo to przeżyła, ale uważał, że jeśli już umierać, to tylko tak, szybko i bezboleśnie, po prostu odejść po dobrym, intensywnie przeżytym życiu. Coś w tym było.

Spotkali się na dole i pojechali taksówką do Village, do restauracji, którą znał i lubił. Słyszała o niej, ale trudno tam było o wolne miejsca. Waverly Inn. Jedzenie - głównie amerykańskie - było dobre, atmosfera żywa i miła. Oboje wzięli stek, ona z wielkim trudem powstrzymała się przed zamówieniem makaronu z serem, chociaż Collin twierdził, że jest pyszny.

- Jestem na diecie, odkąd się urodziłam - wyznała, biorąc gotowany na parze szpinak. - Moi rodzice i siostra są szczupli i mogą jeść, co chcą. Musiałam odziedziczyć geny po prababce. Była z tych „dużych”. Toczę tę bitwę przez całe życie.

Z zaskoczeniem zorientowała się, że ponieważ traktuje go tak jak znajomego, łatwiej jest jej rozmawiać zupełnie szczerze. Bardzo schudła, więc mogła mówić o tym bez wstydu i poczucia winy. Od wielu miesięcy pilnie przestrzegała diety i było to widać. Na ślubie chciała wystąpić w sukni rozmiaru dziesięć i była bliska osiągnięcia celu. Schudnąć do dziesiątki i nie odbić - taki miała plan. To tak, jakby chciała polatać w kosmosie jumbo jetem.

- Ludzie mają na tym punkcie obsesję. Jeśli kobieta jest zdrowa, jaką różnicę robi kilka kilogramów w tę czy w tamtą stronę? Zwariowane diety. Trzynastoletnie modelki z okładek czasopism kończą w szpitalu z anoreksją. Prawdziwe kobiety tak nie wyglądają. Kto by je zechciał? Nikt nie spojrzy na kogoś, kto wygląda jak uciekinier z obozu dla uchodźców. Kobiety powinny wyglądać tak jak pani i historia uczy, że kiedyś tak wyglądały.

Nie żartował ani nie próbował jej schlebiać. Wiktorja pa-

trzyła na niego z niedowierzaniem. Może naprawdę zwariował. Albo lubił Rubensa. Nie mogła się w tym połapać.

Odbyli ciekawą rozmowę o sztuce, polityce, historii, architekturze, o książkach, jakie ostatnio czytali, o ulubionej muzyce i o tym, czego nie lubili jeść. Okazało się, że obydwójce nie znoszą brukselki i kapusty. Wiktoria powiedziała, że próbowała kiedyś diety kapuścianej, po której błyskawicznie schudła i natychmiast „odbiła”. Rozmawiali również o swoich rodzinach i powiedziała mu więcej, niż zamierzała. Powiedziała, że ojciec nazwał ją imieniem królowej Wiktorii, ponieważ uważał, że jest brzydka i że to bardzo zabawne, wspomniała o cieście na próbę i o tym, że jej siostra była ciastem udanym.

Collin patrzył na nią z przerażeniem i współczuciem.

- To zdumiewające, że jej nie znienawidziłaś. Westchnęła.

- To nie jej wina. To przez nich. Grace odziedziczyła ich urodę, więc uważają, że jest chodzącym ideałem. I rzeczywiście jest cudowna, trzeba to przyznać. To taka zminiaturyzowana wersja twojej siostry.

Wiedziała, że jest to wzorzec doskonałości, którego ona nie osiągnęła i nigdy nie osiągnie.

- Tak, tylko że moja siostra od roku z nikim się nie spotyka, co też nie jest gwarancją szczęścia - powiedział Collin.

Wciąż trudno było jej w to uwierzyć.

- Ludzie, którzy mówią takie rzeczy swoim dzieciom, nie powinni ich mieć - dodał z powagą.

- To prawda - odparła. - Mimo to mają. Każdy może mieć dzieci, nawet ci, którzy nie powinni, a jest ich bardzo wielu. Mój ojciec naśmiewa się ze mnie i uważa, że to zabawne. Kilka lat temu przez dwa lata chodziłam na terapię. Zrobiłam sobie przerwę, ale w zeszłym roku wróciłam. To bardzo pomaga. Bo wreszcie wiem, że to z nimi coś jest nie tak, nie ze mną. I niby to rozumiem, ale wciąż

pamiętam, co mówili, gdy miałam pięć lat, sześć, trzynaście. Chyba nigdy nie przestanę tego słyszeć. Próbowалаm zagłuszyć te głosy lodami. Bez skutku.

Nigdy dotąd z nikim nie była tak szczerą, a on ani przez chwilę nie próbował jej oceniać. Podobał się jej i miała nadzieję, że on też jest z nią szczerą, chociaż po doświadczeniach z Jackiem Baileyem i kilkoma innymi stała się podejrzliwa i nieufna. Nie miała zbyt udanego życia prywatnego, przynajmniej jak dotąd.

- Ja też mam dziwne układy z rodzicami - wyznał Collin. - Miałem brata, który był uosobieniem doskonałości. Doskonały syn. Doskonały sportowiec. Doskonały student. Chodzący ideał. Zrobił licencjat na Harvardzie, był kapitanem uniwersyteckiej drużyny futbolowej, ukończył prawo w Yale, z pierwszą lokatą oczywiście. Był fantastycznym chłopakiem, świetnym kumplem i bratem. W Święto Niepodległości, zaraz po tym, jak za pierwszym razem śpiewając zdał egzamin adwokacki, zabił go pijany kierowca. Ja zdałem dopiero za trzecim razem. Zawsze byłem przeciętny, ani najlepszy, ani najgorszy. Ot, wlokłem się noga za nogą, ale jakoś dawałem sobie radę. Rodzice uważali, że Duke i nasz uniwersytet to nic w porównaniu z Harvardem i Yale. Nie jestem zapalonym sportowcem i nigdy nie byłem. Trzymam formę, gram trochę w tenisa i sqa-sha, ale to wszystko. Ich ulubieńcem zawsze był on, Blake. Zresztą wszyscy go lubili. Był starszy ode mnie i dorastałem w jego cieniu. Kiedy zginął, dla rodziców świat stanął w miejscu. Już nie doszli do siebie. Ojciec przeszedł na emeryturę, a mama powoli zwiędła, zmarniała. Nikt nie mógł mu dorównać. A już na pewno nie ja. Siostra jest dziewczyną, więc udało jej się jakoś przemknąć. Mnie nie. Byłem kiepskim substytutem. Blake chciał zostać politykiem i pewnie zrobiłby karierę. Ze swoim urokiem osobistym i charyzmą miał w sobie coś z Kennedy'ego. A ja je-

stem zwykłym facetem. Byłem z kimś przez kilka lat, ale nic z tego nie wyszło, więc myślą, że skoro się nie ożeniłem, to na pewno coś jest ze mną nie tak. Przez całe życie uważali mnie za kogoś gorszego, za kogoś, kto się nie umywa do ich starszego syna. Bardzo było mi trudno, bo wiedziałem, że nie dorastam mu do pięt. Był pięć lat starszy, zginął czternaście lat temu. Właśnie ukończyłem college i od tamtej pory ciągle ich zawodzę...

Nie miał tak trudnego dzieciństwa jak ona, ale od czternastu lat kroczył wyboistą drogą pod górę i w jego oczach widziała tę straszliwą świadomość, że nie kochają go ci, których on kocha najbardziej ze wszystkich, oraz przekonanie, że nie jest wart miłości, że nie pokocha go nikt inny. Dobrze to uczucie znała.

- Nie jestem tak odważny jak ty - ciągnął. - Nie chodzę na terapię, chociaż pewnie powinienem. Próbowiałem włożyć zbroję brata. Przez jakiś czas usiłowałem nim być, ale nie mogłem. Po prostu jestem inny. Jestem sobą. Ale im to nie wystarcza. To smutni ludzie.

Był inny, ale musiał radzić sobie z takimi samymi, jakże toksycznymi przekazami, z jakimi - choć z innych powodów - musiała radzić sobie ona. Z książek wiedziała, że może go dręczyć takie samo poczucie winy, jakie dręczy czasem tych, którzy przeżyli katastrofę.

- Zawsze uważałam - powiedziała - że moi rodzice powinni wywiesić na drzwiach tabliczkę z napisem: „Nie kochamy cię”. Tak byłoby uczciwiej.

Uśmiechnęła się do niego, a on się roześmiał. Tabliczka na drzwiach - obraz ten doskonale odzwierciedlał to, co czuł do swoich rodziców. Ich doświadczenia życiowe były zdumiewająco podobne. Łączyły ich trudne relacje z najbliższymi i problemy, z którymi musieli walczyć, żeby pozostać ludźmi zdrowymi psychicznie. Kiedy wieczór dobiegł końca, obydwójce mieli wrażenie, że dowiedzieli się

o sobie bardzo wielu ważnych rzeczy. A gdy wracali taksówką do domu, objął ją, ale nie próbował pocałować, za co dała mu wielki plus. Nie znosiła, kiedy facet obmacywał ją, przekonany, że ma do tego prawo tylko dlatego, że postawił jej kolację. On tego nie zrobił i urósł w jej oczach. Jeszcze w taksówce spytał, czy znowu się z nim umówi. Bardzo tego chciał i przeprosił ją, że już na pierwszym spotkaniu poruszył tak poważne tematy. Ale dla nich obojga było to prawdziwe życie i obydwój odczuli ulgę, że mogli podzielić się tym z kimś, kto ich rozumiał.

- Tak, bardzo chętnie - odparła.

Zaproponował sobotę wieczór, co teoretycznie rozwiewało podejrzenia, że kogoś ma, chyba że z tamtą spotykał się w piątki. Tak jak Jack. Ale Collin był inny. Był wspaniały.

Pocałował ją w policzek, odprowadził do windy i obiecał, że zadzwoni nazajutrz.

Weszła do domu z szerokim uśmiechem. Harlan też uśmiechnął się od ucha" do ucha na jej widok; John już spał.

- Wiszę ci dziesięć dolarów - powiedziała, uprzedzając ewentualne pytania.

- Tak? - Zaintrygowany uniósł brew. - Bo?

- Fantastyczna rozmowa, cudowny wieczór, wspaniały facet. Objął mnie w taksówce. Podczas kolacji dwa razy dotknął mojej ręki. Nie obchodzi go, czy jestem gruba, czy nie. Podobają mu się „prawdziwe” kobiety. I znowu mnie zaprosił, na sobotę wieczór - dodała rozpromieniona.

Harlan objął ją i przytulił. Zawsze obejmował ją, tulił i całował. John był trochę bardziej powściągliwy. Źle się czuł w obecności kobiet. Miał straszną matkę, która biła go i na zawsze go do nich zraziła. Każdy nosił w sercu jakieś blizny.

- Kurczę, wiesz mi pięćdziesiąt! Może nawet sto! To coś lepszego niż zwykła randka. To prawdziwy facet. Z te-

go, co mówisz, musi być fantastyczny. Kiedy mi go przedstawiś? Mam nadzieję, że przed ślubem. Ale twoim! Pieprzyć ślub Grace!

Wybuchnęli śmiechem. Wiktoria wyjęła portfel i dała mu dziesięć dolarów. Była na randce! Ze wspaniałym facetem! Warto było czekać prawie trzydzieści lat, chociaż jeszcze za wcześnie, żeby prorokować, co będzie dalej. Bo przecież nie wiedziała, czy coś z tego wyjdzie, a nawet gdyby wyszło, mogło się kiedyś rozpaść. Jak to w życiu.

Zdzwonił do niej, zanim poszła spać. Powiedział, że świetnie się bawił i nie może się już doczekać, kiedy znowu się spotkają. Ona czuła się podobnie.

- Słodkich snów - szepnął na koniec, a ona długo leżała w łóżku z telefonem w ręku.

I rzeczywiście. Sny miała słodkie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Druga randka była jeszcze lepsza niż pierwsza. Pojechali do restauracji rybnej na Brooklynie i jedli homara z wody w wielkich papierowych śliniaczkach. Było zabawnie i hałaśliwie, cieszyli się swoim towarzystwem. Rozmawiali długo i szczerze, tak jak poprzednio. Stopniowo odsłaniali się przed sobą, opowiadając o swoim życiu, bez skrepowania wyjawiając tajemnice. Wiezorami regularnie spotykali się na siłowni, na rowerkach, i rozmawiali o minionym dniu. Czuli się zupełnie swobodnie. Collin zawsze obejmował ją i całował w policzek, ale nigdy nie próbował posunąć się dalej, co bardzo jej się podobało.

Na trzeciej randce zabrał ją na przedstawienie baletowe, bo kiedyś wspomniała, że lubi balet. W niedzielę poszli do Metropolitan Museum, a potem na wczesny lunch. Byli w teatrze na Broadwayu. Spędzała bardzo miło czas, bo zabierał ją w bardzo ciekawe miejsca.

Kiedy wyszli z teatru, zaprosił ją na kolację i pierwszy raz zauważyła, że czuje się nieswojo. Ostrzegł ją, że wieczór będzie mało ciekawy i może się jej nie spodobać, ale chciał ją zaprosić mimo to.

- Moi rodzice przyjechali - wyjaśnił. - Chciałbym cię im przedstawić. Ale są mało zabawni. To nieszczęśliwi ludzie i przez cały czas będą mówili o moim bracie. Bardzo bym chciał, żebyś ich poznała, dużo to dla mnie znaczy. Co ty na to?

- Na pewno są miłsi od moich - odrzekła łagodnie. Była wzruszona i schlebiała jej, że to zaproponował.

I rzeczywiście, przewidywania się sprawdziły, i to aż za bardzo. Rodzice Collina byli elegancy, arystokratycznie przystojni i inteligentni. Ale matka robiła wrażenie przybitej, a ojciec złamanego przez życie i śmierć syna. Obydwoje byli przygarbieni, bladzi i bezbarwni. Patrzyli na Collina, ale zamiast niego widzieli ducha jego brata. O czymkolwiek zaczęli rozmawiać, zawsze wracali do Blake'a, a ilekroć Collin powiedział coś o sobie czy swojej pracy, natychmiast porównywali to nieprzychylnie z osiągnięciami zmarłego brata. Collin był na z góry straconej pozycji. Na swój sposób bardzo przypominali jej rodziców i byli równie dołujący. Kiedy odwieźli ich do hotelu, miała ochotę objąć Collina i scałować z jego twarzy cały smutek i urazę, ale to on ją pocałował. Pierwszy raz. Ona włożyła w ten pocałunek całe swoje współczucie i miłość. Chciała zagoić jego stare rany, złagodzić cierpienie i poczucie samotności po odrzuceniu przez rodziców. Potem długo rozmawiali o tym, jak bardzo go to bolało i dziękował jej za wsparcie. Harlan i John już spali, więc kontynuowali rozmowę

w jej pokoju aż do świtu. Nie lubił swoich rodziców prawie tak samo, jak ona nie lubiła swoich. Ale dla jego rodziców można było przynajmniej znaleźć jakieś wytłumaczenie. Zarówno jedni, jak i drudzy byli nieżyczliwi i niekochający. Odtrącili ich, byli dla nich okrutni, wmówili im, że nie da się ich pokochać. I mieli nosić te blizny do końca życia. Wmówienie własnemu dziecku, że jest nieko-

chane, że nie warto go kochać i że nikt nigdy go nie pokocha, było dla Wiktorii najgorszą zbrodnią, jaką mogli popełnić. Wisiało to jak klątwa nad życiem jej i Collina.

Tej nocy dali sobie wzajemnie miłość, pocieszenie i aprobatę, na które w pełni zasługiwali i których od tak dawna potrzebowali. Było to dla nich bardzo ważne i znaczące spotkanie. Od tej pory nie opowiadała już Harlanowi o swoich randkach. Była teraz lojalna wobec Collina, tak jak powinna. A on był lojalny wobec niej. Nie opowiadał już o niej siostrze. Chciał ją chronić. Chciał chronić ich rozkwitający związek. Byli dyskretni i darzyli się szacunkiem.

Następne spotkanie było równie ważne. Wiktoria wstydziła się, że aż tyle dla niej znaczyło - uważała, że to cliche i trochę niemądre - ale znaczyło i Collin to wyczuł. Były walentynki i zabrał ją na kolację do małej, romantycznej francuskiej restauracji, gdzie serwowano przepyszne jedzenie, chociaż uważała i jadła niewiele. Było jak zwykle cudownie, a potem pojechali do niego, nie do niej. Collin otworzył szampana, włożył jej na rękę małą złotą bransoletkę z brylantowym serduszkiem i pocałował ją - miejsce i pora były idealne. Rozpłynęła się w jego ramionach i chwilę później wylądowali w łóżku. Odrzucili ubranie, a wraz z ubraniami odrzucili długie lata samotności. Kiedy wstał świt, obydwójce wiedzieli jedno, to, że są bardzo kochani. I nareszcie czuli się tego warci.

Od tej chwili zaczęli dzielić ze sobą codzienne życie. Chodzili na kolacje, siedzieli w domu, robili razem pranie, ćwiczyli na siłowni, spędzali noce u niego lub u niej, chodzili do kina. Dwa oddzielne życia zlały się w jedno. Wszystko układało się lepiej, niż mogli to sobie wymarzyć.

I to on wpadł na pomysł, żeby wyjechać razem na ferie wiosenne. Grace bardzo prosiła, żeby Wiktoria przyleciała do Los Angeles, ale ona nie chciała. Wiedziała, że rodzina zepsuje jej humor, ale wiedziała również, że jeśli zosta-

nie z Collinem, prędzej czy później będzie musiała go im przedstawić. Bała się tego i kilka razy rozmawiała o tym ze swoją terapeutką, która bardzo się cieszyła, że Wiktoria jest zakochana.

- Dlaczego boi się pani go im przedstawić? - spytała, zaskoczona jej uporem i niechęcią. Przecież tak dobrze się im układało. Lepiej, niż Wiktoria oczekiwała.

- A jeśli rodzice wmówią mu, że jestem do niczego i uzna, że mają rację? - spytała z paniką w głosie.

Terapeutką spojrzała jej w oczy.

- Naprawdę pani myśli, że to możliwe? Wiktoria pokręciła głową.

- Nie. Ale jeśli im uwierzy? Oni umieją przekonywać.

- Nie, nie umieją. Udało im się przekonać tylko panią. Nie uwierzyłyby im nikt, poza ich własnym dzieckiem, dlatego to, co robią, jest takie okrutne. Nikt inny by tego nie kupił. A już na pewno nie Collin. Jest dużo mądrzejszy.

- To prawda. Po prostu nie wiem, co powiedzą i boję się, że upokorzą mnie na jego oczach.

- Mogą. Ale jeśli to zrobią, gwarantuję, że mu się to nie spodoba i będzie miał o nich jeszcze gorsze zdanie. A propos: zaprosiła go już pani na ślub?

- Jeszcze nie. Ale zaproszę. Tylko nie chcę, żeby zobaczył mnie w tej strasznej brązowej sukni. Ze wstydu zapadnę się pod ziemię.

- Może pani odmówić i włożyć inną. Jest jeszcze czas.

- Próbowałam. Ale siostra mnie nie słucha. Trudno, chyba będę musiała połknąć tę żabę. To okropne, że Collin zobaczy mnie w tym koszmarze.

- I tak panią kocha. Suknia tego nie zmieni. - Doktor Watson było przykro, że Wiktoria nie chce sprzeciwić się siostrze.

Jej życie seksualne z Collinem też było fantastyczne, chociaż początkowo wstydziała się swego ciała. Bardzo schudła, ale wciąż ważyła więcej, niżby chciała. Tu i ówdzie miała za dużo waleczków, tu i ówdzie coś się kołysało - nie chciała, żeby to oglądał i zawsze gasiła światło. Nakrywała się po samą szyję, do łazienki biegła po ciemku albo w szlafroku. Aż pewnego dnia przekonał ją wreszcie, że uwielbia jej ciało takie, jakie jest, że napawa się nim i je czci, że kocha każdy centymetr kwadratowy jej cudownej skóry. W końcu mu uwierzyła. Bo rzeczywiście, patrzył na nią jak na boginię seksu, jak na najwyższą kapłankę miłości. Nigdy dotąd nie zaznała czegoś równie podniecającego i kiedy zrozumiała, jak Collin ją odbiera, niemal przestali wychodzić z łóżka. Zachowywała się jak despe-ratka, nigdy w życiu nie miała tyle frajdy. Jadła z umiarem, trzymała się z daleka od lodów, unikała tuczających potraw, ściśle przestrzegała diety i regularnie chodziła na wazenie do Weight Watchersów. Ale najbardziej chciałaby wychylić się przez okno i ponad dachami Nowego Jorku wykrzyknąć, że Collin ją kocha. Że jednak można ją pokochać. Była przeszczęśliwa, on też. Kąpiąc się w ciepłej jej miłości, aprobaty i podziwu, rozkwitał. Wiktorija dawała mu wszystko to, czego brakowało mu od lat. Ich życie było jak zraszany wodą ogród pełen rozbuchanej zieleni. Cieszyli się swoją miłością jak najcenniejszym darem.

Tuż przed feriami wiosennymi poszła na przyjęcie do Amy Green, do przyszłej mamy. Amy miała lada chwila urodzić i nie chodziła już do szkoły. Wzruszające było widzieć ją z wielkim brzuchem, patrzeć, jak czuwa przy niej matka. Umowa ze szkołą wypaliła i dziewczyna robiła wrażenie szczęśliwej. Chciała urodzić i kilka tygodni później wrócić na egzaminy. Przyjęto ją na Harvard i na Uniwersytet Nowojorski. Postanowiła zostać tu, na miejscu, żeby być z dzieckiem i mamą. Justin złożył papiery na ten

sam uniwerek. Świetnie się im ułożyło. Od kilku miesięcy mieszkał u Amy, chociaż jego rodzice patrzyli na to krzywym okiem, przynajmniej początkowo. Ale jej rodzina okazała bardzo dużo zdrowego rozsądku i Wiktoria z prawdziwym wzruszeniem patrzyła, jak młodzi się starają. I pomyśleć, że mieli dopiero po osiemnaście lat. Opowiadała o nich Collinowi. Lubiła mówić mu o szkole, a on często opowiadał jej o swojej pracy i chciał przedstawić ją kolegom. Razem byli kimś więcej niż w pojedynkę. Niczego sobie nie odbierając, wzbogacali swój związek o wszystko to, co się składało na ich życie.

Collin zaskoczył ją, wynajmując na ferie stary przerobiony wiejski dom w Connecticut. Dom stał na uboczu, na skraju urokliwej wsi. Był śliczny i nadzwyczaj wygodny. Czuli się tam jak w domku dla lalek. Chodzili na długie spacery, jeździli po okolicy wynajętymi końmi, razem gotowali i przez cały czas się kochali. Kiedy ferie dobiegły końca, nie chcieli im się wracać. Było wspaniale.

Życie płynęło gładko i przyjemnie do chwili, gdy tydzień po powrocie zadzwoniła Grace. Tak bardzo płakała, że Wiktoria, która była akurat u Collina, nie mogła początkowo zrozumieć ani słowa. Po tym, jak reagowała i jakie zadawała pytania, Collin się domyślił, że coś się stało, choć nie wiedział co. Podobnie jak ona. Początkowo myślała, że może rodzice umarli albo Harry. Zaczynała już wpadać w panikę, bo siostra nie przestawała płakać.

- Uspokój się! - krzyknęła wreszcie. Grace zaszlochała jeszcze głośniej.

- On mnie... zzz... zdradza - załkała i znowu wybuchnęła płaczem.

- Skąd wiesz? - spytała szorstko Wiktoria, myśląc, że jeśli zdrada Harry'ego miałyby uchronić ją przed poślubieniem niewłaściwego mężczyzny, byłoby to prawdziwe błogosławieństwo, choć z pewnością Grace była zdruzgotana.

- Widziałam go z kobietą. Jechałam do Heather, żeby pokazać jej szkice mojej sukni i wtedy go zobaczyłam. Wyszli z jakiegoś domu. Razem. Pocałował ją, wsiadł do samochodu i odjechał. A mnie skłamał, że musi omówić z ojcem ważną sprawę. - Grace znowu się rozszlochała. - Nie wrócił na noc do domu. Dzwoniłam do niego, ale nie odbierał.

- Jesteś pewna, że to był on? - spytała Wiktoria.

- Absolutnie. Nie widział mnie. Miałam otwarte okno i byłam tak blisko, że słyszałam nawet, jak się śmieją. Wyglądała jak zdzira, już ją gdzieś widziałam. Jest chyba sekretarką jego ojca. - Grace płakała jak małe dziecko.

- Powiedziałaś mu, że go widziałaś?

- Tak. Powiedział, że to nie moja sprawa, że nie jesteśmy jeszcze małżeństwem i może robić, co chce. Że jeśli się od niego nie odczepię, to odwoła ślub. Że właśnie dlatego dostałam pierścionek z wielkim brylantem, żebym się zamknęła i dała mu święty spokój.

Koszmar. Wiktoria była wstrząśnięta. Już od dawna miała o Harrym wyrobioną opinię, a słowa siostry tylko ją potwierdziły.

- Grace, nie możesz za niego wyjść. Nie możesz wyjść za kogoś, kto cię tak traktuje. Zdradził raz, zdradzi znowu...

Collin domyślił się, w czym rzecz i zaniepokojony usiadł obok niej na sofie. Nie znał jej siostry, ale bardzo jej współczuł. Była taka młoda.

- Nie wiem, co robić - szlochała Grace jak zagubione dziecko.

- Odwołaj ślub. Nie masz wyboru. Nie możesz wyjść za kogoś, kto zdradza cię już teraz, kto sypia z kim popadnie i każe ci się zamknąć, bo dał ci duży pierścionek. Grace, przecież on cię nie szanuje. - Ani jej, ani samego siebie, pomyślała Wiktoria.

Collin kiwnął głową. Facet był wredny. Swojej siostrze też odradzałby ślub z kimś takim.

- Nie chcę nic odwoływać - wyszłochała Grace. - Kocham go.

- Nie możesz pozwolić, żeby cię tak traktował. Posłuchaj, przyjedź do mnie na kilka dni. Porozmawiamy. Powiedziałaś tacie?

- Tak. Mówi, że mężczyźni czasem tak robię, że to nic nie znaczy.

- Bzdura. Robią tak tylko niektórzy, ci wredni. Porządny mężczyzna nie zdradzi, chyba że przestanie kochać. To się zdarza, ale nie tak, nie z jakąś zdziwą i nie tuż przed ślubem. To zły znak, Grace.

- Wiem. - Siostra była zdruzgotana i zagubiona.

- Zarezerwuję bilet. Chcę, żebyś jutro do mnie przyleciała. - Tego dnia było już za późno.

- Dobrze - wymamrotała potulnie Grace. Czknęła i z płaczem odłożyła słuchawkę.

Wiktoria natychmiast zadzwoniła na lotnisko, zarezerwowała bilet i wysłała jej SMS z potwierdzeniem. Gdyby musiała, była gotowa wziąć dwa dni wolnego, żeby spędzić z nią więcej czasu. Sprawa była bardzo poważna. Grace nie mogła wyjść za Harry'ego. Wiktoria nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Opowiedziała o wszystkim Collinowi, a on się z nią zgodził.

- To dopiero początek - powiedział. - Jeśli zdradza już teraz, nigdy nie przestanie. Pewnie robił to przez cały czas, tylko o tym nie wiedziała.

Kiwnęła głową. Wyjazdy z rodziną, częste podróże do Europy, weekendowe wieczory kawalerskie - Harry miał ku temu mnóstwo okazji. Collin miał rację. Jeśli już teraz nie grzeszył wiernością, mógł zniszczyć jej życie. Rozmawiali o tym przez cały wieczór, w końcu poszli spać.

Nazajutrz Wiktoria odczekała do przyzwoitej godziny i zadzwoniła do Grace w przerwie między lekcjami. Właśnie wstała po nieprzespanej i przepłakanej nocy. Harry nie zadzwonił, a kiedy rozmawiała z nim ostatni raz, zagroził, że odwoła ślub, jakby to ona zrobiła coś złego, gdy pytała go o tę zdiurę i powiedziała mu, co wiedziała.

- Niech odwoła - odparła przez zaciśnięte zęby Wiktoria. Miała nadzieję, że to zrobi.

- Ale ja nie chcę! - Grace znowu się rozszlochała i Wiktoria wpadła w panikę. Siostra nie mogła za niego wyjść. Nawet jej nie przeprosił, nie okazał skruchy, co było bardzo złym znakiem. Zachowywał się jak rozkapryszony bogaty gówniarz, któremu wszystko wolno: groził swojej przyszłej żonie, zamiast paść jej do stóp i błagać o wybaczenie, co rokowałoby jakąś nadzieję, choć niewielką.

- Jedź na lotnisko, wsiądź do samolotu i przyleć. Porozmawiamy. Mamie i tacie powiedz, że chcesz się ze mną zobaczyć. Poza tym musisz poznać Collina. - Nie był to najlepszy moment, ale już jej o nim powiedziała.

- A jeśli wścieknie się jeszcze bardziej? - spytała spanikowana Grace.

- Grace, czyś ty zwariowała? Jeśli on się wścieknie? On? Przecież to on cię zdradził i to ty powinnaś być wściekła.

- Powiedział, że go śledziłam, że go szpiegowałam...

- A szpiegowałaś?

- Nie, jechałam do Heather ze szkicami.

- No właśnie. To bezczelny gówniarz, krętacz i oszust. Przyleć. - Przypomniała jej, o której ma samolot. Siostra wylatywała z Los Angeles w południe i o ósmej wieczorem lądowała na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku. Miała jeszcze dużo czasu.

- Dobrze, przyjadę. Na razie. - Grace była zdenerwowana, ale przynajmniej już nie płakała.

Wiktoria chciała odebrać ją z lotniska; zamierzała po-

jechać tam autobusem i zarezerwowała już bilet. Telefon zadzwonił o szóstej. Właśnie sprzątała pokój i zmieniała prześcieradła.

Dzwoniła Grace, co zbiło ją z tropu.

- Gdzie jesteś? Dzwonisz z samolotu czy wcześniej przyleciałaś?

- Nie, jestem w domu. - Była zdenerwowana i pełna skruchy. - Harry właśnie wyszedł. Powiedział, że mi wybaczy i nie odwoła ślubu, jeśli dam temu spokój i nigdy więcej tego nie zrobię.

Mówiła jak robot i Wiktoria eksplodowała.

- Czego nie zrobisz? Nie będziesz protestowała, kiedy będzie cię zdradzał? Co on pieprzy? Niby czego masz nie robić? - Z gniewu i niepokoju o siostrę trząsał się jej głos. Ten bezczelny typ próbował odwrócić kota ogonem i całą winę zrzucić na nią.

- Szpiegować go i oskarżać. - Grace płakała, ale Wiktoria tego nie słyszała. - Mówi, że to bzdura, że tylko ją pocałował i że to nie mój zasrany interes.

- I ty chcesz za niego wyjść? - krzyknęła Wiktoria.

- Tak - odparła ze smutkiem Grace. - Chcę. Nie chcę go stracić. Kocham go.

- Jeśli zdradza cię już teraz, zamiast niego, będziesz miała tylko jego nazwisko. To za mało. On cię szantażuje, chce zamknąć ci usta. Grozi, że jeśli tego nie zrobisz, to cię zostawi. Co za ohyda! Co za dupek! Czy ty tego nie widzisz?

- Wszystko jedno. Ja go kocham! - Wiktoria zmusiła ją do spojrzenia prawdzie w oczy, a ponieważ prawda okazała się nie do zniesienia, zamiast na swego przyszłego męża, Grace wściekła się nagle na nią. - Mówi, że kiedy się pobierzemy, nie będzie mnie zdradzał.

- I ty mu wierzysz?

- Tak! Harry by mnie nie okłamał.

- Przecież właśnie to zrobił! - zauważyła zrozpaczona Wiktoria. - Nie dalej jak dwa dni temu był z inną. Widziałaś go. Sama mi o tym opowiadałaś. Takiego chcesz życia?

- Nie, on tego nie robi. Obiecał. Po prostu denerwuje się, bo niedługo ślub.

- Trema to trema, a zdrada to zdrada. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim, a przynajmniej nie powinno. A jeśli ma, trzeba odwołać ślub.

- Mów sobie, co chcesz - syknęła jadowicie Grace. Wiktoria próbowała ją oświecić, ukazać jej prawdę, ale ona robiła wszystko, żeby uciec i poszukać pocieszenia w kojących kłamstwach Harry'ego. - Kochamy się i chcemy się pobrać. On nie kłamie.

- Nie, jest wspaniałym, prawdomównym facetem - przerwała jej uszczypliwie Wiktoria. - To odrażające, Grace, i to ty za to zapłacisz.

- Nieprawda, wszystko będzie dobrze.

Wiktoria wiedziała, że nie, ale Grace nie chciała tego słyszeć.

- Przyjeżdżasz? - spytała martwym głosem.

- Nie. Harry mówi, że mam dużo pracy i że bardzo by za mną tęsknił.

Nie chciał, żeby jego naiwna przyszła żona ulegała wpływowi mądrzejszej starszej siostry, której nie mógł zamydlić oczu. Łatwo było się tego domyślić.

- Jasne. Po prostu nie chce, żebyśmy porozmawiały. - Wiktoria westchnęła. - Rób, co chcesz, Grace. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Wiedziała, że prędzej czy później siostra będzie jej potrzebowała. Pękało jej serce. I zamknawszy klapkę telefonu, nie mogła przestać się zastanawiać, czy to samo przydarzyło się kiedyś ich matce. Może ojciec też ją zdradza i dlatego przymykał teraz oko na zdradę Harry'ego. Gdyby

było inaczej, dla dobra córki na pewno by jakoś zareagował, bez względu na jego pieniądze. Bo gdyby Harry zdradzał albo był złym człowiekiem, pieniądze nie dałyby córce szczęścia. Nigdy. Za to jemu dawały prestiż.

Zastanawiała się również, czy nie zadzwonić do ojca, ale uznała, że to bez sensu. Jej też by nie posłuchał. Za bardzo pochłaniały go przygotowania do ślubu, w dodatku nie z tych powodów, co trzeba. We troje uknuli spisek, żeby Grace wyszła za Harry'ego Wilkesa, choćby paliło się i waliło. Wiktoria uważała, że to straszne.

Zadzwoniła do Collina, powiedziała mu, co się stało i Collin też się zdenerwował. Wiedział, jak bardzo zależy jej na młodszej siostrze, a wyglądało na to, że sytuacja jest naprawdę nieciekawa.

- Szkoda, że wasi rodzice nie są mądrzejsi.

- To głupcy - odparła Wiktoria. - Zależy im tylko na jego nazwisku. Ona też jest naiwna i głupiutka jak małe dziecko. Myśli, że jeśli go rzuci, już nigdy w życiu nie znajdzie nikogo innego. Pewnego dnia gorzko tego pożałuje.

Przez cały wieczór była bardzo przygnębiona. Napisała Grace, że ją kocha, ale nie zadzwoniła. Nie miała jej nic do powiedzenia. Nic oprócz prawdy.

Nazajutrz poszła do doktor Watson, ale ona też nie mogła jej pomóc. Nawet teraz, kiedy wszystko wskazywało na to, że Harry zdradził albo zdradzał, powtórzyła jej to, co mówiła od samego początku.

- To są jej decyzje i jej życie. W pełni się z panią zgadzam, on ją szantażuje. Całkowicie ją zdominował i prawdopodobnie jest nieuczciwy. Ale to ona musi stawić temu czoło i albo to zmienić, albo odejść. Pani nie ma tu nic do powiedzenia - dodała stanowczo.

Wiktoria była na siebie zła. Czuliła się zupełnie bezradna.

- Więc mam po prostu siedzieć z założonymi rękami, patrzeć i czekać? - spytała ze łzami gniewu w oczach.

- Nie, ma pani żyć własnym życiem. Skupić się na sobie i na Collinie. Cieszę się, że tak dobrze się wam układa. Na życie siostry nie ma pani wpływu, ani na życie, ani na małżeństwo. Bez względu na to, co pani o tym myśli, wybór, dobry czy zły, należy tylko do niej.

Wiktoria aż skuliła się na te słowa, zwłaszcza że była to prawda.

- Nawet jeśli ma dopiero dwadzieścia dwa lata i wciąż potrzebuje rady?

- Tak. Ale ona nie prosi o radę. Każe się pani wycofać. Wiktoria wiedziała, że terapeutka ma rację, ale to wcale nie złagodziło jej gniewu. Przeciwnie.

- Żeby łatwiej jej było uwierzyć w jego kłamstwa? -spytała z oburzeniem.

- Tak, jeśli sama tego chce, a wszystko na to wskazuje. Mnie też się to nie podoba, mnie też to niepokoi, ale ma pani związane ręce.

- Koszmar. Coś strasznego.

Myśl, że Grace mimo wszystko postanowiła wyjść za Harry'ego, doprowadzała ją do szału. Ale nie chciała stracić przez to siostry, a wiedziała, że może. Wykorzystując jej pragnienia, młodość i naiwność, wspomagany przez cierpiącego na narcyzm ojca, Harry zaszantażował ją i zmusił do milczenia. Bo ojciec chciał, żeby Grace wyszła za Wilke-sa, i to za wszelką cenę, chciał się tym potem chwalić. Grace bała się, że straci Harry'ego, a Wiktoria, że siostra przegra życie, co byłoby najgorsze.

Kolejny wstrząs przeżyła tydzień później. Zadzwoiła do niej Grace. Zadzwoiła i oświadczyła, że jako pierwsza drużna Wiktoria musi zorganizować „wyjazdowy weekend panieński” dla wszystkich dziesięciu druzhen, włączając w to ją. Pomysł był upiorny. Na pytanie o Harry'ego Grace odparła, że wszystko dobrze i szybko zmieniła temat. No proszę! Udało mu się zmusić ją do milczenia na-

wet wobec rodzonej siostry. Jeśli była zmartwiona czy zdenerwowana, nie chciała tego przyznać. Chciała tylko, żeby pierwsza drużna zorganizowała im ten koszmarny weekend. Wiktoria nie miała ochoty niczego organizować ani nigdzie jechać - nie miała również ochoty przykładając ręki do jej małżeństwa z tym bufonowatym palantem - ale jak zwykle zabrakło jej odwagi, żeby odmówić.

- Cały weekend? - spytała. - To nie chodzi się już na zwykłe wieczory panieńskie? Kto ma dzisiaj na to czas? -Tylko bogacze, którzy nie musieli pracować, czyli na pewno nie ona.

- Nie, nie, wyjazdowe weekendy są teraz bardzo modne. Harry zorganizował swój w St. Bart. Wyjechali tam wszyscy aż na pięć dni.

Wiktoria wolała nie myśleć, co się tam działo. Niezadowolona ciężko westchnęła.

- Przyślij mi listę rzeczy do załatwienia i zobaczę, co da się zrobić. Nie może zająć się tym ktoś inny? Ja pracuję, Grace, poza tym dzieli nas spora różnica czasu. Wy siedzicie w Los Angeles, na zachodnim wybrzeżu, i żadna z was nie pracuje. - Jej wszystkie drużny były do cna zepsutymi bogatymi dziewczynami na garnuszku rodziców albo jeszcze studiowały.

- Nie. Jesteś pierwszą drużną, musisz to zorganizować -odparła z uporem Grace.

Wiktoria naszy wyrzuty sumienia. Stosunki z siostrą były ostatnio maksymalnie napięte.

- Kiedy chcecie jechać? - spytała z niechęcią.

- W maju - odrzekła radośnie Grace, zupełnie nieświadoma, że sprawia jej duży kłopot.

- Dobrze. Zajmę się tym. Kocham cię - powiedziała ze smutkiem i odłożyła słuchawkę.

Siostra obiecała przysłać listę nazwisk i szczegółów. Okazało się, że za to też płaci ojciec. Zastaw się, a postaw

się - Wiktoria wiedziała, że dla niej nigdy by tego nie zrobił. „Jeśli w ogóle znajdziesz kogoś, kto zechce się z tobą ożenić, lepiej od razu ucieknijcie i pobierzcie się w tajemnicy” - sam jej to powiedział.

Na szczęście mimo tych wszystkich stresów, z Collinem układało się znakomicie, ale kiedy zadzwoniła do niej matka z wiadomością, że przyjeżdżają na dwa dni do Nowego Jorku - ojciec miał spotkanie z ważnym klientem - nie uznała tego za dobrą nowinę. Tylko tego jej brakowało. Rodzice wiedzieli o Collinie, więc musiała go im przedstawić. Poza tym, znała już rodziców Collina. Bała się, że ojciec znowu coś palnie. Powiedziała mu o tym wieczorem.

- Pójdiesz ze mną? - spytała z nieszczęśliwą miną. Uśmiechnął się i pocałował ją czule.

- Oczywiście.

- Skoro już o tym mówimy, chciałabym cię o coś spytać.

- Odpowiedź brzmi: „tak” - zażartował. - A teraz poproszę o pytanie. - Widział, jaka jest ostatnio zdenerwowana i bardzo jej współczuł. Z tego, co słyszał, martwiła się o siostrę nie bez podstaw.

- Pojedziesz ze mną na ten ślub?

- Myślałem, że już nigdy mnie nie zaprosisz - odparł z uśmiechem.

- Tamte będą wyglądały ślicznie - powiedziała ze łzami w oczach. - Ja okropnie. Bądź przygotowany. Nie będziesz ze mnie dumny.

- Będę dumny i z ciebie, i z tego, że z tobą jestem. Okropnie? Nie wyglądałabyś tak, nawet gdybyś chciała. Kiedy przyjeżdżają twoi rodzice?

- Za dwa dni. - Zabrzmiało to tak, jakby za dwa dni miał być koniec świata, ale naprawdę tak się czuła. Wiedziała, że ojciec zrobi z niej kretynekę na oczach ukochanego mężczyzny, że udowodni mu, iż jest do niczego. A jeśli Collin mu uwierzy? Nie przyszło jej do głowy, że to ojciec

mógł wypaść źle w jego oczach, nie ona. Ze Collin dobrze wie, ile jest warta.

Nazajutrz zadzwoniła do Vegas, chociaż doktor Watson nieustannie przypominała jej, że przecież może odmówić. Ale ona nie chciała zwiść siostry. Jak zwykle.

Dzień później przyjechali rodzice. Zatrzymali się w Carlyle'u i zaprosili ich na drinka do Bemelmansa. Okazało się, że są umówieni na kolację z klientem ojca i nie mają dla nich zbyt dużo czasu, co było prawdziwym błogosławieństwem. Wystarczyły drinki. Wiktoria wiedziała, że ojciec potrafi zniszczyć ją w pięć minut - nie potrzebował na to całego wieczoru.

Natychmiast zauważyła, jaki był zaskoczony, jak bardzo Collin mu zaimponował - zupełnie jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś taki jak on może się z nią zadawać. Ona też nie mogła w to uwierzyć, ale Collin naprawdę chciał z nią być, co wielokrotnie udowodnił w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

Wszyscy zachowywali się wzorowo, ale po półgodzinnej pogawędce ojciec wyraził nadzieję, że Wiktoria zmieści się w suknię pierwszej drużyny, którą zamówiła dla niej Grace. Wiktoria zeszywniała.

- Schudłam, tatusiu - powiedziała spokojnie. - Codziennie chodzimy na siłownię.

- Jestem przekonany, że ma pan na nią bardzo dobry wpływ. - Ojciec uśmiechnął się szeroko do Collina, który obserwował go z chłodną rezerwą, czekając, co będzie dalej. - Mimo to uważaj na lody, córeczko - dodał ze śmiechem, którego tak nienawidziła.

Ani on, ani matka nie zauważyli, że zrzuciła sporo kilogramów, nie zauważyli jej nowego nosa, o którym Collin też nic nie wiedział. Nie powiedziała mu. Uznała, że nie musi.

W pewnej chwili ojciec spojrzał na niego i zaczął opo-

wiadać o Harrym, o tym, jakim to wspaniałym jest facetem i jak oni, rodzice Grace, cieszą się z ich ślubu.

Wtedy Wiktoria nie wytrzymała i czystym, wyraźnym głosem powiedziała:

- Nieprawda, tatusiu, Harry nie jest wspaniały. Dobrze wiesz, że ją zdradził.

Ojciec, zaskoczony, że rzuciła mu rękawicę, niepewnie odchrząknął.

- To była tylko zwyczajna trema - odparł beztrzesko. -Wszyscy tak robią przed ślubem. To pomaga rozładować napięcie. - Puścił do Collina oko, jakby myślał, że ten się z nim zgodzi, ale Collin nie zareagował.

- Jak można wyjść za kogoś, kto zdradza już przed ślubem? - ciągnęła zdenerwowana Wiktoria.

Matka sączyła drinka, patrząc w dal i udając, że tego nie słyszy. Jak zwykle się wyłączyła.

- Jestem pewien, że była to tylko drobna sprzeczka zakochanych - odparł ojciec, nie przestając się uśmiechać.

Wiktoria miała ochotę na niego nawrzeszczyć, ale się powstrzymała. Nie było sensu się z nim kłócić. I tak nie przyznałby jej racji, ponieważ bez względu na zachowanie Harry'ego, w pełni popierał to małżeństwo.

Collin przyglądał się im nieporuszony. Elegancki, przystojny i silny, całym sobą dawał do zrozumienia, że jest po stronie Wiktorii. Ojciec wreszcie zrozumiał, że jego starsza córka ma teraz sojusznika i że ten, kto spróbowałby ją zdeprecjonować czy zaatakować, miałby do czynienia i z nim. Przekaz był jasny i wyraźny nawet bez słów. Niedługo potem rodzice pożegnali się, mówiąc, że miło im było go poznać.

- Myślałam, że będzie gorzej - powiedziała Wiktoria, gdy wyszedłszy z hotelu, skręcili w kierunku jej domu. Był ciepły wieczór i trzymali się za ręce. Spotkanie z rodzi-

cami i wydarzenia ostatnich dni, na które nie miała żadnego wpływu, bardzo ją zestresowały.

- Nie dałem się nabrać - odparł spokojnie Collin. - Słyszałem przytyk o sukni, o nadwadze i o lodach, no i widać jak na dłoni, że twój ojciec ma to gdzieś, czy Harry zdradza Grace, czy nie. Chce, żeby wyszła za bogacza. Uważa, że przyda mu to splendoru. Moi rodzice też pławili się w osiągnięciach Blake'a, też im na nich zależało, też się nimi chwalili. Moje były niczym. Dobrze wiem, co to za ludzie.

Spojrzał na nią ze współczuciem. Rozumiał, z czym musiała walczyć przez całe życie i jakie było tego żniwo. Była nieszczęśliwa, źle się czuła w swojej własnej skórze. Kiedy ją pocałował, spięta i wycofana zareagowała tak, jakby chciała się odsunąć i od niego. Widział to w jej oczach. Przystanął i położył jej ręce na ramionach.

- To nie ja jestem twoim wrogiem. Wiem, co ci wmawiali. Jesteś beznadziejna, dlatego nikt cię nigdy nie pokocha. Chodź do mnie. - Przyciągnął ją do siebie, objął i spojrzał w jej wielkie niebieskie oczy, które miały taki sam kolor jak jego. - Kocham cię, Wiktorio. Jesteś cudowna. To idioci. Kocham cię taką, jaka jesteś, kocham w tobie wszystko. Dlatego chcę ci coś powiedzieć. Tylko pamiętaj, że to jest moje przesłanie, nie ich. Jesteś najmilszą, najwspanialszą, najbardziej uroczą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Kiedy znowu ją pocałował, z ulgi rozszłochała się w jego ramionach. Powiedział jej wszystko to, co pragnęła usłyszeć przez całe życie i czego nigdy dotąd nie usłyszała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Gdy nazajutrz rano przysła do szkoły, w holu zobaczyła olbrzymi pęk niebieskich baloników, które powiesili tam uczniowie. Na tablicy ogłoszeń widniał wielki napis: Amy Green została mamą. Synek, dwojga imion Stephen William, ważył trzy kilo i miał czterdzieści siedem i pół centymetra długości. Wiktoria bardzo się ucieszyła i miała nadzieję, że obyło się bez komplikacji. Wiedziała, że któraś z uczennic wszystko jej opowie. Przez cały dzień w szkole nie mówiło się o niczym innym.

Podczas jednej z lekcji dowiedziała się, że przy porodzie obecny był Justin i jej mama. Wcześniej nie znali płci dziecka, mieli więc niespodziankę. Amy czuła się dobrze i już nazajutrz wracała do domu. Za dwa, góra trzy tygodnie chciała wrócić do szkoły. Wiktoria zamierzała ją odwiedzić, ale trochę później, kiedy Amy wróci do formy. Dziewczęta, które z nią rozmawiały, mówiły, że poród był stosunkowo lekki. Wiktorii ulżyło. Amy i Justin, choć bardzo młodzi, mieli szansę dzięki wsparciu i z pomocą jej matki. Mogło im się udać.

Podczas przerwy znowu wykonała kilka telefonów do Las Vegas, a w weekend zadzwoniła do siostry. Grace była

dużo spokojniejsza niż wtedy, gdy dowiedziała się o zdradzie Harry'ego. Zgodnie z jego życzeniem, całą sprawę starannie zamieciono pod dywan. Wszyscy szli mu na rękę, zwłaszcza panna młoda i jej rodzice. Wiktoria uważała, że nie tak powinno się to załatwić, ale próbowała zachować dystans. Co rano chodziła z Collinem na siłownię, ale nie dlatego, że martwiła się swoją nadwagą, tylko dlatego, że według Collina, pomagało to rozładować stres. I rzeczywiście, czuła się dużo lepiej, i przekazała siostrze szczegóły wyjazdowego weekendu panińskiego w Las Vegas - wciąż uważała, że to zły pomysł; ona nigdy by na coś takiego się nie zdecydowała. Dużo bardziej wolałaby spędzić spokojny weekend w Santa Barbara, w Baltimore czy w San Ysidro Ranch. Ale cóż, Grace i jej przyjaciółki były młode i chciały się zabawić.

Zarezerwowała pokoje w Bellaggio, same dwójki, a także stoliki na kolację i bilety do Cirque du Soleil. Ona leciała z Nowego Jorku, one z Los Angeles - impreza zaczynała się w piątek wieczorem i kończyła w niedzielę rano, wraz z końcem doby hotelowej. Jako pierwsza drużyna zrobiła swoje. Siostra była zadowolona i przeprosiła, że tak bardzo ją naciskała.

- Nie szkodzi - odparła Wiktoria. - To twoja wielka chwila. - Chciała zachować się fair, tak jak zawsze. Teraz zależało jej na tym podwójnie, bo nie lubiła Harry'ego i martwiła się o siostrę. Czuła się tak, jakby prowadziła ją na egzekucję, ale chciała tego sama Grace. Doktor Watson miała rację, to było jej życie.

- Pewnego dnia ci się zrewanżuję - powiedziała siostra i to była dawna Grace.

Wiktoria wiedziała, że Grace żyje w wielkim stresie nie tylko z powodu ślubu, ale i przez Harry'ego, który z dnia na dzień coraz bardziej nimi dyrygował. Żeby go zadowolić, zmieniono szereg ustaleń. Na miesiąc miodowy za-

bierał ją na południe Francji, najpierw do Hotel du Cap w Cap d'Antibes, a potem do St. Tropez, gdzie mieli spotkać się z jego przyjaciółmi.

- Oby tylko nie w Las Vegas - odparła ze śmiechem Wiktoria i trochę się odprężyła.

- Jak tam Collin? - Grace bardzo chciała go poznać i nie mogła uwierzyć, że nie widziały się od Święta Dziękczynienia. Dotąd spotykały się znacznie częściej, ale dużo się w tym czasie zmieniło, i to u nich obydwu.

- Świetnie.

- Spodobał się tacie - dodała Grace, czym bardzo Wiktorię zaskoczyła, bo podczas kolacji Collin pilnował jej jak strażnik, wysyłając jednoznaczne sygnały do ojca. Może po prostu nie dotarli albo dotarli i ojciec udął, że ich nie rozumie. - Był zdziwiony, że z tobą jest. Mówi, że wygląda na człowieka sukcesu i zamiast z nauczycielką, widziałby go raczej z jakąś prawniczką. Ale bardzo mu się podobał.

Przytyk był aż nadto oczywisty. Nie pasowała do Collina. Nie dorastała mu do pięt. Zupełnie się dla niego nie nadawała. Ich ustami była teraz Grace, marionetka ojca i Harry'ego.

- Może po prostu mu się podobam - odparła spokojnie. Wiedziała już, że Collin bardzo ją kocha i było to wspaniałe uczucie.

- Mama mówi, że jest przystojny.

- Bo jest. Tato się zdziwił? Pewnie myślał, że chodzę z taką samą ofermą jak ja.

- Nie jest taki zły. Nie wyżywaj się na nim.

Grace jak zwykle go broniła i Wiktoria nie chciała z nią o tym rozmawiać. Wiedziała, że to bez sensu. Ojciec wyprawiał jej ślub, dawał wszystko, czego chciała, a ona szła za nimi jak na smyczy, za nim i swoim przyszłym mężem. No i zawsze był dla niej miły, zawsze ją uwielbiał. Zachowywała się dokładnie tak samo jak ich matka, a na prze-

ciwnym biegunie stała ona, Wiktoria. To ona walczyła o prawdę, której nikt nie chciał słuchać. I to Collin był teraz jej sojusznikiem, nie ona. Wiedziała, że jeśli siostra wyjdzie za Harry'ego, a wszystko na to wskazywało, tamte dni już nie wrócą. Brakowało jej dawnej Grace, brakowało jej tego, co je kiedyś łączyło i tym bardziej cieszyła się, że ma Collina.

Omówiła z siostrą szczegóły wyjazdu i spędziła z Collinem spokojny weekend. Do Las Vegas leciała już za tydzień. I wcale nie miała na to ochoty. Nie tak wyobrażała sobie wieczór paniński.

Przed wyjazdem poszła odwiedzić Amy Green. Synek był malutki i uroczy, a Amy szczęśliwa. Na razie karmiła go piersią, a po powrocie do szkoły chciała przejść na butelkę. Ale tylko na kilka tygodni, do wakacji. Justin, dumny ojciec, też tam był i podczas gdy one rozmawiały, on zajmował się maluszką. Przyniosła im niebieski sweterek i buciki i Amy ubrała go jak laleczkę. Dziwnie było obserwować ich w tej nowej roli. Dzieci coraz częściej rodziły dzieci, ale tych dwoje robiło wrażenie dojrzałych i odpowiedzialnych, a w pobliżu zawsze kręciła się chętna do pomocy pani Green. Dla młodych była to idealna sytuacja, a pani Green wyraźnie odżyła po rozwodzie. Skorzystali na tym wszyscy czworo.

Nazajutrz zaraz po szkole poleciała do Las Vegas. Collin wiedział, że bardzo boi się tej podróży. Obiecała, że do niego zadzwoni. Była pewna, że przyjaciółeczki Grace będą dużo piły, bawiły się, szalały, grały i podrywały chłopców, bo żadna nie miała męża. Czuła się jak kierowniczka wycieczki szkolnej, tylko że zamiast czwartoklasistów, miała pod opieką grupę gotowych na wszystko zwariowanych dwudziestodwu- i dwudziestotrzylatek. Czuła się bardzo staro, bo niedługo kończyła trzydzieści lat.

Najmilsze w tym wszystkim było to, że nareszcie zoba-

czyła się z siostrą i kiedy tylko przyjechała, Grace rzuciła jej się w ramiona. Obejrzała jej nos i powiedziała, że jest ładny.

Dziewczyny zaczęły pić, zanim tam dotarła, pić i grać na automatach - niektóre zdążyły już nawet coś wygrać. Poszły razem na koloq'ę, a potem zwiedziły kasyno, ten dziwny, jaskrawy, sztucznie oświetlony świat bez okien, olbrzymi gmach pełen podekscytowanych ludzi, krążących z rąk do rąk pieniędzy i ubranych w skąpe kostiumy kelnerek roznoszących darmowe drinki. Część z tych rzeczy dziewczynom umknęła, ale podobała im się sama atmosfera. Poza tym zdążyły już odkryć, że w hotelach -a zwłaszcza w ich hotelu - są świetnie zaopatrzone sklepy i mnóstwo chętnych do zabawy mężczyzn.

Wiktorii, która czuła się zobowiązana zostać z nimi do końca wieczoru, była zmęczona i znudzona. Dziewczyny wyglądały się, za dużo piły i nieustannie flirtowały, wszystkie z wyjątkiem Grace, bo Grace się pilnowała. No i ciągle wydzwaniał do niej Harry. Do pokoju dotarła dopiero o drugiej nad ranem. Jako jedyna nie miała współlokatorki, ale chciała być sama; Grace mieszkała ze swoją najlepszą przyjaciółką. Cóż z tego, skoro i tak nie mogła zadzwonić do Collina - w Nowym Jorku było już bardzo późno. Pocieszała się tylko tym, że wysłała mu kilka SMS-ów, a on odpisał, żeby się trzymała. To był prawdziwy maraton, ale jako pierwsza drużyna musiała spełnić swój obowiązek. Nie chciała zawieść Grace, która bawiła się jak nigdy, jak małe dziecko w Disneylandzie.

Zakupy, lunch, automaty, ruletka, masaż, manicure, pedicure, basen, kolacja w Le Cirque, widowiskowy show w Cirque du Soleil i noc w kasynie - tak wyglądał ich następny dzień. W kasynie, gdzie łatwo można było stracić poczucie czasu, siedziały aż do trzeciej nad ranem. Ponieważ nie było tam ani jednego zegara, czas stał w miejscu.

Niektóre z dziewczyn upiły się i zostały do rana, ale Grace wyszła dużo wcześniej. Wiktoria wymknęła się na górę o trzeciej i od razu poszła spać.

W niedzielę spotkały się na wczesnym lunchu, a zaraz potem Wiktoria pojechała na lotnisko; one odlatywały później. Prawie wszystkie miały straszliwego kaca, ale zgodnie uznały, że zabawa była przednia.

- Było super - podziękowała jej Grace. - Zobaczymy się chyba dopiero na ślubie - dodała rzewnie. - Bardzo za tobą tęsknię.

- Przyjadę kilka dni wcześniej, żeby ci pomóc - obiecała Wiktoria.

Objęły się, wyściskały i odjechała, ciesząc się, że wraca do Nowego Jorku. Do domu. To był upiornie długi weekend. Może nie aż tak straszny, bo nie wydarzyło się nic złego, ale na pewno męczący, przynajmniej dla niej. Nie tak lubiła spędzać wolny czas. Podobnie jak Collin, który cieszył się, że go tam nie było. Zadzwoiła do niego z lotniska i podzieliła się wrażeniami. Miał czekać na nią u siebie i obiecał, że wcześniej się położą. Fakt, musiała odpocząć. Nazajutrz był wielki dzień. Doroczne przedstawienie. W tym roku wystawiali „Annie”. Było to wielkie przedsięwzięcie i obiecała pomóc im z kostiumami i dekoracjami, tak jak kiedyś w ogólniaku. W weekend mieli kilka prób i ktoś ją zastępował. Z tego, co widziała do tej pory, wszystko szło bardzo dobrze. W poniedziałek rano była próba generalna, a wieczorem występ przed tłumem rodziców i gości. Jeden z uczniów, ich największy gwiazdor, miał głos warty Broadwayu. Collin powiedział, że postara się przyjść.

Nigdy dotąd nie witała się z nikim tak radośnie jak z nim. Z ulgą padła mu w ramiona. Przez cały weekend bardzo się denerwowała, chciała, żeby wszystko się udało, a niektóre dziewczęta były naprawdę nieznośne. Młode,

bogate i do cna zepsute przywykły, że wszystko im wolno i mają do wszystkiego prawo. Mimo to wyjazd wypalił. Wiktoria i Collin wzięli razem prysznic, a potem się kochali. Jeszcze potem przytulił ją z uśmiechem i pięć minut później zasnęła jak kamień. Bardzo się za nią stęsknił.

Wyszli wcześniej rano. Przed próbą Wiktoria musiała przejrzeć jakieś dokumenty, a potem pobiegła na salę i podczas gdy uczniowie ćwiczyli swoje numery muzyczne, ona pomagała ustawiać i przestawiać dekoracje. Biegała, krzątała się za kulisami i - chcąc zrobić komuś przejście - zrobiła krok do tyłu, zachwiała się, straciła równowagę i spadła na plecy ze sceny. Wszyscy zdrtwili z przerażenia. Na chwilę straciła przytomność, ale zaraz ją odzyskała i zapewniła ich, że nic jej nie jest. Niestety. Była blada jak śmierć i kiedy spróbowała wstać, okazało się, że nie może: straszliwie bolała ją wygięta pod dziwnym kątem noga. Mimo jej protestów, Helen pobiegła po dyrektora Walkera i pielęgniarkę szkolną, a ci zadzwonili po pogotowie. Wiktoria była śmiertelnie zawstydzona, kiedy sanitariusze kładli ją na noszach. Znowu spróbowała wstać, ale wciąż nie mogła, i miała paskudny guz na głowie. W karetce powiedziano jej, że noga może być złamana, na co odparła, że to niemożliwe, że przecież nie spadła z wysoka, ale Helen, która towarzyszyła jej w drodze do szpitala, utrzymywała, że upadek wyglądał bardzo groźnie i że Wiktoria mocno uderzyła się w głowę. Chcieli zrobić jej prześwietlenie i badanie tomograficzne.

- Boże, tak mi głupio... - Próbowała być dzielna, ale miała mdłości i niskie ciśnienie. Oczywiście natychmiast zadzwoniła do Collina. Powiedział, że zaraz przyjeżdża, ale ona zaprotestowała.

- Wiem, moje ty głupiątko, wiem. Myślisz, że nie jesteś tego warta, ale kocham cię i już wychodzę. Znajdę cię.

Rozplakała się, kiedy to powiedział. Bała się i ulżyło jej, że przyjedzie, ale nigdy by go o to nie poprosiła.

Spotkali się na urazówce. Lekarze wiedzieli już z prześwietlenia, że to złamanie, ale na szczęście nieskomplikowane i niewymagające interwencji chirurgicznej. Poza tym miała lekkie wstrząśnienie mózgu i musiała jedynie odpocząć.

- Nieźle narozrabiłaś, co? - szepnął ze smutkiem Collin.

Bardzo się o nią martwił, ale cieszył się, że nie jest gorzej, dla niej natomiast najważniejsze było to, że nie uraziła się w swój nowy nos, chociaż Collinowi tego nie powiedziała. Kiedy nogę nastawiono i założono gips, zawiózł ją do domu i ułożył wygodnie na kozetce. Przyniósł jej zupę grzybową z kaszą jęczmienną i kanapkę z tuńczykiem. W szpitalu dostała kule, gips zdejmą jej za cztery tygodnie, dziesięć dni przed ślubem Grace.

Collin musiał wracać do kancelarii na spotkanie przedprocesowe, z którego nie mógł się niestety wywinąć, ale obiecał, że wróci jak najszybciej. Podziękowała, pocałowała go na pożegnanie, a kiedy wybiegł z domu, zadzwoniła do Harlana i powiedziała, co się stało.

- Ty ofermo - zażartował.

Roześmiała się wprawdzie, ale noga bardzo ją bolała; uprzedzono ją, że tak będzie przez kilka dni.

Zadzwoniła też do siostry. Grace i Harry przysłali jej kwiaty, a Harlan przyniósł stertę czasopism do czytania. Godzinę później wrócił Collin z gotowanym kurczakiem i warzywami z grilla dla nich wszystkich.

- Przepraszam - powiedział, wycalowawszy pacjentkę. - Wcześniej nie mogłem.

Tak jej dogadzali i nadszkakiwali, że czuła się jak królowa, a Collin został na noc. Bardzo ją bolało, więc dał jej jakieś proszki i pomasował plecy.

- Jesteś wspaniałym pielęgniarzem - wymruczała. -Przepraszam, tak mi głupio...

- Wiem, wiem, zrobiłaś to specjalnie - odparł z uśmiechem.

Było jej przykro, że nie mogła pójść na przedstawienie. Była zawiedziona, rozczarowana i zła, i denerwowało ją, że musi chodzić o kulach. Pocieszała się tylko tym, że gips zostanie zdjęty dwa tygodnie przed ślubem, oczywiście jeśli kości dobrze się zrosną. Koszmar, tylko tego brakowało. Wieczorem zadzwoniła matka i zostawiła wiadomość na poczcie głosowej. Dowiedziała się o wypadku od Grace i bardzo się zmartwiła.

Nazajutrz pokuśtykała do szkoły i uczniowie pomogli jej dojść do klasy. Wpadły do niej Helen i Carla, zajrzał dyrektor. Wszyscy cieszyli się, że wróciła. Przedstawienie udało się znakomicie. Pod koniec dnia była tak zmęczona, że do domu wróciła taksówką. Wchodząc do mieszkania, zdała sobie sprawę, że przez najbliższy miesiąc nie będzie mogła ćwiczyć i przeraziła się, że znowu przytyje. Powiedziała to Harlanowi. Poprzysięgła sobie, że do czerwca zrzuci jedenaście kilo, rozpocznie normalne życie i zdobędzie mężczyznę, na którym będzie jej zależało. Rozpoczęła nowe życie z Collinem i nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa. Na razie schudła ponad osiem kilo i wyglądała świetnie. Ale do ślubu chciała zrzucić jeszcze trzy i wiedziała, że teraz będzie to bardzo trudne, bo zamiast ćwiczyć, przez cały czas leżała na sofie albo niezdarnie kuśtykała o kulach.

- Musisz po prostu uważać z jedzeniem - odparł Harlan. - Żadnych lodów. Żadnych ciastek. Żadnej pizzy. Żadnych bułeczek. Żadnych twarożków. Zwłaszcza, że mało teraz chodzisz.

- Wiem, nie wezmę tego do ust - obiecała, chociaż wieczorem, gdy bardziej ją bolało, naszła ją ochota na lody.

Ale nie, nie poprosiła o nie i z daleka omijała lodówkę. Za to na kolację zjadła dwie porcje przepysznego makaronu z sosem. I natychmiast przysięgła sobie, że już nigdy tego nie zrobi. Że przez najbliższy miesiąc nie będzie pocieszała się jedzeniem. Nie chciała wyglądać na ślubie jak kaszalot i tym samym udowodnić wszystkim, że ojciec miał jednak rację i jest beznadziejna.

Podzieliła się swymi obawami z Collinem. Powiedział, że jeśli nawet przytyje, szybko to zrzuci, kiedy znowu zacznie ćwiczyć. A jeśli nawet nie, to co?

- Przestań się tym martwić. Jesteś piękną kobietą i rozmiar sukienki naprawdę nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma - odparła ze smutkiem. - Nie chcę wyglądać jak wielka brązowa krowa.

- Wiem. To nie jest suknia dla ciebie bez względu na rozmiar. Jakoś nie widzę cię w brązowym - dodał niepewnie; moda nie należała do jego najmocniejszych stron.

- Ale niedługo zobaczysz - mruknęła ponuro, wciąż się martwiąc o swoją wagę. I wyobraziła sobie, że jest szczupła, nawet szczuplutka. Na przyjęciu weselnym dla rodziny chciała wystąpić w twarzowej bladoniebieskiej szyfonowej sukni ze srebrzystym bolerkiem i w srebrzystych sandałach na wysokich obcasach. Suknia wspaniale ją wyszczuplała i Wiktoria była z niej bardzo zadowolona, grozę budziła w niej tylko ta brązowa. Tak czy inaczej, sytuacja wydawała się beznadziejna.

- Po ślubie możemy ją uroczyście spalić - zaproponował ze współczuciem Collin. - Podobałabyś mi się nawet w worku ze zgrzebnego płótna, więc niczym się nie przejmuj.

Wiktoria się uśmiechnęła, a on ją pocałował.

Przez kilka dni mieszkali u niej, a kiedy poczuła się lepiej, przenieśli się do niego, bo miał stamtąd bliżej do pracy.

Pewnego niedzielnego popołudnia dwa tygodnie później poruszył ciekawy temat.

- Co byś powiedziała - spytał - gdybyśmy rozejrzeli się za wspólnym mieszkaniem? Niedługo lato, moglibyśmy poszukać. - Na razie pomieszkiwali to u niego, to u niej. Spotykali się od pięciu miesięcy i ich związek dojrzał na tyle, że byli gotowi spróbować. - Co o tym myślisz? - Kiedy miał na głowie jakiś proces i musiał do późna pracować, mieszkał u siebie. Kiedy był swobodniejszy, prznosił się do niej, i spędzali razem prawie wszystkie weekendy.

Wiktoria nachyliła się i pocałowała go.

- Brzmi zachęcająco...

- Świetny pomysł - dodała. - Bardzo mi się podoba.

- Mnie też. Tylko co z Harlanem i Johnem? Myślisz, że się wkurzą?

- Nie. Nieźle stoją finansowo i poradzą sobie beze mnie. Przyda im się trochę więcej miejsca.

Collin kiwnął głową. Poza tym, nie spieszyło im się. Chciał zacząć szukać mieszkania dopiero pod koniec czerwca albo na początku lipca.

Sześć razy podpisał się na jej gipsie. Harlan dwa razy, a John raz, za to na czerwono. Swoje podpisy złożyli na jej nodze chyba wszyscy uczniowie Madison School. Helen powiedziała, że jest to najpiękniejszy gips w Nowym Jorku, że wygląda jak dzieło sztuki albo przykład artystycznego graffiti.

Harlanowi i Johnowi powiedzieli o tym, że chcą zamieszkać razem kilka dni później, kiedy Wiktoria wróciła do siebie. Harlan nie był zaskoczony. Oczekiwał tego -tego albo zaręczyn, dodał, zerkając figlarnie na Collina, który się roześmiał i popatrzył z uśmiechem na Wiktorię. Jeszcze o tym nie rozmawiali, ale tak, przeszło mu to przez myśl. Podobnie jak jego siostrze, która bardzo chciała poznać Wiktorię. Ale mieli czas. Nie chcieli się spieszyć. Na razie cieszyli się tym, co mieli. Obydwoje czekali na to przez całe życie i delectowali się każdą spędzoną razem

chwila. Jego siostra też kogoś miała. Collin go nie znał, ale wyglądało na to, że to ktoś w sam raz dla niej. Był owdowiałym lekarzem, miał dwoje dzieci, siostra mówiła, że są naprawdę urocze. Miały pięć i siedem lat. Życie zawsze się jakoś układa. W teorii o garnku i pokrywce coś jednak było, wystarczyło tylko cierpliwie poczekać. Wiktoria gorąco w nią teraz wierzyła. Umówili się, że złączą szukać mieszkania po ślubie Grace. Collin miał wtedy przerwę między procesami, a ona zaczynała wakacje. Nie mogła się już doczekać.

Gips zdjęto jej trzy dni po zakończeniu roku szkolnego. Noga była trochę osłabiona, ale lekarz powiedział, że jeśli Wiktoria będzie regularnie ćwiczyła i chodziła na fizykoterapię, szybko wróci do formy. Chociaż mogła oprzeć się na niej całym ciężarem ciała, miała nieodparte wrażenie, że kość może nie wytrzymać. Siłownia? Nie, nie chciała przesadzić. Najpierw fizykoterapia, potem ślub i dopiero wtedy siłownia.

Nic nikomu nie powiedziała, ale kiedy zdjęto jej gips, poszła do łazienki, żeby się zważyć. A potem usiadła na brzegu wanny i wybuchnęła płaczem. Uważała, ale chyba nie za bardzo. Wieczorami, kiedy bolało ją bardziej niż zwykle, szukała pocieszenia w jedzeniu. Był pyszny makaron, była pizza parę razy, czasem lody, serek, krakersy, przepyszna pieczeń rzymska z ziemniakami puree, którą Harlan kupił w delikatesach. Wszystko to razem dało w sumie to, co dało. Unieruchomiona, nie mogąc intensywnie ćwiczyć, przytyła ponad trzy kilo. Tak więc zamiast zrzucić przed ślubem jedenaście, tak jak zamierzała, zrzuciła zaledwie niecałe pięć. Wiedziała, że jeśli bardzo się postara, jeśli będzie ściśle przestrzegała diety i piła specjalne herbatki ziołowe, do ślubu zdąży zrzucić kilogram, najwyżej dwa. Siedziała na brzegu wanny i płakała, gdy do łazienki zajrzał Collin.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony. - Boli? Noga?

- Nie, tyłek - wyszłochała. - W tym przeklętym gipsie przytyłam ponad trzy kilo. - Wstydziła mu się przyznać, ale widział, że płakała, więc się przyznała.

- Schudniesz, zresztą co to za różnica? - I nagle przyszło mu coś do głowy. - Wyrzucam tę przeklętą wagę. Nie chcę, żeby przez całe życie dyktowała ci, co masz robić. Wyglądasz świetnie. Kocham cię. Zrzucisz pięć kilo, czy pięć kilo przytyjesz, kogo to obchodzi? Mnie na pewno nie.

- A mnie tak - odparła ze smutkiem.

- Hmm, rozumiem. Dobrze. Skoro tak, zrób to dla siebie, nie dla mnie. Mnie jest wszystko jedno. Kocham cię taką, jaka jesteś, w każdym rozmiarze. - Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Jakim cudem miałam tyle szczęścia, że cię znalazłam? I to gdzie, na siłowni. Nic lepszego nie mogło mi się przytrafić.

- Za długo było nam źle. - Pocałował ją i dodał: - Zasłużyliśmy na siebie. Zasłużyliśmy na szczęście.

- I na to, żeby ktoś nas wreszcie pokochał. - Wiktoria wstała, a on objął ją i przytulił.

- A propos, kiedy lecisz? - Zdjęto jej gips, wiedział więc, że niedługo. Na to właśnie czekała, na zielone światło od lekarza. Teraz już je miała.

- Za dwa dni. - Ciężko westchnęła. - Nie chcę wyjeżdżać bez ciebie, ale muszę pomóc Grace.

- Tylko uważaj na rodziców - ostrzegł, a ona roześmiała się wesoło. Miał rację. - To jak kąpiel z rekinami. Ja przylecę dopiero w czwartek. Próbowałem wyrwać się wcześniej, ale nic z tego. Muszę dopiąć tę sprawę, niedługo proces.

- Jakoś sobie poradzę - odparła dzielnie, a on znowu ją pocałował.

Spędzili razem weekend i w poniedziałek poleciała do Los Angeles. Collin miał dojechać za trzy dni. Zapewniła

go, że przez ten czas da odpór rodzicom sama - ostatecznie koegzystowała z nimi od prawie trzydziestu lat.

Grace wyjechała po nią na lotnisko. Przyjechały już wszystkie druhny. Suknie zostały dopasowane, przymierzone i świetnie leżały. Zorganizowano catering. Florystka czekała. Wybrali muzykę do kościoła i na przyjęcie, wynajęli orkiestrę. Vera Wang jednak zdążyła i suknia była podobno wspaniała. Grace sprawdziła całą listę: wszystko było zapięte na ostatni guzik, pozostała tylko suknia pierwszej druhny.

- Przymierzysz, jak tylko przyjedziemy - powiedziała Grace i zmarszczyła brwi. - Myślisz, że trzeba ją będzie?...

Siedziały obok siebie na tylnym siedzeniu i zerknęła na nią niespokojnie. Siostra wyglądała tak jak zawsze, ale musiała się upewnić.

- Nie, za mało schudłam - przerwała jej ponuro Wiktoria.

- Poszerzyć? - dokończyła z wahaniem Grace.

Wiktoria pokręciła głową. Oto, za kogo ją mieli: za wielką górę, która nigdy nie malała, tylko wciąż rosła. Od zdjęcia gipsu zrzuciła nie więcej niż kilogram. Dieta, nie dieta, za mało ćwiczyła, żeby coś było widać.

Matka była w domu. Ona też sprawdzała listę, tyle że prezentów. Wszędzie piętrzyły się stosy sreber i kryształów w ozdobnych pudełkach. Zmienili jadalnię w magazyn.

Ojciec był w biurze i Wiktoria zobaczyła go dopiero wieczorem. Objął ją i powiedział, że dobrze wygląda. Mówiąc „dobrze” i „zdrowo”, zawsze miał na myśli „większa” i „grubsza”. Wiktoria podziękowała mu, powiedziała, że on też dobrze wygląda i poszła do drugiego pokoju. Nie widziała go od spotkania w Nowym Jorku. Przypomniała jej się uwaga Collina, ta o rekinach, i trzymała się od nich z daleka.

Schodziła im z drogi przez trzy dni, aż do jego przyjazdu. Wieczorem zjedli kolację z Wilkesami, obyło się bez

większych zgrzytów. Nazajutrz w ich klubie wiejskim miało odbyć się przyjęcie dla rodziny. Główne przyjęcie weselne wydawali Dawsonowie w wielkim ogrodzie klubu pły-wacko-tenisowego, pod „kryształowym” namiotem, który musiał kosztować fortunę. Chęć przybycia potwierdziło pięciuset pięćdziesięciu gości.

Rano w dniu przyjazdu Collina udało jej się spędzić kilka minut sam na sam z siostrą i spytała ją wówczas po raz ostatni, czy na pewno chce to zrobić i czy jest pewna Har-ry'ego. Przyrzekła, że jeśli tak, to od tej chwili da jej święty spokój. Grace spojrzała na nią poważnie i kiwnęła głową.

- Jesteś szczęśliwa? - Siostra wcale nie sprawiała takiego wrażenia, a ilekroć w pobliżu pojawiał się Harry, robiła wszystko, żeby mu się przypodobać. Jeśli za niego wyjdzie, właśnie tak będzie wyglądało jej życie. Na samą myśl o tym Wiktorii robiło się niedobrze.

- Tak - odparła Grace. - Bardzo. Wiktoria westchnęła.

- Cóż, dobra. W takim razie możesz na mnie liczyć. Tylko to chciałam od ciebie usłyszeć. Ale powiedz mu, że jeśli kiedykolwiek cię skrzywdzi, osobiście skopię mu tyłek.

Grace roześmiała się nerwowo. Bała się, że siostra naprawdę to zrobi.

- Nie - odrzekła poważnie. - Harry mnie nie skrzywdzi. Nigdy. - Brzmiało to tak, jakby chciała przekonać samą siebie.

- Oby.

Wiktoria już do tego nie wróciła i ulżyło jej, kiedy wreszcie przyjechał Collin. Harry bardzo się starał, żeby oczarować go i mu zaimponować. Collin był grzeczny i taktowny, widziała jednak, że narzeczony Grace mu się nie podoba. Tak jak nie podobał się jej. Ale cóż, byli teraz na niego skazani, na dobre i na złe.

Przyjęcie weselne dla najbliższej rodziny i przyjaciół było

gigantyczną imprezą, którą obsługiwała najszlachetniejsza firma cateringowa w Los Angeles. Wilkesowie byli nadzwyczaj mili i zrobili wszystko, żeby Dawsonowie czuli się u nich jak w domu. Nieustannie komplementowali Grace. Tak, mówili, jest młoda, ale jest również idealną żoną dla naszego syna. A ojciec do znudzenia wychwalał Harry'ego. Były niekończące się przemówienia, niektóre ciekawe i zabawne, ale w większości nudne. Jako pierwsza drużna panny młodej, Wiktoria miała powiedzieć kilka słów dopiero na przyjęciu głównym.

W bładoniebieskiej sukni, którą kupiła specjalnie na tę okazję, wyglądała przepięknie i Collin nie szczędził jej komplementów. Kiedy goście zaczęli wstawać od stołu, zbijać się w grupki i kręcić po ogrodzie, podszedł do nich ojciec. Trochę już wypił i miał ten donośny, serdeczny głos, którego tak nienawidziła, bo wtedy zawsze dogryzał jej i się z niej naśmiewał. Chciała ostrzec Collina, ale nie zdążyła, bo ojciec wyrósł przed nimi jak spod ziemi.

- Cóż - zaczął, patrząc na niego jak na czternastolatka, który przyszedł zabrać Wiktorię na pierwszą randkę. - Widzę, że dokonał pan dobrego wyboru. Mamy dwie córki, mądrą i piękną. Pan wybrał mądrą. Tak, z mądrą kobietą jest ciekawie.

Rekin zaatakował, pierwszy raz tego wieczoru, bo przedtem z sobą nie rozmawiali. W wodzie pojawiła się krew. Jak zwykle była to jej krew.

Collin spojrzał na niego pogodnie, objął Wiktorię i mocno przytulił. Czowała dotyk jego silnego ramienia, czuła, że zawsze ją obroni. I pierwszy raz w życiu poczuła się bezpieczna. Bezpieczna i bezgranicznie kochana.

- Przykro mi, ale nie mogę się z panem zgodzić - odparł grzecznie.

- Co do mądrych kobiet? - spytał ojciec. Był zaskoczony. Nikt nigdy nie podważał jego opinii bez względu na to,

jak bardzo były błędne, bulwersujące czy obraźliwe. Nikt nie zwracał tym sobie głowy.

- Nie, co do pańskich córek. Moim zadaniem, Wiktoria jest i piękna, i mądra. Nie docenia jej pan. Prawda?

Ojciec zaczął coś mówić, zająknął się i nie dokończył. Kiwnął głową, wyraźnie nie wiedział, jak zareagować. Wiktoria omal nie wybuchnęła śmiechem i w niemym podziękowaniu ścisnęła Collina za rękę. Ale ojciec nie zamierzał tak szybko rezygnować. Nie lubił, kiedy mu zaprzeczano czy przeszkadzano w upokarzaniu córki.

Roześmiał się głucho, co było kolejnym, aż nadto znajomym znakiem.

- To zdumiewające, że można odziedziczyć czyjeś geny z pominięciem całego pokolenia. Bo zamiast do nas, Wiktoria jest bardzo podobna do mojej babki. Jest tak samo zbudowana, ma jej cerę, włosy i nos. - Wiedział, że córka nie znosi swego nosa i chciał ją zawstydić. Miała to być zemsta za to, że Collin śmiał stanąć w jej obronie.

Collin nachylił się ku niej, przyjrzał się jej nosowi i z zaskoczoną miną przeniósł wzrok z powrotem na niego.

- Nie rozumiem - powiedział. - Moim zdaniem, jest bardzo podobny do nosa jej mamy i siostry.

I oczywiście był, dzięki doktor Schwartz, ale on o tym nie wiedział.

Wiktoria się zaczerwieniła, a zirytowany ojciec przekrzywił głowę. On też przyjrzał się nosowi córki i musiał przyznać, że rzeczywiście tak jest.

- Dziwne - wymamrotał. - Mógłbym przysiąc, że jest identyczny jak... - Urwał i ze złośliwym błyskiem w oczach dodał: - Ale duża z niej dziewczynka, prawda? Jej prababka też taka była. - Dobrze wiedział, że Wiktoria nie znosi tego określenia.

- To znaczy... wysoka? - spytał z uśmiechem Collin.

- Tak, oczywiście.

Pierwszy raz w życiu zrejterował i wzięwszy ogon pod siebie, zniknął w tłumie. Pazury wciąż miał ostre, ale tym razem chybiły celu. Stało się dla niego oczywiste, że Wiktoria ma to gdzieś, co więcej, że Collin ją kocha. Na zawsze stracił ulubiony cel żartów i przytyków.

Wiktoria patrzyła, jak podchodzi do matki.

- Dziękuję - szepnęła. Chciałaby stawić mu czoło osobiście, ale trochę się bała. Woda wciąż była za głęboka. Może pewnego dnia, ale jeszcze nie teraz.

Collin objął ją i ruszyli w stronę parkingu, gdzie czekał samochód z szoferem, który wynajęli na wieczór.

- Nie do wiary - rzucił z rozbawieniem. - Co on wygaduje? O co chodzi z tym nosem?

Roześmiała się.

- W Boże Narodzenie zrobiłam sobie operację. Nie było żadnego wypadku. Była operacja. - Wstydziła się, że z czystej próżności tak długo to przed nim ukrywała. Ale nie chciała mieć przed nim żadnych tajemnic, ani teraz, ani już nigdy potem. Wyrzuciła to z siebie i bardzo jej ulżyło. - Nie znosiłam swego nosa, bo ojciec zawsze się z niego naszmiewał. Dlatego sprawiłam sobie ładniejszy. Nie powiedziałam im, powiedziałam tylko Grace. Ale niczego nie zauważyli, ani w Nowym Jorku, ani teraz.

Collin nie mógł się powstrzymać i roześmiał się wesoło.

- A więc kiedy się poznaliśmy, to był... nos? Myślałem, że jakiś straszny wypadek samochodowy.

- Nie, to był mój nowy nos - odparła z dumą i wstydem.

Przyjrzał jej się z uśmiechem. On też sporo wypił, inaczej trudniej by mu było stanąć w szranki z jej ojcem. Rzadko kiedy to robił, ale jego niewybredne żarty i docinki zirytowały go do tego stopnia, że nie wytrzymał.

- Jest śliczny - powiedział. - Bardzo mi się podoba.

- Chyba się upiłeś - odparła ze śmiechem. Ich potyczka bardzo jej się podobała.

- Masz rację, jestem pijany. Ale tylko trochę. Pocałował ją, wsiedli do samochodu i odjechali. Collin

mieszkał w ich domu, więc prędzej czy później musieli znowu wpaść na ojca, ale zaraz po powrocie uciekli do jej pokoju. Collin był tak zmęczony, że pięć minut później spał już jak kamień. Ona leżała przez chwilę, a potem poszła do pokoju siostry.

Uchyliła drzwi i zobaczyła, że Grace siedzi na łóżku i jest chyba trochę zagubiona. Usiadła przy niej, tak jak kiedyś, kiedy były małe.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparła niespokojnie Grace. - Trochę się denerwuję. Głupie uczucie. Jakbym wchodziła do jego rodziny i traciła swoją.

Wiktoria nie uważałaby tego za stratę, ale wiedziała, że ona odbiera to zupełnie inaczej. Grace kochała rodziców. A oni kochali ją.

- Mnie nie stracisz - powiedziała. - Nigdy.

Grace objęła ją bez słowa, jakby miała się zaraz rozplakać. Ale nie, nie rozplakała się. Wiktoria zastanawiała się, czy siostra nie nabrała wątpliwości co do Harry'ego. Jej zdaniem powinna. Ale nawet jeśli tak było, zachowała to dla siebie.

- Ślub będzie piękny - powiedziała, żeby ją pocieszyć. -Zobaczysz.

Ślub na pewno, pomyślała ze smutkiem. Ale nie małżeństwo. W każdym razie bardzo w to wątpiła.

- Fajny jest ten Collin - odrzekła Grace, żeby zmienić temat. - Naprawdę miły i chyba cię kocha.

Wiktoria westchnęła. Łatwo było zauważyć, że cudownie się o nią troszczy, że patrzy na nią z takim podziwem, jakby był najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

- Ja też go kocham - odparła.

- Ożeni się z tobą? - Grace uważała, że wszystko na to wskazuje.
- Nie wiem - odrzekła z uśmiechem Wiktoria. - Jeszcze nie poprosił mnie o rękę. Za wcześnie. Na razie dobrze jest tak, jak jest. Latem chcemy razem zamieszkać.

Im się nie spieszyło, a Grace już za kilka godzin miała być mężatką. Była za młoda na taki krok, zwłaszcza że wychodziła za Harry'ego, człowieka niezwykle despotycznego i dominującego. Wiktoria bardzo jej współczuła. Ale siostra sama tego chciała i była gotowa zapłacić za to każdą cenę.

- Przepraszam za tę suknię - powiedziała nagle Grace ze skrucą.
- Powinnam była wybrać coś, w czym lepiej byś wyglądała. Po prostu spodobała mi się. Nie pomyślałam.

Wzruszona Wiktoria objęła ją i przytuliła.

- Nie szkodzi. Zemszczę się na tobie, kiedy będę wychodziła za mąż. Wybiorę coś paskudnego i każę ci to włożyć.

Roześmiały się, jeszcze rozmawiały jakiś czas, a potem Wiktoria pocałowała ją na dobranoc i wróciła do swego pokoju. Było jej smutno. Czowała, że jej mała siostrzyczka nie będzie miała lekkiego życia. Bogate tak, ale niekoniecznie dobre. Mogła jedynie mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Szły każda swoją drogą, każda odpowiadała tylko za siebie.

Położyła się obok Collina, uśmiechnęła się, wtuliła w niego i zasnęła. Pierwszy raz w życiu czuła się bezpiecznie w swoim rodzinnym domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

W dniu ślubu dom tętnił życiem od wczesnego rana. W kuchni przygotowano szwedzki stół, żeby każdy mógł wziąć sobie śniadanie. Żeby nikomu nie przeszkadzać, Wiktoria i Collin poszli zjeść do ogrodu. Grace robiła u siebie manicure i pedicure. Przyjechał fryzjer, żeby ułożyć fryzurę wszystkim paniom. Wiktoria chciała tylko upiąć kucyk na czubku głowy, więc poszła jako pierwsza.

Ślub miał być o siódmej wieczorem, ale przez cały dzień ktoś przychodził i wychodził. Po lunchu zjawiły się druhny i do Grace nie sposób się było zbliżyć, dlatego Wiktoria zostawiła je same i poszła sprawdzić, czy nie trzeba pomóc matce. Ku jej zaskoczeniu okazało się, że wszystko jest pod kontrolą. W pokoju matki leżała suknia ślubna. Już wysłano do pokoju gościnnego, żeby się przebrał, wszędzie panował ruch, wszyscy mieli coś do zrobienia. Ponieważ było milion telefonów i przesyłek, więc Collin wcielił się w rolę sekretarza, recepcjonisty i odźwiernego. Ojciec gdzieś zniknął, potem wrócił, ale przez cały dzień ani słowem nie odezwał się ani do niej, ani do niego. Dawka zażytego wieczorem lekarstwa najwyraźniej poskutkowałą,

z czego Wiktoria bardzo się cieszyła. Najwyższa pora. Collin załatwił to skutecznie i z finezją. Wiedziała, że teraz ojciec dwa razy pomyśli, zanim znowu zaatakuje.

O piątej zaczęło się wielkie odliczanie. Fryzjer ułożył Grace włosy. Druhny były już uczesane. O szóstej włożyły suknie. Wiktoria wzięła głęboki wdech, wbiła się w swoją i kiedy jedna z drухen przytrzymała zamek, druga go zapięła. Wiktoria nie spojrzała do lustra. Wiedziała, jak wygląda. Chociaż sporo schudła, nie mogła prawie oddychać, a ponieważ suknia nie miała ramiączek, wylewały jej się piersi. Zatrzask ledwo dał się zaciągnąć i czuła się jak w imadle. Ale było jej wszystko jedno. Collin kochał ją i nawet jeśli wyglądała szkaradnie, nie miało to dla niego znaczenia. Włożyła buty. Ładne, z brązowego atlasu. Miały wysokie obcasy, tak że nagle bardzo urosła. Była ładną kobietą. Czuła, że przez ten rok uniezależniła się i usamodzielniała nie tylko dzięki Collinowi, ale i dzięki sobie, swoim wysiłkom, próbom uwolnienia się od przeszłości i szkód, jakie przeszłość ta w niej poczyniła. Collin wkroczył w jej życie tylko dlatego, że była na to gotowa. Zmieniła się i on się pojawił. Nagle poczuła się pewna siebie nawet w tej nieszczęsnej sukni. Wyglądała prześlicznie, promieniała wewnętrznym blaskiem. Nałożyła na policzki troszkę różu i brąz sukni przestał tak bardzo kontrastować z jej bladą cerą.

Poszła do Grace. Matka wkładała właśnie przepiękny koronkowy welon na jej głowę. W ciemnobeżowej sukni z żakietem wyglądała dostojnie i elegancko. Wciąż była piękną kobietą. Wiktoria czasem o tym zapominała. A kiedy długi biały welon spowił drobniutkie ciało siostry, wyrosła przed nimi prawdziwa księżniczka. Wielki brylant świecił na jej palcu jak reflektor, w uszach miała brylantowe kolczyki od narzeczonego. W prezencie ślubnym matka

dała jej sznur dużych pereł z brylantową klamerką. Wydawało się, że Grace jest o wiele za młoda na taką biżuterie - Wikton przypomniawszy się, jak przed laty, jako małe dziewczynki, przebierały się w sukienki matki - ale o dziwo wyglądała uroczo. Była idealną panną młodą i ojciec, który kilka minut później wszedł do pokoju, rozplakał się na jej widok. Zawsze była jego ukochaną córką. Grace popatrzyła na niego tak, jakby też miała się zaraz rozplakać, ale matka powiedziała, że zepsuje sobie makijaż. Grace zostawiła ich i wyruszyła w świat, na nieznaną wodę - to przerażające uczucie, zwłaszcza dla tak młodej dziewczyny. W długiej, białej sukni wyglądała jak delikatne, bezbronne dziecko.

Podniosły długi welon i pomogły jej zejść na dół. A potem wraz z ojcem wsiadła do samochodu, by pojechać do kościoła na swój własny ślub. Ojciec zupełnie się rozkleił więc Grace nachyliła się i pocałowała go. Miała ojca, o jakim Wiktonia mogła tylko pomarzyć.

Wsiadła z matką do limuzyny. Collin wyjechał jakiś czas przed nimi i mieli się spotkać w kościele

A w kościele wszystko poszło zgodnie z planem. Harry czekał przed ołtarzem. Przodem kroczyły drużyny w eleganckich brązowych sukniach, za nimi Wiktonia, a za Wiktonią Grace. Mijając Collina, Wiktonia pochwyciła jego spojrzenie - uśmiechał się do niej z dumą. A tuż za nią rozbrzmiewały równe, dostojne kroki ojca, który prowadził córkę do ołtarza.

Młodzi złożyli przysięgę małżeńską, Harry włożył brylantową obrączkę na palec narzeczonej i ogłoszono ich mężem i żoną. Pocałowali się, a kiedy ruszyli do wyjścia, Wiktonia się rozplakała. Stało się. Już po wszystkich ślubnych ceremoniach, która od roku doprowadzała ich do obłędu dobiegła końca.

Przyjęcie też było wystawne i okazałe, takie, jakiego

chcieli rodzice i o jakim marzyła Grace. Kiedy fotografowie zrobili swoje i kiedy goście skończyli składać gratulacje młodej parze, Grace podeszła do siostry, żeby chociaż przez krótką chwilę побыć z nią sam na sam.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że cię kocham - szepnęła.

- I podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Zawsze się mną opiekowałaś, nawet wtedy, kiedy byłam nie do zniesienia, kiedy mi odbijało... Dziękuję. Kocham cię. Jesteś najwspanialszą siostrą na świecie.

- Ty też. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Bardzo cię kocham. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

- Będę - odparła cicho Grace, ale powiedziała to niepewnie i z wahaniem.

Na przyjęciu Wiktoria siedziała obok Collina wraz ze wszystkimi druhami i drużbami. Wygłosiła przemówienie i zebrała gromkie brawa. Dużo tańczyła, najwięcej z Collinem. Grace i Harry pokroili weselny tort. A raz zatańczyła nawet z ojcem. W smokingu i pod czarnym krawatem wyglądał bardzo dystyngowanie i elegancko. I po raz pierwszy oszczędził jej złośliwych komentarzy - po prostu tańczyli, wirowali na parkiecie, a potem odprowadził ją do Collina. To był naprawdę piękny ślub. A Grace była cudowną panną młodą. I ku uldze Wiktorii, przynajmniej tego wieczoru - może nie tylko, jeśli będą mieli szczęście - ona i Harry robili wrażenie naprawdę szczęśliwych. Oczywiście nie sposób przewidzieć, czy w szczęściu tym wytrwają, oni czy ktokolwiek inny. Można było tylko się starać.

Właśnie tańczyła z Collinem, kiedy ogłoszono, że panna młoda będzie rzucała bukiet i poproszono na parkiet wszystkie niezamężne kobiety. Grace stała na krześle, czekając, aż podejda bliżej. Wiktoria już miała to zrobić, gdy wtem tuż obok przeszła matka. Spojrzała na nią z wyrzutem i szepnęła:

- One wszystkie wyjdą kiedyś za mąż. Ty raczej nie. Jednym zdaniem przekreśliła jej szanse z Collinem, powiedziała, że Wiktoria nie tylko zostanie starą panną, ale też że nie zasługuje na bukiet. Znowu była tą, której nikt nie pokocha, bo nigdy dotąd nie kochał.

Wiktoria cofnęła się na skraj tłumy. Grace machała do niej, chciała, żeby siostra podeszła bliżej, ale słowa matki miały olbrzymią moc. Collin widział, że matka coś do niej szepcze, widział jej minę, ale stał za daleko, żeby cokolwiek usłyszeć. Mimo to widział, że Wiktoria jest zdruzgotana, widział, jak opuszcza ręce, jak się kuli i zamyka w sobie. Grace była gotowa. Spojrzała na siostrę, starannie wycelowowała, wzięła zamach i bukiet pofrunął nad głowami zebranych jak kolorowa strzała - leciał w stronę Wiktorii, prosto do niej, ale w jej uszach wciąż pobrzmiwały okrutne słowa matki. Za mocno ją uderzyły i zamarła, nie mogła się poruszyć. Collin i Grace patrzyli na nią, próbując obudzić ją siłą woli, każąc jej chwycić spadający bukiet. Wystarczyło tylko, żeby podniosła rękę, ale przedtem musiała uwierzyć, że na to zasługuje, że ma do tego prawo.

Collin domyślił się, co się dzieje i chociaż nie mogła go słyszeć, udęczonej jej bólem wypowiedział na głos słowa, które cisnęły mu się na usta. - Jesteś cudowna! Kocham cię!

I nagle, jakby go usłyszała. Uśmiechnęła się promiennie, w ostatnim ułamku sekundy wyciągnęła rękę i chwyciła bukiet. Podniosła go wysoko, a goście zgotowali jej gorącą owację. Najgłośniej krzyczał Collin i kiedy spojrzała w jego stronę, pokazał uniesiony kciuk. W tej samej chwili Harry porwał żonę w ramiona i poszli na górę się przebrać. Wieczorem lecieli do Paryża samolotem jego ojca.

Collin przebił się przez tłum i Wiktoria powitała go radosnym uśmiechem. Wciąż nie wiedział, co powiedziała jej matka i chociaż się tego domyślał, tym razem o nic nie spy-

tał. Pragnął jedynie chronić ją i bronić, pragnął uleczyć ją z ran. Wciąż trzymała bukiet.

- Daj - powiedział. - Może się nam przydać. - Wyjął go delikatnie z jej ręki, położył na stoliku i porwał ją do tańca. Była piękną kobietą. Od zawsze. Tyle tylko, że kiedyś o tym nie wiedziała. I gdy podniosła wzrok, gdy spojrzała mu w oczy, wyczytała z nich, jak bardzo jest kochana.